

Pearl S. Buck

Peonia

Tytuł oryginału: Peony

1975

Przekład Bogumiła Nawrot

DZIEŁA NAJWYBITNIEJSZYCH NOBLISTÓW

2007

W mieście Kaifeng była wiosna, późna wiosna w prowincji Henan w środkowych Chinach. Za wysokimi murami miejskimi drzewa brzoskwińowe, posadzone na dziedzińcach, kwitły wcześniej od tych, które porastały pola, rozciągające się na płaskich równinach wokół fosy. Ale nawet w tak osłoniętym miejscu kwiaty brzoskwiń były jeszcze w pąkach na święto Pesach.

Gałązki drzew brzoskwińowych w ogrodzie Ezry ben Izraela ścięto kilka dni wcześniej i pąki zmuszono do rozkwitnięcia w tym uroczystym dniu. Każdej wiosny Peonia, chińska niewolnica, uważała za swój obowiązek ułożenie z nich bukietów, stawianych pod ścianami sali głównej. Każdego roku Ezra, jej pan, i madame Ezra, jej pani, nie omieszkali zwrócić uwagi na to, czego dokonała. Wiedząc, jak zimna była wiosna tego roku i jak długo północno-zachodnie wiatry, niosące pył z wyżyn w głębi kraju, hulały po mieście, szczególnie ją pochwalili, kiedy tego wieczoru weszli do głównego pomieszczenia domu, by spożyć seder.

- Spójrz, jakiego cudu dokonała nasza Peonia na święto Pesach - powiedział Ezra, pulchną dłonią wskazując kwiaty. Madame Ezra przystanęła, żeby ocenić bukiety. Jej zazwyczaj zniecierpliwione spojrzenie złagodniało. - Bardzo ładnie, moje dziecko - pochwaliła Peonię.

Peonia nie odezwała się, tylko przycisnęła do piersi małe dłonie. Popatrzyła na Dawida, ale szybko odwróciła wzrok, kiedy się uśmiechnął. I podziękowała Lei za jej ciepły uśmiech, odpowiadając nań lekkim poruszeniem ust. Twarz starego rabina pozostała obojętna. Był ślepy, więc niczego nie widział. Na Arona, jego syna, Peonia nawet nie spojrzała.

Zajęli miejsca wokół dużego okrągłego stołu, który postawiono pośrodku sali, i Peonia zaczęła bezgłośnie i z wrodzonym sobie wdziękiem dyrygować służbą, podającą potrawy. Jej polecenia wykonywało czterech ludzi, a Matka Wang, starsza służąca, nalewała herbatę.

Peonia, odkąd sięgała pamięcią, była świadkiem tego wieczornego posiłku wczesną wiosną w domu Ezry. Nadzorowała umieszczanie na stole każdego dania i odświętnej zastawy, a służący jej słuchali, ponieważ wiedziała tak dobrze, jakby była córką państwa, gdzie dokładnie powinna się znaleźć każda potrawa. Naczynia przechowywano w zamknięciu przez dwanaście miesięcy i korzystano z nich tylko tego jednego wieczoru w roku. Srebrne łyżki i pałeczki oraz wielkie siedmioramienne świeczniki błyszcząły w świetle lampionów, zwisających z czerwonych belek wysokiego stropu. Na dużej srebrnej tacy osobiście kładła potrawy, mające symboliczne znaczenie, którego nie rozumiała. Ale i tak rokrocznie przygotowywała pieczone jajko, gorzkie zioła, jabłka, orzechy i wino. Wszystko to składało się na osobliwości obcej religii.

Właściwie cały ten dzień wydawał jej się niezwykle w tym tolerancyjnym chińskim mieście. Chociaż Peonia dobrze znała świąteczne rytuały, każdej wiosny na nowo ją zadziwiały. Na przykład pozbywanie się z domu resztek chleba na zakwasie!

Rankiem Ezra, głowa rodziny, zajrzał do każdego kąta, jak nakazywał zwyczaj, śmiejąc się i niefrasobliwie przechodząc z jednego pomieszczenia do drugiego, i pytał ją, czy zebrał już wszystkie okruszki. Kiedyś madame Ezra sama ukrywała kruszyny chleba na zakwasie, by je znalazł, ale od kilku lat pozwalała to robić Peonii, a Ezra kazał jej liczyć okruszki, żeby wiedzieć, czy może już zaprzestać poszukiwań. Żartował sobie przy tym, jakby nieco wstydził się przed służącymi. Kiedy Peonia i Dawid byli dziećmi, śmieli się do rozpuku z poszukiwań i dołączali do nich rozbawieni, wskazując każdą okruszynkę zakazanego chleba. Ale wtedy ona nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest tylko niewolnicą.

Teraz wiedziała. Stała i w milczeniu obserwowała, jak przebiega posiłek. Znała wszystkich siedzących wokół stołu, a najlepiej Dawida. To z uwagi na Dawida kupiono ją w roku głodu, kiedy Żółta Rzeka przerwała wały ochronne i zalała nisko leżące tereny. Peonia była za mała, żeby pamiętać tamtą transakcję. Choćby nie wiadomo jak się starała, nie mogła sobie przypomnieć twarzy żadnej osoby z czasów, zanim ją sprzedano.

Jej pierwszym wspomnieniem był Dawid, wesoły chłopczyk dwa lata od niej starszy, zawsze znacznie wyższy, znacznie silniejszy, więc odruchowo lgnęła do niego i na nim polegała. W tamtych czasach zwierzała mu się ze wszystkich swoich myśli i smutków, i teraz trudno jej było zerwać z tym przyzwyczajeniem. Ale rozsądek jej podpowiadał, że należy z tym skończyć. Byłoby lekkomyślnością uważać, że więź istniejąca między dwójką dzieci może przetrwać poza lata dzieciństwa. To wykluczone, kiedy jedno jest paniczem, a drugie - niewolnicą.

Nie uskarżała się, wiedząc, jakie ma szczęście, że trafiła do domu tych pobożnych Żydów. Kupiec Ezra ben Izrael, głowa rodziny, był jowialnym, korpulentnym mężczyzną. Peonia często myślała sobie, że gdyby zgolił długą brodę, wyglądałby jak Chińczyk. Ostatecznie jego matka była Chinką. Madame Ezra bardzo się tym gryzła, więc nikt o tym nie wspominał.

Pocieszała się, że Dawid, ich syn, raczej jest podobny do niej, a nie do swego ojca, i nawet lubiła podkreślać, że bardzo przypomina dziadka, po którym otrzymał imię. Chociaż każdy coś zawdzięczał madame Ezra, wszyscy się jej bali, bo wielka dobroć w każdej chwili mogła ustąpić miejsca irytacji. Ta dobiegająca pięćdziesiątki, wysoka i postawna kobieta była nawet urodziwa, jeśli komuś nie przeszkadza zbyt duży nos i rumiane policzki. Przy całej serdeczności cechowała ją również pewna niezłomność wiary i przywiązanie do tradycji.

Dlatego jak zwykle madame Ezra zaprosiła na seder rabina i jego dwoje dzieci, Arona i Leę. Aron był siedemnastoletnim młodzieńcem bladym i skrytym, którym Peonia gardziła z uwagi na jego pokrytą plamami twarz oraz niegodziwość. Nie wiedziała, czy bliscy chłopaka i państwo Ezra zdawali sobie sprawę z jego niecnych uczynków, a byłoby poniżej jej godności rozmawianie z nimi na ten temat. Może nikt z Siedmiu Nazwisk i Ośmiu Rodów, jak nazywano w Kaifengu Żydów, nie wiedział, co robi syn rabina, a Chińczycy byli zbyt delikatni, by ich o tym poinformować.

Lea to, co innego. Miała złote serce i należała do tych nielicznych osób, u których uroda idzie w parze z dobrocią. Ze swojego miejsca obok stołu Peonia obserwowała Leę z zachwytem, nie pozwalając, by przerodził się on w zazdrość. Dziś wieczorem Lea wyglądała wprost prześlicznie w sukni koloru czerwonego wina, przewiązanej w talii złotym pasem. No, może była za wysoka. Chińczycy nie lubią wysokich kobiet. Ale poza tym jednym defektem nie można jej było nic zarzucić. Lea miała jasną cerę, wielkie, ciemne, błyszczące oczy okolone długimi, wywiniętymi rzęsami, czerwone i pełne usta. Według chińskich kanonów urody nos też miała trochę za duży, choć nie tak duży, jak madame Ezra.

Lea była więcej niż piękna. Z całej jej postaci biło uduchowanie, które Peonia podziwiała, lecz go nie rozumiała. Chińczycy mówili o niej, że jest „niebiańsko dobra”. To znaczyło, że dobroć Lei jest wrodzona, a jej źródło znajduje się gdzieś w niej. Kiedy siedziała obok swego ojca, czujna na każde skinienie jego głowy, by mu służyć pomocą, uświetniała seder swoją obecnością, chociaż rzadko się odzywała.

Może część owych zalet odziedziczyła po swoim ojcu, rabinie.

Ten niezwykle wysoki i szczupły mężczyzna odziany był w bogobojność jak w świetlistą szatę. Wiele lat temu zaraził się chorobą oczu, na którą cierpi wielu Chińczyków, a ponieważ nie znano na nią lekarstwa, oślepl. Jako cudzoziemiec, nie był na nią odporny i szybko stracił wzrok. Nie oglądał twarzy swej już zmarłej żony od ukończenia przez nią trzydziestu lat, a Leę i Arona widział jedynie jako małe dzieci. Czy dlatego, że nie mogą patrzeć na twarze ludzi, był zmuszony do spoglądania jedynie na oblicze Boga, czy też z uwagi na jego wrodzoną dobroć, odnosiło się wrażenie, że teraz jest istotą w pełni uduchowioną, wyzbytą cielesnej powłoki. Błądą, urodziwą twarz okalały włosy, które posiwiały wkrótce po tym, jak oślepl. Nad długą siwą brodą sterczał wydatny nos, a głęboko osadzone oczy zdawały się emanować dumą i spokojem.

Kiedy tak siedzieli wokół stołu, uwadze Peonii nie uszedł żaden ich ruch i uśmiech. Widziała, jak Dawid spogląda na Leę przez stół, by zaraz szybko odwrócić wzrok, i starała się

stłumić ukłucie zazdrości, jakie w niej to wywołało. Dorównywał Lei wzrostem i Peonia uważała go za nadzwyczaj przystojnego.

W wieku dziewiętnastu lat Dawid ben Ezra niemal osiągnął pełnię swej młodości urody. Peonia musiała przyznać, że dobrze się prezentował w tradycyjnych żydowskich szatach, chociaż ich nie lubiła, bo w nich wydawał jej się obcy. Zazwyczaj nosił chiński strój, gdyż uważał, że jest on wygodniejszy.

Ale dziś wieczorem włożył niebiesko-złoty kaftan, a krótkie, ciemne, kręcone loki częściowo przykrywała mu jarmułka z niebieskiego jedwabiu. Peonia nie mogła się powstrzymać, żeby na niego nie patrzeć. Kiedy dostrzegł jej spojrzenie, uśmiechnął się do niej. Natychmiast spuściła głowę i odwróciła się, by kazać Staremu Wangowi, najstarszemu służącemu, przynieść dzban wina.

- Podaj go panu - poleciła.

- Wiem - syknął. - Nie musisz mi tego mówić po tylu latach. Jesteś równie okropna, jak moja kobieta!

Gdy to mówił, Matka Wang, jego żona, weszła z grupką służących, którzy nieśli miski i dzbanki z wodą oraz ręczniki do rytualnego mycia rąk. Ale Ezra, zamiast pobłogosławić wino, wstał ze swego miejsca i napełnił kieliszek rabina.

- Pobłogosław wino, rabbi - poprosił.

Rabin wstał, uniósł kielich i pobłogosławił wino. Wszyscy podnieśli się ze swych miejsc i napili się wina. Kiedy znów usiedli, Matka Wang dała znak służącym, którzy wiali wodę do srebrnych misek, by siedzący wokół stołu mogli umyć ręce. Potem każdy wziął gorzkie zioła, zanurzył je w słonej wodzie i zjadł.

Dla chińskich służących było to wszystko znajome, a jednak pozostawało czymś osobliwym. Stali w pokoju, milcząc, w ich ciemnych oczach malowała się fascynacja, zdumienie i szacunek. Czując na sobie ich spojrzenia, Ezra nie zachowywał się zupełnie swobodnie, dopełniając rytuału.

- Dawidzie, mój synu, Lea jest od ciebie młodsza i tym razem ona zada cztery pytania - powiedział.

I Lea, zapłoniwszy się nieco, cztery razy zapytała głębokim i słodkim głosem, który nadal brzmiał trochę dziecinnie:

- Czym różni się ta noc od innych nocy?

Cztery razy zadała to pytanie i cztery razy odpowiedzieli jej ci, którzy siedzieli wokół stołu. Uroczysty głos rabina górował nad głosami pozostałych.

- W czasie wszystkich innych nocy możemy jeść chamec i macę, a tej nocy tylko macę.

- W czasie wszystkich innych nocy możemy spożywać wszystkie zioła, a tej nocy tylko gorzkie.

- W czasie wszystkich innych nocy nie maczamy pokarmów ani razu, a tej nocy czynimy to dwa razy.

- W czasie wszystkich innych nocy jemy, siedząc prosto lub przechylając się na bok, a tej nocy - tylko przechylając się na bok.

Kiedy odpowiedzieli na czterokrotnie zadane przez Leę pytanie, Ezra zwrócił się do rabina:

- Rabbi, przypomnij nam teraz tekst Hagady.

Słyszając to, madame Ezra powiedziała z wyrzutem:

- Oj, Ezro... Ty, głowa naszej rodziny, powinieneś to zrobić! Moim zdaniem wszystko zapomniałeś, bo rokrocznie się od tego wykręcasz. Gdybyś znał pismo hebrajskie, mógłbyś nam odczytać Hagadę.

- Nie śmiałbym w obecności rabina - odparł Ezra ze śmiechem.

Sędziwy rabin przypomniał, więc prastarą historię o tym, jak kiedyś synowie Izraela pozostawali w niewoli na obcej ziemi, jak Bóg wyznaczył jednego spośród nich - imieniem Mojżesz - by ich uwolnił, jak Mojżesz polecił im szybko upiec placki z ciasta, zanim się zakwasiło, a potem zabić baranka i jego krwią skropić progi i odrzwia domostw, jak po wielu plagach spadła na ich ciemężycieli ostatnia i pomarli wszyscy pierworodni w ziemi egipskiej, i jak w końcu faraon pozwolił im odejść. Dlatego każdego roku w ten dzień świętują swoje uwolnienie.

- Póki... - powiedział rabin, wysoko unosząc głowę - póki nie wrócimy do ziemi naszych przodków, do naszego prawdziwego domu!

- Oby nastąpiło to wkrótce! - wykrzyknęła madame Ezra i otarła oczy.

- Oby nastąpiło to wkrótce - rzekła z powagą Lea.

Ezra i Dawid milczeli.

Cztery razy podczas długiej opowieści Peonia dawała znak służącym, by napełnili kielichy, i cztery razy wszyscy wypili wino dla uczczenia czegoś, czego nie знаła, ale pamiętała, że należy dolać wina. Ani Peonia, ani żaden z Chińczyków nawet nie rozumieli, co znaczy słowo „Żyd”; wiedzieli jedynie, że ci cudzoziemcy, którym tak dobrze się powodziło w ich mieście, przybyli tu dawno temu z odległego kraju Judy, zwanego również Królestwem Judzkim. Ciągnęli przez Persję i Indie morzem i lądem, aż dotarli do Chin. Kolejne pokolenia

były świadkami, jak przybywali żydowscy kupcy i handlarze, tworząc mały, lecz nieprzerwany strumień ludzki. Ale od czasu do czasu pojawiali się nagle setkami, sprowadzając ze sobą rodziny i kapłanów. W taki sposób znaleźli się tutaj przed wielu laty przodkowie Ezry. Przybyli jako jedna z siedemdziesięciu rodzin z Indii, przywożąc ze sobą bele bawełny, wielce cenionej przez Chińczyków, znających się tylko na produkcji jedwabiu.

Dzięki darom zaskarбили sobie przychyłość cesarza, należącego do ówczesnej dynastii; nadał im chińskie nazwisko Chao, pod którym Ezra do dziś znany był w Kaifengu.

Chińscy obywatele miasta życzliwie odnosili się do przybyszy. Żydzi byli mądrymi ludźmi, nie brakowało im energii ani sprytu, i często Chińczycy, zgnuśniali po latach wygodnego życia, zatrudniali Żydów do prowadzenia interesów. Równie często dawali Żydowi drugą lub trzecią córkę za żonę, chociaż Żydzi nigdy nie wydawali swoich córek za Chińczyków.

- Pospiesz się, ty niezguło - szepnęła Matka Wang do Starego Wanga, kiedy rabin usiadł. - Przynieś jajka!

Matka Wang też od lat służyła w domu Ezry i gdy była młoda i ładna, przyglądała się wszystkiemu tak, jak obecnie Peonia. Teraz zaś, zbyt poczciwa i już stara, nie zazdrościła Peonii, mimo że kiedyś to ona była prawą ręką swych państwa.

Stary Wang podbiegł do drzwi i zakrzyknął; pojawiło się dwoje służących z miskami obranych jajek, ugotowanych na twardo w słonej wodzie. Każdy z siedzących przy stole wziął jajko i zjadł je w milczeniu.

- Na pamiątkę naszych łez i cierpień - rzekł rabin. Jego głęboki głos rozbrzmiał echem wokół stołu.

Po zjedzeniu jajek Ezra klasnął w dłoń.

- A teraz - zawołał - pora na ucztę!

Matka Wang i Stary Wang wyszli, kiedy Żydzi spożywali jajka, a razem z nimi salę główną opuścili wszyscy służący.

Teraz odsunęli kotarę w drzwiach i pojawili się ponownie, niosąc wszelkiego rodzaju potrawy z ryb, drobiu i mięsa z wyjątkiem wieprzowiny, po czym postawili je na stole. Ujawszy pałeczki, Ezra dał pozostałym znak, by przystąpili do jedzenia, osobiście nakładając na talerze rabina i Lei kaski, które uznał za najsmaczniejsze.

Wszyscy się posilali. Ezra jadł i pił, aż mu nabrzmiały żyły na szyi. Nie przestawał mówić, żartować i wmuszać w biesiadników jedzenia. Z obecnych tylko Aron siedział blady i milczący. A jadł tak żarłocznie i szybko, jakby od dawna nie miał nic w ustach. Lea spoglądała na brata z wyrzutem, widząc jego łapczywość, ale on nie zwracał na nią uwagi. W

pewnej chwili, napotkawszy jej wzrok, zrobił ponurą minę, czym wywołał oburzenie Dawida, który jednak nic nie powiedział. Pogrzebał w swoim talerzu pałeczkami i znalazł miękki kawałek mięsa, po czym przełożył go na talerz Lei. Zobaczyła to Peonia.

Uczta przebiegała jak zwykle. W miarę jedzenia i picia Ezra robił się coraz weselszy, nawet madame Ezra bawiły jego żarty i dykteryjki. Rabin uśmiechał się lekko, Aron rżał, Dawid odpowiadał żartem na żart, Lea śmiała się radośnie, aż Dawid zaczął dowcipkować tylko po to, by ją jeszcze bardziej rozbawić, a rodzice przyglądali się temu z ukontentowaniem.

Peonia to zauważyła.

Nie dała tego po sobie poznać. Stała ze słodkim uśmiechem, przyklejonym do ust, zajęta usługiwaniem biesiadnikom, bo już odprawiła służbę. Sama dolewała wina do kieliszków i nakładała wety, aż posiłek dobiegł końca i goście wyszli. Potem pospieszyła przygotować posłanie dla Dawida: odwinęła jedwabne kołdry i spuściła wyszywane zasłony, wiszące na ciężkich srebrnych kółkach. Ale nie zaczekała na przybycie Dawida. Poszła do swojego pokoju i leżała na wąskim łóżku, długo nie mogąc zasnąć. Wciąż widziała twarz Dawida, zwracającego się do Lei, i to sprawiło, że jej sen odleciał.

Następnego ranka Peonia obudziła się wcześniej. Pod jej powiekami nadal zachował się obraz z poprzedniego wieczoru: z jaką miną Dawid spoglądał na Leę. Jaka jestem głupia! - pomyślała ze złością. Umyła się, ubrała, na nowo zaplotła włosy i sprzątnąwszy swój pokój, wyszła do ogrodu brzoskwiniowego. Panowała w nim cisza wiosennego poranka. Murawa wciąż perlila się rosą, przypominającą jasną mgiełkę, a otoczony kamiennym murkiem zbiornik pośrodku dziedzińca był wypełniony po brzegi. Tuż pod powierzchnią krystalicznie czystej wody błyskały złote łuski ryb.

Wielkie, przysadziste zabudowania, wznoszące się wokół dziedzińca, nadal pograżone były we śnie. Ptaki świergotały pod okapami, przez nikogo nieniepokozone, mały pekińczyk spał na progu niczym miniaturowy lew. Czujnie nastawił uszu na odgłos przesuwania drzwi, a kiedy zobaczył Peonię, wstał i wolno zrobił kilka kroków w stronę swojej pani, po czym przystanął na ścieżce i czekał, aż Peonia się pochyli i delikatnie go pogłaszcze po łebku.

- Ciii... Mały Piesku - przemówiła do niego cichym głosem. - Jeszcze wszyscy śpią.

Pies, przyjąwszy pieszczotę jak coś, co mu się słusznie należało, znowu się położył, a Peonia stała uśmiechnięta i rozglądała się wokół z zachwytem, jakby jeszcze nigdy nie widziała ogrodu, chociaż tyle lat mieszkała w tym domu. Znów, jak to się często poprzednio zdarzało, gdzieś zniknęło wcześniejsze przygnębienie. Wraz ze wschodem słońca przypomniawszy sobie liczne radości swego życia. Lubiła wygody, kochała piękno, a tutaj nie

brakowało ani jednego, ani drugiego. Nawet jeśli się nie znajdowała w głównym nurcie serdeczności i miłości, taka była ich obfitość w tym domu, że i dla niej starczało. Odegnęła nocne obawy i idąc na paluszkach kamienną dróżką, zbliżyła się do drzewa brzoskwini, które w końcu lada chwila powinno zakwitnąć, po czym zaczęła obcinać gałązki żelaznymi nożycami. Jej kaftan i spodnie z różowego atlasu miały taki sam odcień, jak kwiaty. Na tle jasnego różu i delikatnej zieleni czarne włosy, splecione w długi warkocz, upięty nad uchem, grzywka lekko spadająca na czoło, duże oczy i skóra koloru kości słoniowej sprawiały, że jej twarz zdawała się wyrzeźbiona. Peonia była szczupła i niska, miała okrągłą twarz, wyraziste oczy o niezwykle dużych czarnych źrenicach i nieskazitelnych białkach oraz małe, pełne czerwone usta. Zręcznie poruszała dłońmi, uniesionymi nad głową, a rękawy, zsunąwszy się, ukazały krągłe, śliczne ramiona.

Ledwo ucięła gałąź, kiedy usłyszała, jak ktoś wypowiada jej imię.

- Peonio!

Odwróciła się i zobaczyła Dawida, nadchodzącego z drugiego końca ogrodu. Natychmiast cały jej smutek zniknął. Czyż ktoś go znał lepiej od niej? Chociaż był wysoki niemal jak mężczyzna, nadal widziała w nim dziecko. Z uwagi na swój wzrost wydaje się nieco obcy, pomyślała, podobnie jak przez te duże ciemne oczy, kręcone ciemne włosy oraz ciemną karnację, bez złotego odcienia, jak u Chińczyków. Tego ranka miał na sobie chińską suknię z delikatnego, ciemnoniebieskiego jedwabiu, przewiązaną białym jedwabnym pasem, i Peonia nie mogła się oprzeć wrażeniu, że należy do niej. Jego kształtne usta, wciąż dziecinne, teraz były wydęte.

- Dlaczego mi nie odpowiedziałas, kiedy cię zawołałem? - zapytał.

Peonia położyła palec na ustach.

- Obiecałeś, że nie będziesz za mną przychodził do ogrodu! - wyrzuciła z siebie jednym tchem, a potem dodała: - Paniczu.

- Nigdy nie mówiłaś do mnie „paniczu” - powiedział cicho, lecz porywczo. - Dlaczego od wczoraj się zmieniłaś?

Peonia całą uwagę skupiła na gałązce brzoskwini.

- Wczoraj twoja matka oświadczyła, że powinnam cię tytułować „paniczem”. - Chociaż jej głos był niepewny i nieśmiały, w czarnych oczach, okolonych długimi, prostymi rzęsami, błyskały niesforne ogniki. - Twoja matka przypomniała, że już nie jesteśmy dziećmi.

Rzeczywiście, wczoraj rano madame Ezra, zaaferowana przygotowaniami do uroczystego posiłku, dała się ponieść nerwom i niespodziewanie zganiała dziewczynę.

- Gdzie usiądzie Dawid? - wielce nierozważnie zapytała Peonia.

- Jak śmiesz używać imienia mojego syna, mówiąc o nim! - wykrzyknęła madame Ezra.

- Ależ, proszę pani, czyż nie zawsze w taki sposób o nim mówiłam? - spytała Peonia.

- Należy z tym skończyć - oznajmiła madame Ezra. - Pierwsza powinnaś zrozumieć, że już nie jesteście dziećmi. - Urwała, i po chwili ciągnęła dalej: - A skoro już o tym mowa, jest jeszcze coś. Nie wolno ci wchodzić do pokoju mojego syna, kiedy w nim przebywa... Pod żadnym pretekstem. I podobnie Dawidowi do twojego. Słyszysz?

- Tak, proszę pani. - Peonia się odwróciła, by ukryć łzy, i madame Ezra zmięknęła.

- Nie mam do ciebie pretensji, że dorosłaś, moje dziecko - powiedziała. - Ale zapamiętaj sobie jedno: cokolwiek się dzieje, zawsze winna jest kobieta.

- Tak, proszę pani - wymamrotała Peonia.

- Och, znasz moją matkę - burknął teraz Dawid.

Peonia rzuciła mu przenikliwe spojrzenie.

- Zruga cię za to, że w taki sposób przewiązałaś się w pasie. Zaledwie wczoraj przypomniała mi, że muszę pilnować, byś schludnie wyglądał. Powiedziała, że to „obowiązek niewolnicy”.

Mówiąc to, ostrożnie odłożyła gałąź brzoskwini na ziemię i podeszła do niego. Roześmiał się młodzieńczym śmiechem, szelmowskim, zmysłowym, przekornym, i - stojąc nieruchomo - pozwolił, by poprawiała mu pas swymi zwinnymi palcami.

Był taki wysoki, że całkiem ją zasłonił, a mimo to pospiesznie spojrział przez ramię w stronę domu.

- Czyją jesteś niewolnicą? - zapytał.

- Twoją - odparła, a po chwili lekko skrzywiła usta. - Co wcale nie znaczy, że jestem dużo warta! Wiesz, ile kosztowałam, kiedy mnie kupili twoi rodzice... Sto sztuk srebra i ubranie.

- Wtedy byłaś chudą ośmiolatką - zażartował. - Teraz jesteś warta... Oszacujmy... Masz siedemnaście lat, jesteś ładna, ale bardzo nieposłuszna i nadal skora do psot. Cóż, musisz być warta z dziesięć razy więcej!

- Stój spokojnie - poleciła mu. - Ten guzik prawie odpadł. Chodź ze mną, to ci go przyszyję.

- Do twojego pokoju?

Pokręciła głową.

- Twoja matka powiedziała, że trzeba z tym skończyć.

- To chodźmy do mnie - zaproponował.

Znowu pokręciła głowę, z wahaniem, i wtedy obydwójce usłyszeli odgłos przesuwanych drzwi. Dawid natychmiast ukrył się za wysokim gładem, a Peonia się pochyliła, żeby podnieść z ziemi gałąź brzoskwini. Ale to tylko Matka Wang chciała zamieść próg.

- Widziałam was - powiedziała do Peonii.

- I co z tego? - zuchwale odrzekła dziewczyna.

Poszła do przestronnej, ciemnej komnaty i zaczęła układać gałązki brzoskwini w dwóch niebieskich wazonach z motywem kwiatów głogu, stojących na stoliku pod ścianą. Tego ranka niewprawne oko nie dostrzegłoby żadnych różnic między tym pomieszczeniem a salą główną w domu Chińczyków. Po wczorajszym wieczornym posiłku wyniesiono okrągły stół, a pozostałe meble znów ustawiono tak, jak to się widuje w chińskich domach.

Pod ścianą naprzeciwko szerokich drzwi, prowadzących na dziedziniec, pojawił się długi stół, a obok niego krótszy, kwadratowy, z takiego samego na ciemno polituowanego drewna. Przy jego przeciwległych bokach widniały dwa przepastne fotele z identycznego drewna. Pod bocznymi ścianami stały małe stoliki, a przy każdym z nich dwa krzesła. W wejściach wisiały kotary z czerwonego atlasu, okna były tylko w ścianie sąsiadującej z ogrodem, a ich przesuwane skrzydła wypełniała kratka z macicy perłowej. Przez jej ażur wpadało światło słoneczne, opalizujące i blade, malując jasne wzory na gładkich, wytartych płytkach z szarego kamienia, na biało otynkowanych ścianach, nawet na wysokim, belkowanym suficie. Kiedyś belki pokrywała czerwono-brunatna laka, która z czasem nabrała głębi i pociemniała.

Ale bystre oko dostrzegłoby, że nawet dziś pokój nie wyglądał na całkowicie chiński. Nad długim stołem pod ścianą na honorowym miejscu wisiał ogromny atlasowy gobelin. Na spłowiałym niebieskim tle wyhaftowano złotą nicią hebrajskie litery. Pod gobelinem stały dwa siedmioramienne mosiężne świeczniki, a w kącie pokoju znajdowała się prastara żydowska święta arka.

Peonia się cofnęła, by ocenić kwietne aranżacje. Z wprawą ułożyła gałązki w wazonach w taki sposób, że tworzyły kompozycję śliczną jak obrazek. Uśmiechnęła się, przechyliwszy lekko głowę w lewo. Na jej pięknej, drobnej twarzyczce pojawił się wyraz zmysłowej rozkoszy.

- Kiedy kwitną brzoskwinię, to znak, że nadeszła wiosna - szepnęła do Matki Wang. - Całe szczęście, że nasze Święto Wiosny wypada po ich dziwnej, smutnej uroczystości!

Wzruszyła ramionami, machnęła małą dłonią i usiadła na brzeżku jednego z wielkich foteli.

- Matko Wang, od tak dawna mieszkasz w tym domu, więc może wiesz, dlaczego tak lubią się zamartwiać?

Matka Wang zasznurowała usta.

- Sama będziesz miała powód do zmartwienia, jeśli wejdzie nasza pani i zobaczy, że siedzisz w jej fotelu - odparła. - Co za zuchwałość! Nigdy mi nawet przez myśl nie przeszło usiąść w jednym z tych foteli. Ale cóż, ja mieszkam tu zaledwie od trzydziestu lat.

- Nie złość się na mnie, Matko Wang - poprosiła Peonia cichym głosem.

Podniosła się i otworzyła stojącą pośrodku kwadratowego stołu szkatułkę z czerwonej laki, w której trzymano słodycze.

Były w niej sezamki. Wzięła jedną i zaczęła jeść.

- Ani nie poczęstowałabym się tymi ciasteczkami - zauważyła Matka Wang.

Peonia nie przestawała chrupać sezamki.

- Te ciasteczka czuć wieprzowym tłuszczem - powiedziała surowym tonem Matka Wang. Sięgnęła po sezamkę i ją powąchała. - To z całą pewnością wieprzowy tłuszcz! Mówiłam ci, że wszystkie słodycze należy kupować w buddyjskiej cukierni!

- I właśnie tak nakazałam Staremu Wangowi - odparła Peonia. - On je kupił, nie ja.

- Ale ty go wysłałaś po zakupy! - wykrzyknęła Matka Wang.

Peonia się uśmiechnęła i nic nie powiedziała. Otworzyła stojący obok szkatułki koszyk i dotknęła umieszczonego w nim imbryka na herbatę. Był gorący, więc naląła herbaty do jednej z czarek w ryżowy deseń, po czym ją wypila, trzymając naczynie w obu dłoniach, by je sobie ogrzać.

- I nigdy nie piłam z żadnej z tych czarek - oznajmiła Matka Wang. Ugryzła sezamkę.

- Tak, to wieprzowy tłuszcz - wymamrotała ponuro, ale dalej ją jadła.

- Co mają przeciwko wieprzowemu tłuszczowi? - spytała Peonia. - Dziwne, że stykam się z tymi wszystkimi przesadami i nadal nie wiem, skąd się wzięły.

- Tak im nakazuje ich religia - wyjaśniła Matka Wang.

Sięgnęła po kolejną sezamkę. - Ludzie wierzący postępują osobliwie. Miałam starą ciotkę, która po śmierci męża została buddyjską mniszką. Już nigdy nie wzięła do ust mięsa, ogoliła sobie głowę, spała na bambusowym łóżku bez materaca, więc kiedy rano wstawała, na całym ciele miała pręgi. Dlaczego się na to zdecydowała? Kto wie? Ale była szczęśliwa.

- A przecież nasza pani jest taka praktyczna - zauważyła Peonia.

Naląła herbatę Matce Wang, która pokręciła głową. Peonia ujęła czarkę w obie dłonie i podała ją kobiecie.

- Pij, dobra matko - rzekła. - Zasłużyłaś sobie na to po tych wszystkich latach. Zresztą nigdy się o tym nie dowiedzą.

- Kto wie, co im powiesz? - spytała ponuro Matka Wang.

- Nigdy im nie mówię tego, co wiem - zapewniła ją Peonia z udawaną skromnością. Matka Wang odstawiła czarękę.

- A co wiesz? - zainteresowała się.

- Teraz ty chcesz, żebym ci powiedziała - odparła Peonia z uśmiechem.

- Sama wiem to i owo - oświadczyła Matka Wang.

- Na przykład co? - spytała Peonia, patrząc na nią niewinnie.

- O tobie i paniczu.

- O mnie i paniczu! Nie myśl sobie, że łączy nas to samo, co kiedyś łączyło ciebie i naszego pana - oburzyła się dziewczyna.

Matka Wang spojrzała na nią gniewnie, twarz jej poczerwieniała.

- Jak śmiesz tak mówić! - wykrzyknęła.

- To nie ja jestem gadułą. - Peonia wzruszyła ramionami.

Matka Wang zacisnęła usta i spuściła powieki.

- Bodajby cię śmierć zabrała! - mruknęła.

Peonia musnęła dłonią rękaw jej kaftana.

- Jeśli nie będziemy przyjaciółkami, u kogo mamy szukać wsparcia w tym domu? - Zamilkła na chwilę, a potem dodała: - Jestem tylko niewolnicą. Co mnie czeka? Moim obowiązkiem było troszczyć się o niego, bawić się z nim; jeśli był niespokojny, śpiewać mu; jeśli nie mógł usnąć, czytać; jeśli zgłodniał, dać jeść... Być na każde zawołanie. Wczoraj... - Znów wzruszyła ramionami. Matka Wang podeszła do niej bliżej.

- Wiesz, na co się zanosi?

Peonia pokręciła głową, a po chwili posmutniała.

- Nie zamierzam cię okłamywać. Naturalnie, że wiem. Ale nigdy nie będzie z Leą szczęśliwy.

- Musi ją poślubić, tak jak kiedyś jego ojciec poślubił córkę jednego z nich - powiedziała Matka Wang. - To małżeństwo zostało postanowione, kiedy dzieci jeszcze leżały w kołyskach. Pamiętam... To było, zanim ty się urodziłaś.

- Myślisz, że mnie o tym nie poinformowano? - cicho spytała Peonia. - Sama Lea mi to zakomunikowała, kiedy jako dzieci bawiliśmy się razem: Dawid, ona i ja. „Mam poślubić Dawida - oznajmiła mi. - Lea, przestań o tym mówić” - zawsze powtarzał on.

- Ona ma teraz osiemnaście lat, a on - dziewiętnaście.

- Matka Wang westchnęła. - Pora...

- Ciii... - szepnęła Peonia.

Obie zaczęły nasłuchiwać. Dobiegł ich odgłos miarowych kroków, sprężystych i szybkich. Prędko odstawiły imbryk na miejsce, zamknęły szkatułkę ze słodyczami, zgarnęły okruszki, wytarły czarki na herbatę. Chwilę później Matka Wang znów zamiatała podłogę miotłą na krótkim kijku, a Peonia, wyjąwszy spod kaftana jedwabną chustę, zaczęła ścierać kurz ze stołu i rzeźbionych krzeseł.

Śniada, silna dłoń, ozdobiona licznymi pierścieniami, odsunęła kotarę z czerwonego atłasu w drzwiach we wschodniej ścianie pokoju i na progu pojawiła się madame Ezra. Tego ranka miała na sobie osobliwy strój: chińską spódnicę i kaftan z szarego jedwabiu, a do tego - żydowskie nakrycie głowy z tafty w paski. Obie kobiety, młoda i stara, powitały ją.

- Pani - wymamrotały. Były czujne, bojąc się, że po wczorajszej uczcie madame Ezra będzie skora do wybuchów gniewu.

- Pospieszcie się z robotą - przykazała madame Ezra mocnym głosem. - Wkrótce zjawi się tutaj ojciec mojego syna.

Wolno przemierzyła pokój, zamiatając podłogę długą srebrnoszarą spódnicą, i usiadła w fotelu po lewej stronie kwadratowego stołu, twarzą do ogrodu.

- Właściwie już powinien tu być - ciągnęła. - Ale czy kiedykolwiek przyszedł punktualnie?

Matka Wang naląła herbatę i podała ją madame Ezra, trzymając czarkę w obu dłoniach.

- Nasz pan lubi posiedzieć w herbaciarni - powiedziała.

Jej głos był spokojny, zachowanie niemalże poufale po wielu latach służby. - Poza tym, proszę pani, pan codziennie ma nadzieję, że dotrą wieści o przybyciu karawany.

- Karawana! - prychnęła madame Ezra. - To wymówka dobra na wszystko.

- My też już się nie możemy jej doczekać, proszę pani - wyznała Matka Wang ze śmiechem. - Przyjazd karawany to jak drugi Nowy Rok. Przywozi tyle zabawek z dalekich krajów.

Mówiła o karawanie, którą każdego roku organizował Ezra, powierzając pieczę nad nią swemu zaufanemu wspólnikowi Kao Lienowi. Choć droga morska z Europy i Afryki była krótsza od szlaku lądowego, wiodącego przez ziemie na północy, to jednak sprowadzanie towarów lądem, na grzbietach wielbłądów, było tańsze i bezpieczniejsze. Tym razem karawana się opóźniła z powodów, które - jak napisał Kao Lien w swym liście - będzie mógł wyjawic dopiero po przyjeździe. Zimę spędził za granicą, ale gdy tylko dni stały

się dłuższe, wyruszył w drogę powrotną. Teraz od miesiąca Ezra nie miał od niego wiadomości, co go umacniało w przekonaniu, że Kao Lien jest już blisko, a razem z nim - najdłuższa karawana i najdroższe towary, jakie Ezra do tej pory sprowadził. Ich sprzedaż z maksymalnym zyskiem była jego główną troską; od dawna prowadził negocjacje z chińskim kupcem Kung Chenem, który miał sklepy we wszystkich dużych miastach prowincji, a ostatnio przebąkiwał o otwarciu składu w samej Północnej Stolicy, tuż pod bokiem mieszkanek cesarskiego pałacu.

Madame Ezra nie słyszała słów Matki Wang. Uniosła głowę i wciągnęła powietrze nosem.

- Czyżbym czuła... Tak. - Odwróciła się szybko. - Matko Wang, otwórz szkatułkę na słodycze!

Ale Matka Wang wzięła szkatułkę i wręczyła ją Peonii, która szybko podeszła do stołu.

- Pani - przemówiła Matka Wang stanowczym tonem - dopiero, co powiedziałam Peonii, że zaszła jakaś pomyłka z tymi sezamkami. Pozwoliłyśmy sobie je spróbować.

- Wieprzowy tłuszcz! - wykrzyknęła madame Ezra.

- To przez tego mojego starego męża - tłumaczyła się Matka Wang. - Jest leniwy, za leniwy, żeby pójść na następną ulicę, do sklepu buddystów! No cóż, poślubiłam go na życzenie państwa, z jego wszystkimi wadami. Tylko ja wiem, ile musiałam znosić przez te lata!

- Ale włożyć je do szkatułki... - w głosie madame Ezra przebijała nagana. - Zabierz je.

Peonia, dzierżąc szkatułkę, cicho skierowała się do wyjścia, a po chwili zniknęła z wdziękiem i niemal niezauważenie. Na jej twarzy pojawił się słodki uśmiech. Za drzwiami, w szerokim korytarzu przystanęła, obejrzała się za siebie i zobaczyła Starego Wanga, drobnego, siwowłosego mężczyznę. Stał przyplaszczony do ściany. Położył palec na ustach i bezszelestnie podążył za nią korytarzem do biblioteki. Tam Peonia wręczyła mu szkatułkę z sezamkami.

- Słyszałeś? - spytała.

Skinął głową.

- Właśnie miałem wejść i powiedzieć, że zaraz nadejdzie nasz pan, kiedy usłyszałem, jak Matka Wang zrzuca na mnie winę, więc wołałem jej się nie pokazywać na oczy.

- Widzisz, jakie kłopoty ściągasz na swoją starą żonę i na mnie - łagodnie skarciła go Peonia, ale jej ciemne oczy błyszczały, a na czerwonych ustach błąkał się uśmiech.

W odpowiedzi pokręcił głową.

- I tak zawsze ktoś zjada sezamki. Na Boga, czy ważne, któż taki, jeśli to ludzka istota? - Wyciągnął szkatułkę w jej stronę. Peonia podwinęła atlasowy rękaw i ostrożnie wzięła ciasteczko.

- Poczęstuj się, Stary Wangu - zaproponowała. - Ty też jesteś ludzką istotą.

Chrupali sezamki z pewnym namaszczeniem. Potem Peonia wydobyła z rękawa jedwabną chusteczkę i wytarła nią palce.

- Ostatecznie nie uważamy za grzech spożywanie słodczy, do których wyrobu użyto wieprzowego tłuszczu - stwierdziła. - Dlaczego ci cudzoziemcy nie chcą jeść dobrego mięsa i dobrego tłuszczu wieprzowego?

- A niby skąd mam wiedzieć? - zdumiał się Stary Wang. - Religia zawsze prowadzi do nieporozumień.

Otworzyły się drzwi i obydwójce odwrócili głowy.

- Nasz pan! - wykrzyknął Stary Wang.

Peonia wdzięcznie skłoniła się na powitanie Ezry. Dziś rano prezentował się bardzo dobrze mimo swego średniego wieku i - jak Peonia dostrzegła spod opuszczonych powiek - tryskał humorem. Doskonale знаła powód tej odmiany. W miarę zbliżania się święta Pesach stawał się rozdrażniony i ponury, i z na poły nadąsaną miną odprawiał wszystkie rytuały, przy których przestrzeganiu upierała się madame Ezra. Nazajutrz po uroczystym posiłku znów był pełen życia i z nową energią doglądał interesów.

- Ach, Peonio - przemówił do niej niezwykle życzliwie i pogładził się po brodzie. - Bardzo ładnie wyglądasz, moje dziecko. Czy ucięłaś dziś rano świeże gałązki z drzewa brzoskwini?

- Już stoją w wazonach, proszę pana - odpowiedziała Peonia potulnym głosem. - Poprzednie zwiędły.

- A gdzie jest mój syn? - zapytał Ezra.

- Nie widziałam go, proszę pana - odparła.

- Jeśli go zobaczysz, zatrzymaj go, moje dziecko - polecił.

Mocniej ścisnął jedwabny pas na wydatnym brzuchu i poprawił turban na głowie, jakby się szykował do czegoś, co miało nastąpić. - Nie chcę, żeby usłyszał, o czym będziemy rozmawiać - ciągnął, znizywszy głos. - Jego matka nalega, żebym wyraził zgodę na jego małżeństwo. Dawid nie pali się do żeniaczki, prawda?

- Nie wiem, proszę pana - cicho bąknęła Peonia.

- No tak, skądże miałabyś wiedzieć? Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz spotkał się z Leą? Nie licząc wczorajszej kolacji.

Peonia uniosła powieki.

- Widuje ją w synagodze.
- Nie rozmawiają ze sobą sam na sam?
- Nie, odkąd ukończyła szesnaście lat.
- To będzie ze...
- Ponad dwa lata - odpowiedziała mu Peonia.
- Czy kiedykolwiek o niej mówi?
- Ze mną nie.
- Nie piszą do siebie listów?
- Nie, proszę pana.

Wzrok Ezry padł na szkatułkę ze słodyczami, którą trzymał Stary Wang przysłuchujący się rozmowie.

- Co tam masz? Ciasteczka?
- Stary Wang je zabiera - wyjaśniła Peonia. - Zrobiono je na tłuszczu wieprzowym.
- Szkoda - wyrwało się Ezrze. - Na tłuszczu wieprzowym, powiadasz? Naturalnie nie jestem ortodoksyjnym Żydem... Hmm... - Wziął sezamkę i szybko ją schrupał. - Bardzo smaczna. Ale cóż, w tym domu nie wolno jeść takich rzeczy.

Pospiesznie ruszył dalej, a Peonia i Stary Wang popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Po chwili Stary Wang poszedł do kuchni, a Peonia wróciła do sali głównej. Wślizgnęła się tuż za Ezrą tak, że nikt jej nie zauważył.

- Czekałam na ciebie, Ezro - powiedziała madame Ezra, nie kryjąc lekkiej irytacji.
- A ja czekałem na ciebie, moja droga - spokojnie odrzekł Ezra.

Usiadł w wielkim fotelu naprzeciwko niej i zaczął pić herbatę, którą podała mu Matka Wang, po czym obserwował, jak kobieta przygotowuje dlań fajkę. Wyjęła z pojemnika zwitek brązowego papieru, podmuchała na tłący się jego koniec, aż buchnął płomień, który zbliżyła do tytoniu. Fajka wodna była wielce pomocna podczas rozmowy, która - jak wiedział - teraz nastąpi. Trzeba było napełnić malutki cybuch fajki, zapalić tytoń, pyknąć ze dwa razy, potem wysypać popiół, by zacząć wszystko od początku. Stwarzało to mnóstwo okazji, by opóźnić odpowiedzi na pytania, robić przerwy i powtarzać to, co się już powiedziało.

- Kiedy mówię, że będę tu na ciebie czekała między porannym i południowym posiłkiem, to czekam - oświadczyła madame Ezra. - Nawet nazajutrz po sederze - dodała.
- Nikt w to nie wątpi - zauważył spokojnie Ezra.

Był roslym mężczyzną, miał czarną brodę i oliwkową cerę, i wypełniał sobą cały przepastny fotel. Dziś włożył długą do samej ziemi chińską suknię z atłasu koloru

ciemnoczerwonego wina w haftowany brokatem kolisty wzór, a na nią czarny aksamitny żakiet bez rękawów. Na głowie zamotał jedwabny turban, jego końce wisały mu nad prawym uchem, w którym nosił ciężki złoty kolczyk. Na gołe stopy wsunął skórzane sandały nabijane złotymi ćwiekami. Stopy i dłonie miał duże - pasowały do jego mocnej sylwetki i szerokiej twarzy. Z uwagi na swą zwalistość poruszał się wolno, ale nie tyle ospale, ile dostojnie.

Madame Ezra spoglądała na niego z coraz większym rozdrażnieniem. Byli dobraną parą i dobrze o tym wiedziała. Kochała go całym sercem, ale nikt nie potrafił jej tak wyprowadzić z równowagi, jak on.

- Widziałeś Dawida? - zapytała teraz.

- Rzadko widuję go rano - odparł Ezra. - Zresztą jak tylko wstałem, od razu poszedłem do herbaciarni. Obiecałem Kung Chenowi, że się tam z nim spotkam. Zakasłał, przesłaniając usta dużą dłonią, gładką i śniadą. - Cóż to za obrotny kupiec! - powiedział z podziwem. - Nikt nam nie dorównuje. Szanujemy się nawzajem. Jednego dnia on jest lepszy ode mnie, następnego ja okazuję się lepszy od niego. Ale już niemal wszystko uzgodniliśmy. Naomi, jeśli sfinalizuję ten kontrakt, co się z pewnością stanie, to kiedy przyjedzie karawana, poprzez sieć sklepów Kunga będę miał zapewniony zbyt na cały import kości słoniowej, porcelany, pawich piór, zachodnich świecidełek i instrumentów muzycznych. Krótko mówiąc, na wszystkie sprowadzone przeze mnie towary.

Matka Wang i Peonia zajęły swoje zwykłe miejsca. Matka Wang stała za madame Ezra, a Peonia - za Ezrą. Oboje państwo zwracali na nie tak małą uwagę, jakby były meblami, ale kobiety uznawały to za oczywistość. Ezra oparł się o stół.

- Naomi, chciałbym ci coś zaproponować. Wysłuchaj mnie uważnie...

- Proszę, mów. - W głosie madame Ezra dawało się wyczuć zniecierpliwienie.

- Kung Chen ma szesnastoletnią córkę, bardzo ładną...

- Skąd o tym wiesz?

- Cóż... Hmm... Któregoś dnia zobaczyłem ją, zupełnie przypadkiem. Kung Chen zaprosił mnie do swego domu, co jest czymś wyjątkowym. Ale chcieliśmy spokojnie porozmawiać o naszym kontrakcie. Była w sali głównej. Naturalnie natychmiast wyszła. Kung mi powiedział, że to jego córka.

Madame Ezra z trudem się opanowała. Zaciśnęła usta i gniewnie spojrzała na męża.

- Domyślam się, że chcesz zaproponować, żebyśmy zgodziła się, by ta Chinka została moją synową? - zapytała z goryczą.

Ezra wzruszył ramionami i rozłożył swoje wielkie ręce.

- Cóż, moja droga, z pewnością dostrzegasz korzyści. Ja jestem importerem, on kupcem, posiadającym sklepy w kilkunastu dużych miastach. No i mieszkamy w Chinach.

- Nie dostrzegam niczego poza tym, że prosisz mnie o coś niewyobrażalnego! - wykrzyknęła madame Ezra.

- Jak to? - Ezra uniósł krzaczaste brwi.

- Wiesz, że Dawid musi poślubić Leę! - Z tonu głosu madame Ezra można było wywnioskować, że za chwilę zaleje się łzami.

- Ależ, Naomi... Chyba nie chcesz powiedzieć, że będziesz się przy tym upierać po tylu latach!

- Owszem, upieram się! Szczególnie po tylu latach!

Ezra przemówił tonem łagodnej perswazji.

- Naomi, to głupia obietnica, złożona przez dwie sentymentalne kobiety nad kołyskami swych dzieci!

- Święta obietnica - oświadczyła z mocą madame Ezra - uczyniona przed obliczem naszego Pana, by zapewnić czystość żydowskiej rasy!

- Ależ Naomi...

- Nalegam!

- Trochę za późno mówić o czystości. Moja matka była Chinką - zauważył Ezra.

- Nie przypominaj mi o tym!

Nagle Ezra całkowicie stracił panowanie nad sobą. Twarz zrobiła mu się fioletowa. Zerwał się na nogi. Ale Matka Wang była szybsza. Stanęła przed nim i pchnęła go na fotel, położywszy mu dłonie na ramionach.

- Proszę pana, proszę pana... - zganiała go.

Zatonął w fotelu. Matka Wang naląła do czarki herbatę i podała mu ją, trzymając naczynie w obu rękach, po czym spojrzała na madame Ezra. Mężczyzna wziął czarę i postawił ją gwałtownie przed swoją żoną.

- Napij się herbaty, Naomi - powiedział krótko.

Teraz Matka Wang napełniła herbatą czarę Ezry i podała mu. Peonia wyciągnęła z szerokiego rękawa wachlarz z białego jedwabiu i zaczęła nim lekko poruszać. Ezra westchnął, rozsiadł się w fotelu, zdjął turban, otarł twarz i głowę jedwabną chustką, po czym znów go włożył.

- Może lepiej pošlijmy po Dawida - odezwał się w końcu.

- Nie ma sensu posyłać po niego, póki mi nie przyznasz racji.

- Może dzięki niemu się pogodzimy.

- Zabraniam ci wspominać przy nim o tej Chince - uprzedziła męża madame Ezra.

- Dobrze, dobrze! To ci mogę obiecać! Ale przekonajmy się, co w ogóle myśli o małżeństwie. Przynajmniej...

- Dlaczego „przynajmniej”? - przerwała mu madame Ezra. - To najważniejsze, a nie najmniej istotne.

Ezra klepnął się w kolana.

- Peonio! - zakrzyknął. - Idź i przyprowadź mojego syna!

- Tak jest, proszę pana - wyszeptała Peonia. Bezszelestnie i z wdziękiem wyszła z pokoju. Matka Wang znów napełniła czarki herbatą.

- Nie pozwolę, żeby Dawid decydował w tak ważnej sprawie - przemówiła madame Ezra.

- Naomi, chyba byś nie chciała, żeby poślubił kobietę, do której czuje nienawiść - powiedział Ezra łagodniejszym tonem.

- Któż mógłby czuć nienawiść do Lei? Jest prześliczna... I taka dobra.

- Z pewnością - zgodził się Ezra.

- Co by bez niej zrobił nasz stary rabin...

- Ale z jego syna jest niezły gagatek - wtrącił nagle Ezra, nie ukrywając sarkazmu.

- Aron to jeszcze dziecko.

- Jest tylko o rok młodszy od Lei.

- Sprawia wrażenie znacznie od niego starszej.

- Tak - potwierdził z roztargnieniem Ezra i umilkł.

Właściwie okłamał swoją żonę. To nie on widział ładną córkę Kunga, tylko Dawid. Ale jak mógłby wytłumaczyć swej małżonce, że rozmyślnie polecił Dawidowi pójść do domu Kunga? Posłał go z wiadomością dla Kung Chena akurat o tej porze dnia, kiedy mieszkanki domu, wdziawszy świeże szaty, spacerują po dziedzińcach, by zażyć nieco ruchu. Kiedy Dawid wrócił, Ezra spytał go żartobliwie:

- Mój synu, dlaczego masz takie błyszczące oczy? Cóż takiego zobaczyłeś?

Dawid się zaczerwienił, jak przystało młodzieńcowi, i pokręcił głową.

- Oto odpowiedź, ojciec - rzekł krótko i położył na stole list od Kung Chena.

Teraz Ezra zamknął oczy, poprawił się w swoim fotelu i wolno kręcił młynka palcami. Jego przenikliwy i żywy umysł pracował gorączkowo, próbując zgłębić labirynt tłumionych uczuć. Nie tyle był pogubiony, ile miał kompleksy. W żyłach Ezry płynęła krew osób o silnych charakterach. Jego ojciec, owdowiawszy, pojął za żonę Chinę niezwyklej urody i Ezra był owocem ich związku. Jego matka na pozór podporządkowała się wszystkim

zwyczajom, obowiązującym w domu męża. Ale Ezra, jej syn, dobrze wiedział, że w głębi duszy nie zmieniła się nic a nic. Kiedy była sama w swoim pokoju, naśmiewała się z cudzoziemców, wśród których przyszło jej żyć. Chociaż w pełni używała przyjemności, z których korzystają żony bogaczy, dużo jadła i tak bardzo się roztyła, że jej śliczne rysy zniknęły pod fałdami tłuszczu, w rzeczywistości nie zrezygnowała ze swoich przyzwyczajęń i nawet udało jej się wpłynąć na styl życia mężczyzny, którego poślubiła. Stary Izrael ben Abram w miarę upływu lat przestał obchodzić żydowskie święta, czego niegdyś skrupulatnie przestrzegał, i nauczył się nie obstawać twardo przy swoim. Ale kiedy jego chińska żona zmarła, osierocając piętnastoletniego Ezrę, w poczuciu winy i gnębiony wyrzutami sumienia zaręczył go z Naomi, córką czołowego przedstawiciela małej żydowskiej gminy w tym mieście.

Ezra, w owym czasie uległy i sentymentalny, poddał się woli ojca. Naomi odznaczała się urodą i fascynowała go swoją młodzieńczą niezłomnością. Po ślubie stwierdził, że sztuka kompromisu, której go nauczyła matka Chinka, jest niezwykle przydatnym orężem. Naomi miała zbyt silną osobowość. Właśnie teraz starał się znaleźć jakieś bezkonfliktowe rozwiązanie.

- Ezro, otwórz oczy. Masz bardzo niemądrą minę - niespodziewanie przemówiła madame Ezra.

- Naturalnie, moja droga - odpowiedział i otworzył oczy.

- Nie tak szeroko, ty głupcze! - prychnęła ze zniecierpliwieniem madame Ezra.

Spuścił powieki, a jego usta drgnęły, kiedy uśmiechnął się w duchu. Posłała mu przenikliwe spojrzenie, a on je złapał, jakby to była szklana kula, którą zaraz odrzucił w jej stronę.

Odwróciła wzrok.

- Coś Dawid długo się nie pojawia - zauważyła.

- Może gdzieś wyszedł, proszę pani - pospiesznie wtrąciła Matka Wang. Wszyscy służący w domu prześcigali się, by chronić młodego panicza.

Zanim ktokolwiek zdążył coś odpowiedzieć, rozległy się kroki. Pierwsza weszła Peonia, smukłymi palcami odsuwając kotarę ze szkarłatnego atłasu. Dawid stał na progu, wysoki i smagły, wyzywająco spoglądając na twarze rodziców, zwrócone ku niemu.

- Posłaliście po mnie, ojczcze... Matko...

- Wejdz i usiądź, mój synu - przemówił łaskawie Ezra.

- Gdzie byłeś? - jednocześnie zapytała go matka.

Nie odpowiedział jej. Usiadł obok ojca, a Peonia nalała mu herbatę i bez słowa postawiła przed nim czarkę. Potem zajęła swoje zwykłe miejsce za Ezrą i wyjąwszy z rękawa wachlarz, rozłożyła go i zaczęła wolno nim poruszać to w jedną, to w drugą stronę. Oczy miała na pół ukryte pod spuszczonej powiekami. Dawid spojrział na nią i odwrócił wzrok. Niemożliwością było odgadnąć, jakie myśli kłębią się pod tym gładkim, perłowym czołem.

- Dawidzie, pora, żebyś... - zagaiła madame Ezra.

Młodzieniec poruszył się na krześle.

- Żeby co? - przerwał matce.

- Nie muszę ci mówić, mój synu - powiedziała madame Ezra pojednawczo, bo doskonale wiedziała, jak niewiele potrzeba, żeby jej ukochany jedynak zaciął się w uporze.

- Nie wiem, o czym mówisz, matko - odparł.

- Lea ma osiemnaście lat, Dawidzie - ciągnęła błagalnym tonem. - Ty jesteś już mężczyzną. Obiecałam jej matce...

- Twoje obietnice nie są dla mnie wiążące – oznajmił stanowczo.

- Przecież zawsze wiedziałeś... - przypomniała mu madame Ezra.

- Ale teraz nie wiem - wszedł jej w słowo. - Zresztą, nie kocham Lei.

- Wstydzilibyś się! - wykrzyknęła. - Wczoraj wieczorem byłeś wobec niej bardzo miły.

- Ale dziś rano przypomniałem sobie, że ma za długi nos - oświadczył Dawid.

Madame Ezra rozłożyła ręce i przeniosła wzrok z twarzy syna na twarz męża.

- To dobra dziewczyna... I ładna... I wychowana w naszej wierze. Będzie światłem tego domu, kiedy mnie zabraknie.

- Ma za długi nos - upierał się Dawid.

Weszło mu w zwyczaj sprzeciwianie się matce i teraz właśnie to robił. Doskonale wiedział, że Lea ma ładny nos, i gdyby matka milczała, mógłby pamiętać tylko urodę Lei. Ale nadal był na tyle dziecinny, by za wszelką cenę pragnąć niczym nieskrępowanej swobody. Spojrział krnąbrnie na matkę, ale po chwili się roześmiał.

- Matko, nie żeń mnie zbyt młodo! - wykrzyknął niefrasobliwie.

Ezra roześmiał się głośno. Peonia pozwoliła sobie na lekki uśmiech. Twarz Matki Wang pozostała obojętna. Madame Ezra poczuła, że nikogo nie ma po swojej stronie. Zagryzła usta i westchnęła, przywołując całą swą miłość do syna. Kiedy znów się do niego zwróciła, jej ciemne oczy były wilgotne, a wargi - drżały.

- Dawidzie, mój synu - zaczęła najłagodniej, jak umiała.

- Nie łam serca swojej matce. Nie, zaczekaj, nie wymagam od ciebie, żebyś myślał o mnie, Dawidzie. Pomyśl o naszych braciach i siostrach! Chociaż żyjemy w tym pogańskim

kraju, w żyłach twoich i Lei, Dawidzie, płynie krew potomków Izraela i będzie płynęła w żyłach waszych dzieci. To taka dobra dziewczyna, Dawidzie. Będzie wspaniałą żoną, nigdy nie przestanie kochać ciebie i waszych dzieci, wychowa je w naszej wierze! Kiedy nadejdzie czas powrotu do ojczyzny, do naszej Ziemi Obiecanej...

- Ale ja nie chcę nigdzie wyjeżdżać - przerwał jej Dawid.

- Tutaj się urodziłem, matko... W tym domu.

Madame Ezra zrezygnowała z prób łagodnej perswazji. Straciła panowanie nad sobą.

- Jak śmiesz tak mówić do swojej matki! - krzyknęła. - Nasz Pan dał nam szansę powrotu przed śmiercią do kraju naszych przodków... Tobie, mnie, twojemu ojcu i wszystkim naszym braciom i siostram!

Ezra zakasłał, przesłaniając usta dłonią.

- Nie mogę zostawić interesów, Naomi.

- Nie mówię o tym, co będzie jutro! - powiedziała ze złością. - Mówię o dniu, wyznaczonym przez Naszego Pana, kiedy podążymy za Mesjaszem do Kraju Izraela.

- Czy wolno mi zabrać głos? - odezwał się niespodziewanie Dawid. - Matko, chcę ci coś wyznać. - Wstał i wszyscy utkwili wzrok w urodziwym młodzieńcu. - Matko, nie poślubię Lei, ponieważ kocham inną.

Madame Ezra aż otworzyła usta ze zdumienia. Ezra uniósł czarkę z herbatą. Peonia z takim napięciem wpatrywała się w Dawida, że przestała poruszać małym jedwabnym wachlarzem, który trzymała w dłoni. Matka Wang odwróciła głowę.

- Co to za jedna? - zapytała madame Ezra.

Dawid się zarumienił.

- Zobaczyłem ją... w domu Kunga...

- Kiedy? - gniewnie spytała matka. Odzyskała swą zwykłą zapalczywość.

- Dwa dni temu - odparł Dawid.

Madame Ezra popatrzyła na męża. W jej czarnych oczach malowała się złość.

- Powiedziałeś... że to ty... i Ezra jęknął.

- Moja droga, zmuszasz nas wszystkich, żebyśmy cię okłamywali - stwierdził ze smutkiem. Rzucił synowi spojrzenie spod ciężkich powiek. - No, dalej - polecił mu. - Skoro już zacząłeś, to dokończ! Ujrzałeś ładną dziewczynę. Czy z nią rozmawiałeś?

- Skądże znowu - obruszył się Dawid. - Powiedziała... Powiedziała jakby... „Och, nie”... Lub coś w tym rodzaju... I wybiegła z pokoju tak szybko jak... jak...

- Jak łania? - ironicznie podsunął Ezra.

- Skąd wiesz, ojczec? Czy ty też ją widziałeś? - - Nie. Nie widziałem jej. Ale zdaje mi się, że taksie właśnie mówi.

- Czyste szaleństwo! - odezwała się madame Ezra podniesionym głosem. - Ezro, to oburzające!

Nagle Ezra wstał.

- Wybacz, Naomi. Naprawdę nie mogę dłużej zostać... Jestem umówiony z Kung Chenem, a jak wiesz, nie należy do osób nawykłych czekać na kogokolwiek.

- Siadajcie obaj - przykazała władczy tonem madame Ezra. - Dawidzie, twoje zaręczyny odbędą się dziesiątego dnia ósmego miesiąca. W rocznicę dnia, w którym matka Lei i ja złożyłyśmy sobie obietnicę.

Spojrzenia matki i syna się spotkały. Dawid pierwszy spuścił wzrok.

- Nie, nie - wymamrotał. - Wolę odebrać sobie życie. - Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

- Peonio, biegnij za nim - polecił Ezra.

Peonii nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Już była w połowie drogi do wyjścia i w mgnieniu oka zniknęła za atlasową kotarą.

Słuchała ze zdumieniem tego, co oznajmił Dawid. A wydawało jej się, że go tak dobrze zna! I choć ostatniej nocy cierpiała przez Leę, bardziej zabolą ją to, że Dawid wszystko przed nią ukrył. Pognała korytarzem i znalazła się w długim podcieniu, okalającym dziedziniec. Dokąd Dawid mógł się udać? Zatrzymała się, podniosła palec do ust i zamknęła oczy, żeby zebrać myśli. Pragnął uciec z domu. Dokąd mógł się skierować, jak nie do miasta? Odwróciła się i pobiegła szybko i lekko do furtki.

Małżonkowie siedzieli w milczeniu w sali głównej. Matka Wang westchnęła i znów napelniła czarki herbatą. Ezra miał ponurą minę, madame Ezra trzymała chusteczkę przy oczach.

Po chwili Ezra przemówił do swej żony najłagodniej, jak umiał.

- Naomi, długo czekaliśmy na nasze jedyne dziecko.

Ale ona pozostała niewzruszona.

- Wolałabym, żeby nigdy się nie urodził, niż być świadkiem, jak odcina się od naszych braci i sióstr - powiedziała twardo.

Ezra westchnął, po czym wstał i zaczął się szykować do wyjścia. Ale nie mógł jej tak zostawić. Po tylu latach małżeństwa dobrze ją poznał; wiedział, co się dzieje w wielkim, gorącym i hardym sercu jego żony, matki ich syna.

- Ach, Naomi - rzekł smutno. - Gdybyście tylko wy, kobiety, pozwoliły nam być takimi, jakimi jesteśmy!

Nie odpowiedziała. Odwróciła od niego twarz i przytknęła chusteczkę do oczu, a Ezra skinął na Matkę Wang.

- Zajmij się panią - mruknął i wyszedł.

Po wyjściu męża madame Ezra zanosła się głośnym łkaniem, jakby była sama. I jakby to stanowiło stary zwyczaj, Matka Wang podeszła do niej, ujęła jej dłoń i zaczęła ją lekko poklepywać, masować palce i nadgarstek, delikatnie szczypać skórę. Potem to samo zrobiła z drugą dłonią, a następnie zaczęła naciskać rękami obie skronie swojej pani. W końcu madame Ezra przestała płakać, odchyliła się na oparcie fotela i zamknęła oczy. Spłynęło na nią ukojenie.

Ale Matka Wang czuła pod palcami, że umysł jej pani wciąż uporczywie pracuje.

- Ach, proszę pani - wymamrotała. - Niech mężczyźni robią to, na co mają ochotę! Cóż to obchodzi nas, kobiety? Nie pozostaje nam nic innego, jak spać... jeść... cieszyć się życiem.

To były niewłaściwe słowa i natychmiast ich pożałowała.

Madame Ezra otworzyła oczy, usiadła prosto i odwróciła się do służącej.

- Ach, wy, Chińczycy! - powiedziała ze wzgardą. - Ach, wy, Chińczycy! - Wstała, odepchnęła Matkę Wang i szybko wyszła z pokoju.

Matka Wang przez chwilę patrzyła za nią, potem przytknęła rękę do imbryka i stwierdziła, że wciąż jest gorący. Napełniła herbatą czarękę, z której pił Ezra, ujęła ją w obie dłonie, przeszła przez pokój i przycupnęła na wysokim progu.

Długo siedziała, grzejąc się w ciepłych promieniach słońca, wolno popijając herbatę i w zamyśleniu spoglądając na skąpany w świetle dziedziniec.

Peonia stanęła twarzą w twarz z Dawidem.

- No wiesz! - wykrzyknęła z wymówką. - żeby mi nie powiedzieć!

Był od niej szybszy, ale posłużyła się fortem, by znaleźć się przy furtce przed nim. Jak tylko się za siebie obejrzał i ją zobaczył, udała, że rezygnuje z pościgu i skręciła w boczną alejkę. Znow spjrzał przez ramię i nie zobaczywszy jej, uśmiechnął się triumfująco, po czym zwolnił kroku. Nagle wyrosła przed nim w podcieniu i Dawid zrozumiał, że go przechytrzyła. Stała z rozpostartymi ramionami, żeby go złapać i nie puścić. Zatrzymał się tuż przed nią, skrzyżował ręce i spojrzał w jej pełne wyrzutu oczy.

- Nie mam takiego obowiązku! - oświadczył.

Jej drobna, śliczna twarz drgnęła. Peonia się zaczerwieniła i jakby zwiędła pod wpływem jego spojrzenia niby zwarzony mrozem kwiat.

- Nie - powiedziała cicho. - To tylko ja mam taki obowiązek wobec ciebie. I... I... Masz rację. Nie musisz mi o niczym mówić.

Natychmiast zdjęła go skrucha.

- No, no, Peonio - szepnął pojednawczo. - Powiem ci, ale pod warunkiem, że nikt do niczego nie będzie mnie zmuszał.

- Źle postąpiłam - przyznała mu rację. - Nigdy więcej tego nie zrobię. Proszę... Jesteś wolny!

Splotła ręce z tyłu. Wyciągnął ramiona, ale uchyliła się i odsunęła na bok, a potem odwróciła i zaczęła uciekać. Teraz on ją gonił, a ona próbowała mu umknąć... Jak bardzo lubiła biegać! Miała szczęście, że została niewolnicą u tych cudzoziemców. Gdyby trafiła do domu Chińczyków, jej stopy byłyby krępowane - jak tylko stałoby się oczywiste, że wyrosnie z niej piękna dziewczyna - by w razie gdy syn państwa ją pokocha i zechce, żeby została jego konkubina, nie przyniosła wstydu rodzinie stopami wielkimi jak u chłopki. Biegła, śmiejąc się, bo słyszała, że on biegnie za nią. Dawid też się śmiał.

Jednak obydwoje robili to dyskretnie, jak się tego nauczyli jeszcze w latach dzieciństwa. Naturalnie dogonił Peonię, a ona wiedziała, że ją złapie. Odepchnęła go i uwolniła się od jego uścisku, chociaż niezupełnie. I zaraz jej wyczulony słuch, już z daleka łowiący odgłosy kroków i rozmów, ostrzegł ją, że ktoś ich obserwuje.

- Paniczu! - krzyknęła głośno. - Nie wolno ci odbierać sobie życia!

Opuścił ręce wzdłuż ciała, ale było za późno. Madame Ezra ich zobaczyła.

- Peonio! - skarciła ją ostrym tonem. - Zapominasz się!

- Trzymałam go, żeby się nie rzucił do studni - wykrztusiła.

- Bzdura! - fuknęła madame Ezra, ale się zawahała. Czy dziewczyna kłamie, czy rzeczywiście powstrzymała jej syna, żeby nie odebrał sobie życia?

Dawid się roześmiał.

- Kłamie, matko - powiedział beztrosko. - Tylko się bawiliśmy.

Jego matce się to nie spodobało.

- Pora, żebyś przestał się bawić z Peonią - upomniała go surowo.

Widząc, jak wspaniale w tej chwili wygląda jej syn, była mniej zadowolona niż zwykle. Jego rumieńce i zuchwałość, którymi skrycie tak się zachwycała, teraz ją zaniepokoiły. Peonia też stawała się niebezpiecznie śliczna.

- Przygotuj się - nakazała dziewczynie cierpkim tonem. - Będziesz mi towarzyszyła do domu rabina. A ty, Dawidzie, powinieneś teraz siedzieć nad książkami.

Podążyła w kierunku swych komnat. Dawid się skrzywił i wzruszył ramionami, a Peonia uniosła brwi i westchnęła.

Potem na jej twarzyczce pojawiła się rozbijającą błagalną minką. Ze wzrokiem utkwionym w plecach madame Ezra wolno uniosła rękę, która spoczęła lekko jak kwiat na ramieniu Dawida.

- Powiesz mi o niej wszystko?

Uśmiechnął się szeroko, a ona odpowiedziała mu czułym uśmiechem, takim samym - albo tak mu się przynajmniej wydawało - jaki często widywał na jej twarzy, kiedy na niego spoglądała.

- Wszystko - obiecał.

Rozstali się i Peonia poszła do swojego pokoju, żeby się przygotować do wyjścia z madame Ezra. Było to niewielkie pomieszczenie, wychodzące na osobny, mały dziedziniec łączący się z dziedzińcem Matki Wang, z którego mroczny, porośnięty mchem podcień prowadził do komnat madame Ezra.

Dawno temu ten skromny pokoik należał do konkubiny pradziadka Ezry, o której istnieniu mało kto wiedział. Tutaj mieszkała też Matka Wang, zanim ojciec Ezry wydał ją za Starego Wanga. Pokój stał pusty, kiedy Peonia była zbyt mała, żeby mieszkać sama, ale jak tylko skończyła piętnaście lat, wprowadziła się do niego. Miał pobielone ściany, a szare, kamienne płyty posadzki tak szorowano, że przybrały srebrzysty odcień. Na ścianach z obu stron łóżka Peonia powiesiła po dwa zwoje, przedstawiające kwiaty wiosny i lata, kolorowe liście jesieni i ośnieżone sosny. Sama je namalowała. Wiele lat przesiedziała w sali lekcyjnej z Dawidem i jego nauczycielem - do jej obowiązków należało przynoszenie im gorącej herbaty, mycie pędzli i rozcieranie tuszu. Przy okazji nauczyła się czytać i pisać.

A ponieważ natura obdarzyła ją talentem, potrafiła ułożyć równie zgrabny wierszyk, jak Dawid. Na zwoju z kwiatami wiosny wykaligrafowała pędzelkiem w dwóch długich linijkach:

Kwiaty brzoskwini kwitną na drzewach,
Nie wiedząc, czy nie zwarzy ich mróz.

Obok gałązek mimozy, symbolizujących lato, napisała:

Gorące słońce pali, grzmot się przetacza po niebie.
Cykady śpiewają zapamiętałe, obojętne na wszystko.

Pod szkarłatnymi liśćmi klonu wykaligrafowała:..

Czerwone liście opadają i cały dziedziniec spowija
Deczę liście, które umierają pod moimi stopami.

A poniżej pokrytych śniegiem sosen umieściła napis:.. ‘

Śnieg okrywa to, co żyje, i to, co umarło.
Zieloną sosnę, zbutwiałe kwiaty.

Bardzo często czytała te cztery zwrotki, zastanawiając się, jak mogłaby je ulepszyć. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek zdoła je udoskonalić. Teraz na ich widok miała ochotę się rozpłakać.

Poruszała się szybko, wkładając gładki czarny kaftan i spodnie, usuwając kwiaty brzoskwini z włosów, zdejmując złote bransoletki. Spojrzała w małe, stare lustro na toaletce, wtarła odrobinę pudru ryżowego w policzki, lekko musnęła usta karminem. Włosy, jak wszystkie służące, zawsze zaplatała w długi warkocz, żeby było wiadomo, że nie jest córką państwa, ale w domu warkocz zwijała i upinała nad uchem. Teraz wyciągnęła z niego szpilki, by spłynął jej na plecy, i przyczesła prostą grzywkę.

Następnie szybko przeszła podcieniami, aż znalazła się na dziedzińcu pani tego domu. Matka Wang kończyła ubierać madame Ezra. Strój ich pani był bogaty i oryginalny, a ona sama uważała, że jest w pełni żydowski. Nie wiedziała, że podczas wielu lat, które spędzili w Chinach jej przodkowie, jej babki stopniowo ozdabiały swoje szaty haftami przy rękawach i dekolcie, zakładkami, guzikami i lamówkami.

Peonia przystanęła w drzwiach, cicho chrząknęła i przywołała na twarz uśmiech. Madame Ezra się nie odwróciła. Zazwyczaj dużo rozmawiała ze swoimi służącymi i była dla nich miła, ale od kilku dni, przejęta przygotowaniami do święta Pesach, z na nowo rozbudzoną żarliwością traktując wiarę swych przodków, krzywym okiem patrzyła na zażyłość, jaką dostrzegała między Peonią i Dawidem. Prawda, że dziewczynkę kupiono, by towarzyszyła i obsługiwała małemu, samotnemu chłopcu, ale madame Ezra ani się spostrzegła,

kiedy przestali być dziećmi. Wyrzucała sobie, że wcześniej się nie zorientowała, że zdążyli dorosnąć: jej syn stał się mężczyzną, Peonia - kobietą.

I teraz często okazywała swoje niezadowolenie i była surowa wobec Peonii, przeświadczona, że dziewczyna powinna instynktownie wyczuć zmiany, które zaszły.

Wszystko to Peonia doskonale rozumiała, więc milczała, cierpliwie czekając, aż madame Ezra zechce przemówić. Kiedy złota szpilka do włosów wysunęła się z palców Matki Wang, dziewczyna skoczyła z kocią zwinnością, podniosła ją i własnoręcznie wpięła we włosy madame Ezra. Gdy dostrzegła w lustrze spojrzenie swojej pani, uśmiechnęła się. Madame Ezra spoglądała poważnie w czarne oczy młodej niewolnicy, ale po sekundzie czy dwóch też się uśmiechnęła.

- Ty niesforne dziecko... - powiedziała. - Bardzo się na ciebie gniewam.

- Dlaczego, proszę pani? - spytała smutno Peonia, a po chwili dodała z całą szczerością: - Nie, proszę nic nie mówić... Wiem! Ale myli się pani. Znam swoje miejsce w tym domu. Chcę jedynie pani służyć. Zrobię wszystko, o co mnie pani poprosi. Czy mam oprócz tego domu jakiś inny? Jakżebyś śmiała pani nie słuchać?

Wyglądała tak ślicznie z tym pełnym skruchy i uległości wyrazem twarzy, że madame Ezra nie mogła się nie udobruchać. Rzeczywiście, Peonia była całkowicie od niej zależna i chociaż madame Ezra doskonale zdawała sobie sprawę, że pod tą łagodnością i słodyczą kryje się nieugiętość i przebiegłość, to jednak - tłumaczyła sobie - Peonia nie może pragnąć zniszczyć tego, co było dla niej tak cenne. Jeśli naprawdę zrodziło się jakieś młodzieńcze uczucie między tą niewolnicą i Dawidem, Peonia nie ulegnie mu, bo oznaczałoby to utratę wszystkiego, co miała - a tak by się właśnie stało, powiedziała sobie z mocą madame Ezra. Jeśli kiedykolwiek zauważy, że między Dawidem i Peonią istnieje coś więcej niż to, co dozwolone między młodzieńcem a niewolnicą, jeszcze tego samego dnia wyda Peonię za jakiegoś wieśniaka.

Peonia doskonale wiedziała, jakie myśli chodzą po głowie madame Ezra, jakby jej pani wypowiedziała je na głos. Dobrze nauczyła się je odczytywać. Wystarczyło, by stała bez ruchu, niczym nie zaprzętała sobie uwagi, tylko odbierała sygnały, a wkrótce przybiegały do niej na mysich nóżkach myśli innych ludzi. Niewolnice o zbyt wygórowanych ambicjach najczęściej kończyły jako żony wieśniaków. W tym domu miała jeszcze mniejsze szansę niż w domu jakiegoś Chińczyka. Madame Ezra często przypominała, że Żydzi nie biorą sobie konkubin - przynajmniej porządni Żydzi. Ich Bóg im tego zabraniał.

Kiedy madame Ezra jej nie odpowiedziała, Peonia szybko się cofnęła, a potem poszła za swoją panią do bramy. Kilka minut później siedziała w swej lektyce, widząc przed sobą

palankin z atlasowymi firankami, którym podróżowała madame Ezra. Zerknęła przez malutką kwadratową szybkę w przedniej zasłonce i ujrzała fragment ulicy. Ulica wyglądała jak zawsze, jak przez wszystkie lata jej życia i przez stulecia, poprzedzające jej narodziny. Była to szeroka aleja, ale i tak zawsze kłębił się tu tłum ludzi. Po obu stronach stały niskie budynki z cegły i kamienia. Mieściły się w nich najróżniejsze sklepy, a w głębi były mieszkania, w których żyli mężczyźni, kobiety i dzieci, szczęśliwi albo nie, ale przynajmniej zawsze bezpieczni. Na poboczach ulicy panował cień i miły chłód, bo właściciele sklepów rozciągnęli nad wejściami trzciniowe maty, rozpięte na bambusowych ramach. Nosiwody, idąc, rozlewali wodę z drewnianych wiader, zmoczony bruk chłodził powietrze. Wszędzie biegały bądź raczkowały dzieci, płacząc się pod nogami dorosłych. Gospodynie targowały się ze sprzedawcami świeżych warzyw i wyjmowały żywe ryby z wielkich kadzi, mężczyźni podążali do herbaciarni, aby załatwić jakieś swoje sprawy. Wokół niej wartko toczyło się życie, codzienne życie, ale ona była z niego wyłączona, ze smutkiem uświadomiła sobie Peonia.

Obserwując widoki, które tak dobrze знаła, myślała o swoim losie. Dzieciństwo minęło zbyt szybko, nawet dla niej. Były to dobre i szczęśliwe lata. Peonia bała się dorosłości i zmian.

Czuła się w tym domu niemal jak córka, ale podczas kilku ostatnich dni, a szczególnie w to osobliwe święto obchodzone przez cudzoziemców, z całą jasnością dotarło do niej, że w gruncie rzeczy jest kimś obcym dla rodziny, która ją kupiła.

Choćby nie wiadomo jak chciała sobie przypomnieć, nie pamiętała twarzy swojej matki ani głosu ojca. Odrażona przez własnych rodziców, może wykradziona z domu albo sprzedana, ponownie stała się przedmiotem transakcji.

- Proszę pani, od kogo mnie państwo kupili? - zapytała kiedyś Peonia madame Ezra.

- Od handlarza dziećmi - usłyszała w odpowiedzi.

- Czy miał dużo takich jak ja? - zapytała następnie.

- Dwadzieścia dziewczynek i dwóch chłopców - odezwała się Matka Wang. - Zastanawiam się, proszę pani, dlaczego nie kupiła pani chłopca dla panicza.

- Ojciec mojego syna chciał dziewczynkę - odparła madame Ezra. - Wydaje mi się, że polubił Peonię, bo miała takie duże oczy. Byłaś bardzo chuda, moje dziecko. Pamiętam, że tak jadłaś, aż się baliśmy, czy ci to nie zaszkodzi.

Niesiona wysoko w lektyce rojną ulicą, Peonia zastanawiała się nad swoim losem. Poza tymi, którzy zamieszkiwali w domu Ezry, nie znała nikogo, nie miała przyjaciół. Wszyscy byli jej obcy, jak ci przechodnie na ulicy. Peonii łzy napłynęły do oczu.

Dokąd miałyby się udać, by szukać przyjaciół albo krewnych?

Dlatego musi zostać tu, gdzie jest, w jedynym domu, jaki zna.

Nie mam nikogo bliskiego, stwierdziła ze smutkiem.

A potem zaprzeczyła temu bez cienia obłudy. Okłamuje samą siebie. Chciała zostać w domu Ezry, ponieważ nigdy by nie zniosła rozstania z Dawidem. W myślach nazywała go „Dawidem” i to się nigdy nie zmieni, chociaż nauczyła się zwracać do niego „paniczu”.

Kocham go, pomyślała. Nie odejdę bez względu na to, co by mi w zamian zaproponowano.

Solennie to sobie przyrzekła. I ogarnął ją błogi spokój.

Wiedziała już, czego chce, i jaki cel jej przyświeca. Teraz pozostała tylko kwestia, jak to zdobyć i utrzymać.

Dom rabina znajdował się obok synagogi przy ulicy Usuniętego Ściegna. Nazwę tę nadano dawno temu z uwagi na osobliwy zwyczaj Żydów pozbawiania mięsa ścięgien przed jego przyrządzeniem. Chińczycy nazywali synagogę Świątynią Obcego Boga, a Żydzi - Domem Bożym. Kiedyś przechodniów intrygowały śpiewy, dochodzące ze środka. Z upływem lat śpiewy prawie ustały i jedynym odgłosem, dobiegającym z synagogi raz na siedem dni, było przeciągłe, monotonne zawodzenie. Ale i ono stawało się coraz cichsze i teraz trzeba było przystawać i nasłuchiwać, żeby wyłować jakieś dźwięki zza zamkniętych drzwi. Sam budynek z wolna popadał w ruinę. Każdego lata tajfuny nadwierały belki i okapy, a cegiel, które się wykruszyły, nie zastępowano nowymi.

Tak samo niszczał dom rabina, stojący w pobliżu synagogi.

Mech rósł między płytami dziedzińca, przez który właśnie szły madame Ezra i Peonia, podczas gdy lektyki postawiono przed bramą. Starego Wanga wysłano wcześniej, by uprzedził rabina o wizycie madame Ezra, i teraz czekał na swoją panią w drzwiach saloniku dla gości.

- Nauczyciel spał, proszę pani - wyjaśnił. - Panienska, jego córka, krzątała się w kuchni, ale zaraz pobiegła, żeby uczesać włosy i się przebrać. Mam w jej imieniu poprosić, by się pani rozgościła. Lada moment przyjdzie ze swoim ojcem.

Madame Ezra pochyliła głowę i przekroczywszy zbutwiały próg, weszła do saloniku. Nazywano go salonikiem, chociaż był to tylko mały, zwyczajnie umeblowany pokój. Ale było w nim czysto, a Lea umieściła kilka pachnących lilii w brązowym dzbanie na stole. W tym domu nie podawano herbaty, bo był to chiński zwyczaj. Madame Ezra usiadła i wskazała Peonii taboret.

- Usiądź, moje dziecko - powiedziała. - Nie musisz stać, kiedy jesteśmy same. A ty - popatrzyła na Starego Wanga możesz wrócić do domu do swoich zajęć.

Stary Wang się uklonił i wyszedł. Ponieważ madame Ezra się nie odzywała, Peonia też milczała. Młoda dziewczyna przysiadła wdzięcznie wyprostowana na drewnianym taborecie, drobne dłonie położywszy na kolanach. Doskonale wiedziała, jak swobodnie siedzieć, czekając z miłą i pokorną miną na twarzy. W jej zachowaniu nie było zniecierpliwienia ani nerwowości. Kiedy kilka minut później usłyszały szuranie nóg, wstała i zajęła miejsce za krzesłem, na którym siedziała madame Ezra.

Wisząca w drzwiach spłowiała zasłona z niebieskiego płótna poruszyła się i do pokoju weszła Lea, prowadząc swego ojca, starego rabina. W prawej dłoni trzymał długą laskę, lewą wspierał się na ramieniu córki. Rabin w młodości był wysoki, znacznie wyższy niż przeciętni mężczyźni, i nadal imponował wzrostem, chociaż na stare lata się garbił. Dziś, tak jak zawsze, miał na sobie tradycyjne żydowskie szaty, wprawdzie połatane, ale czyste. Jego długa broda była śnieżnobiała, a twarz - mimo zmarszczek - jasna i bez skazy.

- Moja córko - rabin powitał madame Ezra.

- Obudziłam cię, rabbi... - Madame Ezra wstała i podeszła do starca, a on szybko i delikatnie dotknął najpierw jej ręki, a potem głowy w geście błogosławieństwa. Lea podprowadziła go do krzesła naprzeciwko tego, które zajmowała madame Ezra.

- Proszę spocząć, ciotko - zwróciła się do niej Lea i kiedy madame Ezra usiadła, przysunęła wysoki taboret do krzesła ojca. Potem z wahaniem spojrzała na Peonię.

- Czy... Czy usiądziesz? - spytała.

Peonia wdzięcznie pokręciła głową. - - Dziękuję, panienko, muszę być gotowa, żeby służyć swojej pani - odparła cicho.

Lea usiadła. Nic nie mogło dobitniej świadczyć o zmianie, jaka zaszła od czasów ich dzieciństwa, kiedy ona i Peonia były małymi dziewczynkami bawiącymi się z Dawidem. Teraz jedna z nich była służącą, a druga - młodą gospodynią w domu swego ojca.

- Powinienem był wstać dawno temu - powiedział rabin głosem zdumiewająco silnym jak na swój wiek. - Ale prawda jest taka, moja córko, że obchody święta Pesach obudziły we mnie bolesne wspomnienia i leżałem w nocy, nie mogąc zasnąć, pogrążony w smutku. Te biedne oczy... - Dotknął swych ślepych oczu. - Nadal mogą płakać, chociaż już nie widzą.

Madame Ezra westchnęła.

- Czyż nie płaczemy wszyscy na naszym wygnaniu?

- Starzeję się - ciągnął rabin - a mój syn jest za młody, żeby mnie zastąpić. Gdzie jest Aron, Leo?

- Poszedł gdzieś z samego rana, ojczcie, i jeszcze nie wrócił - wyjaśniła Lea.

- Czy mówił, dokąd idzie?

- Nie, ojczcie.

- Powinnaś go była spytać - zwrócił jej uwagę rabin.

- Nie chciał mi powiedzieć, ojczcie - łagodnym tonem odparła Lea.

Przy chudym, starym ojcu uroda Lei zdawała się jeszcze bardziej olśniewająca. Promień wiosennego słońca padł na wyłożoną płytkami podłogę, tworząc kwadrat światła, który podkreślał wszystkie powaby dziewczyny. Była szczupła, ale tam gdzie trzeba zaokrąglona. Miała wyraziste rysy, kręcone włosy, pełne czerwone usta, ciemne brwi oraz idealnego kształtu ciemnobrązowe oczy, które okalały długie, wywinięte rzęsy.

Pewna nieśmiałość sprawiała, że zachowała niemal dziecięcą skromność. Tego ranka włosy związała nisko na karku wąską wstążką z czerwonego atłasu. Jej suknia z szorstkiego, białego płótna, sięgająca do samej podłogi, w pasie przewiązana szeroką taśmą z takiego samego atłasu, co wstążka we włosach, przypominała prostą tunikę. Krótkie rękawy ukazywały mlecznobiałe ramiona.

Peonia ukradkiem przyglądała się Lei z uznaniem i zachwytem. W głowie młodej niewolnicy zrodziły się teraz pytania, dotyczące tej ślicznej cudzoziemki, na które nie знаła odpowiedzi. Kiedy - albo, jeśli - Lea zamieszka w domu Ezry jako żona Dawida, czy okaże się wystarczająco przenikliwa, żeby dostrzec wszystko, co się dzieje pod jego dachem? Czy będzie protestowała i mnożyła zakazy, czy sprawi, że Dawid znów odda się marzeniom, wspólnym dla wyznawców ich wiary?

- Aron nie powinien nigdzie wychodzić, nie powiedziawszy ci, dokąd się udaje, rabbi - zauważyła madame Ezra.

- Jest jeszcze taki młody... - Rabin westchnął.

- Ale nie za młody, by nie pamiętać o swoich obowiązkach - oświadczyła z mocą. - Jest jedyną osobą, która cię kiedyś zastąpi, rabbi, i musi mieć na uwadze swoje przyszłe obowiązki wobec członków naszej gminy. Jeśli zawiedzie, nie zostanie nikt, kto by nas zaprowadził do naszego prawdziwego domu, kiedy nadejdzie pora.

- Och, oby to nastąpiło za mojego życia! - powiedział smętnie rabin.

- Musimy być gotowi na tę chwilę, nawet jeśli nie spełni się twoje pragnienie, rabbi. - Głos madame Ezra przybrał żarliwy ton. - Synagogę należy odremontować, rabbi, powinniśmy też na nowo rozbudzić wiarę u tych braci i siostr, którzy jeszcze są wśród nas. Bo teraz dorośli zapominają o swoim dziedzictwie, a młodzi w ogóle go nie znają.

Powinieneś powierzyć Aronowi zadanie zbierania pieniędzy na remont synagogi. Obiecuję, rabbi, że sama na dobry początek dam pięćset sztuk srebra.

- Och, gdyby wszyscy członkowie naszej gminy byli tacy jak ty - rzekł stary rabin. - Ale to dobry pomysł, prawda, Leo? Aron mógłby się tym zająć, miałby coś do roboty.

- Tak, ojciec - zgodziła się z nim Lea, ale bez przekonania. Spojrzała na jasną plamę światła u swych stóp.

Co za dziwni cudzoziemcy, myślała Peonia. Ten urodziwy starzec, ta piękna dziewczyna, nawet stateczna madame Ezra. Jakby płonął w nich jakiś ogień! Dlaczego oczy im błyszczą, mają takie skupione miny i mówią z takim przejęciem? Jakby ogarnięci jakąś wspólną pasją, dla niej niepojętą. Wzrok Peonii padł na ręce Lei, które dziewczyna położyła na kolanach.

Przypominały ręce chłopaka, mocne i chropowate, o prostych palcach. Peonia spojrzała na swoje drobne dłonie spoczywające na oparciu krzesła madame Ezra - miękkie, małe, o zwężających się palcach, jak powinny wyglądać dłonie dziewczyny.

Lea miała takie same ręce, jak madame Ezra, z tą różnicą, że ręce jej pani nie były spracowane. Madame Ezra miała wypielęgnowane, pulchne dłonie, kciuki i palce wskazujące obu rąk zdobiły pierścienie. Lea nie nosiła pierścionków.

- Ale nie przyszedłam tutaj rozmawiać o synagodze - powiedziała madame Ezra.

Rabin przechylił siwą głowę. Spod małej czarnej jarmułki wymykały się kręcone włosy.

- A o czym, moja córko? - zapytał grzecznie.

- Nie wiem, czy Lea powinna zostać, czy wyjść, kiedy będę mówiła... - madame Ezra zawahała się, spoglądając łaskawie na dziewczynę.

Lea wstała.

- Pójdę sobie.

- Nie - postanowiła nagle madame Ezra. - Dlaczego miałabyś wyjść? Nie jesteś dzieckiem, a my nie jesteśmy Chińczykami. Możemy przy tobie mówić o twoim małżeństwie.

Lea z ociąganiem usiadła. Peonia spoglądała na nią spod rzęs.

Na dźwięk słowa „małżeństwo” długą szyję i ramiona Lei zalał ciemny rumieniec, by po chwili okryć całą twarz, aż po same cebulki włosów. Na ten widok Peonia poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy, a serce zaczyna walić wolno i głośno. Rozmowa będzie się toczyła w jej obecności, bo któż by się przejmował tym, co czuje niewolnica? Madame Ezra w swej przebiegłości mogła nawet uznać, że lepiej, jeśli Peonia usłyszy o małżeństwie

Dawida. Dziewczyna nisko spuściła głowę i stała niczym marmurowy posąg, ręce zacisnąwszy na oparciu krzesła madame Ezra.

- O małżeństwie - powtórzyła madame Ezra. - Pora, rabbi, porozmawiać o przyszłości naszych dzieci. Mój syn już nie jest małym chłopcem.

- Lea ma dopiero osiemnaście lat - powiedział z wahaniem rabin. - Zresztą, co bym bez niej począł?

- Osiemnastoletnia dziewczyna to już kobieta - stwierdziła madame Ezra. - A ty nie możesz jej zatrzymać przy sobie na zawsze. Możemy zatrudnić uczciwą Żydówkę, żeby zamiast Lei prowadziła ci dom. Już tego przypilnuję. Nawet znam jedną, która świetnie się nada... Rachelę, córkę Eliego i tej kobiety, którą poślubił...

- Chinka - orzekł rabin z jeszcze większym wahaniem.

- Tylko w połowie - podkreśliła z mocą madame Ezra.

- Trudno teraz znaleźć służącą, w której żyłach płynęłaby jedynie nasza krew. Ja zatrudniam wyłącznie Chińczyków. Lepiej, jak jedni i drudzy nie mają ze sobą kontaktu. Ale do twojego domu naturalnie musimy zatrudnić kobietę, która zna nasze tradycje i może ci pomóc. Rachela wyznaje się na tym wystarczająco dobrze. I jest wdową.

- Poślubiła Chińczyka - skostatował żalonym tonem rabin.

- W dzisiejszych czasach musimy przynajmniej pilnować, żeby nasi synowie poślubiali Żydówki - oznajmiła madame Ezra. - Dlatego chcę, żeby mój syn jak najszybciej się ożenił. Leo, musisz mi pomóc!

Lea wyraźnie się spłoszyła.

- Jak mogę ci pomóc, ciotko? - wymamrotała.

- Musisz się do nas wprowadzić - oświadczyła madame Ezra. - To całkiem naturalne, by dziewczyna w twoim wieku, na progu kobiecości, zamieszkała ze mną, przyjaciółką swojej matki. Byłyśmy sobie bliskie jak siostry i już od dawna uważam, że powinnaś przenieść się do nas.

Przerwał im jakiś hałas od strony drzwi. Aron wpadł z impetem do saloniku i zatrzymał się zmieszany, bo nie spodziewał się gości. Zachichotał zawstydzony.

- Aronie! - szepnęła Lea również zawstydzona.

- Mój syn! - zakrzyknął rabin. - Jak dobrze, że jesteś! Wreszcie możemy z tobą porozmawiać. Aronie, mój synu, usiądź tutaj, koło mnie.

Rabin próbował wymacać ręką krzesło, ale Aron nie ruszył się z miejsca. Zdjął turban i otarł spocone czoło. Lea wstała, przysunęła krzesło do ojca, po czym dała znak bratu. Usiadł, starając się opanować szybki oddech.

- Dlaczego biegłeś? - spytał rabin.

- Bo tak mi się podobało - odparł obrażonym tonem Aron. Był drobnym, bladym młodzieńcem, miał małe, blisko siebie osadzone czarne oczka, cienki, haczykowany nos i kręcone czarne włosy, teraz zmierzwiłone.

Madame Ezra patrzyła na niego z niesmakiem.

- Nie tak powinien się prezentować syn rabina - oświadczyła majestatycznie. - Wyglądasz jak jakiś prostak.

Aron nic nie powiedział, jedynie obrzucił ją przenikliwym, poirytowanym spojrzeniem, nie kryjąc niechęci.

- Aronie! - upomniała go Lea.

- Bądź cicho! - syknął z wściekłością.

- Mój synu, nie przywitasz się z naszymi gośćmi? - spytał rabin.

- Kontynuujmy naszą rozmowę - zaproponowała madame Ezra.

- Tak, tak - mruknął rabin. - Aronie, madame Ezra chce, żeby Lea zamieszkała u niej na jakiś czas.

- A kto będzie nam prowadził dom? - spytał obcesowo Aron.

- Rachela - wyjaśniła madame Ezra.

- Będziesz miał coś przeciwko temu, jeśli się wyprowadzę, Aronie? - zapytała go na poły nieśmiało Lea.

- A dlaczego miałbym mieć coś przeciwko temu? Rób, co chcesz. - Rozglądał się po pokoju, aż jego wzrok padł na milczącą Peonię. Poczula na sobie jego bezceremonialne spojrzenie, stojąc z oczami wbitymi w podłogę.

Zauważyła to madame Ezra i ogarnął ją gniew. Podniosła się i stanęła między nimi.

- A więc postanowione, rabbi. Leo, możesz wprowadzić się do nas jutro. Przyślę po ciebie lektykę, a Racheli każę przyjść skoro świt, żebyś jej mogła powiedzieć, moje dziecko, co będzie należało do jej obowiązków. Nie mów Racheli, ile czasu poprowadzi dom rabinowi... Może cię zatrzymam u siebie na dłużej.

Madame Ezra, uśmiechając się, skinęła dziewczynie głową.

Lea zerwała się ze swojego miejsca, kiedy ich gość wstał z krzesła.

Madame Ezra ukloniła się na pożegnanie rabinowi i wyszła z pokoju, nie spojrzawszy na Arona. Rabin też wstał, oparł się na ramieniu syna i odprowadził madame Ezra do samej bramy.

Lea kroczyła z drugiej strony ojca, a Peonia pobiegła przodem, żeby wydać polecenia kulisom.

Po powrocie do domu Peonia zauważyła, że jej pani jest z czegoś niezadowolona. Była dziwnie milcząca, kiedy szła do swoich komnat. Nakazała, by przygotować dla Lei mały pawilon, wychodzący na wschodni dziedziniec. Peonia się oddaliła, aby wykonać polecenie swojej pani, ale usłyszała, jak madame Ezra znów ją woła.

- Młode dziewczyny obdarzone są intuicją - zwróciła się do Peonii. - Przygotuj te dwa pokoje tak, by przypadły do gustu Lei. Ozdób je takimi zwojami i kwiatami w wazonach, które według ciebie sprawią jej przyjemność.

- Ależ proszę pani, skąd mam wiedzieć, co się najbardziej spodoba młodej cudzoziemce? - spytała Peonia. Niewinnie spoglądała szeroko otwartymi oczami, kiedy madame Ezra utkwiała w niej wzrok.

- Spróbuj sobie wyobrazić - powiedziała cierpko madame Ezra i niewinna minka zniknęła z twarzy Peonii.

Po opuszczeniu komnaty swej pani Peonia przez całą minutę stała bez ruchu w porośniętym mchem podcieniu, nim ruszyła dalej, podjąwszy decyzję. Udała się do swojego pokoju, szybko zdjęła strój wyjściowy, by włożyć kaftan i spodnie z miękkiego brzoskwinioworóżowego jedwabiu. Umyła twarz i ręce w perfumowanej wodzie, znów zwinęła warkocz nad uchem i wsunęła weń ozdobną szpilkę. W drugie ucho wpięła długi kolczyk z perłą. Policzki i usta musnęła karminem, twarz leciutko posypała pudrem ryżowym. I dopiero wtedy poszła nieużywanymi podcieniami, prowadzącymi na dziedzińce, przy których mieściły się pokoje Dawida i jego ojca.

Dom zbudowano setki lat temu dla licznej i bogatej chińskiej rodziny, a kolejne pokolenia właścicieli dodawały nowe dziedzińce i pawilony, by dogadzać swym potrzebom i upodobaniom. Wiele z nich stało teraz pustych, od dawna z nich nie korzystano, ale wścibska Peonia razem z ciekawskim Dawidem dotarli do każdego zakamarka i nim minęły lata ich dzieciństwa, wszystkie one stały im się dobrze znane. Te zakątki składały się na osobną tkankę pomieszczeń, ukrytą przed oczami innych.

Ten dom był całym światem Peonii, żyła w nim ze swoim państwem, traktując ich jak swoją rodzinę, chociaż często czuła się samotna, spędzając godziny na jakimś zapomnianym, zarośniętym dziedzińcu, gdzie oddawała się marzeniom i rozmyślała.

Wiedziała jednak, że do tej pory nigdy tak naprawdę nie była sama, bo miała Dawida. Czy przebywali razem, czy nie, stale był obecny w jej marzeniach i myślach.

Kiedy szła tylko sobie znanymi korytarzami, nagle ogarnął ją lęk. Zawsze wiedziała, że pewnego dnia Dawid musi się ożenić.

Nie wierzyła jednak, by jego żona mogła ich rozdzielić. Nadal będą żyć tak samo, nikt nie zwróci uwagi na to, co ich łączy, mało kto dostrzeże ich bliskość, pochłonięty codzienną krzątaniną. Ale czy Lea na to pozwoli, gdy się tutaj wprowadzi? Czy cokolwiek się ukryje przed oczami tej cudzoziemki? Czy nie zechce mieć Dawida tylko dla siebie, czy nie postanowi zawładnąć całym jego ciałem, umysłem i duszą? Ukształtuje go na swój obraz i podobieństwo, nauczy czcić boga jego przodków. Będzie wiernie trwał przy Lei i w jego sercu nie znajdzie się miejsce dla żadnej innej kobiety. Teraz Peonia naprawdę zaczęła się bać Lei, bo uzmysłowiła sobie, że Lea jest wystarczająco silną kobietą, by całkowicie zawładnąć mężczyzną i z nikim się nim nie dzielić. Do oczu napłynęły jej łzy. Natychmiast musi iść do Dawida, znów go zdobyć, odnowić wszystkie dawne więzy. Bez chwili namysłu, zdecydowana nawet nie posłuchać madame Ezra, bezszelestnie pobiegła w swoich atłasowych pantofelkach do biblioteki, gdzie o tej porze Dawid powinien siedzieć nad książkami.

Zastała go przy biurku, książki odsunął na bok. Kiedy stanęła w drzwiach, pochylał się nad arkuszem papieru, dotykając ust pędzelkiem z wielbłądziego włosia. Nie zauważył jej, więc czekała, zaróżowiona i uśmiechnięta, aż na nią spojrzy.

Ale ponieważ się nie poruszył, roześmiała się cicho. Uniósł głowę, zamyślony, patrząc nieobecny wzrokiem. Podeszła do niego, wyjęła z rękawa białą jedwabną chusteczkę, nachyliła się i wytarła mu usta, pobrudzone tuszem.

- Ale się usmarowałaś! - mruknęła. - Spójrz tylko!

Pokazała mu plamę na chusteczce, lecz on nadal błędził myślami gdzieś daleko.

- Podpowiedz mi rym do słowa „tuberoza” - polecił.

- Koza - rzuciła figlarnie.

- Sama jesteś koza! - obruszył się. Ale odłożył pędzel.

- Co piszesz? - zainteresowała się.

- Wiersz.

Chwyliła kartkę papieru, on też ją złapał i w rezultacie przedarli ją na pół.

- Zobacz tylko, co zrobiłaś! - krzyknął ze złością. - Piąty raz to przepisuję!

- Dla swojego nauczyciela, jak przypuszczam? - spytała, po czym zaczęła czytać wiersz wysokim, słodkim głosikiem:

Nogi same mnie zaprowadziły do ogrodu,

Przesyconego zapachem kwiatów,

Nie wszystkie kwiaty się ukorzyły przed tuberoza...

- Dlaczego „tuberoza”? - zapytała. - Wydawało mi się, że powiedziałaś, iż wyglądała jak łania. Jedna dziewczyna nie może wyglądać i jak łania, i jak tuberoza.

- Właściwie nie wygląda jak tuberoza. Jest za niska. Chciałem ją porównać do orchidei, małej złotej orchidei, ale nic się nie rymuje z orchideą.

Peonia zgmiotła papier w dłoni.

- Nie ma sensu, żebyś pisał dla niej wiersze, kimkolwiek jest - oświadczyła.

- Ty mała szelmo! - krzyknął. Chwycił ją za rękę, wyrwał jej kartkę i ją wygładził.

Potem spojrzął na Peonię, bo dotarły do niego jej słowa.

- Co to ma znaczyć? - zapytał.

Po chwili milczenia powiedziała z mocą:

- Lea zamieszka u nas.

- Co takiego?

Sprawilo jej przyjemność, kiedy zobaczyła przerażenie w jego oczach. Skinęła głową.

- Wprowadza się jutro. I jest naprawdę bardzo ładna. Wcześniej nie dostrzegałam jej urody. Może Lei podarujesz swój wiersz? „Tuberoza” w sam raz pasuje do niej.

- Dlaczego się do nas wprowadza? - spytał, zagryzając dolną wargę.

- Przecież wiesz - odparła spokojnie. - Żeby za ciebie wyjść!

- Przestań się ze mną droczyć! - rozkazał. Wstał, ujął obie jej ręce i przytrzymał je mocno. - Wyznaj mi... Czy moja matka jej to powiedziała?

Peonia skinęła głową.

- Poszłam z twoją matką do domu rabina i słyszałam każde słowo. Zamierzają odbudować świątynię... Świątynię waszego cudzoziemskiego boga, a Lea ma zamieszkać u nas.

- Jeśli moja matka myśli...

- Och, osiągnie wszystko, czego zapragnie - przerwała mu Peonia. - Jest silniejsza od ciebie. Zmusi cię do poślubienia Lei!

- Nie może... Nie zgodzę się... Ojciec wstawi się za mną...

- Twój ojciec nie jest tak silny jak ona.

- Razem jej stawimy opór!

- Nie jej, tylko im - przypomniała mu triumfująco. - Lea i twoja matka są silniejsze od ciebie i twego ojca.

Poczwała dziwne pragnienie, by mu dokuczyć, by mu sprawić ból, żeby poprosił ją o pomoc. Wtedy mu pomoże. Spojrzała w jego oczy i dostrzegła w nich zwątpienie.

- Peonio, musisz mi pomóc! - szepnął.

- Lea jest śliczna - powtórzyła.

- Peonio - rzekł błagalnie. - Kocham inną. Wiesz o tym!

- Córkę Kung Chena. Jak jej na imię?

- Nawet nie znam jej imienia - jęknął.

- Ale ja znam.

Znalazł się teraz w jej mocy. Puścił ręce Peonii.

- Jak jej na imię? - zapytał.

- Słusznie chciałeś ją porównać do orchidei - oznajmiła z fałszywą skromnością. - Ma na imię Kueilan.

- Cenna Orchidea - wyszeptał. - Ach, miałem przeczucie!

- I jeśli chcesz, sama zaniosę jej twój wiersz... - zaofiarowała się Peonia. - Kiedy już go napiszesz - dodała słodkim głosem.

Otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej nowy arkusz papieru.

- Pomóż mi napisać zakończenie - polecił.

- Zrezygnujmy z kwiatów - zaproponowała. - To takie oklepane.

- Żadnych kwiatów - zgodził się gorliwie. - Co jej się spodoba zamiast nich?

- Gdybym to była ja - odparła Peonia - chciałabym przypominać komuś... temu, kogo kocham... zapach wieczornego wiatru... lub rosy o wschodzie słońca...

- Rosa o wschodzie słońca - zdecydował.

Usiadł nad kartką papieru z pędzelkiem w ręku, a ona dotknęła dłonią jego policzka.

- Kiedy będziesz pisał - powiedziała czule - ja w tym czasie zrobię to, o co mnie prosiła twoja matka.

Nie słyszał jej ani nie zauważył, że zostawiła go samego. Na progu odwróciła się. Gdy zobaczyła, jak jest pochłonięty pisaniem, zacisnęła czerwone usteczka, a jej oczy błysnęły niczym czarne diamenty. Wyszła, by przygotować pokoje dla Lei.

Jakaż była wymagająca wobec dwóch służących, które wezwała do pomocy! Nie ruszyła nawet palcem, póki dokładnie nie zamiotły podłogi, nie położyły na łóżku miękkich kołder, nie starły kurzu z czarnego rzeźbionego stolika. Dopiero wtedy odprawiła zmęczone służki, usiadła i zaczęła myśleć o Lei.

Najchętniej zostawiłaby te pomieszczenia w takim stanie, posprzątane, ale bez ozdób. Dlaczego miała przykładać rękę do ich dekoracji? Po chwili westchnęła. Miała zbyt litościwe serce, żeby się odgrywać na Lei, która była taka dobra. Ociągając się, wstała i obesła kilka pokoi w poszukiwaniu ładnych drobiazgów. Wybrała dwa wazony w kwietne wzory, puzderko z laki, parę zwojów przedstawiających ptaki w locie, pod którymi widniały wykaligrafowane wersy, bambusowy podnózek oraz doniczkę z kwitnącymi cebulkami. Zniosła to wszystko do komnat Lei i rozmieściła ze smakiem.

Skończywszy, rozejrzała się wkoło i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku zamknęła drzwi. Kiedy wyszła na dziedziniec, przystanęła i się zamyśliła. Dawid niewątpliwie już skończył pisać wiersz. Czy powinna teraz do niego wrócić, by poznać jego wolę? Znowu podążyła cicho przez dziedzińce do sali lekcyjnej Dawida i zajrzała do środka. Nie dostrzegła go tam.

- Dawidzie? - zawołała cicho, ale nikt jej nie odpowiedział. Podeszła na paluszkach do biurka. Na arkuszu papieru napisał tylko jedną linijkę.

W pąku lotosu skryła się kropla rosy.

Potem cisnął pędzel. Pomacała jego koniec - włosie z wielbłądziej sierści było suche! Dokąd Dawid się udał i gdzie spędził cały ten czas?

Rozejrzała się po pustym pokoju, pełnym książek, i wyteżywszy wszystkie zmysły, tak zazwyczaj czuła, próbowała odgadnąć odpowiedź. Wątpliwości... Dlaczego ogarnęły go wątpliwości? Pragnęła pobiec, odszukać go. Ale życie nauczyło ją być cierpliwą. Stała bez ruchu, skupiona. Po chwili ujęła w dłonie pędzel, wsunęła nań mosiężną skuwkę i odłożyła na podpórkę; przykryła pojemnik z wodą i schowała na miejsce pałeczkę tuszu. Potem wzięła arkusz papieru z niedokończonym wierszem, złożyła go ostrożnie, wsunęła pod gors kaftana, wróciła do swojego pokoju i zabrała się do wyszywania. Haftowała przez całe popołudnie. Nikt do niej nie zajrzał, chociażby po to, by spytać, czy może jest głodna lub chce jej się pić.

Pożegnawszy madame Ezra, rabin został z dziećmi na małym dziedzińcu, pozbawionym kwiatów. Lea błagalnie spojrzała na ojca, ale był ślepy i tego nie widział. Odwróciła się do swego brata.

- Aronie - szepnęła drżącym głosem.

Chłopak wpatrywał się w popękane płyty u swych stóp.

- Ty to masz szczęście! - mruknął. - Wyrwiesz się stąd!

Rabin wyteżył uwagę, ale miał nieco przytępiony słuch, więc nie zrozumiał jego słów.

- Co mówisz, mój synu? - zapytał z niepokojem.

- Że będzie nam brakowało Lei - głośno powiedział Aron.

- Jak my sobie bez niej poradzimy? - zmartwił się rabin.

Wzniósł swoje niewidzące oczy ku słońcu, którego promienie zalewały dziedziniec. - Lecz musimy się poddać woli Naszego Pana - dodał pospiesznie. Wyciągnął rękę, a Lea ujęła ją w obie dłonie. - Tak jak królowa Estera poświęciła się dla naszych braci i siostr, tak ty, moja córko, wejdiesz do rodziny Ezry.

- Przecież oni są Żydami, jak my, a Estera zamieszkała wśród pogan - zauważyła Lea.

- Jedynie tutaj, w sąsiedztwie synagogi, czuję obecność Naszego Pana - odparł rabin. Westchnął i wznosił twarz ku słońcu. - Och, gdybym tylko nie był ślepy! - wykrzyknął.

- Pozwól mi zostać z tobą! - poprosiła go Lea. Uniosła jego dłoń i położyła ją sobie na ramieniu.

- Nie, nie - szybko powiedział rabin. - Nie uskarżam się na swój los. Pan nas prowadzi. Widocznie taka jest Jego wola. Postanowił ratować rodzinę Ezry i wybrał ciebie, moja córko, na swoje narzędzie. Zaprowadź mnie teraz do mojego pokoju, żebym mógł się pomodlić i zrozumieć jego zamiary.

I pociągnął Leę za sobą. Właściwie to on prowadził ją, a nie ona jego. Wsparła głowę na ramieniu ojca. Aron stał jakiś czas, spoglądając za nimi, nim wybiegł przez bramę.

Rabin ostrożnie stawiał nogi, a kiedy trafił stopą na wysoki próg, pewnie go przekroczył.

- Moje dzieci... - rzekł.

Lea odwróciła się i zobaczyła, że jej brat nie przyszedł za nimi.

- Nie ma tutaj Arona, ojciec - łagodnie zwróciła mu uwagę.

W innej sytuacji nie powiedziała mu, że Arona znów gdzieś pognało. Zawsze się starała, by nie wybuchały konflikty między nimi, przypominając staremu ojcu, że jego syn jest jeszcze młody. Ale teraz nie mogła ukryć przed nim prawdy.

- Nie ma go?! - zdziwił się starzec. - Przecież był tu przed chwilą.

- Sam rozumiesz, że nie powinnam cię opuszczać - tłumaczyła Lea. - Kiedy mnie tu zabraknie, nigdy go nie będzie w domu i zostaniesz sam ze służącą.

- Muszę z nim przeprowadzić poważną rozmowę - oświadczył rabin. Na jego twarzy malowało się cierpienie.

- Ojciec, pozwól mi zostać... Żebym mogła się o was troszczyć - poprosiła Lea błagalnym tonem.

Ale rabin strzepnął jej dłoń ze swego ramienia. Stojąc pośrodku pokoju, uderzył laską o kamienne płyty posadzki.

- To ja ukryłem prawdę przed tobą, moje dziecko... - Z jego piersi dobył się jęk. - To ja okazałem się słaby. Wiem, jaki jest mój syn. Nie, musisz odejść. A ja wypełnię swój obowiązek.

- Ojciec, Aron jest jeszcze młody... Co chcesz zrobić?

- Mogę przekląć swego syna, tak jak Izaak przeklął Ezawa! - powiedział rabin z dziwnym uniesieniem. - Mogę go na zawsze wypędzić z domu Naszego Pana!

Lea położyła dłonie na jego ramionach.

- Och, jak mogę stąd odejść? - jęknęła.

Rabin odzyskał panowanie nad sobą. Zawahał się, odwrócił, wymacał krzesło i usiadł. Drżał, a na jego wysokim, bladym czole ukazały się kropelki potu.

- A teraz wysłuchaj mnie - rzekł. - Wypowiadam te słowa nie jako twój ojciec, a jako rabin. Oto, co nakazuję ci uczynić.

Lea stała nieruchomo, zagryzwszy czerwone usta, zacisnąwszy dłonie. Jej wielkie oczy płonęły, ale nie odzywała się. Po chwili milczenia rabin wstał, oparł się na lasce i przemówił uroczystym tonem:

- Tak powiedział Pan do swej służebnicy Lei: Idź, pamiętaj, kim jesteś! Odzyskaj dla mnie dom Ezry! Spraw, żeby sobie przypomnieli, ojciec i syn, że należą do mnie, że są potomkami tych, których uwolniłem z egipskiej niewoli, wykorzystując swego sługę Mojżesza, i poprowadziłem do Ziemi Obiecanej. Tam ci, których sobie wybrałem, zgrzeszyli przeciwko mnie. Wzięli za żony poganki i czcili obcych bożków. Więc znów się od nich odwróciłem, póki nie okazali skruchy. Ale niczego nie zapomniałem. Przyjdą do mnie, a ja ich ocalę, znów zaprowadzę do ich prawdziwego domu. Lecz jak mam to zrobić, jeśli nie rękami tych, którzy o mnie nie zapomnieli?

Twarz rabina była rozpromieniona, gdy mówił te słowa. Laska upadła na posadzkę, wyciągnął ręce przed siebie. Lea słuchała go dumnie wyprostowana, a kiedy umilkł, spuściła głowę.

- Posłucham cię - szepnęła. - Zrobię, co w mojej mocy, ojcze.

Zachwiał się. Opadł z sił i ciężko osunął się na krzesło.

- Niech się spełni wola Pana - powiedział. - Idź, moje dziecko, i się przygotuj.

Wyszła bez jednego słowa i przez cały dzień krzątała się w milczeniu. Mały domek obok synagogi zawsze był wysprzątnany tak, jak tylko ona potrafiła go wysprzątać. Ale ponownie zamiotła wszystkie kąty i przygotowała południowy posiłek.

Aron nie wrócił do domu, więc to, co było przeznaczone dla niego, postawiła w chłodnym miejscu. Ojciec i córka spożyli posiłek niemal w całkowitym milczeniu. Rabin westchnął, kiedy się dowiedział, że syna nie ma jeszcze w domu, a potem polecił jej, żeby kazała Aronowi przyjść do niego natychmiast, jak wróci. Po obiedzie rabin udał się na spoczynek. Kiedy spał, Lea umieściła swój skromny dobytek w małym, skórzanym kufrze. Potem się wykapała i umyła włosy. Ledwo skończyła toaletę, gdy usłyszała pukanie do drzwi i poszła je otworzyć. Na progu ujrzała Rachelę i jakiegoś mężczyznę, który w drewnianej skrzyni przyniósł jej rzeczy.

- Madame Ezra kazała mi tu przyjść - oznajmiła kobieta.

- Czekaliśmy na ciebie, Rachelo - powitała ją Lea. Zaprowadziła służącą do swojego pokoju. - Tutaj zamieszkaś - wyjaśniła. - W pobliżu mego ojca. Czy już jadłaś?

- Tak - odparła Rachelo. - Przyszłam wcześniej, żebyś mnie we wszystko wprowadziła, nim ugotuję wieczorny posiłek, bo madame Ezra powiedziała, że masz dziś wcześniej położyć się spać, by być gotowa jutro z samego rana, wkrótce po wschodzie słońca. Tę ostatnią noc prześpisz w swoim łóżku, a ja położę się w kuchni.

Było coś pocrzepiającego w tej silnej, tęgiej kobiecie o śniadej twarzy. Lea usiadła z nią na skraju łóżka i we wszystko ją wtajemniczyła: co jada jej ojciec, a czego nie bierze do ust, i że nie lubi, by ruszano jego rzeczy na stole, i jak często trzeba mu przynosić gorącą wodę do mycia, jak dbać o jego włosy i brodę.

Potem jeszcze powiedziała Rachelo o sprzątaniu synagogi, wycieraniu kurzu z tablic i świętej skrzyni, i o aksamitnych zasłonkach, które były stare i należało się z nimi delikatnie obchodzić. Na koniec wspomniała o Aronie.

- Nie jest dobrym synem - wyznała ze smutkiem. - Lepiej na nim nie polegać.

- Zostaw to mnie! - oświadczyła z mocą Rachelo.

- Będiesz dla niego lepsza niż ja...

- Jestem starsza. - Rachelo pochyliła się lekko, złożonywszy pulchne ręce na kolanach. - Moja ty biedna owieczko, prowadzona na rzeź... - westchnęła i pokiwała głową.

Lea wpatrywała się w nią, nie rozumiejąc jej słów.

- Przecież to mili ludzie - zauważyła. - Bardzo często ich odwiedzałam, kiedy Dawid i ja byliśmy dziećmi. - Mimo woli zapłonila się i wybuchnęła śmiechem. - Nie mogę się sprzeciwić, kiedy mój ojciec i madame Ezra razem coś postanowią.

- Ona przemawia w imieniu mężczyzny, a on - Boga - rzuciła żartobliwie Rachelo, ale po chwili znów spoważniała. - Zapamiętaj jednak, że nie wolno ci poślubić mężczyzny, którego nie pokochasz - przestrzegła ją. - To ponad siły kobiety w takim domu jak Ezry, gdzie nie dopuszcza się obecności konkubin. Dla Chinki małżeństwo nie jest takim brzemieniem. Jeśli nie lubi swojego męża, może mu sprowadzić konkubinę, zachowując swoją pozycję w domu. Ale być żoną mężczyzny, którego się nienawidzi... To straszne!

- Dawida nie można nienawidzić - cicho powiedziała Lea i jeszcze bardziej się zapłonila.

Rachelo spojrzała na nią i się uśmiechnęła.

- Ach, w takim razie... - Nie dokończyła. - Lepiej pójdę przygotować kolację.

Tej nocy, leżąc w swoim pokoiku obok sypialni ojca, Lea długo nie mogła zasnąć. Po drugiej stronie dziedzińca był pokój jej brata. Aron nie przyszedł na wieczorny posiłek i

dopiero po północy dostrzegła migotanie płomienia świecy w pomieszczeniu naprzeciwko. Po białych kotarach jej łóżka przesuwaly się cienie, rzucane przez ażurowe kratki. Kiedy wyjrzała przez okno, zobaczyła, jak Aron krąży po swoim pokoju. Najchętniej poszłaby do niego i zapytała, gdzie był i czy nie jest głodny. Ale tej nocy czuła się tak, jakby już ich rozdzielono. Jej życie w tym domu dobiegło końca, jutro zacznie nowe gdzie indziej. Wróciła do łóżka i leżała nieruchomo, ręce wsunawszy pod głowę.

Przez chwilę próbowała myśleć o słowach ojca, że Bóg wybrał ją sobie na swoje narzędzie, ale wątpiła, czy tak jest, chociaż bardzo by chciała, żeby to okazało się prawdą. Po śmierci matki miała zbyt dużo obowiązków, by czytać Torę tak często, jak powinna. Upłynęło już tyle czasu, że nie potrafiła przywołać oblicza matki, póki nie wyrzuciła z głowy wszelkich myśli.

Dopiero wtedy miała wrażenie, że na tle szarej zasłony przeszłości widzi bladą, szczupłą twarz o dużych czarnych oczach i cienkich, smutnych ustach. Ale doskonale pamiętała to, co jej powiedziała matka, kiedy ją do siebie wezwała przed swą śmiercią.

- Opiekuj się swoim ojcem, Leo... I Aronem.
- Dobrze, matko - obiecała, nie mogąc powstrzymać szloch.
- Och, moje dziecko... - z trudem wyszeptala matka.
- Myśl o sobie, bo nikt poza tobą tego nie zrobi.

To były ostatnie słowa jej matki i Lea ani wtedy, ani teraz nie rozumiała, co miały znaczyć. Jak może się opiekować innymi, jeśli ma myśleć o sobie? Z westchnieniem odsunęła od siebie pytanie, na które do tej pory nie znalazła odpowiedzi, i zaczęła rozmyślać o Dawidzie.

Sięgnęła do najstarszych wspomnień o nim. Kiedy była małą dziewczynką, mniej więcej raz w miesiącu przychodziła po nią Matka Wang i prowadziła ją do madame Ezra, która przyglądając jej się uważnie, zadawała pytania. Potem, wręczywszy jej słodycze i owoce, pozwalała iść pobawić się na dziedzińcach z Dawidem, małym, ślicznym chłopczykiem, zawsze wystrojonym, wesołym i uroczym. Kiedy o nim myślała, nieodmiennie słyszała jego śmiech. Gdziekolwiek się znalazł, powietrze wypełniał jego radosny głosik. W jej domu zawsze panował smutek, ojciec wiecznie był pochłonięty czytaniem Tory i modlitwami, Aron jęczał i niedomagał, jednocześnie uzależniony od Lei i dla niej okrutny. A do tego zawsze żyli w biedzie. Musiała łątać i cerować odzież, na wszystkim oszczędzać, nauczyć się gotować. Kiedy była dzieckiem, mieli służącą. Ale Lea miała nie więcej niż dwanaście lat, gdy kobieta odeszła, i od tamtej pory wszystkie obowiązki spadły na nią, jeśli

nie liczyć starego, głuchoniemego Chińczyka, który robił zakupy, uprawiał ogródek warzywny na tylnym dziedzińcu i wynosił śmieci.

Dom Ezry był więc jedynym radosnym miejscem jej dzieciństwa i mogła się tylko cieszyć, że zgodnie z wolą Boga i swego ojca miała teraz w nim zamieszkać. Ale często będą odwiedzała ojca, obiecała sobie, i postaram się, żeby życie tutaj stało się znacznie przyjemniejsze niż do tej pory. A jeśli rzeczywiście poślubię Dawida...

Na myśl o tym ogarniała ją dziwna nieśmiałość i pokora.

Jeśli tak się stanie, jeśli dostąpi takiego szczęścia, przez całe życie będzie dziękowała Bogu i postara się być tak dobra, żeby Dawid nigdy nie żałował, że wziął ją za żonę. Poruszy jego serce, by doprowadzić do odbudowy synagogi, by się spełniło marzenie jej ojca. Garstka Żydów, która w tym dalekim kraju powoli zapominała wiarę swych przodków, znów się skupi wokół nowej świątyni, z Dawidem na czele. Zaopiekują się Aronem, podadzą mu pomocną dłoń, może stanie się lepszy i wszystko będzie dobrze, pomyślała żarliwie.

Gdzieś w tle tego wszystkiego majaczyła postać małej Chinceczki, która ciągle kręciła się w pobliżu Dawida, ładnej dziewczynki o wielkich oczach w kształcie migdałów i małych czerwonych ustach. Z czasem wyrosła na szczupłą, jeszcze ładniejszą dziewczynę, która nalewała Dawidowi i Lei herbatę, podawała im ciasteczka i zawsze była pod ręką. Peonia, ach, Peonia! Ale Peonia, przypomniała sobie Lea, jest tylko niewolnicą.

Na krótko przed świtem Lea usnęła, z policzkiem na złożonych dłoniach, i kiedy Rachela weszła do niej cichutko, nie miała serca, żeby ją budzić. Pocziwa kobieta wróciła do kuchni, rozpałała w piecu, zagrzała wodę, wstawiła ryż, by go ugotować na śniadanie, i wbiła trzy jajka do miski.

Nie obudziła Lei, póki nie usłyszała stukania do bramy.

Kiedy ją otworzyła, ujrzała Matkę Wang, a za nią pustą lektykę.

- Wejdz, proszę, starsza siostró - powiedziała Rachela. - Wszyscy jeszcze śpią.

Matka Wang weszła do środka. Wcale nie wyglądała na służącą. Miała na sobie ciemnoniebieską suknię i spodnie z ręcznie tkanego jedwabiu, w uszach złote kolczyki, a na środkowych palcach dłoni - złote pierścionki. Czarne błyszczące włosy upięła w ścisły węzeł, przytrzymywany czarną jedwabną siateczką. Wyskubała i poczerniła sobie brwi, a policzki tak wyszorowała, że wciąż były czerwone.

- Śpią?! - zdziwiła się.

Znała Rachelę, były bardzo dobrymi przyjaciółkami. Obie kobiety cieszyły się szacunkiem w domach, w których służyły.

Obie przede wszystkim słuchały się madame Ezra. Rachela dlatego, że madame Ezra zawsze ją wspomagała, kiedy mąż Racheli był chory albo nie miał pracy, a Matka Wang - ponieważ wiedziała, że w domu Ezry rządzi madame Ezra.

- Rabin jest stary - wyjaśniła Rachela - a młody panicz wrócił dopiero po północy. Biedna Lea niewątpliwie...

Matka Wang uniosła czarne brwi.

- Biedna? - zapytała. - Ma szczęście, że zamieszka w naszym domu.

- Naturalnie, naturalnie - powiedziała pojednawczo Rachela. - Wejdz i napij się herbaty, starsza siostrze. Zaraz obudzę Leę.

- Ja to zrobię - oznajmiła Matka Wang głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Ty zajmij się mężczyznami. Lepiej się pospieszmy na wypadek, gdyby dziś przybyła karawana. Kiedy wychodziłam, odzwierny mi szepnął, że o drugiej w nocy pojawił się w naszym domu posłaniec z wiadomością, że karawana dotarła do wioski Trzech Dzwonów. Ale nic nie mów młodej panience. Nasza pani nie chce, żeby się denerwowała.

- Naprawdę przyjeżdża karawana?! - wykrzyknęła Rachela. - Jaka jesteś szczęśliwa, starsza siostrze, że służyysz w tamtym domu!

- Owszem, pod pewnymi względami - odparła Matka Wang. - Pod innymi zaś... No, wracajmy do naszych obowiązków! - Wzruszyła ramionami.

Rachela skinęła głową i zaprowadziła ją do pokoju Lei.

Kiedy więc Lea otworzyła oczy, ze zdumieniem ujrzała urodziwą, zaróżowioną twarz Matki Wang. Na poły zaspana drgnęła.

- Przecież... Przecież wciąż jestem w swoim pokoju...

- Proszę wstać, panienko - poleciła energicznie Matka Wang. - Przysłano mnie po panienkę.

Lea usiadła i odgarnęła z twarzy długie włosy.

- Och! Och! - szepnęła z rozpaczą. - żeby zasnąć w taki dzień!

- Nic nie szkodzi - uspokoiła ją Matka Wang. - Włóż coś na siebie, panienko, i chodź. Nasza pani już przygotowała dla panienki nowe stroje. Nie musi panienka niczego ze sobą zabierać.

- Ale już spakowałam kufer. Jestem gotowa! - wykrzyknęła Lea.

Szybko wstała z łóżka i nieśmiało spojrzała na Matkę Wang. Jeszcze nigdy w życiu nie rozbierała się w czyjejś obecności i teraz też nie potrafiła się na to zdobyć. Ale Matka Wang nic sobie nie robiła z jej skrępowania.

- No, no - powiedziała. - Nie ma się panienka czego wstydzić! Jeśli ma panienka zamieszkać w naszym domu, ja będę panienkę myła i ubierała, przynajmniej póki Peonia się tego nie nauczy. A nie ma panienka niczego, czego nie widziałaby taka stara kobieta jak ja.

Odwróciwszy się, więc plecami do Matki Wang, Lea się rozebrała i umyła w misce, do której wlała wodę z dzbanka.

Matka Wang cały czas jej powtarzała, żeby się pospieszyła.

- Nie musi się panienka myć tak dokładnie - popędzała ją. - Jeszcze raz panienkę umyję i natrę wonnościami, nim ją ubiorę w nowe stroje.

Potem Rachelą przyniosła miskę gorącego kleiku ryżowego, i właściwie Lea była gotowa do drogi. Ale musiała się jeszcze pożegnać. Nikt nie mógł jej w tym wyręczyć. Poszła na paluszkach do pokoju swego brata. Aron wciąż spał. Kiedy tak stała, spoglądając na niego, do oczu napłynęły jej łzy. Błada, brzydka twarz brata, słabego i jeszcze tak młodego, ujęła ją za serce. Kto go pokocha?

Nie miał w sobie nic, co dałoby się pokochać. Była zawsze wrażliwa na widok ludzi słabych i w potrzebie, więc teraz też zalała ją fala czułości. Pochyliła się i pocałowała go w policzek. Miał nieświeży oddech, a od jego brudnych włosów bił niemiły zapach.

- Och, Aronie - wyszeptła. - Co mam z tobą począć?

Otworzył małe, ciemne oczka, rozpoznał ją i zrobił nadąsaną minę.

- Nie budź mnie - mruknął.

- Opuszczam nasz dom, najdroższy bracie - powiedziała.

Leżał, niezupełnie przytomny, i gapił się na nią.

- Opiekuj się ojcem, Aronie - poprosiła go. - Bądź dla niego dobry, Aronie.

- Wrócisz do nas - wymamrotał.

- Będę was odwiedzała co kilka dni, jeśli mi pozwolą - obiecała. - I jest tutaj Rachelą.

- To dobrze. - Odwrócił się i zagrzebał w pościeli. UV Lea wyszła z jego sypialni, cicho zamknęła za sobą drzwi, po czym udała się do pokoju ojca. Rabin, który już wstał i się ubrał, pogrążony był w modlitwie.

- Ojciec - powiedziała. Odwrócił się. - Przyszli po mnie.

- Tak wcześnie? - zapytał. - Ale niech tak będzie, moje dziecko. Jesteś gotowa?

Podeszła do niego, a on dotknął jej twarzy, ramion, włosów i sukni. Jego wyczułone palce mówiły mu, jak wygląda Lea.

- Tak, jesteś gotowa. Jadłaś?

- Tak, ojciec. Rachelą przygotowała też śniadanie dla ciebie.

Zawahała się, a potem przytuliła głowę do jego piersi.

- Och, ojczy! - szepnęła.

Pogładził ją po włosach.

- Przecież zamieszkaż niedaleko, moje dziecko... Będziesz nas odwiedzała co kilka dni. A pomyśl, o ile lepiej tak będzie dla nas wszystkich.

Tymi słowy ją pocieszał, a ona podniosła głowę i powstrzymując łzy, które napłynęły jej do oczu, uśmiechnęła się do niego.

- Nie odprowadzaj mnie do bramy, ojczy. Rozstanę się z tobą tutaj. Zaraz przyślę do ciebie Rachełę.

Wybiegła z jego pokoju, nie oglądając się za siebie. Pożegnała się z Rachelą i wyszła przed bramę. A kiedy opuszczono zasłonki w jej lektyce, odniosła wrażenie, że wybiera się w daleką podróż, z której być może nie wróci.

Peonia czekała na nią na pierwszym dziedzińcu zgodnie z poleceniem madame Ezra, przekazany przez Matkę Wang.

- Czy mam być pokojówką tej cudzoziemki? - spytała, kiedy wczesnym rankiem usłyszała to polecenie. Spojrzała na Matkę Wang oczami wielkimi ze zdumienia.

Kobieta podeszła na tyle blisko, by przytknąć dziewczynę w policzek. Jej ostre paznokcie zostawiły malutki ślad.

- Gdybyś miała w tej swojej głowie odrobinę oleju, nie pytałabyś, co będziesz robić, a czego nie - poradziła jej Matka Wang. - Gdybym zadawała takie pytania, nie byłoby mnie dziś w tym domu. Bądź posłuszna... i rób, co chcesz. Obie te rzeczy można pogodzić, jeśli się ma odrobinę sprytu. A teraz pospiesz się! Wkrótce do miasta przybędzie karawana. Nasz pan wyszedł przed świtem na jej spotkanie.

- Karawana?! - wykrzyknęła Peonia.

- Tak, tak - powiedziała ze zniecierpliwieniem Matka Wang. - Ale Lea ma o tym nie wiedzieć. Tak zarządziła nasza pani.

Kiedy weszła do niej Matka Wang, Peonia akurat się cesała. Po jej wyjściu skończyła zaplatać długi warkocz.

Ogarnęło ją podniecenie, gdy się dowiedziała o przyjeździe karawany. Ale równie szybko jej minęło. Co powiedziała Matka Wang? „Bądź posłuszna... i rób, co chcesz. Obie te rzeczy można pogodzić, jeśli się ma odrobinę sprytu”. Dziwne słowa, i takie wieloznaczne! Zastanowiła się nad nimi i ich sens zaczął wsiąkać jak cenny balsam w głąb jej duszy. Nagle uśmiechnęła się do siebie, aż na jej policzkach pojawiły się dołeczki.

Zamiast upiąć warkocz nad uchem, pozwoliła, żeby opadał jej na plecy. A w czerwoną tasiemkę, którą związała włosy na karku, wsunęła białą gardenię. Na dziedzińcu rósł stary

krzew i o tej porze roku każdego ranka obsypany był licznymi kwiatami. Peonia postanowiła włożyć kaftan i spodnie z jasnoniebieskiego jedwabiu. Kiedy czekała na Leę, wyglądała delikatnie i skromnie. I właśnie jej twarz zobaczyła Lea, gdy uniesiono zasłony lektyki. Prawdę mówiąc, uniosła je sama Peonia i z uśmiechem popatrzyła Lei prosto w oczy.

- Witam, panienko - powiedziała. - Czy zechciałaby panienka wysiąść z lektyki? - Podała Lei ramię, żeby mogła się na nim wesprzeć, ale Lea wysiadła bez jej pomocy. Była o głowę wyższa od Peonii i nie odezwała się, jedynie uśmiechem odpowiadając na uśmiech młodej Chinki.

- Czy jadła już panienka? - spytała Peonia, idąc za nią.

- Tak, ale już zgłodniałam - przyznała szczerze Lea.

- To ten ranek tak na wszystkich działa - zauważyła Peonia. - Powietrze jest suche. Przyniosę panience coś do jedzenia, jak tylko zaprowadzę panienkę do jej pokoi. Sama je wczoraj przygotowałam. Przyniosę też kilka świeżych gardenii. Nie wolno ich wcześniej zrywać, bo brzegi płatków by zbrązowiały.

Obie były wyraźnie świadome, że stosunki między nimi uległy zasadniczej zmianie, toteż starały się zachowywać odpowiednio do nowej sytuacji. Matka Wang poszła powiadomić madame Ezra, że przyjechała Lea, więc Peonia sama prowadziła Leę do jej pokoi.

- Czy cały ten dziedziniec będę miała dla siebie? - spytała ze zdumieniem Lea, gdy Peonia przystanęła. Komnaty były znacznie ładniejsze od tych, w jakich kiedykolwiek mieszkała.

Przypomniało jej się, że jako dziecko widywała w nich babkę Dawida, starszą panią, zapalającą świece o zmierzchu.

- Są tu tylko dwa pomieszczenia - wyjaśniła Peonia.

- Jedno do spania, a w drugim będzie mogła panienka przebywać w ciągu dnia, jeśli zapragnie panienka chwili samotności.

Do pawilonu wszedł służący, niosąc kufer Lei. Kiedy się oddalił, Peonia pokazała stroje, które madame Ezra nosiła w młodości. Były to proste, obszerne i długie suknie: szkarłatna ze złotym obszyciem, ciemnoniebieska ze srebrnym obramowaniem i żółta, wykończona szmaragdowozieloną lamówką.

- Dziś ma panienka włożyć tę szkarłatną - powiedziała Peonia. - Ale najpierw musi panienka zjeść, potem się wykapać i namaścić wonnościami. A tu jest biżuteria. Moja pani mówi, żeby panienka nie siedziała tutaj sama, tylko przechadzała się po dziedzińcach i korzystała ze wszystkich pomieszczeń domu.

- Jaka ona jest łaskawa! - wykrzyknęła Lea i się zawstydziła. - Wątpię, czy będę potrafiła zachowywać się tu swobodnie - zwierzyła się Peonii.

- Dlaczego nie? - rzuciła na poły bez troski Peonia.

- Nikt tutaj panienki nie skrzywdzi. - Mówiąc to, otworzyła szkatułkę z czerwonej laki, stojącą na toalecie, i Lea zobaczyła złote i srebrne ozdoby wysadzone drogiemi kamieniami.

Uniosła wzrok znad stołu, przy którym siedziała, i ujrzała roześmiane oczy Peonii.

- Chodzi o małżeństwo, prawda? - spytała Peonia lekkim tonem. - Zdaje się, że nasza pani postanowiła wydać panienkę za naszego panicza.

Twarz Lei drgnęła.

- Takiej rzeczy nie można postanowić - oświadczyła bez wahania.

- Jak to nie? - śmiało zapytała Peonia. - Czy nie każde małżeństwo jest zaaranżowane?

- Nie wśród nas - z wyższością odparła Lea.

Odwróciła wzrok i znów sobie przypomniała, że ta ładna Chincezka jest tylko niewolnicą. Było czymś niestosownym dyskutować z nią o małżeństwie. Prawdę mówiąc i dla niej było to jeszcze czymś tak odległym i wzniosłym, że nie potrafiła o tym spokojnie myśleć.

- Chciałabym teraz coś zjeść, jeśli można - oznajmiła Lea zimnym, zdecydowanym tonem. - Potem sama się ubiorę... Jestem do tego przyzwyczajona. Proszę przekazać Matce Wang, że dziękuję jej za pomoc... Tobie też.

Peonia, słysząc ten ton głosu, doskonale zrozumiała, co się dzieje w umyśle Lei. Pochyliła głowę i się uśmiechnęła.

- Dobrze, panienko - powiedziała słodkim i potulnym głosikiem, odwróciła się i wyszła.

Kilka minut później służąca przyniosła jedzenie, które Lea spożyła samotnie. Kiedy skończyła, służąca zabrała tacę, a Lea sama wyszczotkowała sobie włosy, znów się umyła i włożyła szkarłatną suknię. Ale nie wyperfumowała się i nie wzięła ze szkatułki żadnych klejnotów. Gdy uznała, że jest gotowa, usiadła w drugim pokoju.

Peonia poszła do siebie i przez kilka minut płakała, myśląc o urodzie Lei. Przejrzała się w lustrze na toalecie i stwierdziła, że cały jej wdzięk jest bez znaczenia. Była drobniutka, lekka jak ptaszek i chociaż miała okrągłą buzię, była filigranową dziewczyną. Lea wyglądała jak księżniczka, a ona - jak dziecko. Lecz nie potrafiła nienawidzić Lei. Ta Żydówka miała w sobie coś majestatycznego i dobrego, a Peonia wiedziała, że sama nie jest ani majestatyczna, ani zbyt dobra. Jak mogłaby być dobra, nawet gdyby chciała, skoro wszystko musiała zdobywać sztuczkami i podstępem?

Mogę liczyć tylko na siebie, pomyślała smutno.

Zamknęła lustro na toaletce, położyła głowę na stole i rozplakała się na cały głos. W końcu zabrakło jej łez. Ale jej umysł, odświeżony i oczyszczony przez łzy, zaczął gorączkowo pracować.

Nigdy nie mogłabyś zostać żoną Dawida, powiedziała sobie z bezwzględna szczerością. Nie łudź się marzeniami ani nie daj się ponieść fantazji. Nawet nie możesz być konkubina, bo zabrania tego ich bóg. Ale nikt nie zna Dawida lepiej od ciebie. Należysz do niego. Nie pozwól mu nigdy o tym zapomnieć. Postaraj się, żeby u ciebie szukał pocieszenia, żeby nie mógł się bez ciebie obejść, żeby potrzebował twoich rad i twojej obecności.

Słuchając tych wypowiedzianych w duchu słów, uniosła głowę i na jej ustach pojawił się uśmiech. Otworzyła lustro, upięła włosy nad uchem, przyjrzała się uważnie swemu odbiciu. Po chwili intensywnego wpatrywania się w swoją twarz zmieniła jasnoniebieski strój na brzoskwińoworóżowy, a we włosy wpięła świeżą gardenię. Potem zerwała kilka kwiatów dla Lei i znów poszła do niej. Musiała zmobilizować wszystkie siły, żeby nie okazać niepokoju na widok urody Lei. Szkarłatna suknia całkiem dobrze na niej leżała, szczupłą kibić opinał złoty pas.

- Jak ślicznie panienka wygląda! - powiedziała Peonia, uśmiechając się do Lei jakby z zachwytem, kiedy wręczała jej kwiaty. - To dla panienki. Pójdę i oznajmię naszej pani, że jest panienka gotowa.

Pobiegła na swoich małych stopkach, jakby wszystko, co robiła dla Lei, sprawiało jej czystą przyjemność. Kiedy znalazła się na dziedzińcu madame Ezra, stanęła pod drzwiami i chrząknęła cichutko, starając się nie rozplakać.

- Wejdz - rozległ się głos jej pani.

Madame Ezra zjadła już śniadanie i teraz szykowała się do Porannego obchodu domu, a szczególnie kuchni, żeby sprawdzić, czy cała służba wykonuje swoje obowiązki i czy nic nie zostanie do zrobienia na jutro, w szabas, który jest dniem odpoczynku.

Dziś rano Matka Wang obudziła ją wiadomością, że karawana jest już tak blisko, że może dotrzeć do miasta przed końcem dnia.

- W przeddzień szabasu! - wykrzyknęła madame Ezra, a po chwili dodała: - Nie mów nic Lei. Niech nic jej nie rozprasza przed tym, co muszę jej powiedzieć.

- Dobrze, proszę pani - wymamrotała Matka Wang.

Madame Ezra właśnie zamierzała wyjść ze swojego pokoju? by sprawdzić, czy służba, przejęta wiadomością o karawanie, nie zaniedbuje przygotowań do szabasu, kiedy przybiegła Peonia. Dziewczyna powściągnęła łzy i przybrała obojętną minę. Madame Ezra znów usiadła.

- Wejdz, moje dziecko - powiedziała z lekkim zniecierpliwieniem.

Peonia weszła do saloniku. Pokój ten różnił się od pozostałych pomieszczeń domu. Ściany obwieszono pasiastymi tkaninami z dalekich krajów i wyszytymi na atłasie tekstami. Meble też były cudzoziemskie, ciężkie, rzeźbione, a krzesła - wyściełane. Brakowało tutaj przestrzeni, niezbędnej chińskiej damie dla zachowania spokoju duszy i jasności umysłu. Ale madame Ezra czuła się dobrze w otoczeniu tych licznych skarbów, i chociaż Peonia z całego serca nie lubiła tego pokoju, musiała przyznać, że jest w nim coś pięknego. Gdyby był mniejszy, naprawdę wyglądałby okropnie. Ale komnata była bardzo obszerna, bo madame Ezra, kiedy tu zamieszkała po ślubie, kazała usunąć dwa przepierzenia i z trzech pomieszczeń zrobiła jedno.

- Panienka jest gotowa, proszę pani - oznajmiła Peonia.

- Gdzie jest mój syn? - zapytała madame Ezra.

- Jeszcze spał, kiedy ostatni raz zajrzałam do jego pokoju.

Nie widziała Dawida poprzedniego wieczoru. Sama była sobie winna, bo nie poszła do niego wieczorem, jak to miała w zwyczaju, żeby przynieść mu herbatę i sprawdzić, czy ma posłanie przygotowane do snu. Częściowo wynikało to z nowego polecenia madame Ezra, ale Peonia postanowiła również wystawić Dawida na próbę. Lecz nie przysłał po nią i kiedy się położyła, trochę sobie popłakała, nim usnęła. Rano, po przebudzeniu, czyniła sobie wyrzuty. Od razu poszła do jego pokoju, by zanieść mu herbatę, a gdyby już nie spał, spytać go, gdzie był i dlaczego nie dokończył wiersza, który zaczął pisać.

Ale mocno spał i się nie obudził, nawet, gdy rozsunęła kotary łóżka i patrzyła na niego. Leżał, pogrążony w głębokim śnie, z prawą ręką nad głową. Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę z czułością, nim wyszła.

- Poproś Matkę Wang, żeby go obudziła - nakazała teraz madame Ezra. - A gdzie ojciec mojego syna?

- Nie widziałam go, proszę pani - odparła Peonia. - Ale słyszałam, jak Matka Wang mówiła, że pan spodziewa się dziś przyjazdu karawany, więc udał się wcześniej do bram miasta, by tam na nią czekać.

- Dziś przyjeżdża karawana! - wykrzyknęła madame Ezra. - No, to teraz Dawid nie będzie myślał o niczym innym.

Peonia zrobiła smutną minę, żeby sprawić przyjemność swojej pani.

- Czy Matka Wang ma go tutaj przyprowadzić, zanim przyjedzie karawana? - spytała.

- Tak - powiedziała madame Ezra. - Później zajrzę do kuchni. I poproś Leę, żeby przyszła do mnie.

Otworzyła inkrustowaną szkatułkę i wyjęła z niej robótkę.

Peonia wyszła i zaraz za drzwiami spotkała Matkę Wang.

- Masz przyprowadzić panienkę do naszej pani, a ja pójde obudzić panicza - oświadczyła, jakby powtarzała polecenie madame Ezra. - Pospiesz się, starsza siostró!

Pobiegła, ale wcale nie do pokoju Dawida, tylko do sali lekcyjnej, teraz pustej. Zbliżyła się do biurka, wzięła pędzel, zdjęła z niego skuwkę, a potem roztarła odrobinę tuszu. Wyciągnęła niedokończony przez Dawida list, który nosiła na sercu. Myślała gorączkowo, zmarszczywszy brwi, a po chwili szybko dopisała na arkuszu trzy wersy.

- Wybacz mi, Dawidzie - szepnęła.

Odłożywszy pędzel i tusz na miejsce, pobiegła do swojego Pokoju. Otworzyła tajną skrytkę w swoim biurku i wyjęła z niej sakiewkę. Trzymała w niej pieniądze, które dostawała od osób odwiedzających dom i od Ezry, który czasem rzucał jej monetę, kiedy był z niej zadowolony. Schowała sakiewkę na piersi i przemknęła podcieniami do furtki na tyłach domu - do małego, tajemnego wyjścia, jakie były we wszystkich wielkich rezydencjach, żeby w czasach, gdy wzburzeni wieśniacy szturmowali bramy frontowe siedzib bogaczy, ich mieszkańcy mogli uciec przed ich gniewem.

Następnie Peonia ruszyła cichymi alejkami, z dala od głównych ulic, aż dotarła do innej małej furtki, podobnej do tej, przez którą wyszła. Prowadziła ona na teren posiadłości rodziny Kunga.

Zapukała. Ogrodnik odsunął zasuwkę i Peonia powiedziała:

- Mam wiadomość dla państwa.

Skinął głową i brudnym palcem wskazał Peonii drogę.

W domu Kunga nikt nie wstawał z łóżka przed południem. Matka Chu, niania, kręciła się po swoim pokoju, ziewając i drapiąc się w głowę srebrną szpilką do włosów, kiedy Peonia lekko uchyliła drzwi.

- Witaj, starsza siostró! - szepnęła Peonia.

Matka Chu na całą szerokość otworzyła drzwi.

- To ty? - zdziwiła się. - Co tu robisz?

- Mam pilną sprawę - powiedziała Peonia. - Nikt nie wie, że wyszłam z domu, poza samym paniczem, który prosił, żebym to szybko przyniosła twojej panience... I zaczęła na odpowiedź.

Znała trochę ten dom, bo raz Ezra ją tu przysłał z jakimś droгим prezentem dla Kung Chena, nie chcąc zlecać tej misji zwykłemu służącemu; poznała wtedy Matkę Chu, najstarszą służącą. Na Nowy Rok Matka Chu przesłała jej życzenia, a Peonia też przysłała tutaj, by

życzyć jej wszystkiego najlepszego. Było to przyjęte między służącymi, których państwo prowadzili razem jakieś interesy. Wprawdzie madame Ezra nie przyjaźniła się z mieszkankami tego domu, ale Ezra i Kung Chen blisko ze sobą współpracowali.

- Co tu jest napisane? - spytała Matka Chu, gapiąc się na kartkę.

Stojąc pośrodku pokoju, w którym panował okropny bałagan, Peonia przeczytała na głos przyniesiony przez siebie czterowiersz.

- Rosa o wschodzie słońca - powtórzyła Matka Chu i westchnęła. - Jakie to romantyczne!

Była postawną, tęgą kobietą, która - kiedy była młoda i szczupła - pojawiła się w tym domu jako mamka, gdy państwu urodziła się trzecia córka. Została później pokojówką i piastunką dziewczynki. Miała miękkie serce i zawsze była skora do śmiechu i płaczu; całe swoje życie poświęciła ślicznej dziewczynce, którą niańczyła od niemowlęcia.

- Dam jej ten wiersz - zdecydowała teraz. - Wiem, że nie powinnam tego robić, ale trudno. Wasz panicz jest taki przystojny. Przyjrzałam mu się po tym, jak moja maleńka przybiegła do mnie, żeby mi wyznać, że go widziała. Poszłam do furki i też go zobaczyłam. Szkoda, że jest cudzoziemcem, chociaż ostatecznie cudzoziemcy są takimi samymi ludźmi jak my. Powiedziałam mojej dziecinie, że jest przystojny, jak jakiś książę... Taki wysoki, i tak prosto się trzyma! A jeśli chodzi o jego cudzoziemskie pochodzenie, może uda się go nakłonić, by został Chińczykiem. Czy bardzo ją kocha?

Peonia skinęła głową.

- Poprosił mnie, żebym ci to wręczyła. - Wyjęła sakiewkę z pieniędzmi i podała ją Matce Chu.

- O, matko! - wykrzyknęła kobieta i udała, że odtrąca podarek. - To zupełnie niepotrzebne. Wstyd by mi było to przyjąć. Przecież robię to dla... - Ale wzięła sakiewkę, kiedy Peonia ponownie wcisnęła ją do jej ręki, i zaczęła się szybko ubierać. - Osobiście jej to zaniosę i zdam ci relację, jak zareagowała. Przyjdź tu później.

Tak, więc Peonia wróciła tymi samymi alejkami do domu i udała się prosto do pokoju Dawida. Leżał na łóżku z baldachimem, wciąż pogrążony w głębokim śnie. Dotknęła dłońmi najpierw jednego jego policzka, a potem drugiego, żeby go obudzić. Wiedziała, że lepiej nie czynić tego gwałtownie, bo we śnie dusza opuszcza człowieka i wędruje po świecie. Jeśli kogoś zbyt raptownie obudzić, dusza może nie znaleźć drogi powrotnej do swego właściciela.

- Obudź się, mój paniczu! Obudź się, mój drogi paniczu - śpiewnie powtarzała Peonia.

Wkrótce Dawid otworzył oczy. Po chwili usiadł, przeciągnął się i ziewnął szeroko. Peonia cicho się z niego śmiała, obserwując, jak wolno przytomnieje. Spojrzał na nią zaspanym wzrokiem. Ciekawa była, co mu się śniło, ale nie śmiała go zapytać.

- Chodź, paniczu - poprosiła łagodnie. - Twoja matka przysłała mnie po ciebie.

- Dlaczego? - spytał.

Pochyliła się i wsunęła mu na stopy jedwabne pantofle.

Jakby nie zauważył, że nazwała go „paniczem”, a nie zwróciła się do niego po imieniu, i jakby zapomniał, że Peonia nie powinna wchodzić do jego pokoju.

- Już tu jest Lea - powiedziała jak gdyby nigdy nic.

Szybko zeskoczył z wysokiego łóżka.

- Nie! - wykrzyknął.

- Tak - odparła. Przeszła w drugi koniec pokoju i z mosiężnego, delikatnie rzeźbionego dzbanka naląła wodę do dużej, również mosiężnej miski. Podała mu ręcznik i zagraniczne, pachnące mydło.

- I tak nie posłucham matki! - zawołał.

Peonia odwróciła się i spoglądała na niego, podparłszy się pod boki. W końcu uległa podszeptom swego serca.

- Nie możesz mówić, że jej nie posłuchasz - upomniła go słodkim głosem. - Ale możesz na przykład oświadczyć, że ojciec cię poprosił, byś zaraz się z nim spotkał i zaczekał na karawanę...

- Karawana! - zakrzyknął. - Peonio, czy mnie nie okłamujesz? Naprawdę ojciec ci to powiedział?

- Odźwierny zakomunikował Matce Wang, że wkrótce po północy przybiegł umyślny do naszego pana, a ona powtórzyła to mnie - wyjaśniła. - Umyj się, zanim się ubierzesz. Każę ci tutaj przynieść śniadanie. I zaniosę tę wiadomość twojej matce.

Wyszła ze skromnie spuszczoną głową i znów pojawiła się w pokoju madame Ezra.

- Ach, proszę pani, spóźniłyśmy się - oznajmiła ze smutkiem. - Kiedy Matka Wang poszła do pokoju panicza, już go tam nie zastała. Posłałam służącego, żeby go odszukał, ale nie ma go w herbaciarni. Strażnik miejski powiedział, że godzinę temu panicz opuścił miasto, mówiąc, że udaje się do wioski Trzech Dzwonów na spotkanie karawany.

- Jakie to denerwujące. Akurat w przeddzień szabasu! - wykrzyknęła madame Ezra. - A co z Leą?

- Już idzie - odparła Peonia. I po chwili zapytała: - Czy ma pani dla mnie jakieś polecenia?

- Nie - odrzekła madame Ezra. - Zajmij się swoimi zwykłymi obowiązkami. Czekam na Leę.

- Zaniosę świeże kwiaty do sali głównej na jutrzejszy szabas - powiedziała Peonia przymilnie. - I zaczekam przy bramie. Jak tylko pojawi się panicz, przekażę mu pani prośbę.

Po czym oddaliła się bezszelestnie. Jej atlasowe pantofelki ledwie muskały płyty dziedzińca..

Kiedy Matka Wang poszła po Leę, zastała ją samotnie spożywającą drugie śniadanie.

- Niech się panienka nie spieszy - odezwała się, siadając na taborecie w pobliżu drzwi, żeby chwilę odsapnąć.

Lea odłożyła porcelanową łyżkę i na jej twarzy pojawił się niepokój.

- Czy jestem potrzebna, dobra matko? - spytała.

- Dopiero, jak skończy panienka jeść - odparła uspokajająco Matka Wang. - Wtedy, jeśli będzie miała panienka ochotę, ma panienka pójść do naszej pani. Jedz spokojnie, panienko.

Lea znów wzięła łyżkę, ale już nie jadła z takim apetytem, jak poprzednio.

Matka Wang obserwowała ją. Stara Chinka nie przywiązywała zbytnej wagi do kształtu nosa cudzoziemki, ale chociaż niewątpliwie ta szczupła dziewczyna jest wysoka, jak na kobietę, trzeba przyznać, że - gdyby przymknąć oczy na te niedoskonałości - Lea odznacza się wyjątkową urodą.

- Przypomina panienka moją panią z okresu, kiedy u nas zamieszkała - powiedziała Matka Wang.

Dobrze pamiętała tamten dzień i poprzedzającą go noc, którą przeplakała, myśląc, że oznacza to koniec jej usługiwania paniczowi. Ezra też był przystojny mimo swego na wpół cudzoziemskiego pochodzenia, chociaż nie aż tak, jak jego syn.

Matka Wang, wówczas jeszcze młodzianka, poczuła ulgę, kiedy zobaczyła, że panna młoda jest o pół głowy wyższa od swego oblubieńca. Nigdy nie pokocha takiej wysokiej kobiety, uznała. Właśnie ten wzrost sprawił, że zgodziła się zostać w tym domu i poślubić Starego Wang, odźwiernego. Ale madame Ezra już wtedy, kiedy miała zaledwie siedemnaście lat, przypilnowała, żeby młody Ezra wracał na noc do swoich pokoi, a nie włóczył się po dziedzińcach. Dopiero gdy skończyła czterdzieści lat, a ich syn liczył sobie lat dwanaście, zgodziła się, żeby mąż miał pokoje wychodzące na osobny dziedziniec. Lecz wówczas Matka Wang była już gruba i nikt o niej nie myślał inaczej, niż jak o służącej. Urodziła Staremu Wangowi czworo dzieci, które przeniosły się na wieś, jak tylko mogły zacząć pracować w polu, ale sama dalej mieszkała razem z państwem. Matka Wang już

dawno temu zrozumiała, że w tym domu rządzi madame Ezra i że jej pani się postarała, by wszyscy o tym pamiętali, a szczególnie Matka Wang. Kobiety nie zamieniły ze sobą ani jednego słowa na ten temat podczas wieloletniej, skrycie toczonej wojny.

Teraz walki ustały. Madame Ezra wygrała.

Dlatego patrząc na Leę, Matka Wang wróciła myślami do dawnych czasów.

- Ale jest w panience więcej łagodności - powiedziała z zadumą. - Ma panienka bardziej miękkie usta i bardziej wijące się włosy.

- Ach, te moje włosy! - westchnęła smutno Lea. Dziś przewiązała je wstążką z czerwonego aksamitu. - Nigdy nie udaje mi się ich poskromić.

Matka Wang spojrzała na nią.

- Powinna je panienka związać złotą wstążką - poradziła. - Pamiętam, że do tej sukni jest złota wstążka.

Pogrzebała w szkatułce, którą madame Ezra kazała przynieść do pokoju Lei, i znalazła strojną, złotą wstążkę.

- A kiedy panienka zje... - zaczęła.

- Już więcej nie mogę - nie dała jej dokończyć Lea.

- To pozwól, panienko, zająć mi się twoją fryzurą - poprosiła Matka Wang.

Zręcznie zebrała włosy Lei złotą wstążką.

- To też pasuje do tej sukni. - Otworzyła szkatułkę z biżuterią i wyjęła z niej złoty naszyjnik i takie same kolczyki.

Lea pozwoliła się nimi ozdobić.

- A teraz, panienko, chodź ze mną do naszej pani - poleciła Matka Wang. Wzięła Leę za rękę i zaskoczona uniosła dłoń dziewczyny, by się jej przyjrzeć. - Przecież to ręka chłopaka! - wykrzyknęła.

- Musiałam pracować - powiedziała Lea, zawstydzona.

Matka Wang odwróciła jej dłoń.

- Nadal jest miękka - zauważyła. - Palce są zgrabne, a skóra wciąż delikatna. Na noc będę panience wcierała w ręce oliwę. Po kilku tygodniach staną się o wiele ładniejsze.

Delikatnie pociągnęła Leę za sobą. Madame Ezra, czekając na swego gościa, haftowała ścisłym ściąganiem szal modlitewny.

- Wejdz, moja córko - zwróciła się do Lei. - Wejdz i dotrzyмай mi towarzystwa.

Lea weszła więc i usiadła, a madame Ezra spojrzała na nią przenikliwym wzrokiem.

- Bardzo ładnie wyglądasz - pochwaliła ją.

- Matka Wang tak mnie wystroiła - wyznała Lea. - Przyozdobiła mnie tym wszystkim.
- Dotknęła złotej biżuterii.

- Uznałam, że panienka wygląda niewystarczająco wytwornie - wyjaśniła Matka Wang. - Jest taka wysoka, że może nosić dużo złota.

- Nie jest wyższa od Dawida - szybko wtrąciła madame Ezra.

- Dawid jest bardzo wysoki - powiedziała nieśmiało Lea.

- Wkrótce tu przyjdzie, żeby cię powitać - oświadczyła madame Ezra. Wróciła do wyszywania, a Matka Wang przeszła do drugiego pokoju.

Kiedy Lea została sama z madame Ezra, ogarnęło ją dziwne skrępowanie, że tak siedzi beczynnie. Kochała tę przyjaciółkę swojej matki i pod pewnymi względami nie miała nikogo bliższego od niej. Wiedziała, że madame Ezra pragnie mieć ją za synową. Ale nie wiedziała, czego madame Ezra od niej oczekuje.

Jakby czytając w jej myślach, madame Ezra uniosła wzrok.

W pokoju panowała cisza. W sąsiednim pomieszczeniu krzątała się Matka Wang, ale poza tym nie dobiegały żadne inne odgłosy.

- Wiesz, dlaczego tu jesteś, Leo - przemówiła madame Ezra.

- Niezupełnie, droga ciotko - szczerze przyznała Lea.

- Pamiętasz obietnicę, o której ci wspominałam? Twoja matka i ja złożyłyśmy ją sobie nad waszymi kołyskami.

Lea spuściła wzrok, nic nie mówiąc. Mocno zacisnęła swoje silne dłonie, spoczywające na kolanach.

- Chcę, żebyście ty i Dawid się pobrali - powiedziała madame Ezra. Łzy napłynęły jej do oczu. Uniosła rąbek szerokiego rękawa i otarła oczy jedwabną podszewką, patrząc, jak na twarzy Lei wolno pojawia się rumieniec. Młoda dziewczyna spojrzała na nią z nieszczęśliwą miną. - Dlaczego nie miałabym ci dokładnie wyjawić, czego chcę? - spytała z pasją madame Ezra. - Żyję tylko tą nadzieją. I nie ja jedna, moja córko!

Przysunęła krzesło bliżej do Lei.

- Moje dziecko, wiesz... Nikt nie wie lepiej od ciebie... co się dzieje z naszymi braćmi i siostrami tutaj, w tym chińskim mieście... Jak niewielu z nas wytrzymało w wierze naszych przodków! Moja córko, wkrótce wszyscy o niej zapomną!

- Chińczycy są dla nas bardzo dobrzy - powiedziała Lea.

Madame Ezra ze zniecierpliwieniem machnęła ręką.

- To samo zawsze mówi Ezra! - wykrzyknęła. - Dobroć... Jestem już tym zmęczona! To prawda, że Chińczycy nas nie wymordowali, ale przecież i tak nas niszczą. Moja córko,

kiedy miałam twoje lata, synagoga co tydzień była pełna wiernych. A sama wiesz, że dziś została nas garstka.

- Ale przecież to nie wina Chińczyków - nieśmiało zauważyła Lea.

- Jak najbardziej ich - upierała się madame Ezra. - Udają, że nas lubią, sympatycznie się do nas odnoszą, zapraszają na swoje święta, chcą z nami robić interesy. Powtarzają, że my i oni niczym się nie różnimy. A dobrze wiesz, że między nami istnieje zasadnicza różnica, która nigdy nie zniknie. My jesteśmy dziećmi prawdziwego Boga, natomiast oni są poganami. Wielbią gliniane posążki. Czy kiedykolwiek zaglądałaś do chińskiej świątyni?

- Tak - przyznała się Lea. - Kiedy byłam dzieckiem, czasami chodziliśmy z Aronem... żeby popatrzeć...

- W takim razie wiesz - skwitowała jej słowa madame Ezra.

- Ale czy możemy ich winić za to, że są dla nas dobrzy? - z lekkim uporem powtórzyła Lea.

- To nie jest bezinteresowna dobroć - odparła madame Ezra. - Nie, nie... Mówię ci, że to tylko podstęp. W swojej przebiegłości próbują nas sobie zjednać. Nakłaniają swoje kobiety, by uwodziły naszych mężczyzn. I udają, że są tolerancyjni. Mówią nawet, że są gotowi czcić Naszego Pana tak samo, jak swoich bożków! - Z takim zapalem przekonywała młodą dziewczynę, że aż się zrobiła czerwona na twarzy.

Lea słuchała, trzymając ręce na kolanach.

- Co chcesz, żebym zrobiła, ciotko? - spytała w końcu.

- Chcę, żebyś... żebyś... wpłynęła na Dawida - powiedziała madame Ezra. - Ty i on razem, moja córko! Pomyśl, jak mogłabyś go odmienić!

- Przecież Dawid mnie zna - przypomniała jej Lea.

- Uzna, że to bardzo dziwne, jeśli zacznę się inaczej zachowywać... Kiedy stanę się inna, niż byłam dotychczas.

- Obydwoje jesteście teraz dorośli - zwróciła jej uwagę madame Ezra.

- Zawsze odnosiliśmy się do siebie jak rodzeństwo - szczerze powiedziała Lea.

Madame Ezra rzuciła robótkę, wstała i zaczęła krążyć po pokoju.

- Chcę, żebyście o tym zapomnieli! - wykrzyknęła. - To było dobre, kiedy byliście dziećmi, a teraz...

Lea też wstała.

- Tak, ciotko?

- Wiesz, co mam na myśli - rzuciła szorstko madame Ezra.

- Tak, ale nie wiem, jak to zrobić - wyznała Lea. Łzy napłynęły do jej wielkich, ślicznych oczu. - Mam... Mam...

- Uwieść go... Uwieść go - dopowiedziała madame Ezra tym samym szorstkim tonem.

- Nie mogę - jęknęła Lea. - Przecież by mnie wyśmiał i ja też śmiałabym się z siebie. To nie byłabym... ja.

Wyciągnęła rękę i ujęła dłoń madame Ezra.

- Muszę być sobą, droga ciotko, prawda? Ja też znam Dawida. - Na myśl o Dawidzie zrobiło jej się ciepło na sercu i zdobyła się na odwagę wobec tej kobiety, którą kochała, ale której się zarazem bała. - Może go znam nawet lepiej od ciotki! Wybacz mi, ciotko! Widzisz, jesteśmy prawie rówieśnikami. Wyczuwam w nim coś... coś wielkiego i... i szlachetnego. Jeśli uda mi się dotrzeć do tej części jego natury... która jest też we mnie...

Patrzyły sobie prosto w oczy, kiedy Lea mówiła. Madame Ezra słuchała, serce jej waliło. Tak, Lea może tego dokonać!

Lecz akurat wtedy, nim madame Ezra zdołała jej odpowiedzieć, wybuchła wrzawa na pierwszym dziedzińcu. Ludzie krzyczeli, uderzali w gongi... Matka Wang przybiegła z sypialni.

- Proszę pani, to z pewnością karawana! - wykrzyknęła i szybko się oddaliła, żeby to sprawdzić. W wejściu na dziedziniec wpadła na swego męża, Starego Wanga.

- Karawana... Karawana! - wrzasnął. - Proszę pani... Pan prosi... żeby pani wyszła... Przyjechała karawana!

Madame Ezra oswobodziła dłoń z uścisku Lei.

- Musimy iść - rzekła. - Lepiej, że przyjechała dziś, a nie jutro, w szabas.

Lea siedziała bez ruchu.

- Ciotko, pozwól mi poczekać tutaj... Pozwól mi się zastanowić nad tym, co... co według ciebie jest moim obowiązkiem.

- Bardzo dobrze, moje dziecko - pochwaliła ją madame Ezra. - Pomyśl o tym... Ale w każdej chwili możesz do nas dołączyć.

- Dziękuję - powiedziała Lea z westchnieniem. A gdy została sama, położyła ręce na stole i oparła na nich głowę. Po kilku sekundach wstała i przeszła w kąt pokoju. Stojąc twarzą do ściany, zaczęła się modlić cichym, urywanym głosem.

Przybycie karawany zawsze było świętem dla wszystkich mieszkańców miasta. Wieść o tym przekazywano sobie z ust do ust. Kiedy wielbłądy powoli sunęły zakurzonymi ulicami, w otwartych drzwiach domów i sklepów stali przejęci ludzie. Na białym wielbłądzie, krocącym na samym przedzie karawany, siedział Kao Lien, zaufany wspólnik Ezry. Za nim

maszerowali strażnicy, uzbrojeni w miecze i stare, cudzoziemskie muszkiety, a dopiero za nimi szły objuczone wielbłądy. Wszyscy byli utrudzeni długą podróżą na Zachód przez Turkiestan i drogą powrotną przez górskie przełęcze. Ale na ostatni etap przeprawy mężczyźni przywdziali najstrojniejsze szaty. Nawet wielbłądy wysoko trzymały głowy i poruszały się majestatycznie.

Na samym końcu jechał Ezra. Już kilka dni temu rozmieścił ludzi na ostatnich kilometrach szlaku. Mieli obserwować drogę i przybiec do niego z wiadomością natychmiast, jak pojawi się karawana. Dziś nad ranem przybył doń zdyszany goniec. Ezra dowiedział się, że karawana szybko się posuwa i za kilka godzin dotrze do miasta. Roztropny posłaniec zakrzyknął na odźwiernego, każąc mu sprowadzić zaprzężoną w muła dwukólkę. Ezra niezwłocznie zajął w niej miejsce. Liczył na to, że zje coś w gospodzie. Natknął się na karawanę w wiosce jakieś piętnaście kilometrów przed miastem, uściskał na powitanie Kao Liena, po czym obaj pospiesznie zjedli śniadanie i ruszyli w kierunku miasta. Ezra podróżował dwukólką. Polecił, żeby uniesiono zasłonki z niebieskiego atłasu, i jadąc teraz zatłoczonymi ulicami, uśmiechał się i odpowiadał na pozdrowienia.

Przed pozłacanymi drzwiami herbaciarni, znajdującej się przy głównej ulicy, zobaczył swojego przyjaciela Kung Chena, palącego długą bambusową fajkę zakończoną mosiężnym cybuchem. Nakazał poganiaczowi, by zatrzymał muła. Postanowił przejść obok chińskiego kupca pieszo, okazując mu w ten sposób swój szacunek. Przystanął, żeby mu się uklonić i go pozdrowić. Na tę chwilę karawana zwołniała.

- Moje gratulacje w związku z bezpiecznym powrotem twojego współnika i przyjazdem karawany - powiedział Kung Chen.

- Wielbłądy są obładowane towarem najlepszej jakości - oznajmił Ezra. - Kiedy będziesz miał czas, proszę, przyjdź i zobacz, co mamy. Chcę, żebyś wybrał, co ci się spodoba, do swoich sklepów. Zgodnie z naszą umową tylko to, co zostanie, trafi do innych kupców.

- Dziękuję, dziękuję - odpowiedział Chińczyk, kłaniając się. Był postawnym, tęgim mężczyzną odzianym w atłasowy płaszcz, trochę za krótki z przodu z uwagi na sterczący brzuch. Kaftan bez rękawów z czarnego aksamitu nieco maskował jego tuszę.

Ezrę ujęły maniery Kung Chena.

- Przyjdź jutro, mój przyjacielu - nalegał. - Razem zjemy skromny posiłek, a potem do woli będziemy mogli oglądać towary. Nie! - Uderzył się ręką w czoło. - Co ja mówię? Jutro jest szabas. Czyli pojutrze, mój przyjacielu.

- Świetnie, świetnie - odparł Kung Chen łagodnym głosem. Pokłonił się, delikatnie pchnął Ezrę w kierunku dwukółki i karawana ruszyła dalej.

A kiedy zbliżała się już do bramy domu, Ezra zobaczył, jak jego syn Dawid lekko zeskoczył z muru otaczającego zabudowania i zaczął biec obok pierwszego wielbłąda, machając ręką Kao Lienowi na powitanie. Po chwili przyspieszył kroku i zniknął w bramie.

- Panicz wywoła poruszenie w całym domu! - Poganiacze wielbłądów wybuchnęli śmiechem.

Ezra roześmiał się, nie kryjąc dumy. Znaleźli się przed bramą. Chociaż płacił pensję właścicielowi dwukółki, to kiedy teraz z niej wysiadł, sięgnął za szeroki pas, gdzie trzymał sakiewkę z pieniędzmi, i wyciągnął kilka monet.

- Masz na wino, masz na wino - zawołał donośnym, rozradowanym głosem.

- Bardzo dziękuję - Chińczyk uśmiechnął się, słońce błysnęło na jego ogorzałej twarzy.

Wielbłądy po kolei kłękały przed bramą, prychając, sapiąc i wydymając miękkie wargi. Szybko uwalniano je od juków i zanoszono towary do środka. Później poganiacze zaprowadzili zwierzęta do stajni i zamknięto bramę. Ludzie na ulicy byli tacy ciekawi, że wielu przechodniów próbowało dostać się na dziedzińce, by obejrzeć cudzoziemskie towary, ale odźwierny ich nie wpuścił.

- Cofnijcie się! - wrzeszczał. - Czy jesteście rabusiami i złodziejami?

Ezra prowadził swego współnika do sali głównej. Dawid uwiesił się ramienia Kao Liena.

- Chcę wszystko usłyszeć, wuju - powiedział.

Ezre i Kao Liena nie łączyło pokrewieństwo, ale jako chłopcy razem dorastali. Dziadek Kao Liena był Żydem, lecz jego ojciec poślubił Chinke. Kao Lien pomagał Ezrze prowadzić interesy z chińskimi kupcami. Kao Lien wśród Żydów był Żydem, a wśród Chińczyków - Chińczykiem.

Na jego pociągłej twarzy malowało się zmęczenie, kiedy teraz szedł skąpanymi w słońcu dziedzińcami. Na wargach błąkał się lekki uśmiech. Miał rzadką brodę, łagodne, ciemne oczy i niski głos, mówił wolno i z wdziękiem.

- Mam wiele do opowiedzenia - oświadczył.

Madame Ezra stała w drzwiach do sali głównej. Kao Lien zobaczył ją i się pokłonił.

- Witaj w domu - zawołała do niego.

- Nasz Pan okazał się łaskaw! - odrzekł Kao Lien.

Kiedy się cofnęła, wszedł do środka i złożył niski ukłon, na który odpowiedziała skinieniem głowy, przypominając mu w ten sposób, że niezupełnie są sobie równi stanem. W oczach Kao Liena pojawiły się iskielki rozbawienia. Ale już się zdążył przyzwyczaić do

zachowania madame Ezra i byłoby wbrew jego naturze przywiązywać wagę do jej wyniosłości.

- Gdzie rozłożymy towary, proszę pani? - spytał. Zawsze ją o to pytał, gdy była obecna, ale Ezra wiedział, że dla Kao Liena prawdziwą głową rodziny zawsze jest mężczyzna.

- Usiądę w swoim fotelu - odparła madame Ezra - a ty możesz po kolei otwierać przede mną skrzynie.

Usiadła, a Ezra zajął miejsce w fotelu naprzeciwko niej.

Matka Wang naląła im herbatę, a służący podali ciasteczka na porcelanowym półmisku z przegródkami. Do tego czasu już cała służba bezszelestnie zgromadziła się w pomieszczeniu. Stali wzdłuż ścian, by obserwować rozpakowywanie juków. Dawid szarpał sznury pierwszego ładunku, płonąc z ciekawości.

- Ostrożnie, paniczku - napominał go Kao Lien. - W tej skrzyni są cenne przedmioty.

Ominął toboły i skrzynie i zaczął rozwiązywać supeł, z którym mocował się Dawid. Wydawało się, że sznur sam się rozwiązał, jak tylko Kao Lien dotknął go swymi długimi i zręcznymi palcami. Pod zgrzebną tkaniną ukazała się metalowa skrzynia. Uniósł jej wieko i z wewnętrznego opakowania wyciągnął duży złoty przedmiot.

- Zegar! - wykrzyknął Dawid. - Ale czy ktoś widział kiedyś taki zegar?

- To niezwykle zegar - oświadczył z dumą Kao Lien.

Ezra patrzył z powątpiewaniem na złote figurki nagich dzieci, podtrzymujących tarczę zegara.

- Bardzo ładny - powiedział. - Te dzieci ze złota są pulchniutkie i sympatyczne. Ale kto zechce mieć taki zegar?

Kao Lien uśmiechnął się triumfująco.

- Pamiętasz, jak Kung Chen mnie poprosił, żebym przywiózł coś w darze dla Pałacu Cesarskiego? Chce go wręczyć, kiedy otworzy nowe sklepy w Północnej Stolicy. Przywiozłem to właśnie na prezent.

Ezra był pod wrażeniem.

- Doskonały wybór! - zakrzyknął. - Zwykły śmiertelnik nie mógłby tego używać. Ale w Pałacu Cesarskim... O, tak! - Zaczął gładzić brodę, nie kryjąc zachwyty nad wspaniałym zegarem. - To mi ułatwi zawarcie umowy z Kung Chenem, prawda, bracie?

- Szkoda, że nie mogę zobaczyć, co jest w środku - odezwał się Dawid. - Ciekawi mnie, jak jest skonstruowany.

- Nie, nie - zaprotestował pospiesznie Ezra. - Nigdy nie udałoby ci się go ponownie złożyć. Odstaw to, Kao Lien, mój bracie... Jest zbyt cenny. Wolę nie wiedzieć, ile kosztował!

Po tych słowach rozległ się śmiech, a służący, którzy z zachwytem patrzyli na złote figurki dzieci, z szacunkiem obserwowali, jak zegar jest odkładany na bok, mając świadomość, że następnym razem zostanie pokazany przed cesarskim tronem. Tylko Dawid niechętnie się przyglądał, jak zegar na powrót znika w skrzyni.

- Ojczy, w przyszłym roku chciałbym pojechać z Kao Lienem na Zachód - rzekł. - W dalekich krajach musi być wiele cudów, których nigdy nie widzieliśmy.

- Paniczu, nie możesz nas opuścić! - wykrzyknęła Matka Wang. - Jedyńemu synowi nie wolno opuszczać rodziców, póki na świecie nie pojawi się ich wnuk.

Madame Ezra wyduła usta, słysząc przestrożę Matki Wang.

- Pewnego dnia wszyscy stąd wyjedziemy - oświadczyła. - To nie jest nasza ojczyzna, mój synu. Mamy własną.

Na te słowa Ezra zrobił niezadowoloną minę. Dał Kao Lienowi znak ręką i powiedział:

- No, dalej, pokaż nam, co jeszcze przywiozłeś.

Kao Lien skwapliwie go usłuchał, dobrze wiedząc, że w kwestii ziemi, obiecanej przez Boga ich ojcom, Ezra i jego żona nigdy nie mogli dojść do porozumienia. Poleciał, by rozpakowano juki.

Kiedy ujawniono ich zawartość, całe pomieszczenie wypełniły skrzące się zabawki i najróżniejsze przedmioty, pozytywki i ruchome figurki, lalki i ciekawostki wszelkiego rodzaju, bele atlasu, aksamitu i cieniutkiej bawełny, dywany i poduszki, a nawet futra z dalekiej północy. Wszyscy byli oczarowani tym, co widzieli, a Ezra w duszy już liczył zyski. Kiedy wypakowano ostatnią skrzynię, wybrał prezenty dla każdego służącego i członka rodziny. Dla Peonii odłożył na bok mały złoty grzebyk, Matce Wang dał kilka metrów pierwszorzędnego płótna, a madame Ezra, swoją żonę, obdarował kuponem ślicznego, szkarłatnego aksamitu, którego każda, nitka - wątek i osnowa - była jedwabna.

Dawid tymczasem z rozmarzoną miną przechodził od jednego do drugiego przedmiotu, które przed nim rozstawiono, a z zachwytu aż mu odjęło mowę. Im dłużej patrzył, tym bardziej pragnął poznać kraje, z których przywieziono te cudowna, i ludzi, którzy byli tak zdolni, by je wytwarzać. Wydawało mu się, że muszą to być najlepsi rzemieślnicy na świecie.

Stworzyć takie skarby, takie kolory i kształty, urzeczywistnić piękno w konkretnych przedmiotach, błyszczących zabawkach i strojnych tkaninach, w mechanizmach i sprzętach!

To z pewnością musiało być dzieło rąk odważnych i szlachetnych ludzi, należących do wielkich narodów, potężnych cywilizacji. Bardziej niż kiedykolwiek zapragnął pojechać na Zachód i na własne oczy zobaczyć tych ludzi, którzy mieli śmiałe marzenia i potrafili je realizować. Może jego miejsce raczej jest wśród nich, a nie tutaj. Czyż jego przodkowie nie przybyli z zachodu Indii?

Ezra nerwowo spojrział na swego syna. Dawid osiągnął wiek, kiedy budzi się w człowieku naturalna ciekawość, a serce przepelniają gorące pragnienia. Skoro jego matka stale przypominała, że jej życzeniem jest opuszczenie tego kraju, który uparcie nazywała miejscem zesłania, jak Ezra sam jeden zdoła przeciwstawić się im obojgu? Dawid lubił przyjemności i Ezra zachęcał go do zawierania przyjaźni z młodymi mieszkańcami miasta, ale co będzie, kiedy te przyjemności mu spowszednieją i go znudzą? Obserwując syna, Ezra odniósł wrażenie, że dziś Dawid nie zachowuje się tak, jak zwykle. Nie wydawał okrzyków zachwyty na widok każdej zabawki, każdego cudeńka.

W oczach syna dostrzec można było głębszą refleksję, podobnie jak na twarzy i w całej jego postawie. Dawid dał się ponieść marzeniom.

- Mój synu! - wykrzyknął Ezra.

- Tak, ojcze? - odpowiedział Dawid, ledwo go słysząc.

- Wybierz sobie coś, mój synu! - donośnie zawołał Ezra, żeby sprowadzić Dawida z powrotem na ziemię.

- Jak mogę sobie coś wybrać? - mruknął Dawid. - Chcę mieć wszystko.

Ezra roześmiał się głośno.

- No, no - zawołał tym samym tubalnym głosem. - Zrujnowałbyś mnie!

Wszyscy patrzyli, żeby się przekonać, co Dawid sobie wybierze, ale on nie pozwolił, by go ponaglano.

- Wybierz sobie ten piękny niebieski materiał - poradziła madame Ezra. - Będzie z niego wspaniałe płaszcze.

- Nie chcę - odparł Dawid i dalej się przechadzał, spoglądając to tu, to tam, dotykając to tego, to owego.

- Wybierz tę małą złotą lampkę, paniczku - zaproponowała Matka Wang. - Napelnę ją oliwą i postawię na stole w twoim pokoju.

- Mam lampkę - oświadczył Dawid i nadal szukał czegoś, czego najbardziej pragnęło jego serce.

- No, dalej! - zakrzyknął Ezra.

- Nie popędzajcie go - poprosił Kao Lien.

Więc wszyscy czekali, żeby się przekonać, co dla siebie wybierze ten, który był najbardziej kochany w tym domu.

Nagle Dawid zobaczył coś, czego nie zauważył wcześniej. Była to długa, wąska szabla w pochwie z kutego srebra. Wydobyl ją spod beli jedwabiu i przyjrzał jej się.

- To...

- Niech Bóg broni! - wykrzyknął Kao Lien.

- Nie mogę jej wybrać? - spytał ze zdumieniem Dawid.

- Popelnilem bład - oświadczył Kao Lien. Podszedł do Dawida i próbował mu odebrać szablę. Młodzieniec nie chciał jej oddać, ale Kao Lien nie rezygnował, póki jej nie odzyskał.

- Nie powinienem był dopuścić, żeby znalazło się to w tym domu - powiedział. Następnie zwrócił się do Ezry: - Ale to dowód rzeczowy. Uznałem, że jeśli zobaczysz tę szablę, starszy bracie, wtedy uwierzysz...

Ale Dawid wyciągnął rękę i Kao Lien poczuł, że znów odebrano mu szablę. Dawid trzymał ją teraz oburącz i przyglądał się jej z zachwytem. Nigdy nie widział tak wspaniałej, tak delikatnej, tak doskonałej broni.

- Piękna rzecz - wyszeptał.

- Odłóż to - nagle odezwała się jego matka.

Ale Dawid jej nie usłuchał.

Kao Lien przyglądał się temu z coraz większym niepokojem.

- Paniczu! - rzekł. Było coś takiego w jego głosie, zawsze niskim, że wszyscy obecni spojrzeli na Kao Liena.

- Co nam powiesz, bracie? - zapytał Ezra. Był zaskoczony wyborem Dawida. Do czego potrzebna mu broń?

- Ta szabla, paniczu - wyjaśnił Kao Lien - nie jest dla ciebie. Przywiozłem ją jako dowód tego, co widziałem. Kiedy o wszystkim opowiem, zniszczę ją.

- O wszystkim? - powtórzył Dawid, ze wzrokiem wciąż utkwionym w szabli. Jego rodzice milczeli. Gdyby na nich spojrzął, zobaczyłby, że na ich twarzach nagle pojawił się strach. Ale on wpatrywał się wyłącznie w piękną szablę.

Kao Lien spojrzął na nich i dobrze zrozumiał, co sobie pomyśleli.

- Jeszcze zanim przekroczyłem zachodnią granicę, doszły mnie wieści, że znów zabijają naszych braci i siostry - powiedział.

Madame Ezra krzyknęła przeraźliwie i ukryła twarz w dłoniach. Ezra milczał. Słyszając krzyk matki, Dawid uniósł wzrok.

- Zabijają? - powtórzył, nie rozumiawszy.

Kao Lien skinął głową.

- Obyś się nigdy nie dowiedział, co to znaczy, paniczu! Jechałem dalej, uznawszy, że mieszkańcy Zachodu wezmą mnie za Chińczyka. Ale gdybym wiedział, co zobacze, zboczyłbym z trasy o tysiąc kilometrów!

Zamilkł. Nikt go nie zapytał, co dokładnie zobaczył. Ezra pobał, wsparł głowę na rękach i zakrył sobie oczy. Madame Ezra wciąż przyciskała dłonie do twarzy. Dawid czekał, patrząc na Kao Liena. W pewnej chwili po plecach przeszły mu ciarki, wywołane lękiem, którego nigdy wcześniej nie zaznał.

Służący gapili się z otwartymi ustami.

- Dobrze, jeśli się dowiecie, co widziałem - powiedział Kao Lien i spojrzał na Dawida.
- Nie wiesz, że na Zachodzie naszym braciom i siostram nie wolno mieszkać tam, gdzie zechcą. Muszą mieszkać tam, gdzie im zezwolą. Zawsze są to gorsze dzielnice miasta. Ale nawet stamtąd ich wypędzono. Widziałem ich zrujnowane domy, drzwi wiszące na zawiasach, powybijane szyby w oknach, splądrowane sklepy. To jeszcze nie wszystko. Widziałem na drogach, jak uciekali nasi bracia i siostry, mężczyźni, kobiety i dzieci. Ale to jeszcze nie wszystko. - Kao Lien umilkł na chwilę, a potem mówił dalej. - Widziałem setki zabitych... Starców, kobiety, dzieci, młodych mężczyzn, którzy woleli walczyć, niż uciekać... Naszych braci! Zginęli od mieczy i noży, od kul broni palnej, od trucizny i ognia. Tę szablę porzucono w bocznej uliczce. Była umazana krwią.

Na podłogę z głośnym brzękiem upadła szabla, którą Dawid wypuścił z rąk. Popatrzył na nią i poczuł, jak mu się kręci w głowie. Kao Lien widział takie straszne rzeczy w krajach, które Dawid pragnął odwiedzić, wyobrażając sobie, jak musi być w nich pięknie. Przecież nawet ta szabla była śliczna.

- Ale dlaczego? - zapytał.

- Któż to wie? - odparł z westchnieniem Kao Lien. Jak miał to wytłumaczyć młodemu Dawidowi, który całe życie przeżył w spokoju, bezpieczny? Dlaczego prastara klątwa ciążyła na ich narodzie w innych krajach, a traciła swą moc pod niebem Wschodu?

- Co oni im zrobili? - Dawid spojrzał na ojca, na matkę, a potem znów na Kao Liena.

- Nic! - wykrzyknęła madame Ezra i uniosła głowę.

- Nawet, jeśli zgrzeszyliśmy - powiedział Kao Lien - czy nigdy nie wybaczą nam naszych win?

Tylko Ezra milczał.

Służący, poruszeni do głębi tym, co usłyszeli, zaczęli nalewać herbatę i wnosić przywiezione przez Kao Liena towary.

Dopiero wtedy Ezra doszedł do siebie. Opuścił ręce i wypił czarbkę herbaty. Kiedy Matka Wang ponownie ją napełniła, objął naczynie obiema dłońmi, jakby chciał się ogrzać.

- Póki tutaj żyjemy, jesteśmy bezpieczni - przemówił w końcu. - Kao Lien, zabierz tę szablę i każ ją przetopić na metal. Zapomnimy, żeśmy ją widzieli.

Ale zanim Kao Lien się poruszył, Dawid pochylił się i szybko chwycił za rękojeść szabli.

- Wybieram sobie tę szablę! - oświadczył.

Ezra jęknął. I wtedy rozległ się spokojny głos madame Ezra.

- Pozwól mu ją zatrzymać - poprosiła. - Niech mu zawsze przypomina, że ginęli od niej nasi bracia.

Ezra odstawił czarbkę, złapał się za głowę i znów jęknął.

- Naomi, to coś, o czym powinien zapomnieć! Dlaczego nasz syn ma się bać, skoro tutaj nikt go nie prześladowuje?

- Ojczy, zapamiętam to... Na zawsze! - wykrzyknął Dawid. Stał wyprostowany, z szablą w dłoni, z wysoko uniesioną głową, z rozognionym wzrokiem.

W tej samej chwili rozległy się odgłosy kroków i w drzwiach pojawiła się Lea. Dawid zobaczył ją w szkarłatnej sukni, ze złotymi ozdobami. Ciemne włosy miała związane z tyłu, jej wielkie, czarne oczy płonęły, czerwone usta były rozchylone.

- Lea! - krzyknął.

- Słyszałam, co mówił Kao Lien. - Jej głos brzmiał wyraźnie, ale łagodnie. - Słyszałam o naszych braciach i siostrach. Stałam za kotarą.

- Wejdz, moje dziecko - zwróciła się do niej madame Ezra. - Właśnie miałam po ciebie posłać.

- Czulaam, że powinnam tu przyjść - powiedziała Lea tym samym łagodnym tonem. - Czulaam to... tutaj.

Przycisnęła obie ręce do piersi i spojrzała na Dawida.

Wpatrywał się w nią, zaskoczony, jakby nigdy przedtem jej nie widział. Po raz pierwszy ujrzał w niej kobietę.

Madame Ezra przyglądała im się, pochylona w swoim fotelu, a pozostali utkwili wzrok w niej. Uśmiechała się, patrząc tęsknie na młodych. Ezra obserwował ją spod ściągniętych brwi, zasznurowawszy usta. Kao Lien patrzył na madame Ezra, uśmiechając się smutno, a Matka Wang, spoglądając na swą panią, poczuła gorycz w ustach.

Ale Lea widziała tylko Dawida, ściskającego srebrną szablę w prawym ręku. Wydawał się taki wysoki. W jej oczach był piękniejszy od Gwiazdy Porannej i bardziej

upragniony niż samo życie. Był mężczyzną, a ona była kobietą, w ich żyłach płynęła ta sama krew. Lea zapomniała o wszystkim z wyjątkiem tego, że był tu i spoglądał na nią niemal czule. Podeszła do niego z wahaniem, niezdolna oprzeć się sile, która ją do niego przyciągała.

Madame Ezra zwróciła się do Chińczyków... to co - Wyjdźcie... Wszyscy - poleciała cicho. - Zostawcie nas samych.

Służący wymknęli się z pomieszczenia. Nawet Matka Wang opuściła swoje stałe miejsce i wyszła pospiesznie bocznymi drzwiami. Pekinczyk, śpiący na kamiennym progu, obudził się, uniósł łebek, zaskomlał i też sobie poszedł.

Lea uśmiechnęła się do Dawida.

- Wyglądasz jak Dawid z mieczem Goliata w dłoni - powiedziała.

Nagle do oczu napłynęły jej łzy. Pochyliła się i pocałowała srebrną pochwę szabli, którą trzymał Dawid. Zobaczył, jak kłania się przed nim... Miękkie, ciemne włosy opadały, wijąc się, na jej alabastrowy kark. Wokół siedzieli ojciec, matka, Kao Lien i mu się przyglądali.

Peonia też ich obserwowała, niewidziana przez nikogo.

Wcześniej Matka Wang pospieszyła do jej pokoju, a kiedy stwierdziła, że drzwi są zamknięte, zaczęła w nie walić.

- Peonio, ty głupia dziewczyno, córko głupiej kobiety! - krzyknęła. - Otwórz drzwi! Spisz?

Peonia otworzyła drzwi, przestraszona, kiedy usłyszała zmieniony głos Matki Wang.

- Szybko! - wycedziła Matka Wang przez zaciśnięte usta. - Idź do sali głównej... Wejdz, jak gdyby nigdy nic... Rozdziel ich swoim śmiechem.

Peonia bez słowa pobiegła tam bezszelestnie. Uchyliła kotarę i zajrzała do środka. Zobaczyła Dawida, trzymającego szablę, zobaczyła, jak starsi mu się przyglądają, zobaczyła, jak Lea przyciska usta do szabli. Cóż to był za rytuał? Czy w ten sposób ogłaszali zaręczyny? Nie, nie, nie mogła nic powiedzieć, nie mogła wybuchnąć śmiechem! Nie miała odwagi zakłócić tej chwili. Co to miało znaczyć? Puściła kotarę i pobiegła z powrotem do swojego pokoju. W jej ciemnych oczach malowało się przerażenie.

Kiedy Peonia zamknęła za sobą drzwi, nie rozplakała się. Usiadła i z przyzwyczajenia otarła oczy białą jedwabną podszewką rękawa, chociaż nie napłynęły do nich łzy. Czuła się jednak tak, jakby znalazła się w zupełnie obcym domu, w którym to, co najważniejsze, dzieje się poza nią. Więc wzdychała i pociągała nosem, nawet nie próbując przestać uzalać się nad sobą. Akurat wtedy weszła Matka Wang.

Między kobietami panowały bardzo złożone stosunki. Były Chinkami, więc poczuwały się do solidarności wśród cudzoziemców. Były kobietami, więc reprezentowały wspólny front w świecie mężczyzn. Ale jedna z nich była stara i już dawno temu straciła urodę, a druga - młoda i bardzo urodziwa. Wiedziały o sobie wszystko, ale nie uznały za stosowne afiszować się tą wiedzą. Peonia wiedziała, że Matka Wang od lat swej młodości służyła w tym domu, tak jak teraz ona. Czy była jednak tylko służącą, czy też kimś więcej, Matka Wang roztropnie nigdy jej nie powiedziała i wątpliwe, by kiedykolwiek zamierzała z nią o tym rozmawiać. Co więcej, Peonia nie chciała dopuszczać do siebie myśli, że między nią i Matką Wang istnieją jakieś podobieństwa. Matka Wang nie umiała czytać ani pisać. Chociaż dość bystra i poczciwa, była prostą kobietą. Peonia to co innego. Peonia przeczytała wiele książek, czasami sam Ezra z nią rozmawiał, i godzinami przysłuchiwała się temu, co mówił stary Chińczyk konfucjanista, nauczyciel Dawida. A przede wszystkim - przynajmniej do tej pory - znała myśli Dawida tak, jak Matka Wang nigdy nie poznała myśli jego ojca. Peonia była przewodniczką Dawida w świecie muzyki i poezji, razem potajemnie czytali takie książki, jak Sen czerwonego pawilonu, a kiedy użalała się nad smutnym losem młodej bohaterki, rozsypując płatki kwiatów, Dawid otoczył ją ramieniem, żeby mogła się wyplakać na jego piersi.

Wiedziała, że do tej pory mówił jej o wszystkim, a ona ochoczo i bez słowa sprzeciwu dostosowywała się do jego nastrojów. Nie wiedziała tylko jednego - nie spytała go, dlaczego nie dokończył wiersza, do którego pisania się zabrał.

Czy w ogóle zauważył, że zniknęła kartka, na której zaczął go kaligrafować? Bała się o to spytać, żeby przypadkiem nie wyszło na jaw, co zrobiła: że wykradła kartkę z wierszem, dokończyła go i zaniósła trzeciej córce Kunga. Bała się gniewnego pytania Dawida: „Dlaczego to zrobiłaś?”.

No właśnie, dlaczego? Nigdy nie mogłaby mu tego wytłumaczyć. Zawsze była zbyt mądra, by mówić mu, co myśli i czuje. Kobięca intuicja podpowiadała jej, że żaden mężczyzna nie chce wiedzieć wszystkiego o żadnej kobiecie. Był skupiony na swojej osobie, więc i ona musi mieć na względzie tylko jego. Toteż nigdy nie zadała Dawidowi pewnego pytania, które ją wiecznie nurtowało, a na które nie potrafiła sama sobie odpowiedzieć. Mianowicie: czy życie jest radosne, czy smutne? Nie chodziło jej o własny los ani jakiejś konkretnej osoby, ale o życie jako takie - czy jest radosne, czy smutne? Peonia myślała, że gdyby udało jej się znaleźć odpowiedź na to pytanie, wtedy wiedziałaby, czym się kierować.

Jeśli życie może i powinno być radosne, jeśli trzeba się nim cieszyć, dlaczego nie miałyby spróbować zdobyć wszystkiego, co mogłoby należeć do niej? Ale jeśli zdobycie wszystkiego i tak nie zapewnia szczęścia, to musi się zadowolić tym, co ma.

Teraz znów zadała sobie to odwieczne pytanie, ale nie znalazła na nie odpowiedzi w swoim sercu.

- Wiedziała, że będziesz rozpaczała - powiedziała spokojnie Matka Wang. Usiadła, położyła pulchne dłonie na kolanach i utkwiała wzrok w Peonii. - Ty i ja - ciągnęła - musimy sobie pomagać.

Peonia przeniosła swoje smutne spojrzenie na poczciwą, okrągłą twarz Matki Wang.

- Och, starsza siostró - wyszeptała płaczliwie.

- Mów, co cię trapi - poprosiła Matka Wang.

- Wydaje mi się, że gdybym umiała odpowiedzieć na jedno pytanie, potrafiłabym sobie ułożyć życie - wyznała Peonia.

- Co to za pytanie? - spytała Matka Wang.

Peonii nie było łatwo zadać jej Matce Wang. Nigdy nie rozmawiała z nią o takich sprawach, a jedynie o jedzeniu i herbacie, i o tym, czy pokoje są sprzątnięte oraz co należy zrobić w domu i na dziedzińcach, więc bała się, że Matka Wang ją wyśmiej. Ale teraz mało jej nie pękło serce, bo nie wiedziała, co się z nią stanie, jeśli Dawid poślubi Leę.

- Matko Wang, proszę, nie śmiej się ze mnie - przemówiła cicho.

- Nie będę się śmiała - przyrzekła jej Matka Wang.

Peonia przycisnęła małe dłonie do piersi.

- Czy życie... Czy życie jest radosne, czy smutne?

- W swej naturze? - spytała Matka Wang. Miała bardzo poważną minę i wydawało się, że rozumie, o co chodzi Peonii.

- W swej naturze - uściśliła Peonia.

Matka Wang nie sprawiała wrażenia zaskoczonej ani oszołomionej.

- Życie jest smutne - oświadczyła z pełnym przekonaniem.

- Nie możemy oczekiwać szczęścia? - tęsknie zapytała Peonia.

- Z całą pewnością nie - potwierdziła Matka Wang.

- Mówisz to tak spokojnie! - Peonia zaczęła cicho płakać.

- Nie można być szczęśliwym, póki się nie zrozumie, że życie jest smutne - wyjaśniła Matka Wang. - Spójrz na mnie, mała siostró! Jakie miałam śmiałe marzenia i nadzieje, nim zrozumiałam, że życie jest smutne! Kiedy sobie uświadomiłam tę prawdę, przestałam marzyć.

Przestałam snuć nadzieje. Teraz często jestem szczęśliwa, bo spotykają mnie miłe rzeczy. Niczego się nie spodziewam, więc cieszy mnie wszystko.

Matka Wang splunęła przez drzwi na dziedziniec.

- O, tak - powiedziała bez cienia żalu. - Życie jest smutne. Trzeba się z tym pogodzić.

- Dziękuję - szepnęła Peonia i otarła oczy.

Jakiś czas siedziały w milczeniu, każda pogrążona w swoich myślach. Potem Matka Wang przemówiła dobrotliwie:

- Peonio, musisz sama to rozważyć. Jeśli twoim pragnieniem jest pozostać w tym domu, to powinnaś się dowiedzieć, jaką kobietę panicz zamierza wziąć za żonę. Żona kieruje mężem, czy mu się to podoba, czy nie. Zyskuje nad nim władzę dzięki temu, że dzieli z nim łożę. I dlatego ty musisz mu wybrać żonę.

- Ja - zdziwiła się Peonia.

Matka Wang skinęła głową.

- Czy ty wybrałaś naszą panią? - spytała Peonia.

Matka Wang pokręciła głową.

- Miałam wybór: odejść albo zostać - powiedziała w końcu.

- I nie odeszłaś - stwierdziła Peonia.

Matka Wang wstała.

- Pora, żebym zniosła naszej pani coś słodkiego - oświadczyła niespodziewanie i wyszła. A Peonia nadal siedziała, pogrążona w myślach. Czekwały obowiązki. Po chwili przez drzwi, które pozostały otwarte, do pokoju bezszelestnie wkroczył pekińczyk. Szczekał tylko wtedy, gdy zobaczył kogoś obcego. Podszedł do Peonii i spojrzał na nią błagalnie.

- Zapomniałam o tobie, Mały Piesku - mruknęła Peonia.

Wzięła bambusową szczotkę, uklękła na podłodze i zaczęła szczotkować długą, złotą sierść zwierzęcia. Dotyk sztywnego bambusa sprawiał psu przyjemność. Stał bez ruchu, przymknąwszy wyłupiaste oczy, kiedy Peonia unosiła jedno ucho, a potem drugie, szczotkowała je, a później ostrożnie czesała sierść wokół zadartego czarnego nosa. Gdyby pekińczyk był kotem, zamruczałby. Będąc psem, mógł tylko wolno poruszać swym pierzastym ogonem to w jedną, to w drugą stronę. Kiedy już go wyszczotkowała, podniosła się z klęczek, umyła ręce, a potem znów usiadła i pogrążyła się w myślach. Pekińczyk leżał na kamiennym progu, kilka razy rozejrzał się dookoła, złapał muchę, a później usnął.

Peonia przyglądała mu się w zadumie. W tym domu pekińczyk też był absolutnie szczęśliwy, wszyscy akceptowali jego obecność. Nawet pies może stanowić część całości. Kiedy Peonia tak sobie rozmyślała, nikt do niej nie zajrzał. Każdego innego dnia wezwano by

ją wiele razy i ta cisza ostrzegła ją, że coś nowego i niezwykłego dzieje się w domu, coś, w czym nie bierze udziału. Cokolwiek to jest, musi z tym żyć, poddać się temu, pogodzić się z tym, stać się tego częścią. Jakąkolwiek decyzję podejmie Dawid, nie opuści go. Jeśli czasem do niej przemówi, jeśli pozwoli jej usługiwać sobie, nawet jeśli będzie tylko dbała o jego garderobę, zadowolony się tym.

Tak długo siedziała bez ruchu, tyle minęło minut, że w końcu małe stworzenia, ukrywające się za meblami, kotarami i drzwiami, odważyły się ujawnić swoją obecność.

Świerszcz zaśpiewał przeciągle i cienko w szparze powały, a w miejscu, gdzie popołudniowe słońce rzucało na podłogę snop światła, pojawiła się myszka, stanęła na tylnych łapkach i rozpoczęła taniec. Peonia jej się przypatrywała, a potem, rozbawiona, roześmiała się w głos. Zwierzątko czmychnęło do swojej norki. Peonia uśmiechnęła się, zniknął jej ponury nastrój. Oto małe przyjemności, z których trzeba się cieszyć!

Tutaj, w tym domu, mali mieszkańcy wiodą spokojne życie, ukryci przed wzrokiem ludzi. Niech ona też tak żyje! Poczwała przypływ czegoś, co wprawdzie było za słabe, by dodać jej sił, za spokojne, by obudzić energię, ale i tak podniosło ją na duchu.

Wstała, przyglądała włosy, przejrzała się w lustrze i widząc, że jest blada, musnęła usta karminem. Po krótkim namyśle zwinęła warkocz nad uchem i wpięła w niego szpilkę z nefrytu.

Ma obowiązki i musi je wykonać. Jutro jest szabas i wieczorny posiłek należy przygotować szczególnie starannie. Musi wypolerować srebrne świeczniki i naczynie na wino, musi położyć na stole chałki. Ale po chwili znów usiadła. Chociaż wiedziała, że jest tyle do zrobienia, siedziała bez ruchu. Potem z szuflady stolika wyjęła pędzel, tusz i kartkę białego ryżowego papieru, po czym szybko napisała cztery linijki wiersza. Nie miały nic wspólnego z nią. Były odpowiedzią na list, który zniosła do domu Kunga, i nawiązywały do promieni słońca, które o wschodzie spijają krople rosy z kwiatów.

Skończywszy pisać, schowała kartkę na sercu. Dopiero wtedy zabrała się do wykonywania swoich obowiązków przed szabasem.

Żadna z osób przebywających w sali głównej nie zauważyła Peonii. Ezra, madame Ezra i Kao Lien spoglądali na Dawida i Leę, kiedy śliczna dziewczyna pochyliła głowę, by pocałować lśniąca pochwę szabli. W oczach madame Ezra czyn ten świadczył, że Lea zdecydowała się poświęcić zadaniu, które przed nią postawiono. Kao Lien, zmrużywszy oczy, patrzył na twarz madame Ezra i widząc malujące się na niej radość i ekstazę, zrozumiał, że za chwilę spełni się jakieś jej skryte marzenie. Bez trudu pojął, co to za marzenie, i zrobiło mu się żal Dawida, którego szczerze kochał. Widział równie dobrze, jak wszyscy, że Lea jest

urodziwa, ale dostrzegał w niej często spotykaną u Żydówek cechę, która - tak przynajmniej mu się wydawało - skłaniała mężczyzn do izolowania się od innych, czego się bał i nad czym ubolewał. Nie jest dobrze, kiedy kobieta za bardzo kocha Boga, mówił sobie teraz. Nie wolno jej kochać Boga bardziej niż mężczyzny, bo wtedy staje się sumieniem mężczyzny, którego dręczą wyrzuty.

Ezra był najgłębiej poruszony. Teraz goręcej niż kiedykolwiek pragnął upodobnić się do mieszkańców tego bogatego i tolerancyjnego kraju, do którego przybyli jego przodkowie.

Bał się Lei i jej urody, bał się, że jego syn ulegnie tej dziewczynie o uduchowionej naturze. Ezra doskonale wiedział, że Dawid bardziej jest synem swej matki niż ojca. Dawid pozbawiony był tego, co miał Ezra - serdecznej, drobnej matki Chinki, gotowej śmiać się do Boga i ludzi, oceniającej życie z punktu widzenia przyjemności, jaką jej daje. Bo chociaż w żyłach Dawida płynęła też krew tej kobiety, najwięcej odziedziczył po swej matce. I zawsze mu towarzyszyło jej spojrzenie, wprawdzie kochające, ale surowe.

Ezra poruszył się w fotelu, chrząknął i szarpnął brodę, całym sobą okazując niezadowolenie.

- Daj spokój! - wykrzyknął. - Leo, moja droga... To stara, brudna szabla! Czyż nie znajdowała się w rękach żołnierzy, którzy są najgorszymi mętami każdego narodu?

Jego szorstkie słowa zdumiały Leę. Nieśmiało się cofnęła i uniosła dłonie do policzków.

- Och... Nie pomyślałam o tym - wykrztusiła.

- Lea słusznie postąpiła, całując szablę - odezwała się madame Ezra. - Kierował nią Nasz Pan.

Teraz przemówił Dawid. Jak zwykle słowa matki wywoływały w nim sprzeciw, ale chociaż głośno buntował się przeciwko niej, podświadomie się z nią solidaryzował.

- Powieszę tę szablę na ścianie nad moim biurkiem - oświadczył na poły beztrasko. - Będzie stanowiła ozdobę.

- Dobry pomysł - podchwycił Kao Lien. - Oby nigdy nie posłużono się nią przeciwko człowiekowi!

Ezra wstał.

- Trzeba to wszystko stąd zabrać - polecił Kao Lienowi.

Wziął grzebień, który odłożył dla Peonii. Celowo ignorując Leę, zwrócił się do madame Ezra: - Żono, jestem głodny.

Niech podadzą wieczorny posiłek. - Powiedziawszy to, pospiesznie opuścił pomieszczenie.

Lea stała skrepowana, onieśmielona. Dawid też jakby o niej zapomniał. Wypróbowywał szablę na zgrzebnym materiale zabezpieczającym bele tkanin. Damasceńska stal była tak ostra, że klinga przebiła materiał.

- Spójrz, Kao Lien! - krzyknął zachwycony.

Kao Lien, który miał właśnie wezwać ludzi, zatrzymał się, by na niego spojrzeć.

- Błagam, żebyś nigdy jej nie sprawdzał na sobie, jaka jest ostra - rzekł cicho. - Nawet jeśli użyć połowę twojej siły, można tą szablą z łatwością zranić człowieka. Widziałem to na własne oczy.

I wyszedł. Lea, niezdecydowana, patrzyła to na madame Ezra, to na Dawida. Ale madame Ezra wpatrywała się w milczeniu w swojego syna, a on, czując na sobie jej wzrok, dalej rozmyślnie ciął tkaniny.

- Leo... - przemówiła w końcu madame Ezra, nadal obserwując Dawida. - Możesz pójść do swojego pokoju.

Zanim dziewczyna zdążyła się poruszyć, Dawid uniósł głowę.

- Ja też pójdę, matko, i powieszę swoją szablę - powiedział i szybko skierował się ku najbliższym drzwiom.

- Czy nadal chcesz, żebym sobie poszła, ciotko? - nieśmiało spytała Lea. Miała ochotę zakrzyknąć, co złego zrobiła, ale nie śmiała. Stała jedynie, wysoka i przygarbiona, i czekała na polecenia madame Ezra.

- Idź... Idź! - rzuciła madame Ezra, jakby chciała zostać sama.

Co miała Lea zrobić? Mogła tylko wyjść.

Nazajutrz Dawid obudził się późno, dziwnie wyczerpany wczorajszym dniem.

Po raz pierwszy w życiu wydawało mu się, że zrozumiał swoją matkę i to wszystko, czego próbowała go nauczyć, to wszystko, co uczyniło ją taką, jaką była. Leżał w łóżku w półmroku, bo jedwabne kotary łóżka były spuszczone, i myślał sobie, że nie jest tym, kim przypuszczał, że jest - młodym mężczyzną, który może być sobą, żyć tak, jak chce, korzystać z przyjemności, być jedynie synem swojego ojca. Stanowił część całości, należał do narodu rozproszonego po całym świecie, a jednak walczącego o zachowanie swej tożsamości. Gdziekolwiek żył jakiś Żyd, nawet jeśli było to bezpieczne i odizolowane miejsce, i tak pozostawał nieodrodnym synem Izraela.

To, co od najmłodszych lat wpajała mu matka, a na co do tej pory był tak obojętny jak kamień na krople deszczu, teraz nagle pojawił nie umysłem, ale sercem. Dlaczego jego braci zabijano?

Poczuł, jak narasta w nim gniew, zrodzony z przekory. Jeśli cały świat pragnął zniszczyć Żydów, to on tutaj, w tym bezpiecznym kraju, w którym się urodził, zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby jego naród przetrwał. Zacznie pilnie studiować jego historię.

Przez dwa lata opierał się życzeniu matki, by rabin zapoznał go z ich wiarą. Nie ma czasu, oświadczył jej. Było jeszcze wiele książek, które pragnął przeczytać, ojciec nalegał, by więcej uwagi poświęcał interesom, a on sam marzył o podróżach. Wiedział, że matka nie pozwoli mu nigdzie wyjechać, póki się nie ożeni i nie urodzi mu się syn. Syn! Do tej pory posiadanie dzieci zdawało mu się jakąś utopią, stworzoną przez jego matkę. Ale teraz zrozumiał gdzieś w głębi swego jestestwa, a nie miało to nic wspólnego z umysłem ani logicznym rozumowaniem, że powinien mieć synów. Jeśli giną jego bracia i siostry, to muszą się rodzić ich następcy. Odpowiedzią na zabijanie będzie płodzenie kolejnego pokolenia Żydów.

I tak po raz pierwszy w swym życiu, wypełnionym przyjemnościami, Dawid przestał myśleć wyłącznie o sobie. Poczuł z całą ostrością, co to znaczy być Żydem. Pojął teraz, że kiedy mu się wydawało, że matka próbuje go kontrolować i odmawiać mu prawa do niezależności, ona po prostu starała się go ocalić i uratować dla potomnych.

A potem zaczął myśleć o Lei. Jak ślicznie wyglądała wczoraj wieczorem! Nie byli sami, lecz znaleźli się na tyle blisko siebie, by poczuć łączące ich więzy krwi, ich serca czuły to samo. Bo naprawdę byli inni, należeli do narodu wybranego, wyznaczonego przez Jehowę, jedynego prawdziwego Boga. Zrozumiał też, że wypierał się Boga, prowadząc beztroskie życie w pogańskim kraju, i ogarnęły go wyrzuty sumienia. Kiedy jego bracia i siostry cierpieli i ginęli, on się śmiał, oddawał rozrywkom i marnotrawił czas. Przypomniał sobie to, co najbardziej lubił - gry hazardowe w chińskich herbaciarniach, leniwe letnie popołudnia na jeziorze, po którym pływał łodzią ze swymi młodymi chińskimi przyjaciółmi, zapach kwiatów lotosu, dźwięki skrzypiec i fletu na dziedzińcu w blasku księżyca.

Potem sobie przypomniał przyjaciela ojca, Kung Chena, i zaraz ujrzał Kueilan w całej jej niewinności. Znał jej drobną twarzyczkę, jakby ją widział sto razy, delikatne łuki brwi, czarne oczy, pełne czerwone usta, jasną, śliczną cerę, smukłą postać. A znał ją, ponieważ Peonia też była drobna, miała czerwone usta i roześmiane oczy. Jak często śmiali się razem! Uśmiechnął się mimo woli. Kiedy on rozkoszował się życiem, jego braci i siostry wywlekano z domów. W innych miastach, między innymi ludźmi, leżeli martwi na ulicach. Powodowany poczuciem winy wstał i poszedł odszukać matkę, żeby jej powiedzieć, że pójdzie z nią dziś do synagogi. Po wczorajszych wydarzeniach na pewno ją to ucieszy.

Kiedy się umył i ubrał, nogi same go zawiodły do ogrodu brzoskwiniowego. A gdy się zatrzymał w okrągłej bramie, zobaczył drzewa obsypane kwieciami, odbijające się w owalnym stawie. Dzień był bezchmurny, powietrze ciepłe. I choć Dawid chciał zachować powagę, poczuł falę radości.

- Peonio! - zawołał cicho.

Nie usłyszał odpowiedzi. Ale często mu nie odpowiadała, chociaż była w ogrodzie. Taką już miała naturę przekornej figlarki. Uśmiechnął się i przeszedł przez okrągłą bramę. Było jeszcze za wcześnie, żeby się wybrać do synagogi. I nie pójdzie do swej matki.

Madame Ezra prawie nie spała ze szczęścia. Jej serce, tak często w tym domu osamotnione, dziś było rozradowane. To Lea, powiedziała sobie w nocy, Lea obudziła uspioną duszę Dawida, nawet jeśli na krótko. Obudzi się ponownie - i dusza Ezry też. Nie, bardziej niż Lea przyczynił się do tego na swój tajemny sposób Jehowa: Ten, za którego sprawą wszystko się dzieje. Karawana przyjechała akurat tego dnia, kiedy Lea się do nich wprowadziła. Jaka była ślepa i małej wiary, by narzekać na ten zbieg okoliczności! Bo wszystko tak zaplanował ich Pan. I to, żeby Kao Lien przywiózł wieści o nowych prześladowaniach, i to, żeby Lea pojawiła się w chwili, gdy serce Dawida przepelniał smutek, i to, żeby okazała się na tyle mądra i przenikliwa, by schwytać jego smutek i przekształcić go w oręż, którym dźgnęła jego sumienie - kto, jak nie Bóg, mógł sprawić to wszystko?

Wczoraj wieczorem, kiedy Ezra przyszedł do jej pokoju, nie położył się obok niej. Usiadł przy łóżku żony, trzymał ją za rękę i rozmawiali rozsądnie, jak powinni ze sobą rozmawiać małżonkowie.

- Naomi, chcę, żeby Dawid poznał prawa i dzieje naszych proroków - powiedział.

Na te słowa jej serce zaśpiewało Panu. Kiedyś rabin uczył Dawida, ale chłopak się zbuntował, a Ezra nie stanął po jej stronie, by mogli wspólnie zdławić ten bunt. Zamiast tego oświadczył, że Dawid jest już na tyle duży, by pomagać w interesach, a nie wystarczy mu czasu na wszystko. Chłopak, triumfując, skorzystał z okazji, zawarł przyjaźnię z synami chińskich kupców, udał się nawet do domu Kunga i zobaczył tam jego córkę.

- Dziękuję, Ezro - odpowiedziała, starając się powściągnąć rozpierającą ją radość.

- Nie możemy nic pomóc naszym braciom i siostram, mieszkającym w dalekich krajach - dodał Ezra. - Rozsądnie jest zostać tutaj, gdzie przynajmniej jesteśmy bezpieczni.

- Do czasu, aż pojawi się prorok, żeby nas poprowadzić do naszego prawdziwego domu - przypomniała mu delikatnie madame Ezra.

Ezra chrząknął.

- Cóż, moja droga... - rzekł i poklepał ją po dłoni.

- Czasami się zastanawiam, czemu kiedykolwiek mielibyśmy wyjechać z Chin. Żyjemy tu od czterech pokoleń, Naomi, dzieci Dawida będą piątym pokoleniem. Chińczycy są dla nas bardzo dobrzy.

- Boję się takiej dobroci - odparła. Zabrała rękę, a potem zaniepokojona, że jeszcze mógłby pożałować tego, co przed chwilą obiecał, znów ją wsunęła w jego dłoń. Już się nie odezwali do siebie i po jakimś czasie Ezra wrócił do swoich komnat.

Teraz nastał szabas, wyjątkowy szabas, dla niej cudowny, bo wszyscy razem pójną do synagogi. W domu panowała cisza, nikt nie pracował. Tylko zza murów dobiegał uliczny zgiełk i gwar. Tu, pod jej dachem, znów pojawił się Bóg, zgoda, że surowy, ale Bóg. Zawsze był najbliżej swego ludu w trudnych chwilach. „W godzinie śmierci nawołujemy cię, o Panie!” - wymamrotała, kiedy wyszedł Ezra. A dziś przygotowała się, wkładając swoje najstrojniejsze suknie ze złotymi lamówkami na dole spódnicy i rękawów.

A Lea, drogie dziecko... Czy wiedziała, jaka była posłuszna woli Boga? Nie wolno zaprzepaścić tego, co zrobiła wczoraj, niech Pan im dopomoże. Madame Ezra zwróciła się impulsywnie do Matki Wang, która przyszła pomóc jej się ubrać.

- Idź i przyprowadź to drogie dziecko, Leę! Już nie mogę dłużej czekać, żeby ją pobłogosławić.

Matka Wang obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem i bez słowa skierowała się do wyjścia, by wykonać polecenie. Ale madame Ezra zatrzymała ją, mówiąc:

- Zostań. Sama do niej pójde.

Matka Wang wzruszyła ramionami i odsunęła się, żeby zrobić przejście dla swojej pani.

I dlatego w ten szabasowy ranek Lea zobaczyła w drzwiach swego pokoju matkę Dawida. Dziewczyna spokojnie przespała noc. Poddała się woli Pana. Wczoraj, kiedy była sama, w pewnej chwili poczuła pilną potrzebę wyjścia ze swojego pokoju i odszukania domowników. Szła przez podcienia i dziedzińce, jakby ktoś kierował jej krokami. Znalazła się w sali głównej akurat wtedy, gdy Dawid był poruszony do głębi serca, a w jego duszy zapłonął słuszny gniew. Kiedy odsunęła kotarę w drzwiach, zobaczyła, jak Dawid stoi niczym przed ołtarzem, trzymając przed sobą srebrną szablę. Ich spojrzenia się spotkały, a Pan natchnął Leę słowami, które następnie wypowiedziała.

Kiedy obudziła się w nocy, przypomniała sobie twarz Dawida, zwróconą w jej stronę, jego wzrok, utkwiony w niej, i znów usnęła, uśmiechając się błogo.

Tego ranka powtórzyła kilka wersów z Tory. Ciekawa była, jak ma się ojciec, czy Aron zachowuje się jak należy, czy Rachela daje sobie z nim radę. Potem zaczęła się

nieśmiało zastanawiać, czy Dawid ją odwiedzi, albo może przyśle po nią, czy madame Ezra każe im obojgu przyjść do siebie. Wczoraj podczas wieczornego posiłku był bardzo milczący, ale jej to nie zdziwiło. Ona też się nie odzywała. Cokolwiek miało się wydarzyć, przestała się bać. Bóg jest z nią i jej nie opuści.

Dzisiejszego ranka krążyła po pokoju, z głową nabitą takimi właśnie myślami. Przystawała, uśmiechając się i spoglądając w przestrzeń. Pospacerowała po swoim dziedzińcu, a później wróciła do pokoju. Przepęłniała ją taka radość i ufność, że teraz, kiedy spostrzegła madame Ezra, wyszła jej na spotkanie.

- Och, droga ciotko - powitała ją.

- Drogie dziecko - rzekła madame Ezra, ujęta jej serdecznością. - Wyglądasz dziś na taką szczęśliwą.

Lea uniosła głowę.

- Nigdy w życiu nie byłam bardziej szczęśliwa - oświadczyła.

Weszły do środka, trzymając się za ręce, i kiedy madame Ezra usiadła, Lea przysunęła taboret do jej krzesła i znów wzięły się za ręce. Lea ufnie patrzyła na madame Ezra. Ten widok tak bardzo wzruszył kobietę, że łzy ścisnęły jej gardło. Poczowała, jak ogarnia ją uniesienie, które natchnęło jej duszę.

- Pochyl głowę, drogie dziecko - wyszeptwała. - Podziękujmy Bogu.

Sama też spuściła głowę i zaczęła recytować słowa psalmu, a Lea dołączyła do niej. Odmówiwszy psalm, madame Ezra milczała przez chwilę, a potem podniosła głowę, otworzyła oczy i spojrzała na Leę.

- Mamy błogosławieństwo Jehowy - powiedziała łagodnie. - Czuję to. Teraz musimy jedynie kroczyć drogą, którą wskazuje nam Pan. Drogie dziecko, ojciec mojego syna postanowił, przez nikogo nienamawiany, zwrócić się do rabina z prośbą, by znów uczył Dawida Tory! Zastanawiałam się, jak to należy zrobić, i teraz to wiem. Rabin musi zamieszkać w naszym domu... Powinniśmy być razem.

- Och, ale co z Aronem? - spytała zaniepokojona Lea.

- Aron też z nami zamieszka - oznajmiła z mocą madame Ezra. - Są puste pokoje w małym, zachodnim pawilonie.

- Czy mogę zamieszkać z nimi? - spytała Lea.

- Nie, ty zostaniesz tutaj - odrzekła madame Ezra. Prawdę mówiąc, wpadła na ten pomysł dopiero kilka minut temu.

Ale widziała to tak wyraźnie, wydawało jej się to takie oczywiste, że była pewna, iż Bóg kierował jej myślami. - Pomówię z twoim ojcem przed modlitwą - ciągnęła. - Ale ty

powiesz o tym Dawidowi teraz. Nie, sama mu to zakomunikuję. Ty pójdziesz ze mną, a potem porozmawiacie. Ostatecznie wczoraj było wczoraj, natomiast dziś jest dziś, a każdym dniem trzeba pokierować osobno, by osiągnąć cel.

Madame Ezra uścisnęła rękę Lei i wstała.

- A jaki jest cel, droga ciotko? - zapytała nieśmiało Lea.

- Małżeństwo Dawida... i twoje - pogodnie odpowiedziała madame Ezra. - Teraz nadeszła pora. Nigdy go nie widziałam tak poruszonego, jak wczoraj.

- Teraz, droga ciotko? - zaniepokoiła się Lea.

- Tak, z całą pewnością - odparła madame Ezra, zmierzając w kierunku drzwi.

Nie chciała głębiej wnikać w to, co Lea mogłaby albo powinna uczynić. Niech dwoje młodych spędza razem czas, a Bóg zrobi swoje. Na progu przystanęła i spojrzała na Leę.

Dziewczyna siedziała bez ruchu, dłonie wsunęła między kolana, na jej twarzy malował się niepokój.

- Porozmawiaj z Dawidem o Bogu - dodała niespodziewanie madame Ezra i wyszła.

Wkrótce, jeszcze zanim Lea skończyła się zastanawiać nad tymi słowami, w drzwiach pojawiła się Matka Wang.

- Nasza pani prosi, żeby panienka przyszła do ogrodu brzoskwiniowego - powiedziała z nieprzeniknioną miną, czekając, aż dziewczyna wstanie, by ją tam zaprowadzić.

Ogród brzoskwiniowy należał do ulubionych miejsc Dawida, o czym madame Ezra wiedziała. Właśnie tam się udała po rozstaniu z Leą. Zobaczyła swojego syna, jak z zaintrygowanym wyrazem twarzy stoi pod kwitnącą brzoskwinia.

- Dawidzie, mój synu - przemówiła czule.

- Tak, matko? - odpowiedział natychmiast, ale myślami błądził gdzieś daleko.

Tutaj, w tym ogrodzie, śmierć wydawała się czymś nierealnym. W dzień szabasu prawie nic nie mąciło ciszy. Wysoki mur, otaczający domostwo, w dużym stopniu tłumił miejski gwar. Zazwyczaj Dawid nie lubił ciszy. Nie zastawszy tutaj Peonii, w każdy inny dzień pospiesznie by wyszedł, żeby spotkać przyjaciół albo przejść się ulicami, by zobaczyć, co się zmieniło w mieście przez noc. Miasto leżało w połowie drogi między północą a południem, podróżni zatrzymywali się tutaj, by odpocząć, odświeżyć się i zabawić w dobrych gospodach. Hinduscy fakirzy i kuglarze, mający wszystkie sztuczki w małym palcu, a także wędrowni aktorzy z Pekinu codziennie występowali na dziedzińcu świątyni albo zaglądali do herbaciarni, żeby nakłaniać gości do przyjścia na ich przedstawienie.

Ale dziś rano nie miał ochoty na spotkanie z przyjaciółmi.

Chciał zostać w otoczonym murami domu, którego wielkie żelazne bramy zamykano na noc. Jak tu było bezpiecznie!

Oczami duszy ujrzał twarze pomordowanych, którzy wyłonili się na powierzchnię niczym topielcy.

- Twój ojciec i ja postanowiliśmy, że będziesz studiował Torę, mój synu - powiedziała jego matka.

Mówiła to wcześniej, i to nie raz, a on zawsze protestował, utrzymując, że jest zbyt zajęty. Ale teraz się nie sprzeciwił.

- Jestem gotów, matko - odparł. Zdumiała go, a nawet zaskoczyła zbieżność własnych pragnień z wolą rodziców, lecz nie przyznał się do tego matce.

- Dziś zaraz po nabożeństwie w synagodze poproszę rabina, żeby zamieszkał z nami na jakiś czas - ciągnęła madame Ezra. - Tak będzie ci łatwiej. A rabin równie dobrze może wykonywać swoje obowiązki, mieszkając u nas. - Spojrzała na kwitnące drzewa. - Jakie są prześliczne! - wykrzyknęła.

- Spodobają się Lei. Poślę po nią.

Już miała zaproponować, żeby Dawid zaczekał tutaj, ale zrezygnowała. Niech Bóg połączy tych dwoje! Więc jedynie w myślach wypowiedziała słowa: „Spraw, by mój syn tu zaczekał, Panie!”.

Dawid doskonale rozumiał podniosły nastrój matki, nawet nie słysząc jej prośby skierowanej do Boga. Jego wyostrome zmysły odbierały najdrobniejsze sygnały: czuł się zobowiązany do pozostania tu, gdzie jest, pod kwitnącymi na różowo drzewami brzoskwiń. Madame Ezra uśmiechnęła się do niego i odeszła, a spotkawszy Matkę Wang, poleciła jej, by kazała Lei przyjść do ogrodu. I dlatego Dawid stał, jakby wrósł w ziemię, kiedy w bramie pojawiła się Lea.

- Lea! - zawołał i wolno do niej podszedł.

Ranek sprawił, że ożyły wspomnienia wczorajszego dnia.

W promieniach słońca jasna skóra Lei wydawała się bez skazy, a oczy ciemniejsze niż zwykle. Dziś miała na sobie tradycyjną chińską suknię, sięgającą do samej ziemi, w talii przewiązała się złotym pasem, a włosy ozdobiła złotą opaską. Była prześliczna, ładniejsza od tuberozy. Przypomniał sobie wiersz, który zaczął pisać, i dlaczego go nie dokończył.

Lea zbliżyła się do niego, wyciągnęła ręce, a on ujął je w swoje dłonie.

- Wyglądasz jak poranek - powiedział.

Utkwiła w nim spojrzenie, a serce wyfrunęło niczym ptak z jej piersi i zagnieździło się w piersi Dawida. Od tej chwili kochała jego, i tylko jego.

Boże, spraw, by mi oddał swoje serce, modliła się Lea.

Modlitwa ta była tak żarliwa, że rozbrzmiewała w całym jej ciele, a ona dostroiła się do jej melodii.

Zobaczył miłość w oczach dziewczyny i nadal przepelniony czułością i otwarty na wszystko poczuł, jak ofiarowała mu swoje serce. Zrozumiał, jaki to wyjątkowy dar. Nawet gdyby jej nie znał, wzruszyłby się. Więc tym bardziej był przejęty, bo nie była kimś obcym, ale należała do tego samego narodu, co on! Stali tylko we dwoje w tym pięknym ogrodzie, pod jasnym niebem wiosennego poranka, a w tle delikatnie malowały się pastelowe barwy kwiatów brzoskwini i drobne zielone listki.

Mimo tego, co wczoraj powiedział im Kao Lien o strachu przed śmiercią i okrutnych prześladowaniach, czuli się tu bezpieczni.

Dawid się zawahał, rozdarty pomiędzy jakąś odległą przeszłością, której nie znał, a radosnym dzieciństwem, które znał.

Ale już nie był dzieckiem. Tamtą dawną przeszłość dzielił z Leą. Istniała między nimi więź, spajająca cały ich naród.

Wypuścił jej ręce i powodowany tą więzią objął ją i przytulił.

Przywarła do niego, położyła mu głowę na piersi i zamknęła oczy. Oto Bóg udzielił mi odpowiedzi, pomyślała z wdzięcznością.

A on, patrząc na te ciemne, długie rzęsy, zastanawiał się, co takiego zrobił w ten szabas. Czy dokonał wyboru? Pod pewnym względem tak, ale nie wiedział, co to oznaczało.

Nagle usłyszał głos swej matki.

- Dzieci! - zawołała.

Odkoczyli od siebie, kiedy pojawiła się w bramie.

- Chodźcie coś zjeść, zanim wszyscy pójdziemy do synagogi. Już pora. Dawidzie, położyłam ci na łóżku odświętny strój.

Podążyli za nią bez słowa. Ku swemu zdumieniu Dawid był rad, że przyszła matka, był rad, że już nie trzyma Lei w ramionach. Na pytające spojrzenie matki odpowiedział uśmiechem, zastanawiając się, dlaczego czuje się, jakby był kłamcą.

Kiedy Dawid był w synagodze, Peonia prowadziła w domu Kunga poważną rozmowę z Matką Chu. Grała na ambicjach starej piastunki, z wprawą wykorzystując do swoich celów jej zazdrość i oburzenie.

Zdecydowała się na tę wizytę w nocy. Wieczorny posiłek w przeddzień szabasu był jakiś dziwny. Wszyscy milczeli, przepelnieni uczuciami, których nie rozumiała. Nawet Ezra się nie odzywał, a jadł tak, jakby mu było obojętne, co wkłada do ust. Dawid i Lea jedli mało,

jedynie madame Ezra dopisywał apetyt. Ale ona też prawie nic nie mówiła, chociaż często spoglądała to na Dawida, to na Leę.

Peonia, czując się jak intruz, wcześniej opuściła salę główną i spędziła wieczór na przepisywaniu i szlifowaniu kolejnego wiersza. Zabierze go ze sobą jutro do domu Kunga jako ofertę przetargową w swego rodzaju transakcji, do której musiała doprowadzić. Teraz na dziedzińcu dla służby w jego domu siedziała na taborecie pod drzewem kasji, rozmawiając z Matką Chu.

- Proszę o wybaczenie - odezwała się słodkim głosem.

Od tego zaczęła. Potem przyglądała delikatnymi palcami prostą grzywkę, którą potargał wietrzyk.

Matka Chu, wyszywająca mały atlasowy pantofelek, uniosła wzrok znad robótki.

- Cóż takiego zbroiłaś? - zapytała z uśmiechem.

- Nie przyszłam wczoraj, jak obiecałam - wyjaśniła Peonia. - Ale wysłuchaj, co mam na swoje usprawiedliwienie, dobra matko, a potem mi wybac.

Powiedziawszy to, zaczęła relacjonować Matce Chu, jak to wczoraj przyjechała karawana, a razem z karawaną nadeszła zła wiadomość o tym, że w cudzoziemskich krajach zabija się rodaków jej państwa, i jak w całym domu zapanował ponury nastrój, więc bała się, że przyniesie pecha domostwu Kunga, jeśli przyjdzie z miejsca, pogrążonego w takim smutku.

Peonia przybrała żalną minę i spuściwszy perłowe powieki, mówiła dalej, wiedząc, że Matka Chu utkwiała w niej przenikliwe spojrzenie.

- I obawiam się, że wczoraj postąpiłam zbyt pochopnie - wyznała cicho. - Obawiam się, że błędnie odczytałam uczucia panicza.

Westchnęła, a Matka Chu oświadczyła chłodno:

- Młoda kobieto, nie pamiętam, co powiedziałaś.

Peonia wiedziała, że Matka Chu doskonale to pamięta, i ciągnęła dalej:

- Powiedziałałam, że nasz panicz myśli tylko o waszej paniencie. Dałam jej jego wiersz... Pamiętasz? Ale teraz w ich domu zamieszkała córka rabina i obawiam się, że posłużyli się jakimiś czarami, które sprawiły, że nasz panicz zapomniał już o swojej miłości.

Matka Chu prychnęła i z trudem wstała, bo była bardzo gruba. Kiedy się wyprostowała, nożyczki, naporstek i jedwab upadły na ziemię. Peonia rzuciła się, żeby je podnieść.

- Niech leżą - burknęła z rozdrażnieniem Matka Chu.

- Lepiej chodź ze mną i napraw zło, które wyrządziłaś.

Ruszyła przodem, dając dziewczynie znak, by poszła za nią. Peonia udawała się za kobietą, świadoma, że wkracza do labiryntu, z którego nie zna wyjścia.

Dom Kunga był duży, większy od domu Ezry. Zamieszkiwały go pokolenia mężczyzn, kobiet i dzieci, a wszyscy oni mieli wspólne korzenie. Kobiety przyglądały się Peonii kątem oka, dzieci gapiły się na nią, a ona mijała je ze skromnie spuszczoną głową. I tak znalazła się na dziedzińcu, na który wychodziły pokoje panienek, córek Kung Chena, głowy tej licznej rodziny. Dwie, już zamężne, wyprowadziły się z domu, trzecią była Kueilan, po niej urodziła się jeszcze dziewczynka ze związku Kung Chena z konkubiną. Później żałował, że uczynił ją swoją konkubiną, bo kobieta zakochała się w jego służącym. Odesłał ich oboje, co mu nie przyszło łatwo, ale córkę zatrzymał.

Kueilan bawiła się ze swoją małą siostrzyczką, kiedy weszła Matka Chu, a za nią pojawiła się Peonia. Nigdy wcześniej nie widziała trzeciej córki Kunga i mogła sobie wyobrazić jej wygląd tylko na podstawie słów Dawida. Ale wystarczyło, aby raz rzuciła okiem na młodą panienkę, by się zorientować, że słowa Dawida nie oddawały w pełni jej urody, że w istocie była najpiękniejszą dziewczyną, jaką sobie można wyobrazić. Kueilan wyglądała jak dziecko, była niewiele wyższa od swojej młodszej siostrzyczki, której Matka Chu kazała wyjść.

- Nianiu, dlaczego odesłałaś Liii? - spytała Kueilan i Peonia się przekonała, że trzecia córka Kunga została obdarzona nie tylko wyjątkową urodą, ale również ślicznym głosem.

Matka Chu nie bała się swojej panienki ani nie traktowała jej z szacunkiem, więc nie odpowiedział na jej pytanie, wykrzyknęła:

- Co zrobiłaś z listem, który ci wczoraj dałam?

- Mam go tutaj - odparła Kueilan i wyjęła wiersz Dawida z szerokiego jedwabnego rękawa.

Matka Chu z wyrzutem spojrzała na Peonię.

- Widzisz, ile wyrządziłaś zła! To dziecko ani na chwilę nie rozstaje się z tym listem. - Po czym zwróciła się do swojej panienki: - Oddaj mi go, moje dziecko. Jest nic niewart. Wyrzucę go.

Umysł Peonii pracował intensywnie. Doskonale rozumiała, że w tej pięknej dziewczynie może mieć przyjaciółkę i sojuszniczkę, która pomoże jej zdobyć serce Dawida. Kueilan nie była ani silna, ani nieustraszona. Przypominała kocię.

Miała kocią twarz, patrzyła na świat okrągłymi z zachwyty oczami, w których błyskały figlarne ogniki, jej usta zdawały się zawsze skore do śmiechu. W tej chwili spoglądała z pewnym lękiem na Matkę Chu. Ściskając w ręku list, pokręciła głową.

- Zatrzymam go - powiedziała z mocą. - Nie pozwolę ci go wyrzucić. Nie! Nie!

Matka Chu wzniosła oczy do nieba i Peonia spostrzegła, że kobieta lada moment wybuchnie gniewem, więc odezwała się:

- Panienko, proszę się uspokoić. Przyszłam tylko po odpowiedź. - A do Matki Chu wyszeptała: - Widzę, jak wygląda sytuacja. Nie złość się, dobra matko. Postaram się naprawić zło, które wyrządziłam.

Matka Chu nic nie odrzekła, tylko wydeła usta, a Peonia podeszła bliżej do Kueilan i przemówiła do niej łagodnie:

- Czy napisałaś odpowiedź, panienko?

Kueilan spuściła wzrok i pokręciła głową.

- Czy mam ci pomóc? - spytała więc Peonia.

Kueilan była zaskoczona.

- Umiesz pisać? - zdziwiła się.

- Umiem - odparła Peonia z uśmiechem. - Jeśli mi powiesz, co chcesz wyrazić, napiszę to za ciebie.

- Umiem pisać... ale nie wiem, jakich słów powinnam użyć - wymamrotała Kueilan.

- Nasza młoda panienska jeszcze nigdy nie pisała do żadnego kawalera - oświadczyła Matka Chu.

Peonia naprawdę zachowywała się bardzo delikatnie.

- Nie musisz się bać mojego panicza - powiedziała. - To najlepszy i najłagodniejszy młodzieniec. Nigdy nikogo nie skrzywdził. Przez całe swoje życie mu usługuję, a nigdy mnie nie uderzył i nie pozwalał bić mnie innym.

Kueilan spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Nawet kiedy był rozgniewany?

- Nigdy się nie gniewa - zapewniła ją Peonia z uśmiechem.

- Och! - westchnęła Kueilan.

Wtedy Peonia wyjęła wiersz, który ułożyła, i przeczytała go słodkim głosem.

W pąku lotosu kropla rosy czekała.

O świetle słońce ją tam dostrzegło.

Porwało kroplę i umieściło ją na obłoku,

Czyniąc królową, by władała niebem razem z nim.

- Daj mi go! - wykrzyknęła Kueilan. Na jej drobnej twarzyczce malował się zachwyt, gdy końcem malutkiego palca wskazującego przesuwiała po czterech linijkach. - Żałuję, że nie ja to napisałam - powiedziała tęsknie.

- Panienko, daję ci go - oświadczyła Peonia. - Jest twój, jakbyś to ty była jego autorką.
- Nie powiesz mu, że nie napisałam go sama? - spytała ta rozpieszczona dziewczyna.
- Nigdy - obiecała Peonia. - Ale lepiej własnoręcznie go wykaligrafuj, panienko.
- Matko Chu, przynieś mi pędzel, tusz i mój jedwabny papier - poleciła Kueilan.

Siedziała w milczeniu jak mała królowa, nie proponując Peonii, by usiadła. Kiedy Matka Chu przyniosła pędzel, panienska z wielkimi ceregielami przygotowała się do pisania, potem wykaligrafowała wiersz na jedwabnym papierze, wysunąwszy koniuszek różowego języka, po czym misternie złożyła arkusz i wręczyła go Peonii.

- Zanieś mu to - powiedziała i odprawiła ją gestem ręki.

Peonia ukloniła się i wymieniwszy spojrzenia z Matką Chu, odeszła.

Gdyby Peonia udała się tą samą drogą, którą przybyła, mogłaby się wymknąć z domu Kunga, niewidziana przez nikogo poza Kueilan i Matką Chu. Ale Peonia była nie tylko inteligentna, ale również ciekawska, więc nie wróciła tą samą drogą. Uznała bowiem, że skoro już tu jest, obejrzy to sławne domostwo, a szczególnie wielki staw z lotosami, znajdujący się na centralnym dziedzińcu. I skierowała się tam, tylko od czasu do czasu zatrzymywana przez służących, którzy pytali ją, co tu robi. Odpowiadała spokojnie, że przyniosła wiadomość dla panienski i teraz szuka głównego wyjścia.

- Ten dom jest tak rozległy, że zabłądziłam - mówiła ze śmiechem.

Szła, aż zauważyła okrągłą bramę. Domyśliła się, że za nią jest centralny dziedziniec. Na paluszkach zbliżyła się do bramy, wyjrzała przez nią i zobaczyła przed sobą prześliczny ogród. Alejki wyłożono zielonymi płytkami, pośrodku widniał podłużny staw, pomiędzy liści sterczały na łodygach pąki lotosu. Wokół muru rosły brzoskwinie i śliwy, szkarłatne kwiaty granatu były w pełnym rozkwicie. Pośród nich bambusy kiwały swymi pierzastymi, przypominającymi paprocie liśćmi, tu i tam latały ptaszki. Uniósłszy głowę, Peonia dostrzegła rozpiętą wysoko w górze cienką siateczkę, która nie pozwalała odfrunąć ptakom.

Zapomniała o wszystkim. Przeszła przez bramę, cichutko zbliżyła się do stawu i utkwiała w nim wzrok. W przejrzystej wodzie pływały między lotosami złote i srebrne rybki. Z zachwyty wyrwał ją męski głos.

- Mała siostrze, skąd przyszłaś?

Peonia się przestraszyła i uniosła wzrok. Ujrzała przed sobą pana domu we własnej osobie, Kung Chena. Musiała teraz wyjaśnić, co tutaj robi. Uśmiechnęła się na tyle szeroko, żeby pojawiły się dołeczki w jej policzkach, i powiedziała:

- Przysłano mnie z domu Ezry, żebym dostarczyła szablon haftu, a potem nie mogłam się oprzeć pokusie, by nie obejrzeć tego dziedzińca, o którym tyle słyszałam. Właściwie każdy o nim słyszał. Proszę o wybaczenie.

Kung Chen spoglądał na nią życzliwie swoimi małymi oczkami, z uśmiechem gładząc się po brodzie. Twarz miał okrągłą i dobrotliwą, grube, miękkie wargi i szeroki, płaski nos, a brwi wąskie i rzadkie. W ten wiosenny dzień ubrany był w suknię z szarego jedwabnego brokatu, a ponieważ we własnym domu czuł się swobodnie, nie włożył żakietu ani kapelusza. Na nogach miał białe jedwabne skarpetki i buty z czarnego aksamitu.

Na obu kciukach nosił ciężkie pierścienie z nefrytami, w lewym rękę trzymał srebrną fajkę wodną. Był starannie ogolony i ta gładkość nadawała jego pełnej twarzy pozór szczerości.

- Nie masz mnie, za co przeproszać - odparł łaskawie. - Ciesz się widokiem stawu i dziedzińca tak długo, jak chcesz. Przychodzę tutaj codziennie o tej porze, tuż po posiłku, żeby popatrzeć na ryby.

Wskazał ustnikiem fajki staw. Peonia spojrzała na przejrzystą wodę, w której wesoło pluskały ryby.

- Jakże są szczęśliwe! - powiedziała tęsknie. - Tutaj, w tym domu, nawet one są bezpieczne i nie cierpią głodu.

- Czy w domu twojego pana są ryby? - spytał.

Wydawało się, że to niewinne pytanie, ale Peonia natychmiast się zorientowała, że to wstęp do dalszych pytań.

- O, tak - odparła szybko. - Mamy stawy z rybami. Trzymamy też pieska.

Kung Chen nabił fajkę i pyknął z niej dwa razy.

- Najlepsze są ptaki - mruknął. - Radują wzrok, ładnie śpiewają, a jeśli je umieścić w bambusowym zagajniku, przyciągają inne ptaki. Codziennie o zachodzie słońca sadzam swojego śpiewającego drozda na bambusach. Kiedy go nakarmię świeżym mięsem, śpiewa i zewsząd zlatują się ptaki. Siedzę tak nieruchomo, że biorą mnie za posąg wykuty w kamieniu.

- Jakie to musi być przyjemne! - rozmarzyła się Peonia.

- To najlepsze chwile w życiu - wyznał z prostotą.

Peonia czekała. Dzieliły ich pleć, wiek i pozycja społeczna.

Ale nie odczuwali skrępowania. Kung Chena cechowała skromność, odznaczał się wielką mądrością, budził zaufanie.

Wciąż wpatrując się w wodę, Peonia przemówiła:

- Nie powiedziałam ci prawdy, łaskawy panie.

W jego małych oczkach pojawiły się wesołe ogniki, ale nie roześmiał się na głos.

- Wiem o tym.

Spojrzała na niego ukradkiem i też się uśmiechnęła..

- Wyjaw mi teraz prawdę - zaproponował. - Ostatecznie i ty, i ja jesteśmy Chińczykami.

Ale nie mogła mu tak zwyczajnie powiedzieć prawdy.

- Panie, czy żywisz nienawiść do cudzoziemców? - zapytała.

Szeroko otworzył oczy.

- Czemu miałbym kogokolwiek nienawidzić? - spytał zdumiony, a po chwili milczenia stwierdził: - Czuć nienawiść do innego człowieka to jak hodować w swoich wnętrznościach robaka, który zżera cię od środka.

- W takim razie zadam drugie pytanie - oznajmiła.

- Proszę bardzo - odrzekł przyjaźnie.

- Czy oddałby pan swoją córkę za żonę cudzoziemcowi?

- Ha! - zakrzyknął Kung Chen. Pyknął dwa razy z fajki, po czym wytrząsnął z niej popiół. - Czemu nie...? Chyba wiem, do czego zmierzasz. W waszym domu mieszka panicz, a ja mam córki na wydaniu. O ile się orientuję, moja trzecia z kolei jest w podobnym wieku co on. Prowadzę interesy z waszym panem. Sprowadza z zagranicy towary, których inni nie mogą kupić. Tylko moje sklepy nimi handlują. Wkrótce podpiszemy umowę na wyłączność. Nie ukrywam, że drogo za nią zapłacę. Gdybyśmy byli spowinowaceni, byłoby to ze wszech miar korzystne dla naszych interesów. Ale... Nie jestem człowiekiem, który dla korzyści materialnych poświęciłby swoją córkę. Dlatego pomówmy o uczciwości i filozofii. Kiedy przyjeżdżają cudzoziemcy, najlepiej sprawić, żeby przestali się czuć cudzoziemcami. Innymi słowy, niech młodzi się pobierają i mają dzieci. Wojna wymaga ogromnych nakładów, miłość nic nie kosztuje.

Peonia przestała udawać skromność. Podziwiała Kung Chena i rozpierała ją duma, że są rodakami. To, co powiedział, było mądre i słuszne. Oświadczyła więc:

- Mój panicz kilka dni temu zobaczył waszą trzecią córkę i od tamtej pory nie może jeść ani spać.

- To dobrze - zauważył Kung Chen.

- Napisał dla niej wiersz.

- To zrozumiałe.

- Ona też napisała dla niego wiersz.

Usłyszawszy to, Kung Chen zrobił zdumioną minę.

- Moja trzecia córka nie umie układać wierszy. Kiedy poprosiłem jej nauczyciela, by wyćwiczył ją w tej sztuce, skarżył się, że jej umysł jest jak motyl.

Peonia się zaczerwieniła.

- Pomogłam jej - wyznała.

Kung Chen się roześmiał.

- Aha! - wykrzyknął. - Masz go przy sobie?

Dziewczyna wyciągnęła arkusz jedwabnego papieru. Kung Chen rozłożył go na swojej miękkiej, grubej dłoni i na poły śpiewnym głosem przeczytał wiersz.

- Bardzo dobry... Dla tego celu. Ale widzę, że nie napisałaś poprawnie słowa „władza”. - Wskazał wyraz cybuchem fajki.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała cicho Peonia.

- Niech tak zostanie - zdecydował Kung Chen. - Jeśli wiersz będzie zbyt dobry, twój panicz może zacząć coś podejrzewać. A teraz lepiej mu go dostarcz. Miłość musi rozkwitnąć, nim zwiędnie.

Peonia wzięła, więc wiersz, ukłoniła się i wyszła.

Czuła się znacznie szczęśliwsza niż wtedy, kiedy tu przybyła, i aż musiała się zastanowić, dlaczego tak jest. Doszła do wniosku, że zawdzięcza to Kung Chenowi, który w jakiś sposób sprawił, iż poczuła się zjednoczona z nim i ze wszystkimi Chińczykami. Nie była już sama. Przypominała kroplę wody w wielkim morzu swych rodaków, a jej los był powiązany z losami wszystkich ludzi wokół niej.

Och, gdyby Dawid przyłączył się do nas! - rozmarzyła się.

Odzyskała jasność umysłu. Odciągnie go od smagłych, smutnych ludzi, wśród których się urodził, i wyprowadzi go na słońce, którego ciepłymi promieniami radowali się jej rodacy.

Dawid zapomni o śmierci i nauczy się kochać życie.

Podniesiona na duchu, wróciła do domu i do swoich obowiązków. Ezra i Dawid przyszli z synagogi, wkrótce pojawiły się też madame Ezra i Lea. Szabas upływał zgodnie z rytuałami, które Peonia tak dobrze знаła, chociaż nie brała w nich udziału.

Jej rolą było służyć: więc tak jak poprzedniego wieczoru postawiła przed madame Ezra wielki kandelabr, by jej pani mogła zapalić świece, dając znak, że rozpoczął się szabas, tak teraz, kiedy się zebrawi na świąteczny posiłek, Peonia przyniosła wino i czekała z boku, kiedy Ezra je błogosławił i odmawiał szabasową modlitwę. Dyrygowała służbą, która wносиła wodę do umycia rąk, a następnie potrawy. Gdy nowo zatrudniony służący chciał podać Ezrze fajkę, pokręciła głową i ściągnęła brwi, wiedząc, że tego dnia nie wolno rozpalać ognia. Ezra mógł zapalić fajkę w swoim pokoju, ale nie tutaj.

I tak minął dzień. Peonia starała się nie zwracać uwagi na to, jak często Dawid rozmawia z Leą. Nawet, kiedy się do niej nie odzywał, spoglądał na nią w zamyśleniu. Gdy nadszedł wieczór, to Leę Dawid wyprowadził na dziedziniec, by odszukać trzy pierwsze gwiazdy na niebie, i poprosił, aby Lea oznajmiła koniec szabasu.

Peonia pobiegła, żeby zapalić świece i lampiony. Jeszcze nigdy tak się nie cieszyła, kiedy usłyszała, jak cudzoziemcy składają sobie życzenia na kolejny dzień. Dobry dzień, powiedziała sobie, przyjemny, zwykły dzień, należący do ludzi, a nie do obcego Boga. Przez cały szabas nie zamieniła z Dawidem ani jednego słowa, ale nie była przygnębiona. Może zaczekać.

Peonia odeszła i Kung Chen został sam w ogrodzie.

Miał w zwyczaju pracować długo i bez przerw w swoim kantorze, wychodził z domu wcześniej, a wracał późno. Szczęście mu dopisywało i był majątnym człowiekiem. Cieszył się swoim bogactwem, ale nie był chciwy. Kiedy czuł, że zbyt dużo czasu poświęca na zdobywanie pieniędzy, robił sobie przerwę i przez cały dzień nie pokazywał się w żadnym ze swych sklepów. Długie godziny siedział beczynnym w ogrodzie, błędząc myślami gdzieś daleko.

Właśnie w taki dzień spotkał nad stawem Peonię, a po jej odejściu usiadł na zielonej porcelanowej ławce, by obserwować ryby. Kiedykolwiek tak siedział, nikt nigdy mu nie przeszkadzał. Od czasu do czasu ktoś zaglądał przez bramę, ale po chwili wahania odchodził. W tym pełnym ludzi domu życie Kung Chena obfitowało w troski i obowiązki, lecz tutaj miał spokój. Pogodził się z tym, co mu życie przyniosło, i uważał się za człowieka szczęśliwego, jakim z pewnością był. Dla niego szczęście było czymś oczywistym i osiągalnym. Na ziemi pragnął bogactwa, szacunku swoich współpracowników, zadowolenia z kobiet oraz tylu synów, żeby nie musiał się martwić, jeśli jeden czy dwóch z nich umrze.

I miał to wszystko.

Niebios nie prosił o nic. Ponieważ nie wierzył w żadnych bogów, wiedział, że nie zdziwi go nic, co go spotka po śmierci.

Nie tęsknił za życiem wiecznym, ale gdyby się okazało, że przeznaczeniem człowieka jest nieśmiertelność, potraktowałby przyszłość tak, jak traktował teraźniejszość: z uśmiechem i głębokim przekonaniem, że on, jako człowiek uczciwy, nie musi się bać ani bogów, ani diabłów, jeśli istnieją. Kiedy Ezra raz go zapytał, czy wierzy w Boga, odpowiedział mu spokojnie:

- Jeśli istnieje Bóg i jest taki, jak go opisujesz, powinien być na tyle mądry, by nie wymagać ode mnie, żebym wierzył w to, czego nie widziałem.

Czynić dobrze, kochać sprawiedliwość, uznawać prawo wszystkich ludzi do przyjemnego życia - w takie rzeczy wierzył Kung Chen i robił wszystko, co w jego mocy, by postępować zgodnie ze swoimi przekonaniem.

Siedząc samotnie w ogrodzie, rozkoszując się urodą poranka, przejrzystością wody w stawie, kolorami przemykających ryb, zazwyczaj nie myślał o niczym i pozwalał odpoczywać swemu umysłowi. Dziś jednak spokój zakłóciła mu konieczność podjęcia decyzji w sprawie przyszłości trzeciej córki. Jeśli to prawda, że zaczęła myśleć o młodzieńcu, który był jedynym synem Ezry, nie należy za długo zwlekać. Przede wszystkim musi odpowiedzieć sobie na pytanie, czy pragnie takiego związku. Ojcu nie przychodzi łatwo decyzja oddania córki cudzoziemcowi, którego nazwisko nie figuruje w spisie stu prastarych rodów. Ale znając dzieje swojego narodu, Kung Chen wiedział, że przed nim inni decydowali się na taki krok w przekonaniu, że tylko w ten sposób można doprowadzić do wymieszania krwi wszystkich ludzi, co uznawał za słuszne. Niemniej jednak kochał swoje córki i nie chciał, żeby Kueilan musiała nieść przez życie zbyt ciężkie brzemie.

Kiedy tak rozmyślał, na jego oczach w stawie dokonał się prawdziwy cud. Dzień czy dwa temu zauważył, że samiczka bojownika syjamskiego jest ciężka od ikry. Dlatego polecił kupić samczyka, co właśnie wczoraj uczyniono. Teraz zobaczył, że samczyk dumnie pływa w stawie. Był bardzo ładny, spowity obłokiem opalizujących płetw. Krążył tuż pod powierzchnią wody, promienie słoneczne wpadały w jego łuski jak w mikroskopijną sieć. Właśnie w tej chwili samiczka też go dostrzegła i radośnie ku niemu popłynęła.

Kung Chen wiedział, co się teraz stanie. Obserwował, uśmiechając się rozczulony, scenę miłosną rozgrywającą się na jego oczach. Samczyk na widok samiczki wypuścił bąbelki, które poszybowały do góry. Samiczka podpłynęła do niego i obie rybki splotły się ciałami. Pozostając w uścisku, samczyk delikatnie odwrócił samiczkę i otoczył ją złotymi płetwami.

Nastąpiła chwila uniesienia, potem rybki się rozdzieliły i samiczka rozsypała ikrę. Samczyk po kolei brał jajeczka do pyszczka i podpłynawszy w górę, umieszczał je w skupisku pęcherzyków. Rybki co rusz się łączyły, a potem rozdzielały, aż biedna samiczka nie mogła dłużej znieść żarliwości partnera.

Ale ten się rozzłościł, gdy zaczęła go unikać, i gonił ją, by zmusić do uległości. Kiedy Kung Chen zobaczył jej cierpienie, roześmiał się w duchu, zanurzył rękę w wodzie, złapał rybkę i umieścił ją w stojącym nieopodal porcelanowym pojemniku z wodą, gdzie trzymano rybki, kiedy zaczynały walczyć w stawie. Widząc, jak samczyk na próżno szuka samiczki, Kung Chen parsknął śmiechem.

- Nie złość się, kawalerze. Miała cię dość!

Znów usiadł na ławce, a rozdzieleni kochankowie zajęli się swoimi sprawami. Ale ta mała scenka skłoniła jego umysł do pracy. Przypomniawszy sobie ładną buzię Peonii, wyobraził sobie tę dziewczynę w domu Ezry, swojego cudzoziemskiego przyjaciela, i pomyślał, że to musi być dziwne miejsce dla takiej młodej i urodziwej osobki. Potem wspomniawszy syna Ezry i się uśmiechnął. Następnie pomyślał o Kueilan i znów spowaźniał.

Nie rozważałby takiego małżeństwa, gdyby była jego jedyną córką albo gdyby chodziło o małą Liii. Najmłodsza córeczka była jego ulubienicą, bo urodziła ją kobieta, którą kochał.

Zadana przez nią rana jako tako się zagoiła, ale blizna zostanie na zawsze. Kung Chen nie był rozwiązłym mężczyzną. Nie miał wielu kobiet w życiu. Zgodził się poślubić tę, którą wybrali dla niego rodzice, i żył z nią w miarę poprawnie, choć niezbyt szczęśliwie. Urodziła mu czterech synów i trzy córki. Kilka lat temu zakochał się w dziewczynie, którą zobaczył w domu uciech. Za zgodą swej małżonki sprowadził ją pod swój dach i wydawało mu się, że jego życie osobiste jest spełnione.

Rok temu nakrył dziewczynę z jego własnym służącym.

Kiedy minął mu gniew i pogрузzył się w smutku, zrozumiał, że cierpienie też stanowi część miłości. Początkowo myślał o ukaraniu tych dwojga, którzy go zdradzili, ale potem uświadomił sobie, że karząc ich, nie odzyska miłości kobiety ani lojalności mężczyzny, że będzie to tylko przejaw braku umiarkowania z jego strony. Nie mógł sobie pozwolić na coś takiego, więc wezwał obydwójce i z uśmiechem na ustach, grzecznymi słowami powiedział im, by odeszli i założyli rodzinę. Dał im pieniądze i ich odprawił, ale zatrzymał córeczkę. Piękna kobieta obejrzała się tęsknie, kiedy dotarło do niej, z czego musi zrezygnować, wybierając służącego zamiast jego pana, lecz Kung Chen pozostał niewzruszony. Kobieta zrozumiała, że naprawdę utraciła swoje dziecko, i odeszła.

Chociaż Kung Chen przestał myśleć o miłości, zaloty rybek przypomniały mu o niej na nowo. Jawiła mu się niby jakiś zapomniany sen... Westchnął. Miłość szybko przemija i nikt nie potrafi odwlec jej końca, a małżeństwo nie ma nic wspólnego z miłością. Jeśli Kueilan wpadł w oko młody cudzoziemiec i jeśli jego rodzina ją zaakceptuje, jak bez wątplenia każda rodzina z radością przyjąłaby jego córkę, korzystnie wpłynie to na stan jego interesów. Jeśli odmówi synowi Ezry ręki Kueilan, później trudno mu będzie z nim handlować.

Może nigdy nie dojdzie do podpisania umowy między nimi.

Ezra zwróci się do innego kupca, a w mieście nie brakowało dobrych kupców, choć żaden z nich nie dorównywał bogactwem Kung Chenowi. Wysoce irytujące byłoby obserwowanie, jak któryś z nich pomnaża swój majątek, sprzedając zagraniczne towary kupione od Ezry. Tak, małżeństwo to dobry sposób, by związać się z Ezrą i jego rodem. Dzięki temu ich współpraca przemieni się w coś więcej niż tylko zwykły interes. Prowadząc interesy, należy uwzględniać więzi międzyludzkie. Im związki są bardziej osobiste, tym interesy są trwalsze, silniejsze. Kung Chen uważał Ezrę za człowieka równie uczciwego, jak on sam.

Ale kiedy w grę wchodzi duże kwoty pieniędzy, nie można być pewnym nikogo. Lecz jeśli Ezra i on doprowadzą do małżeństwa swych dzieci, staną się jedną rodziną, a wtedy samo dopuszczenie myśli o tym, że mogliby oszukiwać się w interesach, będzie czymś absurdalnym.

- Nazwiemy to tylko sprytem - mruknął do rybek w stawie.

Cóż, jego trzecia córka będzie szczęśliwsza w domu cudzoziemców, jeśli będzie tam Peonia, młoda Chinka, by służyć jej jako powiernica. Musi porozmawiać z Kueilan, jeśli mają zaaranżować to małżeństwo. Ale najpierw powinien porozmawiać z jej matką.

Kung Chen wstał z ociąganiem i niespiesznie skierował się ku dziedzińcowi swej żony. Kiedy znalazł się pod drzwiami do jej komnat, zaklaskał w ręce. Wybiegła służąca i widząc go, poprosiła, by wszedł do środka.

- Czy matka moich synów jest wolna? - zapytał.

- Moja pani siedzi na słońcu i nie ma nic do roboty - odparła służąca.

Kung Chen wszedł więc i zobaczył, że jego żona, otyła kobieta w średnim wieku, siedzi w wielkim wiklinowym fotelu, a u jej stóp kotka bawi się myszką, którą upolowała. Madame Kung uniosła wzrok, kiedy wszedł jej mąż, na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Spójrz na tę mądrą kotkę! - wykrzyknęła. - Złapała dziś dwie myszy.

- Myślałem, że jesteś buddyjką - powiedział żartobliwie.

- Nie zabiłabym myszy - oświadczyła kobieta.

- Nie jesteś kotką - zauważył.

- Masz rację - przytaknęła skwapliwie.

- A kotka nie jest buddyjką...

Na tę żartobliwą uwagę nic nie odrzekła, tylko dalej obserwowała kotkę. Ale Kung Chenowi to nie przeszkadzało. Dawno temu zrozumiał, że jego żona ma mały rozumek, nie bardziej pojemny niż filiżanka, i lepiej go zbyt nie przeciążać. Dokładnie znał jej

możliwości, nigdy za dużo od niej nie wymagał, więc nigdy się nie kłócili. Teraz usiadł tak, żeby nie widzieć kotki, która delikatnie miażdżyła kości swej ofiary.

- Przyszedłem, by zasięgnąć twojej rady w sprawie naszej trzeciej córki - zagał.

Jego żona ze zniecierpliwieniem machnęła pulchną dłonią, ozdobioną złotymi pierścionkami.

- Niegrzeczna dziewczyna! - wykrzyknęła. - Nie chce się uczyć haftu i jestem pewna, że Matka Chu wyszywa za nią.

- Nasza trzecia córka wdała się we mnie. Ja też nigdy nie lubiłem haftować - oznajmił Kung Chen. Twarz miał poważną, ale w oczach błyskały mu figlarne iskierki.

- Przecież nigdy cię nie nauczano haftu! - Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Masz rację - zgodził się. - Gdyby to zrobiono, nienawidziłbym tego. Kueilan jest moją córką... Wybacz mi!

Madame Kung się uśmiechnęła, pojawił się, że mąż znów żartuje, i zamilkła, z przyjemnością obserwując kotkę. Jej pulchne dłonie leżały na perłowszarej atłasowej sukni, niczym na wpół rozwinięte kwiaty żółtych lotosów. W młodości była taka ładna, że Kung Chenowi zajęło kilka lat odkrycie jej głupoty.

W pierwszej chwili poczuł, że ogarnia go gniew. Zamierzał pójść do swojej córki i porozmawiać z nią, skoro rodzona matka tak mało się przejmuje jej losem. Ale się rozmyślił.

Jeszcze za wcześnie. Lepiej poczekać, aż go poproszą o jej rękę. A najlepiej wszystko odwlec - jego trzecia córka jest jeszcze bardzo młodzieńca. Niemniej jednak był tak poruszony, że wiedział, iż tego dnia już nie odpocznie. Zawrócił i wolnym, statecznym krokiem ruszył ku wielkiej bramie wychodzącej na ulicę, gdzie czekała dwukółka, zawsze gotowa na jego pojawienie się. Odźwierny krzyknął i poganiacz muła zerwał się na równe nogi. Kung Chen zajął miejsce w dwukółce.

- Zawieź mnie do kantoru - polecił. ..:<*

Poganiacz trzasnął z bicia i pojazd ruszył.

Modląc się w synagodze podczas szabasu, madame Ezra snuła wielkie plany. Jej myśli biegle to tu, to tam. Specjalnie nie powiedziała Ezrze, że poprosi rabina, by przez jakiś czas był gościem w ich domu. Jak długo? Któż to wie? Może tydzień, a może i miesiąc - przynajmniej dopóty, dopóki Dawid nie oświadczy, że jest gotów pojąć Leę za żonę. Gdyby zwierzyła się ze swych zamiarów Ezrze, zakrzyknąłby, że Dawida nie wolno do niczego przymuszać. Ale przecież nie zamierzała tego czynić. Taka była wola Boga.

Wola Boga - jak słodko brzmiały te słowa i jak pobudzały ją do działania. Lecz synagoga była miejscem, gdzie należało zachować opanowanie. Zniszczenia nie rzucały się

zbyt w oczy - na razie. Zasłonki były stare, ale wciąż całe dzięki kobietom, które z pełnym oddaniem je cerowały. Większość Żydów żyła biednie, ich domy otaczały synagogę ciasnym pierścieniem. Czasami madame Ezra gnębiły wyrzuty sumienia, że nie dzieli ubóstwa małej społeczności, która pozostała z niegdyś liczącej wielu członków gminy żydowskiej.

Gdzie się podzieli? Wszystkich ich to zastanawiało. Nie cierpieli wskutek prześladowań ze strony Chińczyków, którzy nie okazywali im niechęci, a i tak ich grono topniało, każde kolejne pokolenie okazywało się mniej liczne od poprzedniego. Na myśl o tym madame Ezra ogarniał gniew. Naturalnie łatwiej było stać się Chińczykiem, łatwiej zmienić się w bezbożnika, niż pozostać Żydem. Miała dodatkowy bodziec, by żyć, ściśle przestrzegając tradycji, pomimo swego bogactwa - a może właśnie dlatego. Biedny Żyd może być zmuszony do wyboru między Bogiem a pieniędzmi. Ona nie musiała się godzić na żadne kompromisy. Pochłonięta takimi myślami, jeszcze bardziej się umocniła w swoim postanowieniu. Jak tylko skończą się modły, porozmawia z rabinem. Dopiero wtedy, kiedy nic nie będzie zagrażało jej zamiarom, powie o nich Ezrze. I nie będzie trudno zostać dłużej w synagodze, bo wysokie przepierzenie z rzeźbionego drewna oddzielało kobiety od mężczyzn i madame Ezra modliła się osobno, a nie razem z Ezrą. Lea siedziała obok niej, Dawid był z ojcem.

Odeśle Leę z Matką Wang do domu, a sama uda się do rabina.

Spłynął na nią spokój, kiedy wyraźnie zobaczyła drogę przed sobą. Wzniosła oczy do góry, by spojrzeć na rabina stojącego obok pulpitu, na którym umieszczono Sefer Torę.

Włożył długi czarny chałat, wokół głowy w czarnej jarmułce przewiązał białą tkaninę, opadającą mu na plecy. Aron, ubrany tak samo, tyle że w niebieskiej jarmułce, wskazywał fragmenty tekstu na zwoju. Wydawało się, że rabin czyta, ale w rzeczywistości cytował z pamięci zdanie po zdaniu. Jeśli się zawahał, co rzadko się zdarzało, Aron podpowiadał mu donośnym głosem.

Po skończonym nabożeństwie madame Ezra stwierdziła, że wcale nie jest jej łatwo nakłonić rabina, by zamieszkał w domu Ezry. Kiedy mu wszystko wyłuszczyła i prosiła go, by niezwłocznie się z nią udał, pokręcił głową.

- Niech twój syn przychodzi do mnie, żeby studiować Torę - oświadczył stanowczo.

Madame Ezra jęknęła głośno, gdy to usłyszała.

- Rabbi, czemu mam cokolwiek przed tobą ukrywać? A co będzie, jeśli nie przyjdzie? Teraz, owszem, jest pełen zapachu.

Poruszyło go to, co Kao Lien powiedział o prześladowaniach naszych braci i sióstr. Ale jest młody. Może się zdarzyć, że nie zechce przyjąć. Będzie się usprawiedliwiał, że musi

się wyspać, pobawić z ptakami lub z psem, napisać wiersz... Nie zabraknie mu wymówek! Lecz jeśli zamieszkaś w naszym domu, nie będzie mógł przed tobą uciec.

Rabin zastanowił się nad tym.

- Jestem sługą bożym - rzekł w końcu. - Muszę zasięgnąć rady Naszego Pana.

Madame Ezra, będąc kobietą z natury nieustępliwą, uznała, że musi powiedzieć coś jeszcze. Doskonale wiedziała, jaka jest wola Ich Pana; teraz jedynie należało sprawić, żeby stało się to równie oczywiste dla tego poczciwego, ale upartego starca.

- Rabbi, wiesz, a mówię to bez próżności, że nasza rodzina może służyć za wzór dla innych członków naszej gminy. - Dostrzegła uśmiech błędzący na ustach ślepego rabina i pospiesznie dodała: - Tak, tak, wiem, że Ezra ma rozdarte serce i mogę ci się przyznać, że przepłakałam wiele nocy z powodu jego umiłowania przyjemności. Ale doskonale wiesz, rabbi, że własną gorliwością staram się wypełniać obowiązki za nas oboje.

- Wiem - przyznał rabin.

- Jednak nie będę żyła wiecznie - ciągnęła madame Ezra. - I muszę dopilnować, żeby mój jedyny syn postępował tak, jak jego przodkowie. Jeśli poślubi Leę...

Rabin przybrał zdumioną minę.

- Czyż właśnie nie tak ma się stać? - zapytał.

- Naturalnie, że tak - oświadczyła madame Ezra lekko zniecierpliwiona. - Ale póki nie dojdzie do ślubu, nie możemy powiedzieć, że jest jej mężem. Rabbi, nie rozumiesz młodych. Zapewniam cię, że Dawid, pozostawiony samemu sobie, byłby najlepszym synem, ale wciąż na niego spoglądają Chinki. Nie będę pewna, póki...

- A czy Dawid spogląda na nie? - przerwał jej rabin.

Madame Ezra nie odpowiedziała na to pytanie.

- Nie będzie spoglądał na żadną kobietę, kiedy poślubi Leę.

- Dlaczego od razu jej nie poślubi? - spytał naiwnie rabin.

Madame Ezra westchnęła.

- Rabbi, mówiąc otwarcie, Dawid musi najpierw chcieć ją poślubić.

Słyszając to, rabin bardzo się zasepił.

- Nie chce jej poślubić?

- Młodzi często nie wiedzą, czego chcą, póki im się tego jasno nie powie - odparła madame Ezra.

Rabin przez jakiś czas rozważał jej słowa, siedząc ze spuszczoną głową, rękami wsparłszy się na lasce. Potem uniósł wzrok, jakby nie był ślepy.

- A co ja mam z tym wspólnego? - zapytał.

- Nic - zapewniła go pospiesznie madame Ezra. - To wyłącznie mój obowiązek... I Lea mi w tym pomoże. Ale ty, rabbi, musisz zapoznać Dawida z naukami Naszego Pana. Zapoznaj go z Torą, skłoń jego serce ku Bogu... A my zrobimy resztę.

Rabin zastanowił się nad tym, a potem rzekł:

- I tak muszę stanąć przed Naszym Panem i Go zapytać. Zostaw mnie samego, moja córko.

Madame Ezra żwawo wstała z krzesła.

- Dobrze, rabbi. - W jej głosie słychać było rozdrażnienie. - Obyś szybko się do nas wprowadził!

Kiedy wyszła, rabin wrócił krytym przejściem do synagogi.

Znał tę drogę doskonale, jego stopy trafiały na lekkie wgłębienia, które z czasem powstały w kamiennych płytach. Minęło wiele lat od dnia, kiedy na własne oczy widział świątynię, ale pozostały mu inne zmysły. Dlatego teraz w nos uderzał go zapach stęchlizny, bijący od zasłonek, a gdy wrażliwymi opuszkami palców dotykał drzwi, stołu, pulpitu, czuł kurz, przypominający drobinki piasku. Stąpając po płytach posadzki, wiedział, że nie zamieciono podłogi nawet na szabas. W pewnej chwili odniósł wrażenie, że nie jest sam, i wyteżył słuch. Tak, usłyszał wolny, głęboki oddech.

- Kto śpi w Domu Bożym? - spytał głośno.

Rozległo się chrząknięcie, a potem dobiegł go czyjś zduszony, zaspany głos.

- Co? To tylko ja, rabbi... Stary Eli! Zmorzył mnie sen. Czy nabożeństwo już się skończyło?

To był ojciec Racheli, do którego obowiązków należało sprzątanie synagogi.

- Nie powinieneś tu spać - skarcił go rabin. - Nabożeństwo skończyło się już dawno temu.

- Tak tutaj cicho - powiedział przepaszająco Stary Eli.

- Z wyjątkiem dni świątecznych nie ma tu nikogo poza tobą, rabbi, a ty nie zaglądasz tu o tej porze.

- Podejdz bliżej - polecił mu niespodziewanie rabin.

Czekał, aż usłyszy szuranie nóg mężczyzny. Po chwili zapytał:

- Czy wiesz, co się stało ze srebrnymi naczyniami?

Stary Eli chrząknął cicho.

- Srebrne naczynia... - wymamrotał. - Cóż...

- Mów! - ponaglił go rabin surowym tonem.

- Są teraz cynowe - dokończył Eli.

- Poczulem różnicę - mruknął rabin. - Wiedziałem o tym, kiedy je trzymałem dziś rano. - Uniósł głowę i na jego twarzy pojawiło się niewytłumaczalne cierpienie.

- Dlaczego się tym przejmujesz, rabbi? - spytał ze współczuciem Eli. - Młodzi kapłani są zawsze... - Urwał.

Rabin zaczął drzeć na całym ciele.

- Powiedz mi, co zrobił mój syn - nakazał.

- Stary Eli znów chrząknął, wyraźnie ociągając się z odpowiedzią. Otarł głowę i twarz rękawem, ale nie mógł nie usłuchać rabina. Roześmiał się niefrasobliwie, żeby dać mu do zrozumienia, że nie ma powodu do smutku, i rzekł pocieszająco:

- Cynowe naczynia są pozłacane i niczym się nie różnią od starych. Wiesz, rabbi, że chińscy rzemieślnicy są bardzo biegli i kiedy młody nauczyciel powiedział im...

- Mój syn sprzedał srebrne naczynia z synagogi! - wymamrotał rabin.

- Ale niech się nie dowie, że ja ci o tym doniosłem - poprosił cicho Stary Eli.

- I tylko ja się na tym poznałem! - mruknął stary rabin.

- Ci, którzy przychodzą się modlić...

- Nieliczni przychodzą, rabbi - zauważył Stary Eli, żeby go pocieszyć.

Rabin się zachwiał. Eli podszedł do niego i ujął go pod rękę.

- Chodź ze mną, rabbi - rzekł łagodnie. - Chodź i odpocznij. Jesteś za stary, żeby się martwić. Starzy ludzie powinni się cieszyć, jak dzieci. Pora teraz, żebyś dużo sypiał, wygrzewał się na słońcu, dobrze jadł i pozwolił, żeby inni cię obsługiwali.

- Mówisz jak Chińczyk - stwierdził rabin.

W jego głosie słyhać było gorycz, ale Stary Eli się roześmiał.

- Tak... Bo w szczęściu siódmym jestem Chińczykiem! Poza synagogą wołają na mnie Stary Li. Przywykłem do tego imienia.

Ostrożnie zaprowadził rabina do domu, tam go posadził na krześle i zakrzętnął się wokół niego. Poszedł do kuchni i poprosił Rachelę, by przyniosła miseczkę bulionu. Rabin pozwalał mu robić to, co Stary Eli uznał za stosowne. Siedział, jakby ogłuszony kamieniem, który spadł mu na głowę. Tylko raz przemówił, pijąc bulion. Głosem człowieka o złamanym sercu powiedział:

- Jesteś dla mnie lepszy od mojego własnego syna.

- Młodym kapłanom jest teraz ciężko - próbował go pocieszać Stary Eli.

Po wyjściu Eliego rabin długo zastanawiał się nad jego słowami.

- Tak - mruknął po namyśle. - Tak, mojemu synowi jest ciężko. O, Jahwe! Jeśli ktoś inny ma zająć jego miejsce, niech tak się stanie. Zamieszkam w domu Ezry.

W taki oto sposób rabin poznał wolę Boga. Nazajutrz po szabasie udał się do domu Ezry, zabierając ze sobą Arona. Ale poprosił Rachełę, żeby została w jego domu, by w każdej chwili mogli do niego wrócić. Aronowi, swemu synowi, nie powiedział nic. Ani nie czynił mu wyrzutów, ani nie zdradził się ze swoim rozgoryczeniem.

Przez trzy dni Peonia trzymała w szufladzie stolika wiersz od Kueilan dla Dawida, czekając na stosowny moment, by mu go doręczyć. Ale ów moment nie nadchodził. Po szabasie Dawid zamknął się w sobie, dużo czasu spędzał z ojcem w kantorze. Właściwie rzadko bywał w domu, a kiedy pojawiał się późnym wieczorem, unikał kobiet i siedział sam w swoich komnatach, czytając. Peonia czekała, aż mu minie ten nastrój, wiedząc, że daremne są wszelkie próby zmuszenia go do rezygnacji z takiego pustelniczego trybu życia. A potem, zanim się nadarzyła okazja, której wyglądała, wprowadził się do nich rabin ze swoim synem Aronem. Umieszczono ich w pawilonie, przylegającym do dziedzińca Ezry.

Teraz Dawid naprawdę stał się dla niej nieosiągalny. Służyła mu jak zwykle, ale była bardziej milcząca niż dawniej i skłonna do melancholii. Dawid jak gdyby w ogóle nie zauważał Peonii. Ranki spędzał z rabinem. Starzec nakazał, by Aron też im towarzyszył. Aron, jakby się czuł zastraszony w tym dużym domu, gdzie madame Ezra na wszystko miała baczenie, nie śmiał mu się sprzeciwić. Peonia zabiegała o to, żeby to jej czasami polecano zanieść gorącą herbatę do pokoju, by mogła zobaczyć, czym zajmuje się Dawid. Widziała go, jak ślęczy nad książką lub zwojami rozłożonymi przed nim na stole, a Aron wierci się, wyglądając przez okno. Chłopak jednego się nauczył: żeby zachowywać się cicho, cokolwiek robił, by jego ślepy ojciec się nie zorientował, że syn wodzi wzrokiem dookoła i ziewa. Po kilku dniach Lea też przyszła, aby czytać księgi. Stało się tak dlatego, że Dawid zwierzył się matce, jak męczący jest Aron. Madame Ezra się przeraziła, że Aron będzie denerwował Dawida, więc uprosiła Leę, by zechciała im towarzyszyć. Poza tym oświadczyła, że jeśli Aron nadal będzie się zachowywał niewłaściwie, to osobiście pofatyguje się do biblioteki. Lea miała to powtórzyć Aronowi, żeby go nastraszyć, i uczyniła to.

Kiedy Peonia się dowiedziała, że Lea ma codziennie przesiadywać w bibliotece razem z Dawidem, zrozumiała, że nie może dłużej czekać na stosowny moment. Pewnego wieczoru, gdy zaniósła ostatni czajniczek gorącej herbaty do pokoju Dawida, jak miała w zwyczaju to robić, zanim w domu zaszły zmiany, nie oddaliła się od razu, tylko chrząknęła. Dawid był w sypialni, ale od jakiegoś czasu skromność nie pozwalała jej wchodzić tam tak swobodnie, jak dawniej.

Natychmiast podszedł do drzwi, żeby zapytać, czego chce.

Zdjął wierzchnią suknię i stał teraz w białym jedwabnym kaftanie i spodniach, oczy miał błyszczące, policzki czerwone.

Na jego widok Peonii mocniej zabiło serce.

- Przyniosłam herbatę - powiedziała łagodnie.

- Dlaczego mi o tym mówisz? - spytał ze zdumieniem.

- Dlaczego jej nie wniosłaś do sypialni, jak to zawsze czyniłaś?

Dopiero wtedy weszła do sypialni, a kiedy postawiła herbatę, z szerokiego rękawa wyciągnęła złożoną kartkę i mu ją podała.

- Czekałam, żeby ci to wręczyć - oznajmiła - ale nie mogłam się doczekać stosownej chwili, bo jesteś teraz taki zajęty.

Wziął kartkę i usiadł, a ona stała, kiedy czytał wiersz.

Uniósł głowę i zobaczył, że stoi.

- Usiądź - polecił jej. Usiadła więc, a on jeszcze raz przeczytał wiersz i spojrzał na nią.

- Jest bardzo ładny. Ona go napisała?

- Widziałam, jak go kaligrafowała swoim własnym pędzelkiem - odparła Peonia. A potem mu wyznała: - Zniosłam jej twój wiersz... Ten, którego nie dokończyłeś.

- Widziałaś ją?! - wykrzyknął, najwyraźniej nie przejąwszy się tym, co zrobiła Peonia. Skinęła głową.

Pochylił się nad stołem.

- Jak wyglądała?

- Lepiej o niej nie mówmy.

- Dlaczego? - Jego spojrzenie było nieprzeniknione, w ręku wciąż trzymał wiersz.

Peonia przybrała smutny wyraz twarzy.

- Jest łagodna, młoda, śliczna... Taka delikatna... nie wolno jej skrzywdzić.

Dawid lekko się zarumienił...; - Nie wiem, o co ci chodzi - oświadczył.

- Och, dobrze wiesz - odparła z powagą. - Po tym, jak cię zobaczyła, jest gotowa cię pokochać, biedactwo. A kiedy się dowie... - Urwała.

- O czym ma się dowiedzieć? - ponaglił ją Dawid.

Pokręciła głową i milczała, aż się rozzłościł. Rzucił wiersz na stół.

- Peonio, rozkazuję ci, żebyś powiedziała, o co ci chodzi.

Jeśli jest coś, czego nie znoszę, to jak kobieta robi jakieś aluzje, a nie chce otwarcie wyznać, co ma na myśli.

Usłyszawszy to, Peonia też wpadła w gniew. Spojrzała mu prosto w oczy i przemówiła z pasją:

- Nie wolno ci jej widywać. Oto, o co mi chodzi! Zaczyna o tobie myśleć, a nie powinna!

- Nie tobie to oceniać. Dlaczego chcesz mnie z nią rozdzielić?

W głębi duszy Dawid był zaskoczony własną obłudą. Czyż nie pozwolił, by Lea sobie wyobrażała, że ją kocha? Znów przypomniał sobie - co mu się ostatnio często zdarzało - tamtą chwilę w ogrodzie brzoskwiniowym, kiedy trzymał Leę w ramionach. Było to wspomnienie zarazem miłe, jak i przykre. Czasami krew szybciej krążyła mu w żyłach, gdy o niej myślał. Kiedy widział szczerą i śliczną twarz Lei, pochylającej się nad Torą albo z oddaniem spoglądającej na ojca, był wzruszony. Jednak zaczynał pojmować, że ich małżeństwo nie będzie takie, jak innych ludzi. Jego wybór będzie miał znaczenie nie tylko dla niego. Bez względu na to, jak bardzo chciałby być taki jak inni, wiedział, że coś go od nich różni.

- Nie myślę o tobie - powiedziała Peonia. - Myślę o Kueilan.

Nagle ogarnął go gniew na Peonię.

- Kiedyś myślałaś o mnie! - wykrzyknął.

- Dlaczego miałabym to nadal robić? - zapytała.

Jej głos brzmiał szorstko, jak nigdy przedtem, twarz miała zimną i obojętną. Był wstrząśnięty.

- Peonio! - wyszeptał. - Co się z tobą stało?

Pochyliła głowę.

- Ze mną się nic nie stało - zapewniła go. - To ty...

- Przecież jestem taki, jak zawsze - upierał się.

Pokręciła głową.

- Już nie.

Wyciągnął rękę przez stół i ujął jej dłoń. Próbowala mu ją wyrwać.

- Puść mnie! - zażądała.

- Nie! - krzyknął. - Nie, póki mi nie opiszesz, jak wyglądała! - Powiedział to, żeby ukryć swoje zmieszanie.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Trzymał Peonię za rękę, splótłszy palce z jej palcami, a ona ledwo mogła opanować ich drżenie. Chciała oswobodzić rękę i chciała, żeby ją trzymał.

Miała ochotę się rozplakać, serce waliło jej mocno w piersiach.

Potem zaczęła mówić cicho, nie patrząc na niego..

- Miała... Miała na sobie zielony jak paproć...

- Jej twarz - rzucił niecierpliwie.

- Przecież wiesz, że jest prześliczna.

- Powiedz mi, jaka jest śliczna - rozkazał.

- Jej... Jej usta są małe i czerwone jak owoc granatu, dolna warga trochę pełniejsza od górnej... Ma malutkie, białe ząbki... Mały język... Kiedy pisała wiersz, widziałam jego koniuszek, bo go wysunęła, jak kotka. - Umilkła.

- Co jeszcze? - dopytywał się.

- Oczy... Bardzo czarne... W kształcie moreli... Brwi jak liście wierzby... Twarz raczej pociągła niż okrągła... Malutkie, delikatne uszy... Wpięła różę we włosy.

- Mów dalej - polecił Dawid.

- Pochyliłam się nad nią, kiedy pisała... Jej oddech był tak słodki, jak kwiat... I ma takie małe dłonie... Jeszcze mniejsze od moich.

Położył jej dłoń na swoim ręku.

- Masz małe dłonie - stwierdził.

- Nie rozkochaj jej w sobie - szepnęła błagalnie.

- Skąd wiesz, że o mnie myśli? - spytał.

- Wiem - odparła cicho i spuściła głowę.

- Mów!

- Nie mogę. Tylko to czuję.

Zapadła między nimi cisza. Dawid wstał, podszedł do regału z książkami i zaczął się w nie wpatrywać. Wiedziała, że nie myślał o nich.

- Chcę znów ją zobaczyć - oznajmił, nie odwracając się.

Ukryła uśmiech, zasłaniając twarz rękawem.

- Nie - powiedziała.

Podszedł do stołu i uderzył dłonią w blat.

- Tak! - wykrzyknął.

- Jesteś nikczemny - oświadczyła.

- Skąd mam wiedzieć, co powinienem uczynić, zanim jej znów nie zobaczę? - spytał.

Zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Jeśli to zaaranżuję, czy obiecasz mi, że nigdy więcej do niej nie napiszesz ani nie poprosisz jej o spotkanie, ani nie zrobisz nic, co złamałoby jej serce?

Oczy mu błysnęły i uśmiechnął się.

- Obiecuję ci jedno: po tym, jak ją zobaczę, zdecyduję, czy chcę do niej jeszcze pisać i ją widywać.

Ich spojrzenia się spotkały. Po chwili Peonia wstała z wdziękiem.

- A zatem niech to pozostanie między nami - rzekła dobitnie. Dotknęła ręką imbryka z herbatą: wciąż był gorący.

Powiedziała więc Dawidowi „dobranoc” i wyszła, wielce z siebie kontenta.

Wobec tego wszystkiego, co się działo w jego domu, Ezra zachowywał niezwykle milczenie. Zbyt nim wstrząsnęła opowieść Kao Liena, by pozostał na nią obojętny, chociaż ostatnie dni okazały się na tyle absorbujące, że jego wspomnienia trochę zblakły. W jakiś osobliwy sposób jego żona była jego sumieniem i bez względu na to, jak bardzo się buntował, żył w wiecznym strachu, że być może ona ma rację, tylko on tego nie dostrzega. W interesach wszystko jest takie oczywiste. Gdy chodziło o Boga, czuł się tak, jakby się znalazł w wodzie, której nie potrafiła zgłębić jego dusza. Naomi sprawiła, że przypomniał sobie swojego ojca, którego kochał i zarazem się bał, smutnego mężczyznę, łagodnego, lecz pogrążonego w wiecznej melancholii, której powodu Ezra nigdy nie zrozumiał. Kiedy był dzieckiem, smutek ojca sprawiał, że Ezra czuł się winny, chociaż w niczym nie zawinił, a tylko dzielił winę ze swoją matką Chinką. Nigdy jednak nie usłyszał choćby słowa potępienia, a już z całą pewnością jego matka nie poczuwała się ani do grzechu, ani nie była smutna, podobnie jak Ezra, kiedy przebywał z nią.

Jednak po śmierci matki ze zdwojoną siłą odżyło w nim poczucie winy i częściowo z tego powodu zgodził się poślubić młodą Naomi, nie sprzeciwiając się woli ojca. Przez jakiś czas po ślubie zachowywał się bardzo odpowiedzialnie, pragnąc sprawić przyjemność swojej urodzivej żonie; potem, stwierdziwszy, że cokolwiek zrobi, i tak jej wystarczająco nie zadowoli, zaczął żyć tak, jak wcześniej, i znów stał się człowiekiem pogodnym. To znaczy był radosny, póki ktoś nie zmacił ciemnych wód niewytłumaczalnej winy, którą nadal nosił w duszy.

A Kao Lien właśnie to uczynił, kiedy opowiedział o pogromach Żydów.

Teraz Ezra po części sam widział, co się dzieje w jego domu, resztę mówili mu jego chińscy służący. Milczał, bo czuł się rozdarty. I tak, dzięki przenikliwości starej Matki Wang, dowiedział się, że rabin snuje wielkie plany na wypadek, gdyby się okazało, że jego własny syn Aron nie sprawdzi się jako przywódca Żydów. Ślepiec umyślił sobie, że jego miejsce zajmie Dawid. Wprawdzie nie widział Dawida, ale po tym, jak przez wiele dni go uczył, powiedział któregoś razu:

- Zbliź się, mój synu, bym mógł dotknąć twojej twarzy.

Młodzieniec podszedł do niego.

- Mój synu, uklęknij, jak przed Naszym Panem - polecił mu rabin.

Dawid przyklęknął, a rabin dotknął jego młodej twarzy opuszkami wszystkich palców. Każdy palec był tak wrażliwy, tak czuły, że Dawid odniósł wrażenie, jakby padały na niego promienie światła. Potem rabin pomacał jego silne ramiona i szeroki tors, smukłą talię i wąskie uda, a na koniec, poprosiwszy młodzieńca, żeby wstał, dotknął jego gładkich kolan, mocnych kostek i zgrabnych stóp. Ujął jedną rękę, a potem drugą, by poznać ich kształt i siłę. Po czym również wstał i dotknął czubka głowy Dawida.

- Jesteś wyższy ode mnie, mój synu - stwierdził zaskoczony.

Całą tę scenę Aron obserwował z ponurą miną.

- Ach, gdybyś to ty był moim synem! - mruknął rabin do Dawida. - Wychwalałbym wtedy Naszego Pana!

W tym momencie Dawidowi zrobiło się żal bladego, brzydkiego chłopaka, który patrzył na nich spode łba, i zauważył:

- Chyba nie chodzi o wygląd człowieka... Tak przynajmniej uczył mnie mój nauczyciel konfucjanin.

- Czy ten człowiek nadal jest twoim nauczycielem? - zapytał rabin, wyraźnie zazdrosny.

Dawid się zawahał, a po chwili powiedział:

- Matka go odesłała, kiedy ty się wprowadziłeś, rabbi.

Madame Ezra rzeczywiście to zrobiła, nie pytając nikogo o zdanie, ale Dawid się zawahał, ponieważ nie chciał wyjawić rabinowi, że nadal spotyka się ze swoim nauczycielem. Tylko Ezra o tym wiedział, bo pewnego wieczoru Matka Wang, chichocząc, doniosła mu również o tym.

- Panicz, twój syn, późnym popołudniem spotyka się ze swoim dawnym nauczycielem w jego domu przy ulicy Wiernej Wdowy.

Miała w zwyczaju przynosić Ezrze codziennie wieczorem, zanim położył się spać, miseczkę rzadkiego kleiku ryżowego, który wypijał powoli, by móc wysłuchać najświeższych ploteczek. Zasepił się, gdy to usłyszał, więc Matka Wang pospiesznie dodała:

- Czy twój syn nie powinien pobierać nauk również od naszych nauczycieli, panie?

Ezra zastanawiał się nad tym, pijąc gorący, aromatyczny kleik z miseczki, którą trzymał obiema dłońmi.

- Trudno mi powiedzieć - wyznał w końcu. - Wydaje mi się, że nie, chociażby przez wzgląd na swoją matkę. Nie można dopuścić do tego, żeby konfucjanin zniszczył to wszystko, czego naucza rabin.

- Jak możesz być taki surowy? - wykrzyknęła zrzędlwym tonem Matka Wang. Ich dawna, młodzieńcza zażyłość sprawiła, że czuła się swobodniej w obecności Ezry niż przy innych ludziach.

- Nasz Pan jest zazdrosny - odparł Ezra.

- Bogowie są tacy, jakimi ich stworzą ludzie - oświadczyła Matka Wang. - To Żydzi stworzyli swego Boga.

- Ja nie - oznajmił Ezra i uśmiechnął się niespodziewanie.

Jego uśmiech był tak szczery i promienny, że Matka Wang, przypomniałszy sobie młodzieńca, którym niegdyś był ten mężczyzna z czarną brodą, też się uśmiechnęła. Potem nachyliła się ku niemu i zaczęła mówić szeptem:

- Nie pozwól, żeby twój syn był nieszczęśliwy. Tak, tak, jesteś Żydem, wiem... Musisz być... Ale powiedz mi... Nie, nie musisz nic mówić, i tak wiem. Kiedy sobie przypominasz, że twój ojciec był Żydem, stajesz się smutny i nieszczęśliwy, a kiedy sobie przypominasz, że twoja matka była Chinką, jesteś radosny i życie znów nabiera barw.

Ezra nie mógł pozwolić na takie uwagi.

- Może czasami bywam nieszczęśliwy, bo wiem, że nie jestem dobrym Żydem - powiedział.

Słyszając to, Matka Wang się roześmiała.

- Bywasz szczęśliwy, kiedy sobie przypominasz, że jesteś człowiekiem dobrym, bogatym i mądrym - orzekła. - Czy poza tym coś się liczy? - Nachyliła się jeszcze bardziej.

- Przecież w tym mieście wszyscy cię szanują za to, jaki jesteś.

Kto się przejmuje tym, kim był twój ojciec?

Zawsze udawało jej się poruszyć jego serce, kiedy chwaliła go otwarcie i z miłością. Ta poczciwa Chinka od czasów, gdy oboje byli młodzi, zasypywała go pochwałami, których nigdy się nie doczekał od swej żony. Lubił być szczęśliwy, a ona sprawiała, że był szczęśliwy, bo podnosiła go na duchu.

- No więc - ciągnęła - czy nie powinienes znów zacząć robić interesów z Kung Chenem? Od przyjazdu karawany jesteś smętny. Za dużo przesiadujesz w domu. Mężczyźni nie powinni siedzieć w domu. Zostaw to kobietom i kapłanom.

Kung Chen zacznie się zastanawiać, co się z tobą dzieje.

Niecierpliwi się, bo chciałby już wyłożyć nowy towar na lady w swoich sklepach.

- Masz rację - oświadczył Ezra. - Z samego rana pójde do jego kantoru.

Wstał i zaczął się rozbierać, a ona wzięła miseczkę. Kiedy była już koło drzwi, zawołał ją.

- Coś jeszcze? - spytała.

- Niech Dawid odwiedza swojego dawnego nauczyciela - polecił Ezra.

- Czemu nie? - pogodnie odparła Matka Wang i na tym się rozstali.

Tak więc Dawid nadal robił potajemnie to, co czynił od dnia, kiedy rabin kazał mu się nauczyć na pamięć klątw, które Jehowa włożył w usta proroków, a które skierowane były przeciwko poganom: „Winienesz go zabić, pierwszy podniesiesz rękę, aby go zgładzić, a potem cały lud. Ukamienujesz go na śmierć, ponieważ usiłował cię odwieść od Pana, Boga twojego”.

Takich słów uczył się Dawid i nienawidził ich, chociaż wiedział, że to słowa Jehowy. Nie śmiał jednak głośno wyrażać swojej nienawiści i znalazł pocieszenie, odwiedzając swego nauczyciela i siedząc z tym łagodnym starcem na cichym dziedzińcu przed jego domem. Tam słuchał innych słów, gdy zacny Chińczyk czytał co wieczór:

- Odplacanie dobrem za zło świadczy o szlachetności człowieka; człowiek szlachetny wini siebie; prostak wini innych.

- Jeszcze nie nauczyliśmy się służyć ludziom tak, jak powinniśmy; skąd więc mamy wiedzieć, jak służyć Bogu?

- Jest jedno słowo, które może być naszym przewodnikiem w życiu. Tym słowem jest „wzajemność”. Czego sam nie pragniesz, nie czyń drugiemu.

Nauki rabina sprawiały, że dusza Dawida stawała się bardziej bezwzględna, natomiast te słowa przynosiły ukojenie jego sercu. Dzięki nim w nocy mógł spać.

Rano po rozmowie z Matką Wang Ezra obudził się, przepełniony nową energią i chęcią do życia. Lubił się targować podczas uprzejmej i ożywionej dyskusji przy posiłku, więc postanowił, że zaprosi Kung Chena na wystawny obiad do herbaciarni na Kamiennym Moście, najlepszej w mieście. Kao Lien też musi przyjść, we trójkę porozmawiają o nowych, jeszcze lepszych interesach. Czasy były dobre. Od blisko dziesięciu lat kraju nie dotknęła klęska głodu, prowincją rządził mądry gubernator, ludzie płacili niskie podatki, a zatem mieli pieniądze na zakup towarów. Nastął odpowiedni moment, by rozwijać handel.

Tego ranka wyszedł z domu, nie spotkawszy się z nikim z rodziny. Usługiwali mu Matka Wang i Stary Wang, więc zbędne były wszelkie rozmowy. Matka Wang, zadowolona z tego, co zrobiła ostatniego wieczoru, cała wprost rozpyływała się w uśmiechach, a Stary Wang, jak zwykle pełen zapału, pragnął zadowolić swego pana. Odźwierny nie spał, wyglądał schludnie i tkwił na swoim posterunku, przed bramą czekała na Ezrę dwukółka, zaprzężona w muła. Był bezchmurny, radosny letni ranek, ludzie na ulicach wydawali się ożywieni, syci i skorzy do śmiechu. Patrząc na nich, Ezra doszedł do wniosku, że w istocie głupotą było

nieustannie śnić o tym wąskim i jałowym skrawku ziemi, kraju jego przodków. Dobrze, że go opuścili, powiedział sobie. Był na tyle wykształcony, by wiedzieć, że Palestyna to mała pustynna kraina, od setek lat należąca do nomadów i pogan. Gdybyśmy zechcieli tam wrócić, rozmyślał, czyby nas w ogóle wpuścili? To szaleństwo nie zostać tu, gdzie jesteśmy mile widziani!

Zapytał sam siebie, czy tutaj kiedykolwiek ktoś mógłby czuć do niego nienawiść, i nie potrafił sobie tego wyobrazić.

W Chinach nigdy nikogo nie zabijano z uwagi na pochodzenie. To prawda, że Chińczycy potrafili być okrutni wobec człowieka, którego nienawidzili, ale z powodu tego, co sam zrobił, a nie dlatego, że miał takie czy inne pochodzenie.

Raz, kiedy był małym chłopcem, Ezra widział rozszarpanego przez rozgniewany tłum Portugalczyka, który śmiał tknąć młodą dziewczynę, pomagającą ojcu sprzedawać kapustę na targu. Ezra wybiegł na ulicę, żeby to zobaczyć, ale z mężczyzny została jedynie oderwana głowa. Reszta jego ciała przypominała krwawą miazgę. Głowa Portugalczyka niczym specjalnym się nie wyróżniała, była duża, porastały ją zmierzwiłone, kręcone czarne włosy, w twarzy zwracały uwagę duże czarne oczy, wciąż otwarte. Spierzchnięte usta, kiedyś czerwone, teraz zbielełe, otaczała gęsta, ciemna broda. Ale ten człowiek sam był winien swojej śmierci i wszyscy uważali, że sprawiedliwości stało się zadość. Gdyby ten cudzoziemiec zachowywał się w ich mieście jak należy, przyjęto by go serdecznie i nikt nie podniósłby na niego ręki. Może tylko ludzie gapiliby się nań z zaciekawieni i trochę się naśmiewali z jego bujnego owłosienia.

Ezra już uprzedził Kung Chena o swojej wizycie, więc kupiec czekał na niego. Siedział w obszernej sali w swoim kantorze, gdzie załatwiał interesy. Pomieszczenie było umeblowane najdroższymi sprzętami, podłogę wyłożono szkliwionymi ceramicznymi płytkami, biurko i stoły oraz krzesła wykonano z palisandru, misternie i ze smakiem rzeźbionego i inkrustowanego marmurem z Yunnanu. Siedziska krzeseł wymoszczono dla większego komfortu poduszkami z czerwonego atłasu, w oknach wisiały rolety z bambusowych listewek, powiązanych szkarłatnym jedwabnym sznureczkiem. Wszystko urządzono z myślą o wygodzie, ale Ezra wiedział również, że nie brakowało tutaj niczego, co było potrzebne do prowadzenia interesów.

Choć przemyślnie ukryte, znajdowało się pod ręką.

Kung Chen wstał, kiedy wszedł Ezra, i uklonił się niezwykle przyjaźnie.

- Ile czasu minęło od naszego ostatniego spotkania? - spytał uprzejmie. - Posłałem kogoś ze służby, by zapytał twojego odźwiernego, czy przypadkiem nie jesteś chory. Nie chciałem ci bowiem zakłócać spokoju.

- Muszę cię prosić o wybaczenie - rzekł Ezra.

Zajęli miejsca, drzwi się otworzyły, pojawił się służący z herbatą i półmiskiem najprzedniejszych ciasteczek, a po chwili wyszedł.

- Mam nadzieję, że w twoim domu nie wydarzyło się żadne nieszczęście - powiedział Kung Chen, gdy już napili się herbaty i zjedli ciasteczka.

- Nie - zapewnił go Ezra, po czym się zawahał.

Jak mógł wyjaśnić temu starannie wychowanemu i dobremu człowiekowi, co się działo w jego domu? Potem nagle postanowił, że spróbuje to wytłumaczyć i zobaczy, co powie jego przyjaciel. Czy możliwe, że Żydzi są w błędzie, co wszyscy doskonale widzą, tylko oni sami tego nie dostrzegają? Może ten szlachetny człowiek pomoże mu zrozumieć, dlaczego w tyłu krajach tak się nienawidzi Żydów, a jeśli jego rodacy rzeczywiście nie mają racji, to dlaczego tutaj też nie darzy się ich nienawiścią?

I Ezra przemówił prostymi, szorstkimi słowami, bo tylko tak umiał mówić.

- Mój przyjacielu... Zapytałbym cię o coś, ale nie wiem, czy uda mi się wyłuszczyć nawet tobie, o co mi chodzi.

- Spróbuj - zachęcił go Kung Chen.

Sprawiał wrażenie takiego mądrego, takiego pojętnego. Jego gładka twarz była uśmiechnięta, oczy wyrażały zadowolenie, więc Ezra otworzył przed nim serce, jak przed bratem.

- Mój ojciec wywodził się z osobliwego narodu, starszy bracie - oznajmił. - Sam niezupełnie go rozumiem. Chociaż jakaś częśćka mnie go rozumie. Może trzeba znać nasze dzieje...

- Zapoznaj mnie z nimi - poprosił łagodnie Kung Chen.

- To mały naród, nieliczny wśród licznych - powiedział Ezra. - Dostaliśmy się do egipskiej niewoli...

- W jaki sposób zostaliście niewolnikami? - przerwał mu Kung Chen.

- Skąd mam wiedzieć? - odparł Ezra. - Jeśli wierzyć tradycyjnym przekazom, czymś rozgniewaliśmy Jehowę.

- Jehowę?

- Boga Żydów.

Po twarzy Kung Chena przebiegł delikatny uśmiech, ale Chińczyk zapytał grzecznie i z szacunkiem.

- To bóg, w którego wierzą twoi rodacy?

Ezra się zawahał.

- Mój ojciec uważał go za Boga Wiekuistego, jedyne prawdziwego Boga.

- Nigdy o nim tutaj nie słyszeliśmy - wtrącił Kung Chen.

- Ale mów dalej, starszy bracie.

- Przodków mojego ojca uwolnił z egipskiej niewoli jeden z ich przywódców. Obiecał nam... To znaczy Bóg nam obiecał... że jeśli będziemy mu posłuszni, możemy wrócić do ziemi naszych ojców.

- I twój ojciec wrócił? - spytał z zaciekawieniem Kung Chen.

- Nie, ale niektórym się to udało - powiedział Ezra z wahaniem.

- Więc dlaczego znów jesteście rozproszeni po świecie? - dopytywał się Kung Chen.

- Nasi przodkowie nie posłuchali Boga... Zadawali się z poganami i robili różne rzeczy... - Ezra stwierdził, że trudno mu o tym mówić w obecności Chińczyka, spoglądającego na niego z zainteresowaniem, bez żadnych uprzedzeń.

Nagle zrezygnował z próby wyjaśnienia mu tego. To było niemożliwe. I wydawało się pozbawione sensu.

- Ale co to wszystko ma wspólnego z tobą, mój przyjacielu? - zapytał Kung Chen, kiedy Ezra umilkł.

- Mógłbym powiedzieć, że nie ma to nic wspólnego ze mną - odparł Ezra - gdyby Kao Lien nie przywiózł wieści o tym, że naszych braci zabijają... Tysiącami... W dalekich krajach.

- Cóż takiego złego wyrządzili twoi bracia w tamtych stronach? - chciał wiedzieć Kung Chen.

- Nic - oświadczył z mocą Ezra. Tego był pewien.

- W takim razie, czemu cierpią? - nie mógł zrozumieć Kung Chen.

- Właśnie o to pragnę cię zapytać - wyznał Ezra. - Sam nas oceń.

Kung Chen pokręcił głową.

- Nie znam odpowiedzi - oświadczył. - Nigdy nie słyszałem o czymś takim. Chciałbym sam wypytać o wszystko Kao Liena.

Ezra tylko na to czekał.

- Zamierzałem cię zaprosić na ucztę dziś wieczorem - powiedział. - Przyrowadzę ze sobą Kao Liena.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony - odparł Kung Chen.

- Na Kamiennym Moście? - zaproponował Ezra.

- Nie ma lepszego miejsca - zgodził się Kung Chen.

- Zaraz po wschodzie księżyca? - spytał Ezra.

- Nie ma lepszej pory - odrzekł Kung Chen. - Ale uczyn mi ten zaszczyt i pozwól, że ja będę fundatorem.

Ezra początkowo oponował, ale w końcu się zgodził. A ponieważ nie należało rozmawiać o interesach przed ucztą, po chwili rozmowy wstał i się uklonił. Przyjaciele rozstali się, obiecując sobie nawzajem, że znów się zobaczą wieczorem.

Każdy spędził dzień po swojemu. Kung Chen posłał po kilka pracujących w jego kantorze osób, które darzył zaufaniem, i zadał im szereg pytań na temat małej kolonii Żydów, zamieszkującej ich miasto od pradawnych czasów. Dwaj z mężczyzn byli starsi od Kung Chena; jeden z nich był kiedyś wspólnikiem jego ojca, dawno już ukończył siedemdziesiąt lat, ale nawet nie chciał słyszeć o zrezygnowaniu z pracy. Jego dzieci bardzo się wstydziły za ojca, ale nic nie mogły poradzić na ten upór. Codziennie w południe najstarszy syn, milcząc i nie ukrywając swej dezaprobaty, przyprowadzał ojca, a przed zachodem słońca pojawiał się znów i zabierał go do domu.

Chciał wszystkim pokazać, że chociaż ojciec jest taki uparty, dzieci okazują mu synowską troskę.

Starzec nazywał się Yang Anwei. Z rozmowy z nim Kung Chen dowiedział się nieco więcej o Żydach.

- Ci ludzie z kraju Judy od czasu do czasu chronili się w naszym kraju - wyjaśnił Yang Anwei - a szczególnie w naszym mieście, bo leży ono nad wielką rzeką. Pamiętam, jak mój pradziad mówił, że raz czy dwa razy setki ich przybyły do naszego miasta i starszyzna zebrała się w świątyni konfucjańskiej, by zadecydować, czy pozwolić im się osiedlić w takiej liczbie. Członkowie starszyzny obawiali się, że tak liczna grupa cudzoziemców może sprawić, że się zmienimy. Ale niektórzy z tych Żydów mówili naszym językiem, przyjeżdżali tu wcześniej jako kupcy i zapewnili, że ich bracia nie proszą o nic, tylko o to, by mogli tu żyć spokojnie i zgodnie ze swoimi prawami i zwyczajami. Mieli swojego własnego boga, ale nie domagali się, żeby inni w niego wierzyli, a jedynie, by pozwolono im żyć tak, jak wymaga tego ich tradycja.

- Dlaczego opuścili swój kraj? - zapytał Kung Chen z żywym zainteresowaniem, na co Yang Anwei odparł:

- O ile dobrze pamiętam, bo od wielu lat o tym nie myślałem, dlatego że napadło na nich wojownicze, okrutne plemię. Część Żydów stawiała im opór, ale pozostali opowiedzieli się za kompromisem. - Starzec umilkł i pokręcił głową.

- Więcej nie pamiętam - wyznał.

- Mam jeszcze jedno pytanie - rzekł Kung Chen. - Czy do naszego miasta przyjechali ci, którzy stawili opór, czy ci, którzy opowiedzieli się za kompromisem?

Ale Yang Anwei nie potrafił tego wyjaśnić. Jednak po chwili zauważył z uśmiechem:

- Przypuszczam, że zwolennicy kompromisu, bo sam widzisz, jak żyją wśród nas! Wystarczy spojrzeć na ich zniszczoną świątynię. Teraz już tylko garstka chodzi do niej w dni świąteczne, żeby się modlić.

- Żydzi znów są zabijani w krajach na zachód od gór - oznajmił Kung Chen.

Stary Yang Anwei aż otworzył usta ze zdumienia.

- Dlaczego? - zapytał.

- Sam chciałbym wiedzieć, ale nikt nie potrafi mi tego wytłumaczyć - odparł Kung Chen. Po chwili odezwał się innym tonem. - Właściwie nic mnie to nie obchodzi, ale rozważam, czy pozwolić swojej trzeciej córce, by weszła do rodziny Ezry. Jeśli jest coś osobliwego w Żydach, to muszę się nad tym głębiej zastanowić, nim podejmę decyzję.

- Rzeczywiście są jacyś dziwni - oświadczył stary Yang Anwei, usłyszawszy o tym. - Nie wszyscy, ale niektórzy z całą pewnością. Sam Ezra jest taki, jak my. Prawdę mówiąc, w jego żyłach płynie nasza krew. Ale inni są dziwni.

- Na czym polega ich odmienność? - spytał Kung Chen.

Starzec zawahał się, a potem zauważył sprytnie:

- Stają się dziwni, kiedy czczą swego boga; kiedy go nie czczą, są jak inni ludzie. Podczas swojego długiego życia w tym mieście przekonałem się, że czczenie wyjątkowego boga czyni ludzi wyjątkowymi.

Kung Chen słuchał tego w milczeniu i z głębokim szacunkiem. Ten starzec, pomarszczony i tak wysuszony, że przypominał zakonserwowany owoc, odznaczał się niezwykłą mądrością. Albowiem jego umysł pozostał jasny i przenikliwy.

- W takim razie jest coś, co powinniśmy zrobić - oznajmił Kung Chen. - Odciągnąć ich od ich boga, żeby się stali tacy, jak my.

Yang Anwei roześmiał się bezgłośnie.

- Albo zniszczyć ich boga - podsunął.

- Jak możemy to zrobić? - zapytał Kung Chen. - Nie widać go, nie jest z kamienia ani z gliny, jak bogowie naszego ludu. To bóg, który żyje tylko w ich umysłach.

- W takim razie należy zniszczyć boga w ich umysłach - powiedział Yang Anwei.

Mężczyźni spojrzeli sobie w oczy.

- Nie jest trudno zniszczyć takiego boga - ciągnął Yang Anwei. - Bądźmy dobrzy dla tego Ezry, przychylmy się do jego próśb, okażmy mu specjalne względy, pozwólmy mu się wzbogacić, pozbyć się wszelkich obaw, nauczmy go korzystać ze wszystkich przyjemności, jakie oferuje nasze miasto, dajmy do zrozumienia, że bez względu na to, jak źle traktują Żydów gdzie indziej, tutaj zawsze będzie mile widziany i on, i jego bracia.

- Cóż za mądrość! - wykrzyknął z podziwem Kung Chen.

- Błagam cię, starszy bracie, byś nigdy nie opuścił naszej firmy.

- Dziękuję - skromnie odparł Yang Anwei.

Wstał i wrócił do swojego biurka, gdzie - przy świetle wpadającym przez małe okienko - spędzał całe popołudnia, rejestrując w wielkiej księdze zakupione towary. Pisał wolno i niezwykle starannie. Praca absorbowiała tylko jedną dziesiątą jego umysłu, pozostałe dziewięć dziesiątych angażował do rozmyślań nad tym, co usłyszał w swoim długim życiu.

Kiedy Kung Chen został sam, długo siedział nieruchomo, jak kamienny lew, i zastanawiał się nad tym, co powiedział starzec. Nadal chciałby się dowiedzieć, dlaczego zabijano Żydów, bo nie zamierzał narażać swojej trzeciej córki na to, by owdowiała. Ale jeszcze bardziej zależało mu na tym, by ustalić, czy jest w tych ludziach coś, co budzi niechęć, a czego sam nie dostrzegał. Myślał o Ezrze i nie mógł się doszukać niczego w tym serdecznym, dobrodusznym, zaradnym kupcu, co mogłoby wywoływać nienawiść. Może był trochę szorstki, niezbyt uczony, za głośno się śmiał, lecz poza tym Ezra wydawał się zupełnie normalnym człowiekiem i łatwo go było rozszyfrować.

Ale czy Ezra był taki, jak jego rodacy? A jego żona i syn? A ten dziwny stary kapłan, ślepy, a jednak potrafiący, według krążących po mieście opowieści, widzieć oczami duszy? Ten starzec razem ze swoim złym synem zamieszkali teraz w domu Ezry. Jaki wpływ wywrą na syna Ezry? Niektórzy Żydzi naprawdę są dziwni, powiedział Yang Anwei.

Kung Chen zadumał się, jak mu się to czasami zdarzało.

Dlaczego niektórych ludzi uważamy za dziwnych? Dziwne zwierzę pośród innych zwierząt budzi strach i nienawiść swoją odmiennością. Jest trzymane na dystans, jest w jakiś sposób naznaczone. Czy tak samo jest w przypadku Żydów?

Postanowił, że zanim pozwoli swojej córce poślubić syna Ezry, musi się dowiedzieć, jaki właściwie jest dziwny żyd, jaki jest stary rabin i jakie są jego dzieci. Porozmawia także z Dawidem. Do tego czasu będzie trzymał swoją trzecią córkę w domu, gdzie jest bezpieczna. Nie wyda jej za mąż tylko po to, żeby w ten sposób rozkręcić interesy.

Tego samego wieczoru Kung Chen, Ezra i Kao Lien spotkali się w herbaciarni na Kamiennym Moście. Księżyc świecił nad kanałem i chociaż jego wody były brudne, w blasku księżycy zdawały się czyste i śliczne, kiedy przepływały pod prastarym i potężnym mostem z białego marmuru. W herbaciarni panował taki tłok, że nie można było swobodnie rozmawiać, więc Kung Chen wezwał właściciela i poprosił go o osobną salkę z oknami wychodzącymi na kanał. Mężczyzna oświadczył, że wszystkie pomieszczenia są zajęte, ale kiedy Kung Chen wsunął mu do ręki pewną sumkę pieniędzy, wyprosił gościa z najlepszej sali, oznajmiając, że ci, którzy ją wcześniej zarezerwowali i się spóźniali, właśnie nadeszli.

I w ten sposób trzej mężczyźni znaleźli się sami w małej, ale chłodnej i wygodnej salce tuż nad kanałem. Stół postawiono pod otwartym na całą szerokość oknem, więc mogli patrzeć na wodę, płynącą tuż obok domów.

- Czy życzą sobie panowie, by dziewczęta zabawiały ich śpiewem? - spytał właściciel. Był bardzo gruby, pocił się i sapał, i stale pokrzykiwał na swoich pracowników.

- Nie, bo musimy porozmawiać o ważnych sprawach - odparł Kung Chen. Lecz widząc zawiedzioną minę właściciela, przypomniał sobie, że te małe salki wykorzystywano na spotkania z dziewczętami, więc powiedział: - Ale możesz wybrać trzy o ładnych głosach. Niech usiądą w łódce pod oknem i śpiewają, a my zapłacimy za ich jedzenie i wino tyle samo, jak gdyby były tutaj razem z nami.

Właściciel podziękował mu i odszedł, a kelner przyniósł potrawy, które Kung Chen zamówił już wcześniej: najpierw zimne przystawki, potem gorące przekąski, następnie ryż na słodko, mięsa i jarzyny, a na koniec ryż na ostro.

Ezra ubóstwiał takie jedzenie. We własnym domu, pod okiem żony, skrupulatnie przestrzegał nakazów dotyczących spożywanych potraw, ale kiedy tylko mógł, jadł wszystko, co zachwalał Kung Chen. A dziś Ezra zdawał się szczególnie spragniony przysmaków.

Kung Chen był zbyt mądry, by zacząć wieczór od roztrząsania poważnych tematów. Mówił o jedzeniu, chwalił albo krytykował smak dań, rozprawiał o winie, a kiedy za oknem rozległy się słodkie i dźwięczne głosy dziewcząt, z uśmiechem uniósł dłoń i wraz ze swymi towarzyszami zaczął się im przysłuchiwać.

Kung Chen dyskretnie obserwował oblicza swoich gości.

Ezra miał szczerą twarz, był wyraźnie zadowolony, pełne usta rozchylił w uśmiechu. Ale pociągła twarz Kao Liena pozostała nieprzenikniona. Ten wysoki, szczupły mężczyzna siedział prosto, nie garbił się, jadł niewiele z tego, co Kung Chen nakładał mu na talerz. Nie brał udziału w rozmowie, a wiedząc, że zajmuje najniższą pozycję pośród tu obecnych, czego się wcale nie wstydził, zajął również najgorsze miejsce, naprzeciwko okna. Dlatego blask

księżycyca najmocniej oświetlał jego twarz, bo Kung Chen kazał kelnerowi postawić świece w kącie, żeby nic nie zakłócało nastroju tego przyjemnego wieczoru.

Kiedy wnoszono kolejne dania, Kung Chen z wprawą prowadził rozmowę. Za każdym razem, gdy przez okno docierał śpiew dziewcząt, milkł i słuchał go. Po każdej pieśni Ezra stawał się bardziej wylewny i przyjaźnie nastawiony. Tylko Kao Lien zachował rezerwę.

Gdy uczta prawie dobiegła końca i dla każdego przyniesiono nową porcję gorącego wina w osobnym, małym dzbanku, Kung Chen powiedział kelnerowi, żeby dziewczęta na razie przestały śpiewać, ale o północy mogą przyjść do salki i wykonać ostatnią pieśń. Dał mu też pieniądze na wino dla nich.

Kiedy za kelnerem zamknęły się drzwi, w pomieszczeniu zaległa cisza.

Kung Chen od razu zwrócił się do Kao Liena:

- Starszy bracie, słyszałem, że podczas swojej podróży byłeś świadkiem wojny w niektórych krajach Zachodu.

Kao Lien niezwłocznie odpowiedział cichym, opanowanym głosem:

- Nie wojny, tylko pogromów moich braci.

- Czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego tak się dzieje?

- poprosił Kung Chen.

Kao Lien spojrzał na Ezrę, a Ezra, rozgrzany smacznym jedzeniem i wybornym winem, a także wprowadzony w dobry nastrój pieśniami, zakrzyknął:

- Powiedz mu wszystko, bracie! Ten szlachetny Chińczyk jest naszym prawdziwym przyjacielem.

Tak więc Kao Lien rzekł:

- Nie mogę ci wyjaśnić, dlaczego wciąż i wciąż na przestrzeni wieków zabijani są Żydzi, moi bracia. Jesteśmy jacyś dziwni.

- Jacyś dziwni! Dokładnie to samo powiedział Yang Anwei.

- Możesz opisać waszą odmienność? - zapytał Kung Chen.

Kao Lien pokręcił głową.

- Jestem kupcem, a nie uczonym mężem. Jesteśmy narodem wybranym przez Boga.

- Czy możesz opisać tego boga? - znów zapytał Kung Chen.

- Czasami się zastanawiam, czy On w ogóle istnieje - wtrącił się Ezra. - Nie można Go zobaczyć, nie można Go usłyszeć...

- W takim razie dlaczego uważacie, że istnieje? - zdziwił się Kung Chen.

- Bo tak nam mówią nasi rabini - odparł gwałtownie Ezra.

- Starszy bracie - cicho upomniał go Kao Lien.

Ale Ezra zdążył się już trochę upić.

- Pozwól mi mówić, bracie! - wykrzyknął. - To mój najlepszy przyjaciel, chociaż jest Chińczykiem... Właśnie dlatego, że jest Chińczykiem! Przy nim jestem szczęśliwy i niczego się nie boję... Ach, mówię ci, żona zawsze potrafi sprawić, że mąż czuje się grzeszny. Grzech... Grzech... Czym jest grzech, starszy bracie? - Wino uderzyło Ezrze do głowy, toteż spojrzał na Kung Chena załzawionymi oczami, zadając mu to pytanie.

Chińczyk roześmiał się serdecznie.

- Nie znamy takiego słowa - odparł.

- Dla nas grzechem jest zapomnieć o naszym Bogu i Jego przykazaniach - wyjaśnił Kao Lien.

- Pozwól mi być takim, jak inni! - krzyknął Ezra. Zaczął płakać. - Zawsze chciałem być taki, jak inni... - bełkotał.

- Kiedy byłem mały, koledzy wyśmiewali się ze mnie, bo byłem dziwny. Wcale nie jestem dziwny.

- Rzeczywiście nie jesteś - przytaknął Kung Chen, żeby go pocieszyć. Zrozumiał, że wykluczona jest wszelka dyskusja o interesach, więc zwrócił się do Kao Liena:

- Rozweselmy naszego brata. Widzisz, jak za sprawą wina ujawnił to, co trapi jego serce. Czy mam poprosić dziewczęta, żeby zaśpiewały?

- Spójrz na niego - powiedział Kao Lien.

Ezrę, u którego zawsze szybko następowały zmiany nastroju, zaczął morzyć sen, głowa opadła mu na ramię. W pomieszczeniu była kanapa. Kung Chen i Kao Lien przenieśli więc Ezrę na kanapę, gdzie zaraz usnął.

- A zatem - zaproponował Kung Chen - porozmawiajmy sami.

- Nic, co powiem, nie będzie wiążące - zastrzegł Kao Lien, wyraźnie zaniepokojony.

- To zrozumiałe - uspokoił go Kung Chen.

Powoli i zrećźnie nakłonił Kao Liena do mówienia, aż o północy dokładnie zrozumiał, co Kao Lien widział, jak ciężki jest los Żydów, jak w samym domu Ezry istnieje podział na rabina, Leę i madame Ezra z jednej strony, i Ezrę - z drugiej. Pomiedzy nimi stał niezdecydowany Dawid, a w jego cieniu - słaby i nikomu niepotrzebny Aron.

- Takie podziały nie są niczym niezwykłym wśród naszych braci i sióstr - dodał w zamyśleniu Kao Lien. - Wszędzie spotykam „synów przymierza” i Żydów, którzy jedynie pragną być ludźmi, jak wszyscy inni.

- Co to jest owo „przymierze”? - zapytał Kung Chen.

- To umowa, którą na samym początku zawarliśmy z Bogiem - wyjaśnił na poły smutno Kao Lien. - Zobowiązanie, że będziemy Jego ludem, jeśli On będzie naszym Bogiem.

- Wierzysz w takie zabobony?! - zdziwił się Kung Chen.

Kao Lien zrobił skruszoną minę.

- Wierzę i nie wierzę - przyznał. - Nauczono mnie praw i prorocत्व... Trudno je zapomnieć. Często przez wiele lat z rzędu je kwestionuję. Ale o nich pamiętam i wiem, że umrę jako Żyd. - Westchnął. - Poprośmy dziewczęta, żeby nam zaśpiewały - powiedział niespodziewanie. - Już prawie północ.

Zjawiała się trójka dziewcząt, wszystkie ładne, delikatne i wyszkolone w sztuce zabawiania gości. Ezra się obudził, gdy zaczęły śpiewać, i leżąc na kanapie, z rękami pod głową, słuchał ich śpiewu i im się przyglądał. Kiedy skończyły, zawahały się, nie wiedząc, czy jeszcze będą potrzebne, ale Kung Chen pokręcił głową.

- To wszystko - powiedział ze śmiechem. - Jesteśmy statecznymi ojcami rodzin i musimy wracać do domu, do naszych żon.

Każdej z nich wsunął pieniądze do małej dłoni. Dziewczęta roześmiały się i opuściły pomieszczenie. Ezra wstał, wzdychając, i mężczyźni rozeszli się do swych domów.

Kung Chen nie spał dobrze tej nocy ani przez kilka kolejnych. W końcu postanowił, że nie odda swojej trzeciej córki za żonę synowi Ezry, ale wezwie ją do siebie, by się przekonać, jak przyjmie jego decyzję.

Dlatego pewnego ranka, tuż po śniadaniu, posłał służącą, by przyprowadziła ją do niego. Kobieta poinformowała, że Kueilan nadejdzie niezwłocznie, jak tylko się uczesze.

Usłyszawszy to, Kung Chen usiadł i przygotował się na godzinę lub dwie czekania. Koło południa zjawiała się Kueilan, prowadzona przez Matkę Chu. Kung Chen wiedział, że jego trzecia córka jest ładna, ale zawsze, kiedy nie widział jej przez pewien czas, zapominał, jaka jest urodziwa. Teraz przyglądał jej się z taką przyjemnością, że aż się zarumieniła, dostrzegając w jego oczach podziw, jak w oczach wszystkich mężczyzn, chociaż on był jej ojcem.

- Ojcze! - powitała go od drzwi.

- Wejź, moja córeczko - poprosił.

Usiadła na krześle blisko niego, a Matka Chu stanęła za nią.

Zadał jej pytania, jakie zwykle zadają ojcowie: jak się czuje, co robiła; pochwalił jej jedwabne szaty, spytał, czy przeczytała jakieś książki, jak się czują ptaszki, które jej podarował, i temu podobne. Odpowiadała mu wdzięcznym głosem, onieśmielona, uśmiechając się. Było w niej coś i z dziecka, i z kobiety.

Kung Chen przyrzekł sobie w duchu, że tę słodką istotkę może wydać za mąż tylko za tego, kto jej zapewni absolutne bezpieczeństwo i będzie ją darzył wielką miłością.

W końcu postanowił przejść do sedna rzeczy.

- Moja mała córeczko - zagaił. - Nadeszła pora, by porozmawiać o mężu dla ciebie. Muszę myśleć o twojej młodszej siostrzyczce Liii, a najpierw należy znaleźć narzeczonego dla ciebie. Gdybym był dobrym ojcem, już dawno bym to zrobił, ale nie lubię tych zaręczyn w młodym wieku. Nie wiadomo, co wyrosnie z chłopca. Dlatego wszystkie moje córki późno się zaręczyły, żebym mógł się przekonać, jakimi kawalerami są kandydaci na moich zięciów. Teraz przyszła kolej na ciebie.

Usłyszawszy to, Kueilan spłoszyła, wyjęła chusteczkę z rękawa kimona, zasłoniła nią twarz i odwróciła głowę. Zachowała się tak, jak przystało skromnej panience.

- Panie, zawstydziłeś ją! - wykrzyknęła Matka Chu. - O takich sprawach nie wspomina się w obecności młodej damy.

- Wiesz, że jestem bardzo bezpośredni - odparł Kung Chen z uśmiechem. - Wolę, by moja córka wyznała mi, co czuje. - I niezrażony kontynuował: - Powiedz mi, moje dziecko, jakiego mam ci znaleźć męża. W rodzinie Wei jest młody kawaler, tylko rok od ciebie starszy. Słyszałem o nim wiele dobrego.

- Nie - powiedziała słabo Kueilan.

- Nie? - spytał Kung Chen, udając zdumienie. - No cóż, jak chcesz. Słyszałem również, że najmłodszy syn z rodu Hu jest przystojny.

- Nie, nie! - powiedziała głośnie.

- Tę młodą damę trudno zadowolić! - wykrzyknął Kung Chen do Matki Chu i dodał z poważną miną: - Mam nadzieję, że wywiązuje się ze swoich obowiązków. Mam nadzieję, że nie pozwoliłaś jej widywać się z żadnymi kawalerami.

Kueilan nagle zaczęła łkać. Matka Chu wyglądała na przerażoną.

- Co to ma znaczyć? - spytał Kung Chen, udając rozgniewanego.

Matka Chu padła przed nim na kolana, zaczęła uderzać głową w podłogę i zawodzić.

- Jak mogłam temu zapobiec? Ten młodzieniec zobaczył ją w naszym domu. Wybierała się do świątyni z naszą panią, swoją matką, i posłała mnie po chusteczkę.

- Po wachlarz, ty głupia! - jęknęła Kueilan.

- Po wachlarz - poprawiła się Matka Chu. - I kiedy mnie nie było, w sali głównej pojawił się syn cudzoziemca Ezry.

- Ale nie zostałam z nim! - krzyknęła Kueilan.

- Przysięgam na swoich przodków, że nie została - potwierdziła Matka Chu.

- Wstań! - przemówił srogo Kung Chen do Matki Chu.

Kobieta się podniosła, wycierając oczy. - Jak stoją sprawy? - zapytał.

- Do niczego nie doszło - zapewniła go Matka Chu. Ale widząc jego wzrok, wyznała prawdę: - Wymienili tylko wiersz albo dwa.

Wtedy Kung Chen zwrócił się do swojej córki:

- Jak śmiesz myśleć o jakimś młodzieńcu?

Kueilan była obdarzona żywym usposobieniem i miała w zwyczaju najpierw płakać, a potem wpadać w złość. Więc tupnęła nogą i oznajmiła:

- Robię to, na co mam ochotę!

- Nie pozwolę ci poślubić cudzoziemca - oświadczył Kung Chen.

- A właśnie, że go poślubię! - wykrzyknęła Kueilan.

- Cicho, cicho... - jęczała Matka Chu.

- Kung Chen zapalił fajkę.

- Mówisz tak w przypiływie gniewu - rzekł do swojej córki. - Ale kiedy rozważysz, co to oznacza, sama nie będziesz chciała go poślubić. To są dziwni ludzie, niepodobni do nas. To smutni ludzie, którzy czczą okrutnego boga.

Kueilan wydeła usteczka.

- Nie boję się - oświadczyła.

Kung Chen nie skomentował słów swojej upartej córki.

Dowiedział się tego, co chciał wiedzieć.

- Rozkazuję ci posłuchać mnie w tej jednej sprawie - przemówił po długiej chwili milczenia. W tym czasie zaś strach sprawił, że złość minęła Kueilan, a Matka Chu aż pobladła z przerażenia.

- Masz poczekać, aż sam spotkam się z tym młodzieńcem - nakazał swej córce. - Kiedy będę gotów, powiem ci, jaka jest moja wola. - Spojrzał na Matkę Chu. - A ty, kobieto, jeśli dopuścisz do tego, że mnie nie usłucha, zostaniesz odesłana z tego domu i nie wrócisz tutaj do końca swych dni.

Matka Chu zaczęła się trząść.

- Nie będę jej odstępowała w dzień ani w noc - przyrzekła. Wzięła Kueilan za rękę i wyprowadziła z komnaty.

W domu Ezry ślepy rabin popadł w stan uniesienia.

Nigdy by się do tego nie przyznał, ale prawda była taka, że spokój i wygody, obfitość jedzenia, rozległość i cisza dziedzińców sprawiały mu nieopisaną rozkosz.

Ze względu na jego obecność madame Ezra dbała o to, by skrupulatnie przestrzegano wszystkich tradycji w szabas i dni świąteczne. Starala się również zaglądać do biblioteki, kiedy Dawid był tam z rabinem, by się upewnić, czy każdy rytuał odprawiono zgodnie z tym, co napisano w Torze. Bo stwierdziła, że po tylu latach życia w pogańskim kraju nawet ona stała się ignorantką. Dlatego też święta Pesach i Purim zawierały elementy chińskiej uroczystości Święta Wiosny, Święto Żniw - święta Letniego Księżyca, a Dziesięć Dni Pokuty przed Jom Kipur - chińskiego Nowego Roku. I dlatego Dawid zbyt ochoczo unikał okazywania skruchy, by korzystać z uroków życia.

Rabin odpowiadał na każde jej pytanie z zapalem i szczegółowo. Pozbawiony widoku ludzi, odbierał ich jedynie przez mgiełkę swych własnych uczuć i tęsknot. Wydawało mu się, kiedy dzień mijał za dniem, że Dawid dzieli z nim jego uniesienie, razem z nim przybliża się do Boga, gdy mu objaśniał znaczenie Tory. To prawda, że czuł wokół siebie jakieś silne emocje, obecność ducha, którego naturę sam ledwo rozumiał. Ale czy mogło to być coś innego niż duch ich surowego Pana? Nie mógł wiedzieć o konflikcie, który wisiał w powietrzu, kiedy rabin objaśniał Dawidowi Torę. A źródłem tego konfliktu byli Lea i Aron. Rabin, przyzwyczajony do swej ślepoty, miał inne sposoby postrzegania rzeczywistości. Toteż wiedział, że kiedy tych trojga nie ma w pobliżu niego, pomieszczenie, w którym siedzi, tchnie spokojem, ale jak tylko się pojawiali, czy cicho, czy ze śmiechem, spokój natychmiast pierzchał.

Tłumaczył sobie, że po Jehowie i Jego słowach nie oczekuje ukojenia.

- W obliczu Jehowy, naszego Pana, nie ma mowy o beczynności i śnie - powiedział Dawidowi. - Jesteśmy niespokojnym narodem, mój synu! Naszym przeznaczeniem jest utrzymywanie świata w stanie niepewności, póki wszyscy się nie dowiedzą, kim jest Jehowa, jedyny prawdziwy Bóg. Przebywamy tu tylko chwilowo, zawieszani między ziemią a niebem. - Umilkł, a potem wysoko zadarł głowę i wznosił nad nią dłonie zaciśnięte w pięść. - Słuchaj, Izraelu! Pan jest Bogiem naszym, Panem jest jeden!

Donośne, znajome słowa Szma, padające z ust ślepego starca, nie dawały spokoju Dawidowi. Sam często czuł się rozdarty między ziemią a niebem, a jego dusza była rozdwojona. Niemożliwością było dyskutować z rabinem. Mógł tylko słuchać, a słuchając - chłonać znaczenie wiary swoich przodków. I powoli zaczynał rozumieć. To, co jego matka wyrażała na swój praktyczny sposób - skrupulatnie przestrzegając, by w jej domu obchodzono święta, odmawiano modlitwy, zachowywano tradycje i rytuały, i nie akceptując swego chińskiego imienia Chao nawet w tej społeczności, gdzie prawie wszyscy Żydzi posługiwali

się również chińskimi imionami - było zewnętrzną manifestacją tego, co płonęło w duszy rabina.

Tych dwoje wierzyło, że ich bracia i siostry są ludźmi wyjątkowymi, wybranymi przez Boga, by spełniło się przeznaczenie świata. Ich braciom i siostram, w głębokim przekonaniu jego matki i rabina, Bóg powierzył święte zadanie prześladowania dusz ludzi, póki nie zwrócą się ku Bogu.

I właśnie to było podłożem konfliktu między Dawidem, Leą i Aronem. Kiedy do rabina dotarło, że Dawid coraz lepiej go rozumie, mimo woli odsunął od siebie własnego syna. Początkowo każdego ranka pytał, czy Aron jest w pokoju, ale z czasem tego zaniechał. Kiedy wchodził Dawid, rabin zwracał się tylko do niego, wyciągał ręce, niespokojne i drżące, aż wymacał dłonie Dawida, aż dotknął jego głowy, policzków i brwi. Dawid zawsze musiał siedzieć tak blisko, by rabin w każdej chwili mógł go dotknąć. Aron stał się posepny, uznawszy, że ojciec o nim zapomniał, a ponieważ nie śmiał skarżyć się ojcu, wyładowywał swoją złość na Lei.

- Spiskujecie przeciwko mnie - oświadczył, gdy zostali sami. - Umyśliliście sobie, żeby uczynić rabinem Dawida zamiast mnie. Kiedy nasz ojciec umrze, Dawid stanie na czele naszej gminy. Ale naprawdę ty będziesz wszystkim rządziła, podporządkujesz sobie Dawida tak, jak madame Ezra podporządkowała sobie męża.

Lea miała tak miękkie serce, była tak na wskroś dobra, że nie potrafiła odpowiedzieć na nikczemne słowa brata. Nawet wtedy, gdy ojciec nauczał ich Tory, Aron bezgłośnie ją oskarżał. Wówczas do jej wielkich oczu napływały łzy, ale milczała.

Aron się pilnował - przynajmniej tak mu się wydawało - by gnębić ją ukradkiem, lecz Dawid był zbyt bystry, by niczego nie zauważyć. Gardził Aronem i nie zwracał na niego większej uwagi niż na psa przybłądę. Kiedy Aron przymilał się do niego i prosił, by poznał go ze swoimi przyjaciółmi, żeby mogli razem zażywać przyjemności, Dawid udawał, że go nie słyszy albo nie rozumie, o co mu chodzi. Aron coraz bardziej zamykał się w sobie, świadom odtrącenia, i z całych sił swej ludzkiej natury nienawidził Dawida za jego dumę i za swobodę, jaką się cieszył.

Gdy Dawid zauważył, że Aron dokucza swojej siostrze w podstępny sposób, pewnego ranka zatrzymał Leę, którą spotkał przed drzwiami, i zapytał:

- Dlaczego płaczesz, kiedy Aron robi głupie miny?

. - Bo wiem, o czym myśli - odpowiedziała mu Lea.

Stali na słońcu. Dawid dostrzegł, jak gładka jest jej skóra i jak błyszczą jej ciemne włosy. Od tamtego dnia w ogrodzie brzoskwiowym nigdy nie pozwolił sobie na okazanie

Lei w jakikolwiek sposób, że ją kocha, bo był coraz mniej pewny swych uczuć. Czując teraz na sobie jej tkliwe i rozkochane spojrzenie, jeszcze bardziej się zmieszał i zdołał tylko wyjąkać:

- A o czym myśli Aron?

- Wstydzę się ci to wyznać - szczerze odparła Lea.

Gdyby Dawid nie czuł zamętu w głowie, poprosiłby Leę o wyjaśnienie, co to znaczy. Ale bał się ją naciskać w obawie, że powie mu, że Aron dokucza jej, widząc, jaka jest zakochana.

- Aron jest głupi - oświadczył gwałtownie.

Właśnie w tej chwili Aron pojawił się w drzwiach. Dawid wszedł do środka, a Lea podążyła za nim.

Rabin zapomniał nawet o Lei. Każdego ranka wchodziła do biblioteki po cichutku i jeśli ojciec nie usłyszał jej kroków, witała go, a on jej odpowiadał, ale wyraźnie roztargniony.

Rabin naprawdę myślał tylko o Dawidzie. Spędzał nocne godziny na modlitwie i budził się po krótkim śnie niezwykle przejęty. Powiedział sobie, że nie będzie mógł spokojnie spać, póki Dawid nie zadeklaruje się Bogu. Tęsknił za tą chwilą, ale nie śmiał otwarcie zapytać o to młodzieńca. Lecz po dwóch, trzech godzinach objaśniania Tory pytanie samo cisnęło mu się na usta. „Dawidzie, czy po mojej śmierci zostaniesz rabinem? Usłysz słowo Pana, mój synu Dawidzie!”. Wyobrażał sobie, jak prosi własne dzieci, by się oddaliły, żeby móc porozmawiać z Dawidem. Postanowił jednak, że nie przemówi, póki nie usłyszy wyraźnie polecenia Boga.

Pod koniec lata nadszedł taki dzień, kiedy rabin uznał, że bez boskiego nakazu nic więcej nie zrobi. Było to w ósmym miesiącu, miesiącu burz. Od samego rana upał dawał się we znaki, ciężkie powietrze przytłaczało ślepeca niczym wilgotna mgła. Rabina ogarnął dziwny niepokój. Nie mógł opanować drżenia całego ciała, krew tak szybko płynęła w jego żyłach, że aż kręciło mu się w głowie.

Tego ranka Dawid zjawił się wcześniej, i to sam. Lea poinformowała, że jest chora, Aron zaś nie przysłał żadnego usprawiedliwienia. Rabin, znalazłszy się sam na sam z Dawidem, poczuł, jak serce mu mocniej zabiło. Czyż nie nadszedł ten dzień? Zaczął objaśniać księgę szczegółowo i z miłością, w swym zapale zanadto przybliżywszy się do młodzieńca. Dawid z powodu upału też nie mógł sobie znaleźć miejsca, drażnił go mdły, trupi zapach bijący od starca. Kiedy w pewnej chwili rabin zorientował się, że Dawid wstał i zaczął chodzić, wzdychając, wpadł w panikę. Dlaczego Pan nie przemówił? Uniósł głowę, wyężając

słuch, ale w pomieszczeniu panowała cisza. Przerażony, nadludzkim wysiłkiem próbował się uspokoić.

- Mój synu - rzekł rabin, kiedy wyczuł, że Dawid go nie słucha. - Chodźmy do Domu Pana. Jest bardzo gorąco, w murach synagogi będzie chłodniej.

- Jak sobie życzysz, rabbi - odparł Dawid.

- Pozwól, że wezmę cię pod ramię - powiedział rabin.

- Pójdziemy pieszo.

Do synagogi nie mieli daleko. Żydzi wznosili domy wokół niej i wystarczyło przejść tylko kilka przecznic, by dotrzeć do wąskiego zaułka, który Chińczycy nazywali ulicą Usuniętego Ściegna. Ulica ta była Dawidowi dość znajoma, podobnie jak synagoga, a jednak czuł się tak, jakby miał się w niej znaleźć pierwszy raz w życiu. Do tej pory była to świątynia, do której często chodził z ociąganiem, na polecenie matki oderwany od zabaw. Teraz zmierzał do niej z własnej woli - tak, jego wołą było dziś spotkać się z Bogiem twarzą w twarz. Odkładał tę decyzję, ale dłużej nie mógł już zwlekać. Szedł wolno, by dostosować się do stawianych ostrożnie kroków rabina. Jeśli usłyszy dziś głos Jehowy, jeśli poczuje, że został przez niego wyznaczony, by stanąć na czele garstki Żydów, wyraźnie odpowie „tak” lub „nie”, w zależności od tego, co mu podyktuje serce w chwili, kiedy usłyszy głos Pana.

- Czy włożyłeś jarmułkę? - wymamrotał rabin.

- Tak, rabbi - odrzekł Dawid. - Wkładam ją każdego ranka, zanim przyjdę do ciebie.

- Wiem - powiedział rabin. - Dlaczego w ogóle zapytałem? Wszak przestrzegasz przykazań Pana.

Ale i tak wyciągnął rękę i dotknął niebieskiej mycki na głowie Dawida.

- Nie wierzysz mi? - zapytał Dawid z uśmiechem.

- Wierzę, wierzę - pospiesznie zapewnił go rabin.

Przekroczyli bramę i znaleźli się na zewnętrznym dziedzińcu synagogi. Kiedy rabin przychodził tu sam, od razu kierował się ku wewnętrznym dziedzińcom w głębi, w pobliżu których stał jego domek, ale dziś chciał poprowadzić Dawida przez szerokie frontowe drzwi, które otworzył im starszy mężczyzna należący do żydowskiego rodu Ai. Wychodziły na wschód, a tuż za nimi było śliczne, szerokie sklepienie przejście wiodące do jeszcze jednej bramy i jeszcze jednego przejścia. Po obu stronach stały dwie kamienne tablice, wsparte na kamiennej podstawie z wyrzeźbionymi liśćmi lotosu. Na tablicach wryto prastarym pismem historię Żydów i ich wypędzenia z własnej ziemi. Za jedną z tablic widniało spore podwyższenie, na którym wznoszono wielki szałas podczas Święta Namiotów, a jeszcze dalej znajdowała się święta arka w Świętym Świętych, najświętszym miejscu w synagodze.

Dawid wiedział o tym wszystkim, ale tego dnia rozglądał się wokół, po raz pierwszy rozumiejąc, jakie znaczenie ma to miejsce, ten Dom Boży w samym sercu pogańskiego miasta z mnóstwem świątyń na cześć innych bogów. Powietrze było tutaj chłodniejsze, poczuł na skórze jego łaskotanie. Na dziedzińcach rosły drzewa oliwne i panowała absolutna cisza. Poza rabinem i Dawidem nie było tu nikogo, ale miejsce to wypełniał duch Niebios. Na tablicy nad głównym sklepieniem wyryto słowa: „Świątynia czystości i pokoju”. Rzeczywiście nią była.

Idąc wolno, krok za krokiem, rabin mamrotał słowa Tory, aż Dawid przystanął przed wielką kamienną tablicą.

- Dlaczego na wielu z tych tablic wyryte są napisy po chińsku, a nie po hebrajsku? - zapytał nagle Dawid.

Rabin westchnął.

- Niestety, nasi bracia zapomnieli języka swych ojców! Kiedy umrę, nie zostanie nikt, kto będzie umiał odczytać słowa Pana.

Umilkł, czekając, aż przemówi Dawid, aż wystąpi z propozycją. Rabin codziennie miał nadzieję, że młodzieniec wyrazi chęć nauki hebrajskiego, lecz na próżno. Teraz Dawid też nie poprosił rabina o pomoc w opanowaniu języka przodków.

- Ale dzięki temu łatwo można poznać dzieje naszych praojców - powiedział Dawid i zaczął czytać na głos to, co zapisano na tablicach: Abraham, pierwszy patriarcha, zapoczątkował wiarę w jedyne Boga, należał do dziewiątego pokolenia potomków Pangu Adama.

- Widzisz - przerwał mu rabin. - Według Chińczyków „Pangu” to pierwszy człowiek. Jednak nawet ci, którzy wyryli tekst na tych tablicach, umieścili obok imię Adama.

Dawid się uśmiechnął i czytał dalej: Od stworzenia nieba i ziemi patriarchowie pielęgowali tradycje i szerzyli wiedzę o nich. Nie robili podobizn Naszego Pana, nie oddawali czci bałwanom, walczyli z zabobonami. Wierzyli natomiast, że bałwany nie mogą pomóc ludziom, że bożki nie mogą ich chronić, a przesady są szkodliwe. Abraham rozmyślał tylko o królestwie niebieskim.

Silny, młodzieńczy głos Dawida umilkł. Przecież jego chiński nauczyciel też mówił, żeby medytować o niebie! Już od kilku tygodni nie odwiedzał konfucjanisty, ostatni raz rozmawiał z nim w noc przesilenia letniego. Niebo skrzyło się gwiazdami, starzec zwrócił twarz w ich stronę.

- Możemy rozmyślać o niebie - wyszeptał - ale nigdy go nie poznamy.

- Synagoga dwa razy uległa zniszczeniu podczas powodzi, kiedy wylała Żółta Rzeka - powiedział stary rabin, nie wiedząc, o czym myśli Dawid. - Jednak te wielkie tablice się zachowały. Nasz Pan nie pozwala, by uległo zapomnieniu imię Jego ludu.

Wolno ruszyli dalej. Niebo pociemniało i Dawid, podniósłszy wzrok, zobaczył wiszące nad murem czarne chmury o posrebrzonych krawędziach.

- Po deszczu się ochłodzi - zauważył.

- Chodź ze mną do Świętego Świętych - powiedział z przejęciem. - Chcę złożyć Torę w twoje ręce, mój synu.

Przekroczyli wysoki próg i znaleźli się w mrocznym, wewnętrznym pomieszczeniu synagogi. Przeszli po gładkich płytach posadzki i zatrzymali się przed świętą skrzynią. Przed nią stał pulpit, a nad nią było łukowate sklepienie składające się z trzech części. Na nim zaś widniał napis: Niech będzie pochwalony Pan, Bóg Bogów, Pan Panów, Wielki, potężny i straszny Bóg.

Słowa te rabin wymówił donośnym głosem. Po chwili, jakby niebiosa mu odpowiedziały, rozległ się grzmot. Rabin stał w milczeniu i skierował twarz ku górze, zadzierając brodę.

W ciszy, która zapadła po huku pioruna, rozsunął kotarę i Dawid zobaczył skrzynię, w której przechowywano Torę. Była pomalowana na złoto, miała pozłacane zawiasy i gałki w kształcie płomienia.

- To święte księgi Mojżesza - rzekł rabin uroczystym tonem. - Jest ich dwanaście, po jednej dla każdego z naszych plemion, a trzynasta jest dla Mojżesza.

Powiedziawszy to, sięgnął po trzynasty rodąg, który tak jak pozostałe miał kształt długiego walca, i położył go na wysokim rzeźbionym pulpicie. Potem zdjął ze zwoju pokrowiec.

- Wyciągnij ręce - polecił Dawidowi.

A gdy Dawid go usłuchał, rabin włożył mu w dłonie prastarą księgę, przypominającą zwój grubego papieru.

- Rozwiń ją - polecił i Dawid ją rozwinął.

- Możesz przeczytać? - spytał rabin.

- Nie - odparł Dawid. - Wiesz, że napisana jest po hebrajsku.

- Nauczę cię hebrajskiego - oświadczył rabin. - Ciebie, mojego prawdziwego syna, nauczę tajemnic języka, w którym Bóg przekazał na górze prawa Mojżeszowi, naszemu przodkowi. On zaniósł tablice naszym braciom, czekającym na niego w dolinie.

W pobliżu synagogi rozległ się kolejny grzmot i rabin pochylił głowę. Kiedy zapanowała cisza, powiedział:

- To ty przemówisz do naszych braci słowami prawa, drugi Mojżeszu, mój synu.

Potem wyprostował się i wzniosłszy ręce wysoko nad głowę, wykrzyknął słowa, wymawiane przez wiernych modlących się w synagodze.

- Słuchaj, Izraelu! Pan jest Bogiem naszym, Pan jest jeden!

W jego ustach słowo „jeden” zamieniło się w przeciągły jęk. Znów dał się słyszeć potężny grzmot.

Któż może powiedzieć, w jaki sposób ten grzmot, akcentujący poszczególne słowa rabina, mógł przypieczętować los Dawida, syna Ezry? Ale kiedy jego dusza się wyrwała, kiedy czekał, by pośród burzy rozległ się cichy głos Boga, jego wzrok padł na napis wyryty na małej tabliczce. Było wiele takich tablic podarowanych przez Żydów, którzy, pragnąc zostawić coś po sobie, od setek lat umieszczali je w synagodze. Właściwie był to przybrudzony kawałek marmuru, bez żadnych ozdób. Ale na niej jakiś Żyd, dziś zapomniany i od dawna już nieżyjący, wyraził część siebie w słowach, które teraz rzuciły się Dawidowi w oczy.

Pobożność nakazuje oddawać cześć niebiosom, a sprawiedliwość - przestrzegać praw ustanowionych przez przodków. Ale umysł ludzki istniał zawsze, przed pobożnością i sprawiedliwością.

Cynizm tych ostatnich słów do głębi wstrząsnął Dawidem, jakby usłyszał szyderczy chichot w uświęconym miejscu.

Dawno temu jakiś Żyd, w którego żyłach płynęło wiele krwi pogańskich Chińczyków, napisał te słowa, polecił je wyryć w kamieniu i umieścić w synagodze! Dawid wybuchnął śmiechem i nie mógł się opanować.

Rabin nie krył swego oburzenia.

- Rabbi - wyznał szczerze Dawid - rozśmieszyło mnie coś, co tu zobaczyłem.

- Oddaj mi Torę! - nakazał gniewnie rabin, - Wybacz mi - szepnął Dawid.

- Niech Pan ci wybaczy! - Starzec wziął Torę z rąk Dawida, schował ją do pokrowca i odłożył na swoje miejsce w świętej arce. Czuł się głęboko dotknięty i był kompletnie pogubiony. Zniknęło uczucie wzniosłości, zakręciło mu się w głowie i wsparł się o pulpit. - Zostaw mnie - rzucił oschle.

- Chcę się przez chwilę pomodlić.

- Czy mam zaczekać na ciebie? - zapytał Dawid. Zawstydził się swojego zachowania, ale wciąż się uśmiechał.

- Sam trafię - oświadczył rabin z taką srogą miną, że młodzieniec oddalił się bez słowa.

Kiedy szedł przez zewnętrzny dziedziniec, powiał chłodny, orzeźwiający wietrzyk. Dawid wziął głęboki oddech. Był oszołomiony nagłą zmianą w powietrzu, w sobie, i ledwo rozumiał, co się wydarzyło. Umysł ludzki istniał zawsze, przed pobożnością i sprawiedliwością. Umysł ludzki, jego umysł! Przystanął w wejściu do synagogi, na szczycie schodów, i jego dusza, od tyłu dni trzymana w napięciu, nagle została uwolniona, jak kamień z procy. Burza przeszła nad miastem, powietrze zrobiło się rześkie i czyste, promienie słoneczne padały na mokre dachy i bruk, ludzie byli weseli, radośni i pochłonięci swoimi sprawami.

Akurat w chwili, kiedy słońce oświetliło ulice, Dawid zobaczył Kung Chena. Deszcz zatrzymał kupca dłużej niż zwykle w herbaciarni, gdzie codziennie rano wypijał herbatę, i dopiero teraz podążał, omijając kałuże, do swego kantoru. Jak zwykle był opanowany i zadowolony z siebie, w czystym powietrzu jego letnia szata z kremowego jedwabiu wyglądała szczególnie świeżo, a czarne jedwabne pantofle prezentowały się nieskazitelnie. W kołnierzu sukni miał złożony czarny wachlarz, ciemne włosy starannie szeszał z ogolonego czoła, zaplótł w warkoczyk i przewiązał czarną jedwabną tasiemką z frędzlami.

W całym mieście nie można było znaleźć bardziej przystojnego mężczyzny w jego wieku czy takiego, którego widok bardziej cieszył oczy. Jego wzrok, przed którym nic nie umykało, padł na Dawida. Kupiec przystanął, by go zawołać po imieniu.

- Jak się czuje mój starszy brat, twój ojciec? - zapytał Kung Chen.

- Panie, nie widziałem swego ojca dziś rano - odrzekł Dawid.

Zbiegł po schodach, bo coś go ciągnęło do Kung Chena, tak jak dziecko ciągnie do uśmiechniętego i wesołego dorosłego. Przyjemnie było znów poczuć się młodo, a nawet dziecinnie, przy tym wpływowym, a zarazem uprzejmym człowieku. Podczas ostatnich tygodni, spędzonych tak blisko rabina, zmuszano Dawida do wysiłku ponad siły.

- Czy modliłeś się do swego boga? - zapytał Kung Chen takim tonem, jakim mógłby zapytać Dawida, czy był w teatrze.

- Rabin mnie nauczał - wyjaśnił Dawid.

Kung Chen się zawahał, ale po chwili powiedział:

- Zawsze chciałem zobaczyć, jak wygląda wasza świątynia w środku, ale chyba nie wolno mi do niej wejść.

- Dlaczego nie? - odparł Dawid. - Jeśli sobie życzysz, chętnie cię oprowadzę.

Nie miał ochoty wracać do synagogi, a jednak cieszył się, że ma pretekst, by zostać z Kung Chenem, więc z niejaką dumą znów wszedł po schodach, a stary odźwierny, z niepewną miną, otworzył szerokie drzwi i wpuścił ich do środka.

Jakże inaczej wyglądała teraz synagoga! Promienie słoneczne padały na nią z bezchmurnego nieba, w zachowaniu Kung Chena nie było lęku ani szacunku, tylko uprzejmość.

Patrzył na wszystko z zainteresowaniem i czytał napisy donośnym, radosnym głosem, z treścią wszystkich się zgadzając.

Na wąskich tablicach, zdobiących framugę drzwi do sali modlitw, wyryto między innymi takie inskrypcje: Uznając niebo, ziemię, władzę, rodzica i nauczyciela, nie jesteś daleko od właściwej drogi rozumu i cnoty.

Spoglądając w zadumie na to, co stworzyły niebiosy, nie śmiem ukrywać swojego szacunku i podziwu.

Spuszczając wzrok, przepełniony czcią dla naszego Wiekuistego Pana, powinienem mieć czysty umysł i ciało.

Kung Chen nie krył swojego podziwu dla owych sentencji.

Odwrócił się do Dawida i zauważył mile zaskoczony:

- Cóż, młodzieńcze, wy i my wierzymy w to samo! W takim razie czym się różnimy?

I zanim Dawid zdołał mu odpowiedzieć, przeczytał na głos kolejny tekst, który brzmiał, jak następuje:

Od czasów Abrahama, kiedy ustanowiona została nasza wiara, my, Żydzi z Chin, głosiliśmy słowo Boże, a w zamian podzielono się z nami mądrością Konfucjusza, Buddy i taoizmu.

Kung Chen z aprobatą pokiwał swoją wielką głową. Przechodził od jednej tablicy do drugiej, zgadzając się z tym, co głosiły. Ale najbardziej mu się spodobała ta, na której wyryto:

Przed Wielką Pustką palimy wonne kadzidła, zupełnie zapominając jej nazwę i kształt.

Ramię w ramię Dawid i postawny Chińczyk szli przez synagogę, rozmyślając nad tym, czego każdy z nich pragnie.

Kung Chen stwierdził, że może ze spokojnym sumieniem oddać swoją córkę młodzieńcowi, w którego domu wyznaje się zasady tak podobne do tych, jakie głoszą mędrcy. Dawid zaś poczuł, że ciężar, przytłaczający go przez te wszystkie dni po przyjeździe Kao Liena z Zachodu, gdzieś zniknął. Sama obecność Kung Chena podnosiła na duchu i była pouczająca; gorset, który ścisnął duszę Dawida, rozluźnił się. Wszak ten szlachetny człowiek nie mógł się całkowicie mylić i może rabin nie do końca ma rację. Słabe promyki nadziei i

optymizmu zaczęły się wkradać do zakamarków jego duszy i Dawid po tylu dniach odmawiania sobie wszelkich przyjemności nagle znów za nimi zatęsknił. Zapragnął natychmiast znaleźć się na skąpanych w słońcu ulicach, z których deszcz zmył kurz, i włóczyć się nimi bez celu. Czuł się tak, jakby odbył podróż do mrocznej krainy, i teraz wrócił do domu. Wiedział, że sprawiła to obecność Kung Chena, dostojnego Chińczyka, który wolno kroczył obok niego.

Kung Chen podziwiał wszystko, co widział - kamienne pomniki i sklezione przejścia, duże kamienne misy w kształcie lotosu na dziedzińcach, łaźnię oraz rzeźnię. O dwa ostatnie budynki wypytał Dawida, zdziwiony, że wzniesiono je na terenie świątyni. Kiedy usłyszał, że Żydzi uważają, iż przed przystąpieniem do obrzędów religijnych należy obmyć ciało, skinął głową z aprobatą. Ale gdy Dawid mu powiedział, że ich religia wymaga, by zwierzęta składane w ofierze były pozbawione ścięgien, zdumiony zapytał, dlaczego tak jest. Kiedy usłyszał historię niejakiego Jakuba, walczącego z aniołem, uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Jeśli o mnie chodzi - oznajmił - jestem przeciwny odbieraniu życia, nawet by złożyć ofiarę bogu. - Potem roześmiał się głośno. - Tak mówię, a jednak kiedy postawią przede mną smaczną potrawę z wieprzowiny, jem ją z takim apetytem, jak mój sąsiad! Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi.

Dawid zaczął się niepokoić, czy rabin przypadkiem nadal nie modli się w synagodze. Co będzie, jeśli się okaże, że wciąż tu jest, i rozgniewa się, widząc Dawida, który na dodatek przyprowadził ze sobą Chińczyka? Szedł coraz wolniej, ale w końcu i tak był zmuszony podejść do drzwi pomieszczenia zwanego Święte Świętych. I rzeczywiście dostrzegł przed Arką rabina, pogrążonego w modlitwie. Wstyd powiedzieć, ale ucieszył się, że starzec jest ślepy i nie zobaczyłby ich nawet, gdyby uniósł głowę. Kung Chen przystanął na progu i spojrzał na Dawida.

- Stary nauczyciel! - szepnął.

- Modli się - wyjaśnił Dawid również szeptem.

Już mieli się wycofać, kiedy rabin podniósł głowę. Miał bardzo dobry słuch, więc usłyszał zarówno kroki, jak i szepty.

- Dawidzie, mój synu! - zawołał głośno. - Wróciłeś!

Rabin pożałował swego gniewu i stanął przed Panem, modląc się o powrót Dawida. Teraz uznał, że jego prośba została wysłuchana. Wyciągnął przed siebie ręce i skierował się ku drzwiom. Dawid zamierzał się cofnąć, ale Kung Chen, wiedziony współczuciem, postąpił kilka kroków naprzód.

- Stary nauczycielu, proszę uważać - powiedział.

Rabin zatrzymał się i opuścił ręce.

- Kto tu jest? - zapytał.

Kung Chen nie poczuwał się do żadnej winy, toteż natychmiast odrzekł:

- To ja, Kung Chen, kupiec. Zobaczyłem w wejściu syna mojego przyjaciela Ezry i będąc z natury ciekawy, poprosiłem go, żeby mnie oprowadził po waszej świątyni.

Słyszając to, rabin zapłonął srogim gniewem. Zakrzyknął do Dawida:

- Jak to możliwe, że wprowadziłeś obcego człowieka do tego miejsca?

Kung Chen mógł to uznać za jakiś przesąd, ale doszedł do wniosku, że powinien stanąć w obronie Dawida, więc wtrącił pojednawczo:

- Proszę się uspokoić, stary nauczycielu. To nie on zaprosił mnie do środka. To wszystko moja wina.

- Ty jesteś synem Adama - obwieścił z powagą rabin.

- Ale on jest synem Boga. Dlatego wina za wszystko spada na niego.

Kung Chen był wielce zdziwiony.

- Nie jestem synem Adama - oświadczył. - Nie ma nikogo o takim imieniu wśród moich przodków.

- Wszyscy poganie są synami Adama - poinformował go stary rabin.

Kung Chen poczuł, że ogarnia go złość.

- Nie życzę sobie, by mnie nazywano synem człowieka, o którym nigdy nie słyszałem.

- Słowa te wypowiedział opanowanym głosem, przeświadczony, że jest poniżej godności człowieka szlachetnego, za jakiego się uważał, okazywanie gniewu, szczególnie osobie starszej. Ale cały aż się gotował i trudno mu było ukryć wzburzenie, kiedy mówił dalej: - Poza tym nie podoba mi się, gdy ktokolwiek nazywa tylko siebie i swoich braci synami Boga. Możecie sobie być synami swojego Boga, jeśli chcecie, ale jest też wielu innych bogów.

- Jest tylko jeden prawdziwy Bóg i ma na imię Jehowa - oznajmił rabin, cały się trzęsąc.

- To samo twierdzą zwolennicy Mahometa w naszym mieście - zauważył Kung Chen.

- Tylko nazywają go Allahem. Czy to ten sam bóg, co wasz Jehowa?

- Nie ma bogów poza naszym Bogiem! - wykrzyknął rabin głośno i piskliwie. - On jest jedynym prawdziwym Bogiem!

Kung Chen przez jakiś czas wpatrywał się w niego, a potem spojrzał na Dawida:

- Stary nauczyciel oszalał - stwierdził. - Należy mu współczuć. Często się tak zdarza, kiedy ludzie za dużo rozmyślają o bogach, duchach, demonach i podobnych tworcach ludzkiej fantazji. Nie wiemy, co jest na tamtym świecie.

Ale rabin nie chciał jego współczucia.

- Wiemy, co jest na tamtym świecie! - wykrzyknął głośno i z mocą. - Właśnie dlatego Bóg wybrał nas, żebyśmy mogli wiecznie przypominać ludziom o Nim, jedynym władcy świata. Jesteśmy gźami ludzkiej duszy. Nie spoczniemy, póki ludzie nie uwierzą w prawdziwego Boga.

Cała złość minęła Kung Chenowi, który powiedział najłagodniej, jak umiał:

- Bóg... jeśli istnieje... nie wywyższyłby jednego człowieka nad drugiego ani jednego narodu nad inne. W niebie wszyscy tworzymy jedną rodzinę.

Na to zaś rabin uniósł głowę i w takie słowa przemówił do Boga:

- O, Panie, słyszysz bluźnierstwa tego poganina?!

Dawid stał z pochyloną głową i z założonymi rękami, w milczeniu przysłuchując się sprzeczce starszych mężczyzn.

Czuł się rozdarty wewnątrz.

Po chwili Kung Chen rzekł do niego:

- Pozwólmy się modlić staremu nauczycielowi, jeśli to go uspokoi. Nie wierzę w żadnych bogów, więc żaden nie może skrzywdzić mnie ani moich braci... żegnam was obu.

Z wielką godnością skierował się do drzwi, a potem na wschód, ku bramie. Dawidowi z jednej strony było szkoda rabina, a z drugiej - ogarnął go wstyd. Pobiegnął za Kung Chenem i dogonił go tuż przed bramą.

- Proszę o wybaczenie - wyszeptał.

Kung Chen zwrócił łagodną twarz ku młodzieńcowi. Nie było na niej ani śladu gniewu, kiedy przemówił z powagą:

- Nie uważam, że stała mi się jakaś krzywda, więc nie musisz mnie za nic przeproszać. Ale coś ci wyznam. Nikt na świecie nie może kochać tych, którzy głoszą, że jako jedyni są synami Boga.

Powiedziawszy to, Kung Chen ruszył swoją drogą. Dawid zawahał się... Słowa Chińczyka rozbrzmiewały mu w głowie.

Nie mógł wrócić do rabina. Ale stracił również ochotę na beztróską zabawę. Znowu przygniotło go brzemień jego braci ciężarem wszystkich minionych wieków.

Poczuł, jak do oczu napływają mu łzy. Wrócił do synagogi, ukrył się w sklepionym przejściu i gorzko zapłakał.

Tego parnego letniego ranka Peonia widziała, jak Dawid wychodzi z rabinem. Pobiegnęła, żeby wyjrzeć przez okno i sprawdzić, czy Lea jest z nimi. Ale Lea zajęta była swoją

robótką, więc Peonia się oddaliła, przez nikogo niezauważona. Kiedy Dawid wrócił do domu, poszła do niego i zapytała, czy czegoś sobie życzy, ale ją odesłał, bo chciał być sam.

Wszyscy w tym domu chcą być sami, pomyślała nieco rozgoryczona. Czuła, że ogarnia ją dziwne zniecierpliwienie.

Nie rozmawiała z Dawidem, odkąd dała mu list. Ani razu po nią nie przysłał, nie napisał też żadnego nowego wiersza. Peonia wiedziała jedynie, że wiersz, ułożony rzekomo przez Kueilan, nadal jest w szufladzie jego stołu. Codziennie, kiedy Dawida nie było w pokoju, otwierała szufladę i widziała w niej złożony arkusz pod nefrytowym przyciskiem do papieru. Mogła tylko czekać na koniec dnia.

Niedawno Peonia zdobyła nową umiejętność: jak likwidować ból serca lub mięśni. Nauczyła ją tego Matka Wang, pokazując jej, gdzie w ciele znajdują się ośrodki bólu, gdzie biegną długie linie nerwów i naczyń krwionośnych. Czasami Peonia uśmierzała ból madame Ezra, a czasami Dawidowi. Ku jej zdumieniu Ezra w ten gorący dzień, chociaż burza przyniosła ochłodę, wezwał Peonię, by pomasaowała mu skronie i stopy.

Do tej pory nie wiedziała, że jej korpulentny, krzepki pan uskarża się na jakiegokolwiek bóle. Tego wieczoru, kiedy weszła do jego komnaty, siedział na krześle. Gdy stanęła za nim, by przystąpić do pracy, poczuła nabrzmiałe żyły na skroniach Ezry i napięte mięśnie karku.

- Panie, twoja dusza jest przygnębiona - wyszeptwała. Potrafiła przynosić ulgę ludziom, których trapiły różnego rodzaju bóle: ciała, duszy, umysłu.

- Jestem przygnębiony - rzekł Ezra. Odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i pozwolił się masować.

Nie odzywała się i przez jakiś czas on też nic nie mówił.

Gładziła nerwy i naciskała żyły na jego skroniach, zmuszając krew do odpłynięcia.

W pewnej chwili powiedział niespodziewanie:

- Jaką masz dziwną moc w dłoniach! Kto cię nauczył sztuki masażu?

- Trochę mi pokazała Matka Wang, a część wiem sama z siebie - wyjaśniła.

- Skąd ci się wzięła ta wiedza? - zapytał. Oczy wciąż miał zamknięte, lecz na jego ustach pojawił się słaby uśmiech.

- Czasem też jest mi smutno - odparła, ale jej głos był pogodny.

- No, no - powiedział żartobliwie. - Tobie, tutaj, w tym domu, gdzie wszyscy są dla ciebie tacy dobrzy?

- Pan jest dobry - przyznała Peonia - lecz wiem, że to nie mój dom. Nie urodziłam się tutaj i nie płynie we mnie wasza krew.

- Ale kupiłem cię, Peonio - przypomniał jej delikatnie Ezra.

- Owszem, zapłacił pan za mnie - zgodziła się - lecz to nie znaczy, że należę do pana. Nie można do końca kupić człowieka.

Wydawało się, że Ezra rozmyśla nad jej słowami, kiedy mu masowała mięśnie karku. Potem się pochyliła, zdjęła mu pantofle i zaczęła gładzić jego stopy. Kiedy skończyła masaż, usiadł prosto, odprężony, i oznajmił:

- A jednak traktuję cię jak własną córkę. Widzisz, gdybym postępował zgodnie z naszą tradycją, nie pozwoliłbym ci masować sobie stóp. Wy możecie to uznać za dziwne. Ale w kraju moich przodków tylko córka może robić to, co ty przed chwilą zrobiłaś. W Indiach też. Sam widziałem, jadąc kiedyś z karawaną przez Indie.

- Stopy dźwigają ciężar ciała, głowa - ciężar umysłu, a serce - ciężar duszy - odparła słodko Peonia. - I nieważne, co mówią moi rodacy. Bo cóż mogą powiedzieć? Jedyne, że to cudzoziemski obyczaj. Wie pan, jak tolerancyjni są Chińczycy. Akceptują wszystko.

- Wiem - przyznał Ezra. - To najlepsi ludzie na całym świecie, a dla nas najbardziej życzliwi.

Westchnął tak wymownie, że Peonia odgadła jego myśli.

Niemniej jednak zapytała:

- Panie, dlaczego wdychasz?

- Bo nie wiem, co jest słuszne.

Roześmiała się cicho.

- Zawsze pan mówi o tym, co słuszne, a co nie - przypomniała mu. I masując podeszwy jego stóp, twarde i szerokie, dodała radosnym głosem: - A przecież dobre może być tylko to, co przynosi szczęście, a złe tylko to, co wywołuje przygnębienie.

- Mówisz tak, bo nie jesteś zawieszona między niebem a ziemią - zauważył.

- Wiem, że moje miejsce jest na ziemi - odrzekła z prostotą.

- Tak, ale my należymy do nieba - stwierdził.

Skończyła masować Ezrze stopy i włożyła mu pantofle.

- Mówimy o niebie i o ziemi - powiedziała - ale myślimy o czym innym.

- O czym? - zapytał, chociaż dobrze znał odpowiedź.

Usiadła na piętach i spojrzała na niego.

- O Dawidzie - odparła cicho.

- Też o nim myślisz? - zdziwił się Ezra.

- Zawsze o nim myślę. - Ukłękła i postanowiła, że wyzna mu wszystko. - Wiem, że to głupota z mojej strony, panie, ale go kocham - oświadczyła bez ogródek.

- Zrozumiałe, że go kochasz - powiedział Ezra swoim zwykłym, serdecznym tonem. - Dorastaliście jak rodzeństwo.

- Tak, ale nie jesteśmy rodzeństwem - przypomniała mu.

- I nie dlatego go kocham.

Ezra poczuł się nieswojo. Gdyby się nad tym zastanowił, musiałby wiedzieć, że młoda, delikatna, ładna dziewczyna, która mieszka z Dawidem i mu służy, nie może go nie pokochać. Pamiętał swoją własną młodość, kiedy to podobała mu się Matka Wang. Gdy teraz o tym myślał, czerwienił się, bo już od tak dawna była jedynie służącą. Ale doskonale pamiętał, że kiedy sam miał szesnaście lat, a ona mniej więcej tyle samo i była śliczna jak obrazek, odważył się oświadczyć swemu ojcu, że nie chce żadnej innej kobiety. Miała na imię I Nefrytowy Kwiat. Nefrytowy Kwiat! Kiedy przypomniał sobie to imię, obudziło się w nim coś, co już dawno uznał za martwe. Była ładniejsza i wyższa od Peonii, miała jaśniejszą cerę, prosty nos i delikatniejsze usta.

Jego ojciec wybuchnął śmiechem.

- Przecież to służąca! - wykrzyknął. - Mój syn nie może poślubić służącej!

- Nie będzie służącą, jeśli zostanie moją żoną! - protestował żarliwie młody Ezra.

Nagle jego ojciec przestał się śmiać.

- Nie bądź głupcem - rzucił. A potem dodał: - Nie obchodzi mnie, co robisz ze swoją służącą, póki o niczym nie wiem. Ale twoją żoną zostanie Naomi, córka Judy ben Izaaka.

Ezra był zaskoczony. W owym czasie wśród młodzieńców z ich społeczności Naomi słynęła ze swej urody, uchodziła za najpiękniejszą Żydówkę w całym mieście. On zaś był wystarczająco wrażliwy, wystarczająco próżny, by wyobrazić sobie zazdrość swoich przyjaciół, gdy im zakomunikuje, że poślubi Naomi. A Juda ben Izaak należał do tak bogatej rodziny, że dzięki jej majątkowi odbudowano synagogę po powodzi w ubiegłym wieku. Wprawdzie przyjęli chińskie nazwisko Shih, ale Juda wyjaśnił, że posługują się nim tylko w interesach.

Ezra zwrócił się do Peonii, wciąż klęczącej i spoglądającej na niego:

- Zachowaj swoją miłość dla siebie, moje dziecko, nie wywołuj zamętu w tym domu.

Nie wszystko naraz, błagam.

Tak więc na swój sposób powtórzył to, co niegdyś usłyszał od ojca. Głupotą byłoby posługiwanie się przez Peonię tytułem „konkubiny”, bo madame Ezra nigdy by nie pozwoliła na to, żeby jej syn miał konkubinę. Ale Peonia zrozumiała, o co mu chodzi, i pozostała nieruchoma jak posązek, patrząc na niego błyszczącymi oczami, które potrafiły być takie wesołe, a teraz były smutne.

- Dawid będzie bardzo nieszczęśliwy, jeśli poślubi Leę - wyszeptwała.

Ezra wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

- Sprawisz, że znów rozboli mnie głowa - poskarżył się.

- Odejdź, moje dziecko, i zostaw mnie samego.

Zobaczyła, że Ezra nic więcej nie powie. Chociaż zawsze będzie hojny i pobłażliwy jako pan, nigdy nie zapomni, że Peonia jest tylko niewolnicą, dziewczyną, która zapewnia wygodne życie w tym domu. Serce jej stwardniało. Wstała, ukloniła się i już miała odejść, kiedy u Ezry doszła do głosu wrodzona dobroć. Podniósł rękę.

- Zaczekaj, moje dziecko. Mam dla ciebie drobny upominek. Po przyjeździe karawany panowało takie zamieszanie, że zapomniałem ci go dać. Otwórz to pudełko i zobacz, co w nim jest.

Wskazał głową szkatułkę z laki, stojącą na stole. Peonia podeszła do stołu i uniosła wieczko szkatułki. W środku leżał złoty grzebyk.

- To dla mnie? - zapytała, a jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Dla ciebie - potwierdził z uśmiechem Ezra. - Wsuń go we włosy.

- Nie patrząc w lustro? - wykrzyknęła Peonia, udając przerażenie.

Ezra się roześmiał.

- Dobrze, dobrze, weź go i ciesz się nim.

- Dziękuję, panie - powiedziała. - Bardzo dziękuję.

- Nie masz mi, za co dziękować - odparł Ezra. Ale Peonia widziała, że jest zadowolony. Lubił dawać prezenty i chciał, żeby wszyscy czuli się szczęśliwi. Sprawiał mu przyjemność widok uśmiechniętej Peonii, a ona postarała się okazać swój zachwyt. Był to naprawdę śliczny grzebyk, a ona lubiła ładne przedmioty. Ale nie była już dzieckiem i nie wystarczały jej świecidełka. Wyszła z uśmiechem na twarzy, lecz jej serce pozostało niewzruszone.

Po wyjściu Peonii Ezra pograżył się w nieprzyjemnych myślach. Często wzdychał głęboko. Okazał się na tyle nierozważny, by raz czy dwa w obecności Kung Chena robić aluzje do jego trzeciej córki i Dawida. Nie posunął się do tego, by wymienić jej imię, ale powiedział: „Twój ród i mój ród, co, starszy bracie? Czym są nawet najlepsze kontakty w interesach w porównaniu z dziećmi i wnukami, zrodzonymi ze wspólnych korzeni?”.

Kung Chen się uśmiechnął i skinął głową bez słowa. Teraz wszystko się skomplikowało, doszedł do wniosku Ezra. Wciąż się zastanawiał dlaczego - skoro jest człowiekiem pragnącym jedynie szczęścia wszystkich, łącznie z sobą - tak często znajduje się w sytuacji, która nie może przynieść szczęścia nikomu, a przede wszystkim jemu. Toteż było

mu bardzo nie na rękę, kiedy rabin zamieszkał w jego domu. Naturalnie rabin był dobrym człowiekiem, lecz nie myślał o niczym poza tym, co nakazuje Tora. Rabin powinien zajmować się Torą, ale Tora wprowadziła zamieszanie w domu Ezry. Nikt nie może się czuć dobrze, jeśli stale przypomina mu się o przeszłości.

Dlatego nawet on, tu, w swoim własnym domu, czuł się skrepowany, gdy spotykał ślepego starca idącego po omacku korytarzem. Starał się go unikać. Kiedy natknął się na rabina, gdy był sam, nieruchomiał i nie odzywał się, w ten sposób wykorzystując dla swych celów ślepotę starca.

Potem przez dłuższą chwilę Ezra myślał o Lei. Była ładniejsza i skromniejsza niż kiedyś Naomi. Prawie nigdy nie rozmawiał z Leą. Nieraz udawała się wieczorem do ogrodu brzoskwiniowego. Widział, jak krąży pod drzewami, czasem podnosi rękę i zrywa owoc. Brzoskwinie obrodziły tego roku. Nie informowała wszystkich o swoim istnieniu samą swoją obecnością, jak to miała w zwyczaju Naomi już wtedy, gdy była jeszcze młodą dziewczyną. Może Dawid będzie z nią szczęśliwy. Dawid wydawał się silniejszy od niego i lepiej umiał postępować z upartymi kobietami. Nagle Ezra sobie przypomniał, że ostatnio bardzo rzadko widuje Dawida. Odkąd rabin uczył jego syna, w ciągu dnia rozmawiał z Dawidem tylko w porach posiłku. Gwałtownie wstał i postanowił, że pójdzie do pokoju syna, chociaż zrobiło się już późno.

A potem pomyślał o Peonii. Czy Dawid wie o jej uczuciu do niego? Kiedy on był młody, sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej. To on poinformował ojca o swojej miłości. Teraz dowiedział się wszystkiego od dziewczyny. Miało to jeszcze mniejsze znaczenie. Szybkim krokiem ruszył na bosaka chłodnymi, skąpanymi w blasku księżyca podcieniami w stronę komnat Dawida.

Peonia udała się prosto do ogrodu brzoskwiniowego. Nie mogłaby usnąć po tym, co usłyszała od swego pana. Czy już zadecydowano, że Dawid poślubi Leę? Czy dlatego Dawid jest smutny? Jeśli ojciec wyraził zgodę na ten ślub, to już nie pozostał nikt, kogo można by jeszcze przekonywać. Madame Ezra wygrała.

Poczuła, jak ogarnia ją panika. Czy Lea pozwoli jej dalej mieszkać w tym domu, kiedy zostanie młodą panią? Madame Ezra może rządzić do końca życia, ale to Lea będzie prawdziwą królową. Będzie informowała Dawida o swoich życzeniach, a Dawid będzie wydawał polecenia matce. Tak, madame Ezra pozwoli swojemu synowi na wszystko, jeśli on ulegnie jej w tej jednej kwestii, i poślubi tę, którą dla niego wybrała.

- Och! - jęknęła cicho Peonia. - Och, uzał się nade mną, moja matko.

Apelowała do swej matki, której nawet nie pamiętała. Potem uświadomiła sobie, że przecież matka ją sprzedawała. Czy może ją teraz usłyszeć, obojętnie, żywa czy martwa?

Nie mam nikogo poza sobą, pomyślała Peonia. Nikt się nade mną nie ulituje. Mogę apelować tylko do siebie. Więc wołała cicho, na poły śmiejąc się, na poły ze złamanym sercem: „Pomóż mi, Peonio... Pomóż sobie, biedactwo!

Użał się nad sobą, moja mała... Zrób dla mnie wszystko, co w twojej mocy”.

Gdy znalazła się w ogrodzie brzoskwiowym, zobaczyła tam Leę siedzącą na ławeczce pod drzewami. Miała na sobie długą białą suknię, przewiazaną złotym pasem, rozpuszczone włosy przytrzymawała złota opaska. Padało na nią światło księżyca i Peonia dostrzegła z całą ostrością, że urodą nie może równać się z Leą.

- Tutaj panienka przyszła? - spytała swoim najbardziej dziecinnym głosikiem.

- Nie mogę spać - odparła Lea.

- Mnie też obudził księżyc. - Peonia podeszła bliżej i spojrzała przez gałęzie drzew na księżyc w pełni.

- Widzi panienka Starego Changa tam, na księżycu? - pokazała małym palcem.

- Starego Changa? - powtórzyła Lea, wstając i unosząc wzrok.

- Żyje na księżycu i zsyła słodkie sny - ciągnęła Peonia tym samym beztroskim tonem.

- O jaki sen go panienka poprosi?

Peonia z melancholią patrzyła na jej czystą i niewinną twarz. Była zbyt poczciwa, by nienawidzić Lei za jej urodę, ale znów zebrało jej się na płacz.

- Tylko Bóg może spełnić moje marzenie - powiedziała Lea głosem głębokim i łagodnym.

Peonia się roześmiała.

- W takim razie przekonamy się, kto jest silniejszy: Stary Chang czy Bóg panienki!

I w figlarnym nastroju padła na kolana, pochyliła czoło do ziemi, a potem uniosła głowę i zawołała w stronę księżyca:

- Spraw, by ziścił się mój sen, Stary Changu!

Lea przyglądała jej się z poważną miną.

- Czy możemy ujawnić sobie nawzajem, o czym marzymy? - zuchwale spytała Peonia, wstając.

Lea pokręciła głową.;

- Nie - odparła. - Nie mogę zdradzić swojego marzenia... Ani tobie, ani nikomu. Ale obiecuję, że powiem ci, kiedy się spełni.

Wciąż spoglądały na siebie. Peonia miała ochotę wykrzyknąć: „Znam twoje marzenie. - Chcesz zostać żoną Dawida!”.

Wyznać Lei, że ona też kocha Dawida i na swój sposób będzie się starała go zdobyć, chociażby dla jego własnego dobra... Ach, jaką ulgę przyniosłoby to jej skołatanemu sercu!

Ale milczała. Wiedzieć o czymś i nie przyznać się do tego to jak zdobyć oręż.

- Dobranoc, panienko - powiedziała po chwili.

- Dobranoc - odrzekła jej Lea.

Rozstały się. Peonia obejrzała się za siebie, gdy była przy drzwiach, i zobaczyła, że Lea chodzi tam i z powrotem pomiędzy drzewami brzoskwiń.

Kiedy tego ranka Dawid sam wyszedł z synagogi, przez kilka minut płakał. Potem rozejrzał się wokół siebie. Nikogo nie było w pobliżu i nikt nie widział, jak ronił łzy. Dobrze mu zrobił ten płacz. Nadal odczuwał smutek, ale zarazem i ulgę.

Nie zobowiązano go do podjęcia się jakiegoś nowego zadania - Bóg nie przemówił do niego. Wszystko pozostało jak dawniej. Był sobą i uznał, że to dobrze. Nie chciał się widzieć ani z Chińczykiem, ani z rabinem, chciał być sam. Złożył jarmułkę i wsunął ją za połą swego kaftana. Ruszył samotnie ulicą i krążył po mieście, obojętnie patrząc na wszystko, co go otaczało, niemniej jednak świadom, że powoli odzyskuje własną duszę. Poszedł na dziedziniec świątyni konfucjańskiej, gdzie można było zobaczyć dziwne i ciekawe rzeczy, magików i zonglerów, tańczące niedźwiedzie i śpiewające kosy. Ale to, co zazwyczaj sprawiało mu przyjemność, teraz go nie bawiło.

Patrzył, lecz się nie śmiał. Dostrzegł przysmaki na straganach, kupił je i próbował. Ale nie miał apetytu, więc oddał wszystko żebrakom. Czuł się samotny, lecz nie miał ochoty na spotkanie z przyjaciółmi. Jednak stwierdził, że mimo smutku i samotności zdrowieje.

Wspominał tych, których znał, lecz nie pociągała go perspektywa spotkania z kimkolwiek. Nagle w środku dnia przypomniał sobie Kao Liena i zapragnął go zobaczyć i z nim porozmawiać. Kao Lien powinien być teraz w sklepie ojca, ale ojca najprawdopodobniej tam nie zastanie, bo Ezra miał w zwyczaju przychodzić do kantoru rano i wcześniej go opuszczać, podczas gdy Kao Lien nie lubił wstawać przed południem, więc pracował do późna. Dawid udał się na spotkanie z nim.

Sklep jego ojca był bardzo duży. Wychodził na ulicę, nad drzwiami powiewały na wietrze długie jedwabne proporce.

Chińskie napisy informowały, że prowadzi się tutaj sprzedaż najróżniejszych towarów z importu, zarówno hurtową, jak i detaliczną. Kiedy Kung Chen i Ezra zawrą kontrakt, jak

Ezra miał nadzieję, wtedy na poroęczach pojawią się nazwiska ich obu. Ale teraz widniało na nich jedynie „Ezra i Syn”.

Kiedy Dawid wszedł do środka, wszyscy sprzedawcy go poznali i mu się uklonili. Spytał o Kao Liena i natychmiast jeden z nich zaprowadził go na zaplecze, do dużego pokoju, w którym panował przyjemny chłód. Kao Lien siedział za wysokim biurkiem i wpisywał coś do księgi chińskimi znakami. Na widok Dawida wstał, nie kryjąc zdziwienia i lekkiego niepokoju, ponieważ Dawid nigdy wcześniej nie przychodził tu sam.

- Czy twój ojciec nie czuje się dobrze? - zapytał. - Rozstałem się z nim zaledwie godzinę temu.

- Nie widziałem go dzisiaj - odparł Dawid. - Muszę z tobą porozmawiać, jeśli pozwolisz, wuju.

- Siadaj - rzekł poważnym tonem Kao Lien.

A gdy usiedli, czekał w milczeniu, patrząc na Dawida tak życzliwie, że młodzieniec od razu wszystko mu wyznał.

- Odkąd opowiedziałeś nam o tym, jak zabijają naszych braci, nie mogę sobie znaleźć miejsca - oświadczył Dawid.

- Czuję, że powinienem coś zrobić... Okazać się innym człowiekiem, niż jestem. Czuję, że nie mam prawa żyć tu szczęśliwie, bawić się i cieszyć życiem.

- Uważasz, że powinieneś być nieszczęśliwy? - zapytał go Kao Lien z cierpkim uśmiechem.

- Wiem, że na nic by się to zdało - szczerze wyznał Dawid. - Ale sądzę, że byłoby wysoce niestosowne z mojej strony żyć tak, jakby nasi bracia nie ginęli, o czym dowiedzieliśmy się od ciebie.

- Pobierałeś nauki u rabina - przypomniał mu cichym głosem Kao Lien - a matka cię nakłaniała do poślubienia Lei.

- Kiedy przyjechałeś i przywiozłeś złe wiadomości - powiedział Dawid - uznałem, że powinienem usłuchać rabina i matki.

- Czy swoim posłuszeństwem możesz odkupić śmierć naszych braci? - dopytywał się Kao Lien.

- Nie, nie - przyznał Dawid, po czym uderzył się w piersi dłońmi zaciśniętymi w pięści. - Ale będzie mi tu lżej!

- Aha - mruknął Kao Lien. - A więc to przez wzgląd na siebie posłuchasz rabina i poślubisz Leę. W takim razie czemu się wahasz?

- Bo nie jestem pewien, czy tego pragnę! - wykrzyknął Dawid. - Chcę być taki jak dawniej... Kiedy nie wiedziałem, co spotkało naszych braci.

Dawid siedział na miękkim taborecie, niższym od krzesła, które zajmował Kao Lien. Kao Lien spojrzał na jego młodzieńczą twarz i poczuł niepokój w sercu.

- No tak, ale teraz wiesz - zauważył - i już nigdy o tym nie zapomnisz. Czy ktokolwiek może uciec przed prawdą?

- A jak brzmi prawda? - spytał Dawid.

Kao Lien bardzo dobrze wiedział, w jakim domu wychowuje się ten młodzieniec. Znał serdecznego, porywczego, kochającego przyjemności życia ojca, jakim był Ezra, w którego I żyłach płynęła również chińska krew, podobnie jak i w jego.

Znał madame Ezra, szczycącą się czystością swej krwi, kultywującą wszystkie prastare tradycje wolnego narodu, niegdyś potężnego, niegdyś posiadającego własny kraj, który utracił, by stać się poddanym wielu władców; narodu rozproszonego po świecie, pozbawionego domu i ojczyzny. Madame Ezra przelała całą swoją dumę na jedyne syna i była zazdrosna nawet o jego duszę.

- Prawda brzmi następująco - powiedział Kao Lien.

- Sam musisz zrozumieć, kim jesteś, i sam musisz zdecydować, kim będziesz. Twoja matka ocenia świat po swojemu.

- Chce jedynie, żeby rabin uczył mnie Tory - wtrącił Dawid.

- Wtedy będziesz spoglądał na cały świat i na wszystkich ludzi przez jej wąskie okienko - zauważył Kao Lien.

Dawid zaczął się niespokojnie wiercić.

- Kao Lien, przecież ty też jesteś Żydem!

- Częściowo - przypomniał mu cierpko Kao Lien. Na jego pociągłej twarzy pojawił się lekki uśmiech, który po chwili zniknął.

- To prawda, że krew mi się ścięła w żyłach na widok trupów na ulicach miast Zachodu. Ale nie dlatego, że były to trupy Żydów, a ludzi. Zadawałem sobie pytanie: „Dlaczego zginęli taką śmiercią? Dlaczego są tak znienawidzeni?”.

- No właśnie, dlaczego? - powtórzył za nim Dawid.

- Sam zadaję sobie to pytanie. Gdybym znał na nie odpowiedź, wtedy wszystko stałoby się jasne.

Kao Lien spojrzał na niego swoimi małymi, przenikliwymi oczkami.

- Powiem ci coś, czego nie odważyłem się wyznać nikomu - oznajmił. - Ale jesteś młody, masz prawo wiedzieć. Zostali znienawidzeni, ponieważ odizolowali się od reszty

ludzi. Nazwali siebie wybrańcami Boga. Sam wiem, jak to jest. Pochodzę z licznej rodziny... Jeden z moich braci oświadczył, że jest ulubieńcem ojca. Przechwalał się tym przed nami. „Jestem wybrańcem”, chełpił się. Nienawidziliśmy go. - Usta Kao Liena zacisnęły się, tworząc cienką linię. - Nienawidzę go do dzisiejszego dnia. Z chęcią ujrzałbym go martwego. Nie, nie zabiłbym go. Nie jestem barbarzyńcą, żadnemu stworzeniu nie odbieram życia. Ale gdyby umarł, nie opłakiwałbym jego śmierci.

W cichym, mrocznym pokoju Dawid z przerażeniem wpatrywał się w Kao Liena.

- Czyż nie jesteśmy wybrani przez Boga? - wyjąkał.

- Kto tak twierdzi poza nami? - odpowiedział pytaniem na pytanie Kao Lien.

- Ale Tora... - wykrztusił Dawid.

- Napisana przez Żydów rozgoryczonych klęską - przypomniał mu Kao Lien. - Oto, jak wygląda prawda - rzekł.

- Ujawnię ci ją w całości. Byliśmy dumnym narodem. Utraciliśmy nasz kraj. Naszą jedyną nadzieją na powrót do ojczyzny było przetrwanie jako naród. Jedyną nadzieją na przetrwanie jako naród było zachowanie naszej wiary w jednego Boga, naszego Boga. Ten Bóg był naszą ojczyzną. Trzymaliśmy się razem, smucąc się, płacząc i biadoląc nad wszystkim, co straciliśmy. Nasi rabini tego uczyli kolejne pokolenia.

- I to wszystko? - zapytał Dawid dziwnie zmienionym głosem.

- Wielu jest gotowych za to umrzeć - powiedział z mocą Kao Lien.

- A ty? - ciekaw był Dawid.

- Nie - odparł Kao Lien.

Dawid umilkł. Jego dzieciństwo rozsypywało się jak domek z kart. Stały mu przed oczami obrazy uroczyste obchodzonych świąt: ujrzał matkę, zapalającą świece w wigilię szabasu; słodkie Święto Świateł, Chanukę, i prześliczną menorę na osiem świec w oknie, przypominającą o wielkim dniu, kiedy - chociaż pokonani - Żydzi wygrali walkę o zachowanie swojej religii pod panowaniem Seleucydów; Purim, dzień, w którym Żydzi wspominali swoje zmagania z Hamanem, królewskim faworytem z dawnych czasów. A najlepiej pamiętał dzień, kiedy został „synem przymierza”.

- Czy mamy zapomnieć, kim jesteśmy? - zapytał w końcu poważnym tonem Kao Liena.

- Nie - odrzekł Kao Lien. - Ale powinniśmy zapomnieć o przeszłości i przestać się izolować od innych ludzi. Należy żyć chwilą obecną, gdziekolwiek jesteśmy, i napełniać dusze innych ludzi siłą, którą mamy w sobie.

Przesłonił oczy szczupłą dłonią, jakby się modlił. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a potem Kao Lien dał znak Dawidowi, żeby go zostawił samego. Dawid wstał więc i skierował się do wyjścia. Na progu zatrzymał go głos Kao Liena.

- Nie wiem, czy postąpiłem właściwie. Ale powiedziałem ci to, co uważam za słuszne. Jeśli chcesz, możesz powtórzyć swoim rodzicom, co ode mnie usłyszałeś. Nie wymagam od ciebie, żebyś to zachował w tajemnicy.

- Poprosiłem cię, żebyś mi wyjawiał prawdę - odparł Dawid - i dziękuję ci.

Po czym wyszedł i udał się do domu.

Kiedy Peonia rozstała się z Leą, zobaczyła, jak Dawid idzie przez pierwszy dziedziniec, i podążyła za nim do jego komnat, żeby się dowiedzieć, czy jadł i czy życzy sobie czegoś.

Należało to do jej obowiązków.

- Jadłem - oświadczył. Potem wyciągnął spod kaftana jarmułkę i poprosił: - Odlóż to na miejsce.

Uczyniwszy to, wróciła do pokoju, w którym siedział.

Ręce położył na stole i patrzył tępo przed siebie.

- Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić? - zapytała z troską.

- Nie... Odejdź. Wezwę cię, kiedy będę czegoś potrzebował.

Miał taką poważną, taką zasepioną minę, że nie śmiała mu się sprzeciwić. Wokół niego leżały książki, nie tylko na stole, ale również na podłodze. Kiedy się pochyliła, żeby je podnieść, powiedział ostro:

- Zostaw. Specjalnie je zrzuciłem.

Jedyne, co mogła zrobić, to wyjść, ale była teraz w wielkiej rozterce. Zawsze jej mówił, co go gnębi. Czy pozostawało jej jednak coś innego, niż nadal go kochać? Wahala się przez chwilę, nie wiedząc, odejść czy nie. Nagle poczuła, że powietrze wokół niego jest zimne. Toczył ze sobą jakąś wewnętrzną walkę, której sensu nie dostrzegała.

Muszę to zrozumieć, powiedziała sobie. Ale nic na siłę.

Trzeba zdać się na los.

- Do jutra - szepnęła cicho, a kiedy nie odpowiedział, poszła do swojego pokoju i przygotowała się do snu.

Przynajmniej przebywamy pod jednym dachem, pomyślała, leżąc w łóżku. Stary Changu, spraw, żeby moje marzenia się spełniły! - modliła się do księżycy. Zamknęła oczy i wkrótce usnęła.

Kiedy Ezra znalazł się w pobliżu pokoju syna, spostrzegł, że w środku płonie jedna świeca. Zajrzał przez okno tak, żeby Dawid go nie zauważył. Był wstrząśnięty tym, co zobaczył.

Dawid siedział pogrążony w myślach, jego młoda twarz zdawała się taka blada, taka smutna, że Ezra aż się przestraszył.

Oto, do czego dochodzi, kiedy się pozwoli rządzić starcom i kobietom! Co będzie, jeśli straci swojego ukochanego jedynaka, swego najdroższego syna, nadzieję swego życia, swego dziedzica?

Wpadł do pokoju Dawida jak niedźwiedź. Peonia nie przyglądała mu włosów po tym, jak skończyła masaż głowy, zapomniał też włożyć jarmułkę. Kręcone włosy sterczały mu na wszystkie strony, a broda, za którą tak szarpał, zagładając przez okno, teraz przypominała miotłę. Miał bose stopy, ubranie w nieładzie, bo zwykł drapać się to tu, to tam, gdy nad czymś rozmyślał. Dawid spojrział na niego zdumiony.

Ale Ezra już podjął decyzję.

- W takie księżycowe noce nie mogę spać - oświadczył.

- Poślę Starego Wanga, by sprawdził, czy Kung Chen też nie może zasnąć. I jeżeli nie śpi, pójdziemy z nim i jego synami nad jezioro. Ostatnio zaprosił mnie na kolację, więc dziś mu się zrewanżuję. Stary Wang wynajmie łódź, zamówimy wino, jedzenie i dziewczęta, grające na instrumentach. Chodź... Chodź... Wybierzemy się razem...

Zaczął ciągnąć Dawida za rękę, patrząc na niego rozpromienionym wzrokiem spod nastroszonych brwi. Gdy zobaczył, że Dawid się waha, objął go ramieniem.

- Chodź, mój drogi synu - wymamrotał. - Jesteś młody... Jesteś młody... Będiesz miał dość czasu, żeby się smucić, kiedy się zestarzejesz.

Ciepły oddech ojca, jego tubalny, czuły głos, jego silny uścisk poruszyły serce Dawida. Rzucił się ojcu w ramiona i zaczął łkać, nie wstydząc się łez. Taki kochający ojciec zrozumie, co czuje syn. Ezra mocno tulił jedynaka do piersi. Łzy napłynęły mu do oczu, ale były to łzy gniewu. Wycodził przez zaciśnięte zęby:

- To znęcanie się... Torturują siebie i wszystkich wokół. Ale teraz chodzi o moje dziecko. Nie pozwolę, żeby cię gnębili... Bo i za co? Nie jest grzechem być młodym. Zresztą, co my wiemy o Bogu? Ci starzy rabini...

Słyszając gniew w głosie ojca, Dawid niespodziewanie przestał płakać i wybuchnął śmiechem. Ezra odsunął się i spojrział na niego.

- Bardzo dobrze, synu... Śmieję się! Czemu nie? Może Bóg lubi śmiech? Kto wie? Teraz włóż odświętne szaty i chodźmy. Ale cichutko, żeby nikt nie usłyszał! Obudzę tylko Starego Wanga. Spotkamy się przy bramie. - I opuścił pokój, oddychając z ulgą.

Dawid poszedł do swojej sypialni, zdziwiony, jak to się wszystko osobliwie potoczyło. Dzień rozpoczęty tak smutno, zakończy się beztrąsko. Dawid nie poczuwał się do żadnej winy; ogarnęła go tylko ogromna ulga, że ojciec w jakiś sposób sprawił, że minęło mu przygnębienie. Umył się, zaczesał włosy do tyłu, ale zrezygnował z nakrycia głowy. Wybrał długą suknię z niebieskiego jedwabiu i przewiązał ją szerokim pasem z miękkiej, czerwonej tkaniny. Na nogi włożył białe skarpetki i czarne aksamitne pantofle. Po kilku minutach był gotów i skierował się do bramy, gdzie już czekał na niego ojciec.

Ezra popatrzył na swego syna z bezgraniczną miłością.

Czuł, że w obronie jego życia jest gotów stawić opór każdemu, nawet samemu Bogu. Jego syn należał do niego i nikomu go nie odda.

- Nie jestem Abrahamem - powiedział niespodziewanie. - Nie poświęcę cię, mój synu!

Położył rękę na ramieniu Dawida i razem wyszli na skąpane w blasku księżyca dziedzińce, mijali kolejne bramy i w końcu znaleźli się na ulicy. Pieszko udali się nad jezioro. Godzina była późna, ale nie na tyle, by nie móc się zabawić. Wszyscy ponuracy spali, lecz ci, którzy kochali życie, zarówno młodzi, jak i starzy, cieszyli się pełnią księżyca. Lato prawie się skończyło, nadchodziła jesień - kwiaty lotosu wkrótce zwiędną, strąki popękają, nasiona wysypią się do wody. To pora, by chwytać szczęście obiema rękami.

Tak więc Ezra szedł z Dawidem pustymi ulicami, jeśli nie liczyć kilku kobiet, wciąż przesiadujących na progach. Nie spieszyły się z powrotem do domu - siedziały, karmiąc piersią swoje dzieci i marząc w świetle księżyca. I tak dwaj mężczyźni, ojciec i syn, dotarli nad jezioro, gdzie powitał ich Kung Chen ze swoimi dwoma najstarszymi synami, wytwornymi młodzieńcami, lubiącymi przyjemności. Starszy syn podobny był do ojca. Miał taką samą szeroką twarz, małe sympatyczne oczka i miękkie usta. Młodszy był drobny i urodziwy, jak jego siostra Kueilan. Dawid ujrzał w myślach jej twarzyczkę i krew zaczęła szybciej płynąć mu w żyłach. Obaj bracia zakrzyknęli radośnie na widok Dawida, uścisnęli mu rękę i zaczęli się targować z właścicielem łodzi, podczas gdy starsi mężczyźni czekali na brzegu.

- Jednocześnie pomyśleliśmy o tym samym - zwrócił się Kung Chen do Ezry. - Właśnie miałem posłać do ciebie służącego, by cię poprosić, byś zechciał razem z nami cieszyć się pełnią księżyca. Na progu natknął się na twój człowiek.

- Mój syn ostatnio za dużo się uczył - oznajmił Ezra dość powściągliwie. - Musi zapomnieć o książkach.

Kung Chen doskonale wiedział, co ma na myśli Ezra, ale odłożył dalszą rozmowę na później, kiedy odprężą się przy winie. Niczym nie dał poznać Dawidowi, że pamięta o ich spotkaniu w środku dnia. Wszystko w swoim czasie.

Młodzieńcy zdążyli już wybrać łódź, którą uznali za najlepszą, i właściciel przytrzymał ją zakrzywionym bosakiem, kiedy po kolei wchodzili na jej szeroki, płaski pokład. Ezra i Kung Chen zajęli miejsca pod jedwabnym baldachimem, a młodzi rozsiedli się na pokładzie pod gołym niebem. Przy sterze żona właściciela łodzi poruszała wachlarzem nad węglami żarzącymi się w małym glinianym piecyku, by zagrzać wodę na herbatę.

- Gdzie panowie chcą popłynąć na posilek? - zapytał właściciel łodzi.

- Może możemy sobie przynieść jedzenie na pokład? - zaproponował Kung Chen. Przystano na ten pomysł i właściciel skierował łódź w stronę restauracji o nazwie Dom Złotego Ptaka.

Dawidowi jeszcze nigdy żadna noc nie wydawała się tak przyjemna ani towarzystwo miłsze. Początkowo był milczący.

Leżał na plecach, spoglądając na bezchmurne niebo. W dole słyszał cichy szelest wielkich liści lotosu, ocierających się o burty łodzi. Odwrócił się, wychylił za burte, zerwał strąk i go rozłupał. W białym i suchym miększu w równym rzędku tkwiły nasiona. Wyłuskał je po kolei, zdjął z nich zieloną skórkę i zjadł słodziutkie, kremowobiałe ziarenka.

Właściciel łodzi pochylił się, wziął pusty strąk i ostrożnie wsunął go pod liść lotosu.

- Stary Liu, ten syn zółwia, kupił w tym roku wszystkie lotosy - wyjaśnił. - Polecił, żeby policja wodna karała grzywną każdego, kto zrywa strąki. Ale proszę jeść do woli, paniczku... Im więcej zjesz, tym mniej zostanie dla Starego Liu! Proszę cię tylko, żebyś mi dał kilka monet, bym miał czym przekupić policjantów.

Wszyscy się roześmiali, nikt się nie obruszył. Dawid leżał na wznak i spoglądał na księżyc. Nie chciał już dłużej rozmyślać, zastanawiać się, wątpić i walczyć ze swoją duszą. Pragnął jedynie żyć i cieszyć się młodością.

Łódź już zbliżała się do niższego brzegu, gdzie była restauracja, i dwaj synowie Kunga sprzeczali się, jakie wybrać potrawy.

- Naturalnie kraby - powiedział starszy.

- Smażone w oleju, a nie gotowane na parze - dodał młodszy.

- Proszę pamiętać, by zamówić do krabów bardzo mocne wino - poradził właściciel łodzi. - Nasze kraby są duże, bo zjadają odpadki, które im rzucają ucztujący na jeziorze. Obfitość pożywienia sprawia, że mają tłuste mięso.

- Zamówmy kraby gotowane na parze - wtrącił się Kung Chen, siedzący pod baldachimem. - Wtedy wyraźniej czuć smak mięsa.

Po krótkiej dyskusji zdecydowali się na kraby i pieczoną kaczkę z jarzynami, a na deser kaszę jaglaną z daktylami i czerwonym cukrem. Starszy syn Kung Chena przekazał zamówienie restauratorowi, który zbiegł po schodach na skraj wody, kiedy przywołał go właściciel łodzi; stał na brzegu, jego tłusta twarz błyszczała w świetle księżyca, cały rozpywał się w uśmiechach i krzyczał „tak, tak”, słysząc nazwy kolejnych potraw. Potem zapytał:

- Czy panowie nie życzą sobie muzyki? Jeść kraby przyrządzone przeze mnie i popijać je moim winem w taką księżycową noc bez muzyki to jak poślubić pannę bez posagu.

Roześmiali się i młodszy syn Kung Chena zawołał dziarsko:

- Przyślij nam trzy dziewczyny, które umieją śpiewać.

- Odwrócił głowę i spojrzał chytrze na ojca. - Trzy wystarczą, ojczu?

- W zupełności, w zupełności - zapewnił go Kung Chen, uśmiechając się. - Będziemy patrzeć na dziewczęta i słuchać ich śpiewu. Nam, starym, to wystarczy, prawda, starszy bracie?

- W zupełności - zgodził się z nim Ezra. Rozsiadł się wygodniej i westchnął. - Życie jest wspaniałe - oznajmił niespodziewanie.

- Dla takich ludzi jak my - uściślił Kung Chen. - Czemu mielibyśmy być nieszczęśliwi my, bogaci, którzy wszystkiego mają w bród? Nie musimy cierpieć.

Na szerokim, płaskim pokładzie młodzieńcy leżeli na jedwabnych poduszkach, które im podsunął właściciel łodzi.

Światło księżyca, płynącego w górze, ozłacało ich, i przypominali młodych bogów. Restauracja na brzegu była jasno oświetlona lampionami, łagodny blask padał z każdego okna. Gwar rozmów mieszał się ze śpiewem, dźwiękami fletów i uderzeniami w bębenki.

Ezra widział tę scenę wiele razy, ale dzisiejszej nocy w pełni dotarło do niego jej znaczenie. Szczęście tylko czekało, by się nim cieszyć. W tym mieście było tyle radości, a przecież tutaj również mieszkał wiecznie smutny rabin, przypominający swym rodakom o ich niedoli. Człowiek mógł wybrać szczęście i odrzucić smutki. To prawda, że rabin nie był do tego zdolny, zdecydował się na smutek, niekończący się smutek człowieka prześladowanego przez Boga. Nawet znajdował w tym smutku dziwną radość. Czuł się najszcześniejszy, kiedy

najbardziej cierpiał, jak ćma krążąca wokół płomienia świecy. Tak, to dobre porównanie. Ten człowiek przypalał sobie duszę, wielbiąc Pana.

Ale czy wszyscy ludzie muszą szukać szczęścia w taki sam sposób? Niech rabin czerpie przyjemności z tego, z czego chce, ale nie powinien zmuszać młodych, by go naśladowali. A przede wszystkim jego syna.

- Zadumałeś się - powiedział nagle Kung Chen. - Czuję, że gorączkowo nad czymś rozmyślasz.

- Medytuję o szczęściu - szczerze wyznał mu Ezra.

- Czy jest dla wszystkich?

Kung Chen zasznurował usta.

- Biedni rzadko bywają szczęśliwi - odparł po chwili. - A także ci, których szczęście w pełni zależy od kogoś innego. Ubóstwo stanowi zewnętrzną przeszkodę, a miłość - wewnętrzną. Ale jeśli ktoś potrafi przewyciężyć ubóstwo i kochać umiarkowanie, to nic nie stoi na jego drodze do szczęścia.

- Mówiąc o kimś innym - zapytał Ezra - masz na myśli człowieka czy Boga?

- I jedno, i drugie - odrzekł Kung Chen. - Niektórzy za bardzo kochają innego człowieka i stają się niewolnikami swojej miłości. Inni za bardzo kochają swoich bogów i stają się niewolnikami tej miłości. Człowiek nie powinien nikomu podlegać. Wtedy jest wolny.

Tę rozmowę przerwał im odgłos, który dobiegł ich od drzwi restauracji. Trzy ładne dziewczyny, wysoko trzymając małe, ciemne główki, zeszły po kamiennych schodach. Jedna niosła lutnię, druga - czynele, a trzecia - mały bębenek.

Przypominały kwiaty na wietrze: ich kimona - różowe, niebieskie i zielone - powiewały z lekkim szelestem. Za nimi szli kelner i kucharz, dźwigający kosze z jedzeniem. Żona właściciela łodzi nakryła stoły. Po krótkiej krzątaninie wszystko przygotowano i łódź popłynęła na środek jeziora. Jasno oświetlony brzeg zaczął się oddalać, a gwar rozmów wkrótce przemienił się w delikatny pogłos.

Kung Chen zaprosił wszystkich do jedzenia, a kelner i kucharz robili to, co do nich należało. Trzy dziewczyny usiadły na dziobie, plecami do księżyca, przodem do uczujących, po czym zaczęły grać na instrumentach i śpiewać pieśń tak skomplikowaną i tak urzekającą, że młodzieńcy nie mogli się powstrzymać od śmiechu. Urodziwe, afektowane dziewczęta zdawały się nieodłączną częścią księżycowej nocy. Ich wysokie, słodkie głosy rozbrzmiewały unisono, młodzieńcy słuchali i przyglądali się dziewczętom. Miały blade, ładne buzie, bardzo podobne jedna do drugiej, i obojętnie patrzyły przed siebie dużymi, ciemnymi oczami.

Niezwykła czarowność nocy, subtelność muzyki i jej wykonawczyń, wyborne jedzenie, odpowiednio przyprawione, nie nadto tłuste ani słodkie - wszystko to poruszyło serce Dawida. Po długich tygodniach spędzonych z rabinem powinna razić go pospolitość. Jego dusza była zbyt wzniośle nastrojona, by mógł zbyt szybko zejść z nieba na ziemię. Ale w tę noc ziemia roztaczała przed nim wszystkie swoje powaby, a niebo milczało.

Rabin nie wrócił do domu Ezry. Kiedy się upewnił, że jest sam w synagodze, że Dawid wyszedł, udał się do siebie.

Rachela się zdziwiła, słysząc w korytarzu kroki, i wyjrzała z kuchni.

- To ty, rabbi! - wykrzyknęła.

- Chcę być sam - powiedział jej. - Idź do madame Ezra i poinformuj ją, że nie będę już u nich mieszkał. I poproś, żeby mój syn wrócił do domu.

- A co z Leą? - spytała Rachela.

- Niech zostanie u nich - zdecydował po chwili namysłu.

Rachela wpatrywała się w starca. Wyglądał na kompletnie wyczerpanego. Twarz miał bladą, brodę rozwichrzoną. Ręka, w której ścisnął laskę, drżała. Kobieta zobaczyła również, że lekko mu się trzęsie głowa, czego nie zauważyła wcześniej.

Wszystko to ją zaniepokoiło. Ujęła rabina pod rękę.

- Zanim wyjdę, przyrządę ci gorący krupnik. Musisz go zjeść i odpocząć.

Powiedziawszy to, zaprowadziła rabina do jego pokoju, gdzie utrzymywała idealny porządek. Starzec posłuchał jej, wypuścił laskę z ręki i otarł rękawem swoje niewidzące oczy.

- Och, jak tu dobrze - westchnął. - Męczyłem się w salonach bogaczy.

- Czujesz się dobrze tylko wtedy, kiedy jesteś nieszczęśliwy - powiedziała wesoło Rachela. - Połóż się, staruszk, i odpocznij.

Rabin położył się na wąskim, bambusowym łóżku, ale natychmiast usiadł. Fala oburzenia sprawiła, że w jednej chwili odzyskał siły. Stał się władczy, jak dawniej.

- Co zrobiłaś z moim łóżkiem?! - wykrzyknął.

Rachela podparła się pod boki.

- Wsunęłam dodatkową kołdrę pod materac - rzekła hardo. - To wstyd, żeby twoje stare kości spoczywały na twardym!

Ale rabin wstał i zwrócił na nią ślepe oczy.

- Zabierz ją, kobieto! - polecił.

Rachela wzruszyła ramionami, pokiwała głową i jeszcze na wiele innych sposobów okazała swoją dezaprobatę, czego rabin nie widział, ale jego głos był tak donośny i zdecydowany, że nie śmiała mu się sprzeciwić. Wyciągnęła kołdrę i rozłożyła materac

bezpośrednio na twardym bambusie. Dopiero wtedy rabin znów się położył, po czym westchnął i splótł ręce na piersiach.

- Odejdź, kobieto - nakazał. Jego głęboki głos brzmiał równie stanowczo, jak zawsze.

- Odejdź i zostaw mnie z Panem.

Rachela wyszła, więc, nie kryjąc niezadowolenia; mruczając pod nosem uwagi na temat upartego starca, wsadziła kołdrę do skrzyni. Ale była zła i nie udała się od razu do madame Ezra, by ją poinformować o decyzji rabina. Wstrzymała się z tym do następnego dnia. Kiedy rabin ją zapytał, czy Aron wrócił do domu, okłamała go, mówiąc, że Lea błagała, by został z nią jeszcze dzień albo dwa. Rabin westchnął, słysząc to, ale nie odezwał się ani słowem. Nazajutrz wstał wcześniej, zjadł owsiankę i zasiadł do powtarzania sobie fragmentów Tory.

Kiedy zrobiło się prawie południe i Rachela wiedziała, że madame Ezra już nie śpi, poszła do niej, by przekazać jej wiadomość. Madame Ezra akurat nadzorowała czyszczenie stawu rybnego obok kuchni. Rozwścieczone ryby kotłowały się w cebrach, a dwoje ludzi grabiło błotniste dno. Madame Ezra rugała zarówno ludzi, jak i ryby. Nie była w najlepszym humorze, by wysłuchać tego, co jej miała do zakomunikowania Rachela.

- Co się stało?! - krzyknęła, kiedy Rachela na chwilę przestała mówić, by zaczerpnąć tchu. - Wczoraj wszystko było dobrze... Dlaczego się od nas wyprowadził?

- Nic nie wiem poza tym, że wczoraj rabin wrócił sam z synagogi - oznajmiła Rachela. Madame Ezra wezwała do siebie Matkę Wang i Peonię.

Matka Wang o niczym nie wiedziała, a Peonia poinformowała ją jedynie, że Dawid wrócił do domu bardzo późno w towarzystwie swego ojca.

- Powinnaś była przyjść i mi o tym powiedzieć - oświadczyła madame Ezra.

- Myślałam, że pani o wszystkim wie - odparła Peonia.

Nie można teraz było nic zrobić, tylko odprawić służbę i tak właśnie uczyniła madame Ezra, lecz wcześniej zatrzymała na chwilę Peonię, by jej przykazać:

- Idź i przyprowadź do mnie Leę, a ja w tym czasie pójdę do mojego pokoju i się odświeżę.

Peonia poszła, więc po Leę, a madame Ezra wydała ostatnie polecenia dwóm służącym i wróciła do siebie.

Jeśli chodzi o Peonię, przemieniła się w idealną służącą i chrząknęła, zanim otworzyła drzwi do pokoju Lei. Kiedy usłyszała, jak Lea swym łagodnym głosem mówi, żeby weszła, ukloniła się i powiedziała skromnie:

- Moja pani prosi, żeby panienka do niej zajrzała.

Potem się znów ukloniła i wyszła. Udała się do swojego pokoju, żeby zebrać myśli. Co się wydarzyło między rabinem i Dawidem? Czy Lea brała w tym udział?

Czekanie okazało się ponad jej siły, więc postanowiła się czegoś dowiedzieć. Pobiegnęła bezgłośnie i schowała się za wielkim drzewem kasji na dziedzińcu madame Ezra. Rosło pod samym oknem, które pozostawiono otwarte, bo ranek był gorący i bezwietrzny. Tak ukryta, doskonale słyszała stanowczy i donośny głos madame Ezra. Jej pani zwróciła się do Lei w te słowa:

- Jak możesz mówić, że do niczego nie doszło między tobą i Dawidem? Na własne oczy widziałam was któregoś dnia w ogrodzie brzoskwiniowym. Z całą pewnością staliście bardzo blisko siebie.

- Cóż mogę poradzić na to, ciotko, że... że... do niczego więcej nie doszło? - Lea mówiła cicho, ale była wyraźnie poruszona. - Wtedy... Cóż, rzeczywiście staliśmy bardzo blisko siebie.

- Przez te wszystkie dni siedzieliście razem nad Torą! - wykrzyknęła madame Ezra.

- Prawie wcale się do mnie nie odzywał - cichutko wyznała Lea.

Madame Ezra nagle wpadła w gniew.

- To twoja wina! Nigdy nie próbowałaś... Tylko czekałaś.

- Cóż mogę zrobić poza czekaniem? - spytała Lea.

Peonia wykrzywiła czerwone usta, jej czarne oczy błyszczały. Ach, więc jeszcze nie jest przesądzone! Dawid nie kocha Lei! A jeśli kocha? Wyślizgnęła się zza drzewa i pobiegła do komnat Dawida. Salon był pusty, więc odchyliła kotarę i zajrzała do sypialni. Dawid wciąż spał. Południowe słońce wpadło do pokoju. Wczoraj wieczorem osobiście spuściła zasłonki wokół łóżka, kiedy przygotowywała posłanie na noc, ale na powrót je uniosła. Leżał w białej jedwabnej bieliźnie nocnej, szeroko rozrzucając ramiona, z głową zwróconą w jej stronę.

Serce jej zabiło, uradowane. Nie było za późno. Rabin się wyprowadził i nie ogłoszono zaręczyn. Rozpierała ją radość, świeciła w jej oczach, biła z jej twarzy. Miała ochotę tańczyć.

Nigdy nie jest za późno na szczęście.

Cichutko przeszła przez pokój i przykłęknęła obok łóżka.

- Dawidzie! - szepnęła. - Dawidzie!

Obudził się, uśmiechnął, wyciągnął do niej rękę i złapał ją za ramiona.

- Jak śmiesz mnie budzić? - zapytał groźnie, wciąż pogrążony w półśnie.

- Już prawie południe - szepnęła. - Przyszłam, żeby ci coś powiedzieć... Coś cudownego!

- A cóż takiego? - zapytał. || |

Zwlekała z odpowiedzią, przepełniona szczęściem.

- Słońce pada prosto na twoje oczy - wyszeptała. - I wcale nie są czarne... Na ich dnie kryje się złoto!

- Czy to jest właśnie ta cudowna wiadomość? - zapytał i roześmiał się na głos. Rozbudził się swoim własnym śmiechem.

- Słońce pada prosto na twoje usta - ciągnęła. - Są tak słodkie, jak owoce granatów.

- I dlatego mnie obudziłaś? - Usiadł, zupełnie przytomny.

- Nie - odparła cicho. - Dawidzie, posłuchaj mnie!

Złapała go za rękę i przycisnęła ją do swojej piersi.

- Dawidzie, w południe... Ona... Ona uda się do świątyni buddyjskiej, by się modlić i podziękować bogom. Chorowała.

Poczuła, jak Dawid napina mięśnie dłoni.

- Nie powiedziałaś mi. - W jego głosie brzmiała pretensja.

- Nie chciałam cię martwić - usprawiedliwiła się. - Znów się dobrze czuje... Naprawdę. Dawidzie, sam możesz się o tym przekonać.

Utkwił w niej wzrok, a ona mówiła szybko:

- Jeśli zaraz wstaniesz, przyniosę ci coś do jedzenia. Możesz wejść do świątyni boczną furtką i spotkać się z nią, jak będzie szła do srebrnego posągu Guanyin w Południowej Świątyni.

- Będzie wiedziała, że przyszedłem specjalnie, żeby ją zobaczyć - zauważył nieśmiało.

Peonia się roześmiała.

- I bardzo ją to ucieszy! - odparła figlarnie. Wypuściła jego rękę, wstała z kolan i położyła palec na ustach. - Wrócę z gorącymi potrawami.

Wybiegła z sypialni. Ach, musiała się bardzo spieszyć!

Zatrzymała się tylko, by odszukać swoją sakiewkę, po czym wymknęła się przez tylną furtkę i podążyła alejką do domu Kunga. Tam poprosiła o spotkanie z Matką Chu. Zastała ją przy południowym posiłku. Gruba staruszka trzymała pod brodą wielką miskę. Zajadała ryż i mięso, słuchając Peonii.

- Musisz ją nakłonić, żeby tam poszła, pamiętaj, na dziedziniec Srebrnej Guanyin, on tam będzie najdalej za godzinę - wyrzuciła z siebie Peonia jednym tchem.

- A jeśli moja pani jej zabroni? - spytała Matka Chu.

- Poproś panienkę, żeby płakała, krzyczała, groziła...

Nakłoń ją, by powiedziała, że boli ją w piersiach i że chce się pomodlić. Mój panicz kazał ci dać to...

Wysypała zawartość sakiwki na dłonie Matki Chu, a potem sięgnęła do uszu i zdjęła swoje nefrytowe kolczyki.

- A to masz ode mnie.

Matka Chu odstawiała miskę na stół i skinęła głową, a Peonia pobiegła z powrotem do domu. Kilka minut później wyszła z kuchni z porcelanowym naczyniem, które napełniła gorącym kleikiem ryżowym, zawsze stojącym na piecu. Za nią podążał służący z mięsnymi i słonymi przekąskami na śniadanie dla Dawida. Miała nadzieję, że Dawid dłużej niż zwykle zamarudził przy ubieraniu, i nie pomyliła się. Kiedy weszła do salonu, jeszcze go tam nie zastała.

- Paniczu! - zawołała.

- Mam się ubrać na czerwono czy na niebiesko? - odkrzyknął.

- Na bordowo! - poradziła. Na niebiesko ubierał się do synagogi i nic nie musi mu teraz o tym przypominać. Znała subtelny wpływ kolorów: jak szary może odebrać mężczyźnie ducha, jak niebieski dodaje otuchy i skłania do błędzenia myślami gdzieś daleko, jak bordowy pomaga mocno stać nogami na ziemi.

Po chwili Dawid wyłonił się ze swojej sypialni. Wyglądał tak pięknie, że Peonia aż miała ochotę się rozplakać. Jego ciemne włosy i zdrowa, ogorzała twarz mocno kontrastowały z białą podszewką sukni.

Peonia z trudem zapanowała nad wzruszeniem.

- Siadaj. Masz mało czasu - powiedziała, odkrywając miseczki z potrawami.

Dawid usiadł. Jadł w milczeniu, pogrążony w myślach.

Gdyby nie to, co się wydarzyło wczoraj, nie uległby teraz namowom Peonii. Bo nie miał zbytniej ochoty znów zobaczyć Kueilan. Wspominał śliczną Chincezkę z rozrzewnieniem, lecz nie odczuwał naglącej potrzeby ponownego jej ujżenia.

Ale zmienił zdanie. Chce się z nią dziś spotkać przynajmniej po to, żeby się bronić przed samym sobą. Wiedział, że Lea jest w domu, sądził, że rabin też, i wiedział, że jego matka będzie nieugięta jak zawsze. Potrzebował czasu, żeby podjąć decyzję, żeby być przede wszystkim sobą. Ostatni wieczór, spędzony w łodzi na jeziorze, odprężył go i ukoił ból duszy. Dziś rano czuł się wypoczęty, silny i... bardzo samotny.

Kiedy zjadł, znów się odświeżył, umył ręce w misce perfumowanej wody i nie spiesząc się, przyczesał włosy. Wszystko robił tak wolno, że Peonia mało nie wyszła z siebie.

- Pójdzie sobie, nie zobaczysz jej! - jęczała. - Och, kiedy znów nadarzy się taka wspaniała okazja!

Specjalnie poruszał się niespiesznie, widząc, jak Peonię to denerwuje, i udawał, że wciąż jest głodny. Aż wreszcie złapała naczynia i nie pozwoliła mu więcej jeść. Ale wyraźnie był w doskonałym humorze. W końcu wyszedł, poprosiwszy Peonię, by odniosła naczynia do kuchni.

Zakochana Peonia cieszyła się z tego, co zrobiła. Lecz to, co wydarzyło się później, zmąciło jej szczęście.

Po rozmowie z madame Ezra Rachela wypytała służących, jak trafić do pokoju, w którym do wczoraj mieszkał rabin.

Tam zastała Arona - wciąż leżał w łóżku, pogrążony w półśnie. Powiedziała, że ojciec polecił mu natychmiast wracać do domu. Jaka szkoda, pomyślała sobie jednocześnie, że ten tyczkowaty, platfusowaty chłopak o długiej, wąskiej głowie i chudej, wykrzywionej twarzy, o złych, żółtawych oczkach to jedyny syn rabina.

Aron wysłuchiwał tego, co mu miała do przekazania Rachela.

Był zbyt wielkim tchórzem, by sprzeciwić się woli ojca. Nie omieszkał jednak zapytać:

- Czy Lea też wraca do domu?

- Nie dziś - odparła Rachela.

Ponieważ go to rozgniewało, mruknął, że jego siostrę ojciec zawsze traktuje lepiej, po czym wrzasnął na Rachelę:

- Wynoś się, ty stara jędzo! Dlaczego tu stoisz i się na mnie gapisz?

Tak ją to rozzłościło, że oświadczyła bez ogródek:

- Jeśli o mnie chodzi, wołałabym, żebyś nie wrócił do domu. Gotować dla ciebie to żadna przyjemność.

Powiedziawszy to, wyszła. Kiedy Aron został sam, zaczął się nad sobą użalać i nawet uрониł parę łez. Wcale nie miał ochoty opuszczać tego zamożnego domu, gdzie z uwagi na ojca dawano mu najlepsze potrawy i gdzie żaden służący nie odmówił wykonania jego polecenia. Ogarniała go złość na myśl, że musi wrócić do swego nędznego życia i skromnego pokoiku. Nie kochał ani ojca, ani Lei, ale się ich bał, bo w przeciwieństwie do niego byli dobrzy.

Wciąż użalając się nad sobą, wstał z łóżka wściekły na cały świat, wielce nadąsany ubrał się, a potem ruszył do sali, gdzie gromadzili się mężczyźni, by zjeść śniadanie. Tak się akurat złożyło, że drogi jego i Peonii przecięły się na dziedzińcu ze stawem rybnym.

Zobaczył ją, zanim ona zauważyła jego. W porannym słońcu wyglądała jak z obrazka. Jej czarne włosy lśniły, policzki miała zaróżowione, ubrana była w tunikę i spodnie z jasnożółtego jedwabiu, we włosy wpięła białą gardenię.

Spojrzał w prawo i w lewo. Nikogo nie było w pobliżu.

Szła ze spuszczoną głową i uśmiechała się do siebie. W pewnej chwili wyczuła jego obecność. Jakby dostrzegła węża u swych stóp. Uniosła głowę, przestraszona. On zaś podbiegł do niej, złapał ją za ramiona i przycisnął usta do jej warg.

Jeszcze nikt nigdy nie dotknął ustami jej ust. Teraz poczuła obmierzłe, drżące, rozpalone wargi Arona i dostała mdłości.

Odwróciła głowę i krzyknęła, ale okrzyk okazał się za cichy, by ktokolwiek go usłyszał. Potem poczuła jego ręce na swoich piersiach. Minęły jej mdłości, ogarnął ją gniew i jednocześnie odzyskała siły. Zaatakowała Arona z furją. Drapała mu twarz, ciągnęła go za włosy, targała za uszy, kopała go, gdy próbował uciekać, jedną ręką trzymała go za włosy, a drugą zacisnęła w pięść i okładała go po twarzy. Wszystko to działo się w kompletnej ciszy, jeśli nie liczyć głośnego oddechu Peonii.

Nie chciała, żeby ktokolwiek się dowiedział, że ten chłopak znieważył ją swoim dotykiem.

W końcu, zmęczona, warknęła:

- Odważ się jeszcze raz mnie tknąć, ty przeklęty synu zająca, a przebiję cię szablą. Zginiesz tak, jak twoi przodkowie-żółwie!

Peonia miała na myśli szablę, którą Dawid sobie wybrał spośród przedmiotów przywiezionych przez karawanę i którą zawiesił na ścianie swojego pokoju. Szabla miała wyjątkowo cienką, ostrą klingę i w jednej chwili Aron uwierzył, że Peonia zdolna jest spełnić swoją groźbę. Nie mogła skuteczniej go nastraszyć. Nagle zawładnęły nim wszystkie lęki i słabości - przekazane mu przez przodków - o których była nawet mowa w Torze. Stary rabin był silnym człowiekiem i mógł czerpać radość z gromów rzucanych przez Jehowę, lecz Aron, nędzny robak, od małego bał się Jehowy i go nienawidził.

Wolałby być kimkolwiek, tylko nie tym, kim był: synem rabina. Kiedy Peonia zaczęła przyzywać jego przodków, uciekł chyłkiem.

Peonia popatrzyła za nim z pogardą. Potem szybkim krokiem udała się do swojego pokoju, tam się wyszorowała od stóp do głów, przebrała, uczesała na nowo, wyperfumowała, założyła swoje najlepsze klejnoty, a we włosy wpięła świeży kwiat. Ale nadal płonęła gniewem. Teraz naprawdę usunie z domu wszystkich, którzy mieli coś wspólnego z Aronem.

Kiedy trochę ochłonęła, poszła do komnat Dawida i czekała tam na niego pod pretekstem, że musi posprzątać, wytrzeć kurze i naprawić złamany wachlarz z drewna sandałowego.

Policzki miała wciąż zaróżowione ze złości, kiedy godzinę czy dwie później wrócił Dawid. Siedziała przy stole, naprawiając delikatny wachlarz piórkiem, które zanurzała w kleju. Jak tylko spojrzała na Dawida, od razu wiedziała, że spotkał się z Kueilan. Wszedł beztroski i zadowolony z siebie. I wówczas pomyślała sobie, jaką to zarozumiałą minę ma mężczyzna, który uważa się za kochanego! Ale wiedziała, że takie myśli wywołało rozgoryczenie, spowodowane jej własną, skrywaną miłością, więc je odpędziła. Ostrożnie odłożyła wachlarz i wstała ze skromną minką. A kiedy ich spojrzenia się spotkały, dostrzegła w jego oczach dawną wesołość, której tak jej brakowało.

- Mów - poprosiła go, wiedząc, że aż płonie z niecierpliwości, żeby wszystkim się z nią podzielić.

- Co mam ci powiedzieć? - Udał, że nie wie, o co jej chodzi.

- Widziałeś ją?

- Czyż mi nie powiedziałeś, że tam będzie?

- No i była?

- A jeśli nie?

Ku jego zaskoczeniu Peonia nagle wybuchnęła płaczem.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał.

W milczeniu pokręciła głową, bo nie mogła mówić.

- Powiedz mi - nalegał. - Czy ktoś cię skrzywdził?

Skinęła głową, wciąż płacząc i ocierając oczy rękawami.

- Moja matka? - rzucił z gniewem.

- To był... To był... Och, nie mogę wymówić jego imienia!

- Mężczyzna! - wykrzyknął Dawid.

Skinęła głową.

- Syn rabina - wyszeptala.

Dawid wpatrywał się w nią przez sekundę, a potem odwrócił się gwałtownie i ruszył w stronę drzwi na dziedziniec. Ale Peonia pobiegła za nim.

- Nie, nie! - krzyknęła. - Nie zdradź się przed nim, że o tym wiesz. Zbyt się tego wstydzę.

- Co zrobił? - zapytał Dawid.

- Nie... Nie mogę ci powiedzieć - wyjąkała.

- Chyba nie... - Na policzki Dawida wystąpił rumieniec.

- Och, nie, nie! - krzyknęła. Potem, żeby nie pomyślał, że stało się coś gorszego, niż w rzeczywistości miało miejsce, uśmiechnęła się przez łzy. - Stłukłam go na kwaśne jabłko - wyznała. - Złapałam go za włosy i... i obijałam mu twarz.

Dawid roześmiał się, nie kryjąc zadowolenia.

- Żałuję, że tego nie widziałem! Czy go posiniaczyłaś, Peonio? Pójdę i zobaczę!

- Nie, zaczekaj - poprosiła. - Wyznam ci całą prawdę.

Dotknął... Dotknął ustami moich ust...

- Niech przeklęta będzie jego matka! - zakrzyknął Dawid.

Peonia położyła mu palec na ustach i łzy znów napłynęły do jej ślicznych oczu.

- Jestem zhańbiona - szepnęła.

Jak Dawid mógł jej odmówić pocieszenia? Położył dłonie na jej ramionach i spojrzał na miękkie czerwone wargi, a ona zabrała palec i poprosiła cichutko:

- Dotknij moich ust... I je oczyść!

Skłoniła się lekko w jego stronę, a on pochylił głowę, próbując się roześmiać i nadać temu pozór zabawy. Pochylał głowę coraz niżej, aż dotknął ustami jej ust. Jeszcze nigdy jego usta nie dotykały ust żadnej kobiety. To była tylko Peonia, jego mała Peonia, którą tak dobrze znał, ale nagle jej usta wydały mu się słodkie i zupełnie nieznanne.

Cofnęła się i powiedziała szybko i wyraźnie:

- Dziękuję. Teraz mogę o tamtym zapomnieć. Paniczu, czy naprawdę widziałeś śliczną trzecią córkę Kunga?

Tak raptownie zmieniła temat, że prawie nie wiedział, jak się zachować. Poczł skrepowanie. Peonia wywołała w nim tkliwość, ale natychmiast usunęła się w cień i skierowała jego myśli ku innej. Nieświadomy, że pozwolił Peonii, by nim manipulowała, że skłoniła go do zrobienia tego, czego sama chciała, wrócił myślami do świątyni i do chwili, kiedy stał ukryty za wielkim posągim Boga-Strażnika Zachodu. Widział, jak Kueilan weszła, wyszywany skraj jej długiej spódnicy z seledynowego jedwabiu zamiatał wyłożoną płytkami posadzkę. Stara służąca trzymała ją za rękę i przy tęgiej, silnej kobiecie młoda dziewczyna wyglądała jak wierzba wiosną. Potem przypomniał sobie jej twarz.

- Tak - powiedział wolno. - Widziałem ją. Zapomniałem, jaka jest piękna.

- Jest za niska? - podpytywała go Peonia.

- Maleństwo z niej - przyznał Dawid. - Nie jest wyższa od ciebie. Ale lubię małe kobiety.

- A jej oczy... Czy są tak duże, jak moje?

Głównym atutem urody Peonii były jej oczy. Miały kształt moreli, rzęsy były proste, miękkie i długie, a źrenice czarne.

Patrząc w te oczy, Dawid przypomniał sobie oczy Kueilan, a ponieważ ujrzał je z bardzo bliska, odparł:

- Ma najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem.

Na te słowa w twarzy Peonii pojawiły się dołeczki. Dziewczyna szybko uniosła chusteczkę, żeby ukryć uśmiech... i łzy.

- Czy do niej przemówiłeś? - spytała następnie.

- Tak - potwierdził Dawid. - Zobaczyła mnie, kiedy mnie mijala, idąc do wewnętrznej świątyni.

- Co jej wyznałeś? - dopytywała się Peonia.

- Że mam nadzieję, iż mi wybaczy, że przyszedłem, by ją zobaczyć. Tylko tyle.

Dawid powiedział to bardzo żarliwie, rezygnując z wcześniejszego figlarnego tonu, i usiadł przy stole.

- Peonio - rzekł z powagą - wiesz, że nie mogę się ożenić tak jak zwykły mężczyzna. Jeśli wybiorę na swoją narzeczoną ją, a nie Leę, zranię matkę, rabina, może nawet swego ojca.

- Twój ojciec myśli tylko o tobie - wtrąciła Peonia.

- Ach, ale nasze kobiety są silniejsze od mężczyzn - przypomniał jej - i nie wiem, co zrobi moja matka.

- Czy Lea wie... o tej drugiej? - zapytała Peonia.

- Nie - zapewnił ją Dawid i posmutniał. - Choć dałem jej powód, by myślała... - Pokręcił głową.

Peonia, która przez cały ten czas stała, teraz usiadła przy stole, naprzeciwko niego.

- Pozwoliłeś myśleć Lei, że... że ją kochasz? - zapytała cicho, wyraźnie spłoszona. Ale po chwili dodała szybko: - Jak to możliwe? Nie rozmawiałeś z nią, kiedy studiowaliście księgę. Siedział między wami stary nauczyciel.

- Raz, w ogrodzie brzoskwiniowym... - Dawid umilkł i mocno się zaczerwienił.

- W ogrodzie brzoskwiniowym? - powtórzyła Peonia.

- Co zrobiłeś?

- To było nazajutrz po przyjeździe karawany - niechętnie wyjaśnił Dawid. - Wszystkich ogarnęło jakieś podniecenie.

- Przyszła do ciebie do ogrodu brzoskwiniowego?! - wykrzyknęła Peonia, gorączkowo usiłując zebrać myśli. - Sądziś, że jest na tyle śmiała, by spotkać się z tobą z własnej woli? Z pewnością twoja matka kazała jej tam pójść.

Dawid wpatrywał się w nią z napięciem. Uznał, że istotnie tak mogło być.

- Jeśli matka... - Uderzył w stół pięściami.

Peonia krzyknęła i odsunęła naprawiony wachlarz. Dawid odchylił się na oparcie krzesła. W jego oczach malowała się wściekłość.

- Powiem matce...

Peonia spojrzała na niego znad rzeźbionego wachlarza, który uniosła do twarzy, bo kochała zapach drewna sandałowego.

- Dlaczego masz jej cokolwiek mówić? - spytała. - Pozwól mi pójść do twego ojca i wyjawić mu, co czujesz. Zgódź się, żebym była twoją swatką!

Ale Dawid pokręcił głową.

- Tak czy inaczej, to nieuczciwe z mojej strony pozwolić Lei łudzić się nadzieją - oświadczył. - Muszę się zastanowić, co jej powiedzieć.

- Nic jej nie mów - poprosiła go Peonia. - Tego, czego się nie powie, nie trzeba później odwoływać. Jeśli coś się ubierze w słowa, wtedy jest o wiele trudniej. I Lea będzie bardzo rozgoryczona.

- Lea rozgoryczona? - zdziwił się Dawid. - Jesteś w błędzie. I właśnie dlatego tak podle się czuję. Lea jest taka dobra. Z uwagi na nią... a nie na moją matkę... z całego serca chciałbym móc ją pokochać. - Urwał, zawahał się, a potem znów zaczął mówić, jakby do siebie. - Może mógłbym ją pokochać, gdyby... była zwykłą kobietą. Ale ona jest kimś więcej.

Uważał, że Peonia jest zbyt dużą trzpiotką, by zrozumieć, o co mu chodzi, ale Peonia doskonale to rozumiała i okazała się na tyle mądra, by zachować milczenie. Lea była kimś więcej niż tylko kobietą - uosabiała ich naród, i tradycje, i przeszłość.

Gdyby Dawid pojął ją za żonę, poślubiłby to wszystko i nie mógłby od tego uciec. Nie mógłby być sobą, nie byłby wolny, poślubiwszy Leę, bo wtedy stałby się częścią prastarej całości i musiałby wziąć na siebie ciężar jej odwiecznych żalów. Ale Peonia mu o tym nie wspomniała. Zamiast tego podskoczyła i klasnęła w dłonie, zachowując się jak mała dziewczynka.

- Pozwól mi powiedzieć twemu ojcu! - poprosiła.

Dawid uśmiechnął się smutno. Na jego twarzy malowało się cierpienie.

- Cóż mój ojciec może dla mnie zrobić? - zapytał. - Dał się złapać tak samo, jak teraz ja.

- Ach, ale on nie miał nikogo, kto mógłby go wybawić - zauważyła łagodnie Peonia. - W jego młodości nie było kwiatu orchidei. Pomyśl o tym maleństwie, które teraz siedzi i myśli o tobie. Bo chyba wiesz, że myśli o tobie? O, tak, dobrze wiesz! Pozwól mi powiedzieć twemu ojcu!

W końcu, słuchając jej łagodnego głosu, skinął głową, a ona szybko wyszła, by przypadkiem się nie rozmyślił. Udała się prosto do Ezry i zastała go śpiącego w trzcinowym fotelu, z wachlarzem na brzuchu, z wyciągniętymi nogami. Chrapał, i przez chwilę w żaden sposób nie mogła go dobudzić. Chrząkała, nuciała, nawoływała cicho pilnując się, by nie obudzić go zbyt gwałtownie na wypadek, gdyby jego dusza wędrowała gdzieś daleko. W pewnym momencie dostrzegła świerszcza na kamiennej podłodze. Ujęła go delikatnie za skrzydełka i położyła na brodzie Ezry. Owad był tak przerażony, że zaczął smętnie piszczeć. Ezra się obudził, potrząsnął głową, przesunął palcami po brodzie, znalazł świerszcza i strzepnął go na podłogę.

- Widziałam, jak niegrzeczny owad skoczył ci na brodę, panie - powiedziała Peonia słodkim głosem - ale nie miałam odwagi cię obudzić.

- Jeszcze nigdy nie przytrafiło mi się coś takiego - nie mógł wyjść ze zdumienia Ezra. Usiadł prosto, przeciągnął się, ziewnął i jeszcze raz potrząsnął głową, żeby się rozbudzić do końca. - Czy to coś znaczy? Muszę spytać geomantę.

- To oznacza pomyślność, panie - zapewniła go Peonia.

- Świerszcze przychodzą tylko do takich domów, w których jest dostatnio i bezpiecznie.

Nalała do czarki herbatę z imbryka, stojącego na stole, i podała mu ją obiema dłońmi, a potem podniosła wachlarz, który upadł na podłogę, i zaczęła go wachlować. Kiedy zupełnie oprzytomniał, oznajmiła:

- Panie, muszę ci się do czegoś przyznać.

- Znowu coś zbroiłaś? - Ziewnął, podrapał się w głowę i uśmiechnął.

- Panicz... Twój syn, panie... - Nie dokończyła.

Ezra natychmiast się zaniepokoił. Wyglądała na tak szczęśliwą. Czy to możliwe, by Dawid okazał się na tyle głupi, by odwzajemniać miłość niewolnicy? To wywołałoby kompletny chaos w domu. Co by wtedy zrobiła madame Ezra?

Peonia dostrzegła przerażenie w jego oczach i próbowała się uśmiechnąć. Dobrze wiedziała, co pomyślał, i poczuła ukłucie w sercu. Nawet on, ten jej dobry pan, którego kochała jak ojca, widział w niej jedynie niewolnicę - potulną, użyteczną i sprawiającą przyjemność, ale tylko niewolnicę.

- Proszę się nie obawiać - uspokoiła go słodkim głósikiem. - To nie mnie kocha pański syn.

Powiedziała to, doskonale wiedząc, że jest w stanie rozkochać w sobie Dawida. Nie przekonał się do Lei i jeszcze nie zaakceptował Kueilan. Mogła zająć wolne miejsce w jego sercu, a on z pewnością odwzajemniłby jej uczucie. Ale była zbyt mądra. Nigdy nie zostanie jego żoną, a nawet jeśli tak by się stało, Dawid nie zaznałby spokoju w życiu. Za bardzo go kochała, by go unieszczęśliwić... Poza tym wychowano ją w posłuszeństwie dla tych, którzy stali wyżej od niej. Nieodzownym warunkiem szczęścia jest zachowanie umiaru. Nie było jej pisane zostać synową państwa. Nie, była jak mała myszka, która wyszła ze swojej kryjówki i samotnie tańczyła w słońcu. Musi sama znaleźć dla siebie szczęście pod dachem tego obszernego domu.

- W takim razie kogo kocha mój syn? - surowo spytał Ezra.

Peonia uniosła głowę i spojrzała mu prosto w twarz oczami, które wydawały się szczerze jak oczy dziecka, jeśli tego chciała.

- Nadal kocha trzecią córkę Kung Chena - oświadczyła.

Ezra odwrócił wzrok i nic na to nie odrzekł. Siedział, szarpiąc brodę, wzdychając, uderzając palcami w usta, rozważając różne warianty, ale nie dostrzegając nigdzie światełka.

Uświadomił sobie jedynie, że pragnie, by jego syn poślubił tę, którą pokocha, i był z nią szczęśliwy.

Czy nie jestem szczęśliwy ze swoją Naomi? - zapytał swoje serce.

Był szczęśliwy. Nawet jeśli nie kochał Naomi, kiedy brał ją za żonę, to nie kochał też żadnej innej kobiety. Nie, nie kochał Nefrytowego Kwiatu - nie na tyle, by ją poślubić wbrew woli swych rodziców. Gdyby Dawid mu powiedział, że kocha Peonię, zbeształby go i zabroniłby mu wiązać się z niewolnicą, jak to uczynił jego ojciec, kiedy Ezra był młody. Lecz dziewczyna, należąca do wielkiego rodu Kunga to nie Peonia. Pod każdym względem była równa Dawidowi - różnili się tylko religią. Ale przecież wielu Żydów poślubiło Chinki i wcale nie przestawali być Żydami. Tak to przedstawi Naomi.

Ezra był człowiekiem, który natychmiast musi zrobić to, co postanowi, więc zapominając o Peonii, wstał i udał się na poszukiwanie matki swego syna. A Peonia, która była ciekawa, ile udało jej się osiągnąć, podążyła za nim w pewnej odległości i zajęła swoje zwykłe miejsce za drzewem kasji. Ezra zastał swoją żonę w jej pokoju w bardzo złym humorze. Zauważył to, jak tylko wszedł, ale przypuszczał, że jej niezadowolenie wywołały jakieś sprawy związane z prowadzeniem domu. Madame Ezra była bardzo dobrą gospodynią i

potrafiła chodzić przybita z powodu kradzieży jednego jajka albo naczynia, które się stłukło. Zimno spojrzała na Ezrę.

- Nie poszedłeś dzisiaj do kantoru - zauważyła.

Próbował się uśmiechnąć, usiadł na krześle naprzeciwko niej, po drugiej stronie stołu.

- Nie, bo ostatniej nocy bardzo późno wróciłem do domu - wyznał. - Kung Chen zaprosił mnie na kolację przy świetle księżyca. Wziął ze sobą swoich dwóch synów, a ja zabrałem Dawida.

- Jak ty wyglądasz! - wykrzyknęła. - Jesteś żółty jak cytryna!

- No, no - starał się ją uspokoić. - Nie jest tak źle.

- Oczy zaczerwienione - ciągnęła surowym tonem. - Włosy w nieładzie, przypominają ptasie gniazdo! Czy Dawid za dużo wypił?

- Nie widziałem go dziś rano - przyznał się Ezra.

Zasznurowała usta.

- Rozmawiałam z Leą - oznajmiła po chwili.

Ezra rzucił jej czule spojrzenie spod krzaczastych brwi.

- Ach, Naomi... - westchnął. - Dlaczego nie zostawisz chłopaka w spokoju?

- Nie wiem, o co ci chodzi - powiedziała gniewnie.

- On nie kocha Lei - tłumaczył Ezra. - Jeśli ją poślubi, to tylko dlatego, żeby tobie sprawić przyjemność, a czy wtedy którekolwiek z nich będzie szczęśliwe?

Urodziwa twarz madame Ezra zrobiła się czerwona.

- Dawid nic nie wie o kobietach - oświadczyła. - Jest tak samo niemądry, jak byłeś ty, kiedy się pobieraliśmy.

- Ja byłem znacznie głupszy - powiedział łagodnie Ezra. - Byłem jak glina w twoich rękach, moja droga.

Nie pozwalała się udobruchać.

- Poza tym Lea go kocha - przypomniała mu.

- W takim razie żal mi jej - odparł.

- Dlaczego? Dlaczego ci jej żal?

- Bo ja właściwie... Nie kochałem żadnej innej kobiety poza tobą.

Ich spojrzenia się spotkały, ale szybko odwrócili wzrok.

Wiele lat temu w tej samej komnacie ona, dumna młoda mężatka, niezwykle urodziwa i głęboko wierząca, oskarżyła go o to, że zakradł się do pokoju służącej. Obydwoje sobie obiecali, że o tym zapomną, ale żadne z nich nie zapomniało.

- Jeśli masz na myśli Peonię... - powiedziała ochryple madame Ezra.

Ezra pokręcił głową.

- Nie, nie mam na myśli niewolnicy. Mam na myśli córkę Kung Chena.

Madame Ezra wstała, jak wstała kiedyś, dawno temu, i popatrzyła na niego z góry.

- Nie! - krzyknęła. - Nigdy! Nie pozwolę na to. Dlaczego znów o niej mówisz Ale Ezra nie był już tamtym młodym, kochającym spokój, uległym młodzieńcem. Utył i zmężniał. Po latach życia z nią, kiedy w końcu nauczył się ją kochać, potrafił postawić na swoim.

- Ach, Naomi - rzekł łagodnie, lecz bezlitośnie. - Czy kiedykolwiek zrozumiesz, że życie nie czeka na twoje przyzwolenie?

Powiedziawszy te słowa, odwrócił się i wyszedł. Peonia, ukryta za drzewem kasji, zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Czy powinna wrócić do Dawida i zdać mu z tego relację?

Ale przecież była tylko świadkiem kłótni starych małżonków.

W takim razie lepiej, jak zaczeka, aż coś wyniknie z tej kłótni, zgodnie z wolą nieba.

Wyślizgnęła się zza drzewa i wróciła do swojego pokoju.

Madame Ezra doprowadziła Leę do rozpacz. Nie miała takiego zamiaru, ale powodowana własnym lękiem dręczyła i obwiniała Leę, aż dziewczyna wpadła w panikę. Miała nadzieję, że ten dom będzie jej azylem, a tymczasem okazało się, że wcale nie jest tu bezpieczna! Najbliższa przyjaciółka jej matki gniewała się na nią. Co się z nią stanie, jeśli madame Ezra ją odeśle? Z całą ostrością zobaczyła, jak monotonne życie czeka ją w małym domku rabina. Po śmierci ojca zostanie sama, nie będzie miała niczego poza gniewnym miłosierdziem madame Ezra. Nie, grozi jej coś gorszego niż samotność.

Będzie z nią Aron. Z lęku i rozpacz nawet nie próbowała się bronić. Nie odpowiadała na zarzuty madame Ezra. Stała ze spuszczoną głową, a madame Ezra mówiła i mówiła. Dłonie, które Lea złożyła przed sobą, były tak lodowate, że zdawało się, iż przymarzły do siebie. Miała wrażenie, że całe jej ciało jest posiniaczone i obite, a umysł - otepiały.

Kiedy madame Ezra w końcu krzyknęła do niej: „Zostaw mnie... I nie pokazuj mi się na oczy przez jakiś czas!”, Lea się odwróciła i wyszła, sama nie wiedząc, dokąd się kieruje.

Nie gniewała się na madame Ezra. Aż nadto dobrze rozumiała ból serca, który sprawił, że ta serdeczna, dobra kobieta wpadła w taką furję. Madame Ezra też była zrozpaczona. I ta rozpacz sprawiła, że była taka okrutna. Rozpacz połączona z miłością. Bo madame Ezra kochała Dawida bardziej niż kogokolwiek, bardziej nawet, niż kochała Boga, i dlatego pragnęła, żeby jej syn kontynuował tradycje swych przodków. Straci Dawida w tym pogańskim kraju, jeśli nie będzie przestrzegał zasad ich wiary. W marzeniach widziała go na

cele ich małej społeczności; to on pewnego dnia miał ich zaprowadzić do prawdziwej ojczyzny. Wiedząc o tym wszystkim, Lea doskonale rozumiała, co się dzieje w sercu madame Ezra. Dlatego nie czuła do niej żalu.

Nie, to nie madame Ezra się myliła, ale ona, Lea, wszystkich zawiodła. Nie potrafiła spowodować, żeby Dawid ją pokochał i chciał pojąć za żonę. Jak mogła mieć pretensje do Dawida, pokornie spytała samą siebie. W swoim życiu nie robiła nic poza prowadzeniem domu dla dwóch mężczyzn. Uniosła ręce i spojrzała na nie. Matka Wang nauczyła ją wcierać w nie oliwę i Lea starała się to robić, ale praca i bieda sprawiły, że stały się duże i było za późno, żeby to zmienić. Próbowwała studiować Torę, lecz nie mogła się skupić, bo myślała o siedzącym obok Dawidzie.

Ani razu na nią nie spojrzał i w żaden sposób nie dał do zrozumienia, że pamięta tamten wieczór, w dniu przyjazdu karawany, kiedy z pomocą ich Pana poruszyła jego serce. Ale potem nie uczyniła nic - nawet nie szukała pomocy u Boga.

Zamiast tego spędzała dni na marzeniach, naiwnie wierząc, że wszystko samo się ułoży. Teraz, przemierzając korytarze, podcienia i dziedzińce, niczego nie widząc, zaczęła się modlić półgłosem:

- Och, Jehowo, nasz Boże, nasz jedyny prawdziwy Boże, usłysz mnie... I pomóż mi.

Kiedy tak szła na oślep, modląc się, wydało jej się, że usłyszała głos Boga nakazujący odnaleźć Dawida i otworzyć przed nim serce. Uniosła głowę i łzy popłynęły jej po policzkach. Jeśli Bóg znów jej pomógł, to wszystko zakończy się tak, jak tego chce madame Ezra... I tak, jak pragnie tego ona.

Kocha Dawida i z radością zostanie jego żoną!

Skierowała się szybko ku pasażom, którymi nie chodziła od czasów dzieciństwa. Dawno temu, kiedy Dawid miał siedem lat, zabrano go z części domu, w której mieszkała jego matka, i umieszczono w pokojach w pobliżu ojca. Pewnego razu, wiele lat temu, Lea poszła tam z nim, by je obejrzeć. Gdy madame Ezra się o tym dowiedziała, zabroniła jej tam chodzić. Żadnej kobiecie poza służącymi nie wypada odwiedzać pokoi mężczyzn.

Teraz nogi Lei same odnalazły drogę, a ponieważ była to pora, kiedy służący są zajęci szykowaniem południowego posiłku, nikt jej nie zobaczył. I oto niezapowiedziana, znalazła się pod drzwiami pokoju Dawida.

Dawid siedział za stołem tak, jak go zostawiła Peonia. Raz wstał, żeby wziąć książkę, ale jej nie czytał. Nie mógł się zdecydować, jakimi posłużyć się słowami, chociaż mu się wydawało, że chce je odszukać, ponieważ dziś rano, kiedy zobaczył Kueilan, ułożyły się w

wiersz. Nie były to zwykłe strofy o miłości. Były to poważne wersy o wyborze między miłością a obowiązkiem, jakiego musi dokonać mężczyzna.

Lecz on - co stwierdził, jeszcze zanim otworzył książkę - nie wybierał między miłością a obowiązkiem. Jego wybór dotyczył wyłącznie obowiązku. Nadal mógł zapomnieć o ślicznej Chinezce, bo jeszcze nie kochał jej tak, jak mógłby pokochać, gdyby dokonał wyboru, który by mu na to pozwolił.

Nie, musi w głębi swego jestestwa podjąć taką samą decyzję, jaką podejmowali wszyscy jego bracia. Czy zachowa swoją odrębność w imię wiary, co sprawi, że pozostanie samotny bez względu na to, jacy ludzie będą go otaczali? Czy też skieruje strumień swego życia do bogatego oceanu, utworzonego z losów wszystkich wokoło? Czy odważy się zanurzyć w tym oceanie? Czy w nim utonie? Ale przecież nie wszystko ginie. On sam, jego przodkowie, których krew płynęła w jego żyłach, dzieci, które spłodzi, powiększą ocean, lecz w nim nie utoną.

Właśnie wtedy, pogrążony w rozmyślaniach, zanim zdążył podjąć decyzję, zobaczył Leę na progu. Wstał, zaskoczony, że tu przyszła.

- Czy... Czy szukałaś mnie? - wyjąkał.

W chwili, kiedy spojrzała na niego, umysł jej się rozjaśnił.

Nie może być więcej nieświadomości między nimi. Dusza musi rozmówić się z duszą.

- Tak - powiedziała. - Twoja matka przysłała po mnie dziś rano i miała do mnie pretensje.

- Nie powinna cię o nic winić - uspokoił ją. Ale był oszołomiony. Czy ma jakieś znaczenie to, że pojawiła się akurat teraz? Czy sam Bóg ją przysłał?

Weszła do pokoju i usiadła tam, gdzie niedawno siedziała Peonia. Dawid zajął swoje miejsce. Widział, że Lea płakała, ale coś osuszyło jej łzy. Jej wielkie oczy były czyste i błyszczące, policzki zapłonione. Była taka piękna, że zastanawiał się, dlaczego nie kocha jej całą duszą i sercem. Ale jego serce pozostało obojętne. Nie mógł nikogo pokochać, póki jego dusza nie dokona wyboru.

I nagle przypomniał sobie wyryte na tablicy w synagodze słowa, które zapadły mu w pamięć: „Pobożność nakazuje oddawać cześć niebiosom, a sprawiedliwość - przestrzegać praw, ustanowionych przez przodków. Ale umysł ludzki istniał zawsze, przed pobożnością i sprawiedliwością.

Te śmiałe, bezkompromisowe słowa jakiegoś człowieka z zamierzchłej przeszłości utwierdziły Dawida w jego przeświadczeniu i sprawiły, że odważył się sprzeciwić Bogu i ludziom.

- Nie możesz pozwolić, żeby moja matka cię dręczyła - powiedział gwałtownie. - Kiedyś nie dawała spokoju mnie.

Gdy byłem małym chłopcem, wydawało mi się, że nigdy jej nie zadowolę. Nigdy nie byłem wystarczająco dobry. - Uśmiechnął się smutno. - Jest taka lojalna... Tyle w niej żarliwości.

- Twoja matka ma rację - oświadczyła z mocą Lea. - To ja się myliłam... I ty się myliłeś. Ty też, Dawidzie!

- Myliłem się? - Usiłował obrócić te słowa w żart, bo bał się tego, co teraz w niej wyczuwał - braku przyzwolenia na to, co sobie postanowił: być wolnym.

- Gdyby nie takie kobiety, jak twoja matka, i tacy mężczyźni, jak mój ojciec - ciągnęła z przejęciem Lea - nasz naród już dawno temu przestałby istnieć. Stalibyśmy się tacy, jak wszyscy inni ludzie, zapomnielibyśmy o istnieniu jedyne prawdziwego Boga. Ale ich niezłomność sprawia, że nadal stanowimy odrębny naród.

Wzrok Dawida padł na jej silne, młode dłonie, które splotła i położyła na stole. Przez chwilę milczał, a potem przemówił bardzo cicho:

- A jednak zastanawiam się, czy to nie przez nich inni obracają się przeciwko nam.

Lea rozchyliła usta. Pojął, że nie zrozumiała, o co mu chodzi.

- Ludziom trudno się pogodzić z tym, że jesteśmy od nich lepsi - kontynuował. - Bo ostatecznie, pod jakim względem jesteśmy lepsi? Jesteśmy dobrymi kupcami, bogacimy się, jesteśmy inteligentni, komponujemy muzykę i malujemy obrazy, tkamy cienkie atłasy. Dobrze sobie radzimy, gdziekolwiek się znajdziemy... A potem budzimy nienawiść w innych i zabijają nas. Dlaczego? Zadaję sobie to pytanie nocą i dniem, i chyba zaczynam rozumieć, z jakiego powodu tak się dzieje.

Lea nie mogła znieść tych słów.

- Ludzie nas nienawidzą, bo nam zazdroszczą - oświadczyła. - Nie chcą poznać Boga. Są źli i nie chcą stać się dobrzy.

Dawid pokręcił głową.

- To my mówimy, że są źli. To my mówimy, że jesteśmy dobrzy.

Lea była wstrząśnięta tym, co usłyszała.

- Dawidzie, jak możesz tak rozmyślnie przekręcać znaczenie Tory? - wykrzyknęła z energią i żarliwością, do jakiej są zdolni tylko młodzi. - Czy mój ojciec ci tego nie tłumaczył? Nie chodzi o to, że jesteśmy dobrzy. Chodzi o to, że Bóg nas wybrał, by poprzez Torę zapoznać nas ze swoją wolą. Jeśli nas zabraknie, kto będzie krzewił prawdę? Czy światem ma zafundować zło?

Dawid odpowiedział jej równie żarliwie:

- Nie znam złych mężczyzn... Ani kobiet. - Ogarnął go gniew na Leę, bo też była uparta, i dodał niespodziewanie: - Gdybym miał wymienić imię złego człowieka, powiedziałbym, że jest nim twój brat Aron.

Tymi słowami dotknął ją do żywego.

- Jak... Jak śmiesz mówić coś takiego! - wykrzyknęła. - Powinieneś się wstydzić, Dawidzie!

- Ponieważ jest twoim bratem? - zapytał Dawid.

- Nie... Ponieważ jest... jest... jednym z nas! - krzyknęła Lea.

Dawid roześmiał się nieprzyjemnie.

- Oto dowód na to, co powiedziałem! Leo, nie jesteś bardziej sprawiedliwa od mojej matki. Dla mnie człowiek jest dobry albo zły bez względu na to, czy jest Żydem, czy nie.

Lea zawahała się, widząc jego gniew.

- Co takiego zrobił Aron?

Dawid wstał, podszedł do otwartych drzwi i stanął w nich tyłem do niej.

- Nie mogę ci wyjawić, co zrobił - oświadczył wyniośle.

- Nie przystoi, by dziewczyna słuchała o takich rzeczach. - Wpatrywał się w dziedziniec, ocieniony bambusami.

- Nie ma niczego, co robi mój brat, o czym nie mogłabym wiedzieć - stwierdziła Lea.

- W takim razie posłuchaj - rzekł Dawid. - Zachował się nieprzystojnie wobec kobiety.

Lea milczała przez chwilę. Rozum jej podpowiadał, by nie drażnić tego tematu, ale przepełniała ją złość na Dawida. Znów się jej wymknął. Wpadła więc w panikę i nie słuchała głosu rozsądku.

- Wobec jakiej kobiety? - zapytała.

- Nie powiem ci - odparł Dawid. Wciąż był do niej odwrócony plecami i nadal patrzył na dziedziniec.

Akurat w tym momencie Mały Piesek ukazał się w okrągłej bramie naprzeciwko. Zatrzymał się i spojrzał na niego swoimi smutnymi, okrągłymi oczami; z pyska zwisał mu czerwony język. Miał w zwyczaju biegać za Peonią, ale że był leniwy i powolny, stale pojawiał się z opóźnieniem. Podązał za jej zapachem, a nie widokiem.

Lea jednak wiedziała, że pekińczyk zawsze przychodzi za Peonią, i natychmiast się wszystkiego domyśliła.

- Znam tę kobietę! - wykrzyknęła. - To Peonia!

Dawid przeklął w duchu Małego Pieska, lecz cóż mógł powiedzieć? Wszedł z powrotem do pokoju, usiadł i położył dłonie na stole.

- Tak, chodzi o Peonię! - oświadczył. - Niewolnicę w domu, w którym Aron był gościem!

Ich gniewne spojrzenia się spotkały. Żadne z nich nie odwróciło wzroku.

- Gdyby to była jakaś inna kobieta, nie przejąłbyś się tym tak bardzo! - krzyknęła z furią Lea. Miała teraz tylko jedno pragnienie: jak najdotkliwiej zranić Dawida. Szukała słów, które najbardziej go zabolą. - Wiem, dlaczego mnie nie chcesz! Peonia cię zepsuła i rozpieściła, uczyniła z ciebie słabego mężczyznę. Skradła ci duszę. - Nie mogła mówić dalej. I choć starała się nie płakać, zaczęła głośno szlochać. Nienawidziła siebie za to, że się załamała.

Dawidowi nagle przeszła cała złość. Kiedy patrzył na śliczną, zrozpaczoną twarz Lei, poczuł, że przepelnia go tkliwość i żal.

- To nie Peonię kocham - wyznał. - Inną kobietę... Której być może nigdy nie spotkałaś. - A więc jego serce ostatecznie samo podjęło decyzję, a jego dusza milczała.

Lea przestała płakać. Wpatrywała się w niego nic niewidzącymi oczami; usta jej zadrżały, kiedy w pełni pojęła znaczenie jego słów. Czowała, jak odbijają się echem w jej sercu i sączą do jej krwi niczym jad. Nagle coś zmaciło jej umysł.

Zerwała się na nogi i porwała szablę, która wisiała na ścianie w zasięgu jej prawej ręki. Zamachnęła się nią przez stół. Ostrą, zakrzywioną klingą uderzyła Dawida w głowę. Podniósł rękę, poczuł krew, oczy mu zaszyły mgłą i osunął się na podłogę. Lea wpatrywała się w niego, nadal ściskając szablę w dłoni.

Mały Piesek, który to wszystko widział, podbiegł i zaczął obwąchiwać swojego pana. Koniuszkiem języka dotknął kałuży krwi, a potem uniósł łebek i zaczął wyć.

Kiedy Lea usłyszała wycie psa, wypuściła szablę z ręki.

Opamiętała się. Padła na kolana i przytknęła rękaw sukni do głowy Dawida.

- O, Boże - szepnęła. - Jak mogłam? - Zupełnie się rozkleiła. - Co ja teraz zrobię? - jęknęła.

Przez cały ten czas pekińczyk ujadał.

Peonia była przyzwyczajona do szczekania Małego Pieska i zawsze, gdy ten po chwili nie przychodził do niej, szła go szukać. Usłyszawszy piskliwy jazgot, dobiegający przez pootwierane bramy dziedzińców, szybko podążyła za jego odgłosem. Tak trafiła na dziedziniec Dawida. Przez otwarte drzwi zobaczyła Leę, klęczącą i płaczącą, a obok niej szablę na podłodze.

- Wielkie nieba... Jak się zranił? - krzyknęła Peonia, wbiegając do pokoju.

Wtedy Lea wstała i cała krew napłynęła jej do twarzy.

, - Ja to zrobiłam - powiedziała przez ściśnięte gardło.

- Ty! - szepnęła Peonia. Rzuciła Lei straszne spojrzenie. - Pomóż mi przenieść go na łóżko! A potem idź powiadomić jego matkę!

Rozkazywała Lei, jakby Lea była służącą, a ona jej panią.

Lea, drżąc, słuchała jej poleceń. We dwie dźwignęły Dawida, zanosły go do sypialni i położyły na łóżku. Głowa mu opadła do tyłu, krew zaplamiła poduszkę.

- On nie żyje! - krzyknęła Lea.

- Żyje - powiedziała twardo Peonia. - Ja się nim zajmę. Ty idź i powiedz jego matce.

- Nie mogę, nie mogę - jęczała Lea.

Peonia odwróciła się do niej.

- Czy mam sama iść i pozwolić, by umarł przez ten czas? - zapytała.

Jaka mogła być na to odpowiedź? Szlochając głośno, Lea wybiegła z sypialni i zatrzymała się w pokoju obok, zapłakana i oszołomiona. Zobaczyła szablę. Leżała na podłodze przy Małym Piesku, który siedział, jakby jej pilnował. Lea pochyliła się i ją podniosła, a Mały Piesek warknął. Lea nie zwracała jednak uwagi na pekińczyka. Przeciągnęła szablą po własnej szyi. Ostra klinga wykonała swoje zadanie. Lea osunęła się na ziemię, szabla z brzękiem upadła na płytki posadzki, a Mały Piesek zaczął wściekle ujadać.

Peonia usłyszała, jak kroki Lei ucichły. Pod ręką czuła bicie serca Dawida. Trzymając dłoń na jego piersi, nasłuchiwała. Zapadła cisza, ale Peonia nadal wyteżęła słuch. Potem dobiegło ją ujadanie psa. Dalej czekała. Po chwili usłyszała brzęk i bezszelestnie zbliżyła się do drzwi, przesłoniętych kotarą. Zobaczyła Leęna podłodze, z podcięтым gardłem, z włosami w kałuży krwi. Szabla leżała obok niej, Mały Piesek szczekał.

- Cicho - powiedziała Peonia. - Cicho, piesku.

Weszła do pokoju, a potem pognęła przed siebie, jakby ścigały ją duchy. I choć dopiero co poprosiła Leę, by przyprowadziła madame Ezra, to w tej strasznej chwili sama nie miała dość odwagi, żeby ją zawołać. Zamiast tego cichutko pobiegła do Matki Wang, nie chcąc, by ktokolwiek się wcześniej dowiedział, co zaszło.

Zanim znalazła Matkę Wang, natknęła się na Starego Wanga. Skorzystał z tego, że wszystkich zmorzył sen podczas południowego skwaru, i wyciągnął arbuza z północnej studni. Rozkroił owoc i teraz rozkoszował się jego chłodnym mięszem w cichym i mało uczęszczanym podcieniu, prowadzącym na dziedziniec kuchenny. Peonia też wybrała ten korytarz, więc natknęła się na Starego Wanga. W pierwszej chwili się przestraszył, że go

zobaczyła z ukradzionym arbuzem; potem zrozumiał, że dziewczyna nawet nie dostrzegła, co robił.

- Gdzie jest Matka Wang? - zapytała.

- Śpi tam... pod bambusami. - Wskazał głową.

Peonia pobiegła dalej i wkrótce zauważyła Matkę Wang, siedzącą na taborecie i śpiącą z twarzą wtuloną w kolana.

- Matko Wang! - krzyknęła cicho, ale nagłaco.

Matka Wang natychmiast się obudziła z lekkiej drzemki.

Gapiała się na Peonię, zaspana. Peonia potrząsnęła ją za ramię.

- Matko Wang... W domu jest śmierć! Żydówka i panicz pokłócili się. Uderzyła go szablą w głowę.

- Wielkie nieba - wymamrotała Matka Wang. Zerwała się z taboretu. - Gdzie? - krzyknęła.

- W jego komnatach. Zaczekaj! Potem skierowała szablę przeciwko sobie.

- Oboje... nie żyją? - z przerażeniem wyszeptała Matka Wang.

- Nie... Tylko ona.

- Czy państwo o tym wiedzą?

- Ja mam im powiedzieć czy ty to zrobisz?

Kobiety spojrzały na siebie. Obie szybko myślały.

- Pójdę tam i doprowadzę wszystko do ładu, nim się pojawią - zdecydowała Matka Wang. - Ty idź im powiedzieć.

Rozstały się i Peonia poszła do madame Ezra. Pomyślała, że lepiej najpierw powiadomić ją, ale kiedy stanęła pod drzwiami, okazało się, że jest tam też Ezra, więc nie było innego wyjścia, jak poinformować ich oboje.

Wykrzyknęli na widok jej pobladłej twarzy.

- Co ci jest? - spytała madame Ezra.

- Bądź cicho, Naomi - nakazał jej Ezra, po czym wstał.

Peonia dała znak ręką im obojgu. Jednak nie potrafiła im powiedzieć, co się wydarzyło. Muszą to zobaczyć na własne oczy.

- Chodźcie... Chodźcie... Obydwoje! Och... Och!

Zaczęła płakać i ruszyła z powrotem tam, skąd przybiegła, a oni spojrzeli na siebie i bez słowa podążyli za nią, z sercami przepelnionymi lękiem. Kiedy zobaczyli, że skierowała się ku dziedzińcowi Dawida, przyspieszyli kroku. Madame Ezra znalazła się na przedzie.

Przed okrągłą bramą Peonia przystanąła.

- Muszę państwu powiedzieć...

- Czy Dawid...? - Zaszło mu w gardle.

- Nie - wyszeptała Peonia. - On nie... Ale, panie, przygotuj się... Lea odebrała sobie życie... Tamtą szablą!

Ezra krzyknął i pognał za madame Ezra, a Peonia podążyła za nimi. Ale nie zobaczyła Lei tam, gdzie dziewczyna leżała jeszcze przed paroma minutami. W tym czasie bowiem Matka Wang złapała Starego Wanga za kołnierz i razem pobiegli do komnat Dawida. We dwoje dźwignęli Leęz podłogi i zanieśli ją do pokoju w innym pawilonie, gdzie Dawid studiował Torę pod okiem rabina. Położyli ją na kanapie, Matka Wang zerwała zasłonę z drzwi i nakryła nią dziewczynę. Stary Wang wrócił do komnaty Dawida, zdjął kaftan i zebrał nim krew z posadzki, zanurzył go w stawie i wytarł podłogę do czysta.

Tak więc kiedy madame Ezra zajrzała do środka, niczego nie zobaczyła. Przeszła do sypialni obok. Dawid leżał na łóżku. Peonia obwiązała mu głowę własnym pasem z białego jedwabiu, by zatamować krew. Można było pomyśleć, że śpi, ale oddychał z trudem i szybko. Madame Ezra oszalała z niepokoju. Zawołała go po imieniu, a kiedy nie odpowiedział, zaczęła wyżywać się na Peonii.

- Uspokój się, Naomi - upomniał ją Ezra. - Trzeba posłać po lekarza.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że się zranił? - krzyczała madame Ezra na Peonię i potrząsała dziewczyną, aż Ezra musiał je rozdzielić.

Peonia nie odezwała się ani słowem. Nie miała pretensji do swojej pani. Wiedziała, że madame Ezra zachowuje się tak z lęku o syna i że lepiej pozwolić jej wyładować gniew. W tym momencie pojawili się Stary Wang i Matka Wang. Ezra polecił Staremu Wangowi, żeby zaraz biegł po doktora, a Matce Wang - by poszła do kuchni i zaparzyła zioła.

Tak więc Peonia musiała sama opowiedzieć, co się stało.

Przedstawiła to w kilku prostych słowach. Ezra i madame Ezra słuchali, serca im waliły, oczy zrobiły się okrągłe. Madame Ezra usiadła obok Dawida i zaczęła głaskać go po ręce, nic nie mówiąc.

- Ale dlaczego się pokłócili? - nie mógł zrozumieć Ezra.

- Nie wiem - przyznała Peonia. - Myślałam tylko o nim, kiedy go zobaczyłam, leżącego na podłodze. Gdy mu przewiązywałam ranę na głowie, ona...

Madame Ezra wybuchnęła nagle głośnym płaczem.

- Och, cóż za niegodziwa dziewczyna... A traktowałam ją jak własną córkę! Omal nie zabiła mojego syna!

- Lea nie była niegodziwa - zauważył smutno Ezra. - Coś ją doprowadziło do szaleństwa... Ale już nigdy się nie dowiemy co.

Madame Ezra niespodziewanie przestała płakać.

- Nigdy jej tego nie wybaczę - oświadczyła.

- Mimo że Dawid żyje? - spytał Ezra.

W tej chwili Dawid się poruszył, otworzył oczy i powiódł spojrzeniem po twarzach rodziców.

- Lea? - zapytał słabym głosem.

- Ciii...! - powiedziała madame Ezra.

- Ona... nie chciała... - Umilkł.

- Ciii...! - powtórzyła gwałtownie madame Ezra.

- Nic nie mów, mój synu... - Ezra podszedł bliżej i ujął Dawida za rękę. Oboje rodzice czekali. Ale Dawid zamknął oczy i już się nie odezwał.

Matka Wang przyniosła czarkę herbaty ziołowej i łyżkę.

Peonia wolno poiła Dawida, aż wreszcie przyszedł lekarz. Był to mały, zgarbiony, cichy człowieczek, który nosił wielkie okulary w rogowej oprawie, a pachniał imbirem i sproszkowanymi kośćmi.

Podnieśli się, kiedy wszedł, i stali, obserwując z napięciem, jak obmacuje ranę i mierzy puls. Zbadawszy Dawida, zamyślił się.

- Czy mój syn będzie żył? - zapytał w końcu Ezra.

- Tak - potwierdził lekarz. - Choć jeszcze długo jego życie będzie w niebezpieczeństwie. Nie tylko jego ciało, ale również dusza została zraniona.

- Co mamy robić? - spytała madame Ezra.

- Trzeba mu we wszystkim ustępować - odpowiedział lekarz.

Dawid się obudził. Leżał w swoim łóżku. Była noc, w pokoju panowały ciemności, rozświetlane jedynie płomieniem małej lampki oliwnej, stojącej na stole, a widocznej przez zasłony wokół łóżka. Noc? Przecież świeciło słońce!

- Lea - zawołał cicho.

Peonia natychmiast go usłyszała. Specjalnie siedziała na twardym, niewygodnym taborecie, żeby się nie zdrzemnąć i nie przeoczyć nawet najlżejszej zmiany w oddechu Dawida.

Podeszła teraz na paluszkach do łóżka, uchyliła zasłonę i spojrzała na niego. Jego wzrok padł na nią.

- Lea - znów szepnął.

- Lea śpi - wyjaśniła Peonia.

Wyjęła miękką jedwabną chusteczkę, by otrzeć mu policzki i usta.

- Taki jestem... słaby - wymamrotał.

- Musisz coś zjeść - powiedziała. - Leż spokojnie.

Zbliżyła się do małego piecyka na węgiel drzewny, stojącego na stole, zdjęła pokrywkę z rondelka i chochelką o długiej rączce naląła do miseczki parujący kleik ryżowy, posłodzony czerwonym cukrem. Poruszała się bezszelestnie i ostrożnie.

Znów podeszła do łóżka.

- Nakarmię cię - przemówiła czule.

Bała się, że Dawid ją spyta, jak to się stało, że leży w łóżku.

Ale nie zapytał. Pił wolno, po małym łyeczku, ciepły i słodki kleik.

Czerwony cukier przyczyniał się do produkcji krwinek. Dawid stracił dużo krwi. Dlatego był taki słaby. Strasznie go bolała głowa. Wiedział dlaczego. Lea uderzyła go szablą. Widział jej dziką, śliczną twarz, ręce trzymające wzniesioną szablę. Zapamięta to do końca życia. Żadne jej słowa ani czyny nie wymażą tego z jego pamięci. A teraz spała!

- Boli mnie głowa - wymamrotał.

- Dam ci trochę opium - postanowiła Peonia. Ogrzała kulkę opium, aż zrobiła się miękka, potem przygotowała specjalną fajeczkę i zbliżywszy się do łóżka, wsunęła ją Dawidowi do ust. Znów podeszła do stołu.

- Zaciągnij się, paniczku - poprosiła.

Zaciągnął się kilkakrotnie, aż narkotyk zaczął działać. Ból zelżał i Dawid ujrzał twarz Peonii w aureoli światła.

- Jak przyjemnie... Jak... jak przyjemnie... Jak przyjemnie... - zaczął, ale nie mógł dokończyć zdania.

Położyła mu rękę na ustach, by go uciszyć.

- Kocham cię - powiedziała wyraźnie. - Nigdy nie mogłabym cię skrzywdzić... Kocham cię. Słyszysz mnie?

Uśmiechnął się, ogarnięty sennością, i nic nie odpowiedział. Zapadł się w atlasową miękkość, czuł zapach, słyszał muzykę, widział twarz Peonii, przepelnioną miłością. Zamknął oczy.

Kiedy Peonia się upewniła, że usnął, wymacała mu puls na przegubie ręki - był silniejszy niż przedtem. Mogła go, więc spokojnie zostawić na kilka chwil, by pójść do madame Ezra i ją powiadomić, że Dawid się obudził, zjadł i znów zasnął.

Cicho wyszła do drugiego pokoju i minęła Starego Wanga, śpiącego na krześle przy stole, z głową wspartą na rękach.

Ezra nakazał mu czuwać całą noc, by mógł wykonać każde polecenie Peonii. Dziewczynie zrobiło się żal starego sługi i postanowiła go nie budzić.

W nocy dom wyglądał dziwnie, pogrążony w ciszy i ciemnościach. Przeszła przez jeden dziedziniec, potem drugi. Przy każdej bramie wisiał papierowy lampion, by wskazywać jej drogę, i teraz podążała za słabym światłem. Kiedy znalazła się na swoim dziedzińcu, usłyszała ją Mały Piesek i zaczął dreptać za nią, prychając i ziewając.

Razem dotarli do dziedzińca madame Ezra. W sypialni paliło się światło. Peonia weszła do środka. Madame Ezra siedziała podparta poduszkami i spała. Z pewnością nie chciała usnąć, ale zmęczenie wzięło górę. Głowę odrzuciła do tyłu, usta miała lekko rozchylone, oddychała głęboko i miarowo.

Peonia stała bez ruchu, rozsunąwszy kotary, i bała się ją obudzić.

- Proszę pani... Proszę pani - wołała, początkowo bardzo cicho, potem głośniej, przywołując wędrującą, strapioną duszę.

Madame Ezra chrząknęła i się obudziła.

- Ach! - krzyknęła i otworzywszy oczy, utkwiała wzrok w Peonii. Jej dusza była dopiero w połowie drogi do domu.

Peonia ujęła jej ręce w swoje dłonie.

- Mam dobre wieści - powiedziała cicho. - Panicz się obudził, zjadł trochę kleiku, teraz znów śpi.

Madame Ezra w pełni doszła do siebie.

- Czy pytał o mnie?

Peonia nie chciała mówić, że nie spytał o matkę, więc odparła:

- Nadal był otepiały z powodu bólu głowy, więc kiedy zjadł, naszykowałam fajeczkę, by opium uśmierzyło ból. Teraz znów śpi.

- Nic nie mówił? - dopytywała się madame Ezra. Uwolniła ręce z uścisku Peonii.

- Przyzywał Leę - wyznała Peonia.

- Co mu powiedziałaś?

- Ze Lea śpi.

Madame Ezra opadła na poduszki i westchnęła.

- Muszę wracać do niego - ciągnęła Peonia.

- Kiedy się obudzi, nie mów mu, że Lea nie żyje - rozkazała jej madame Ezra.

- Dobrze - obiecała Peonia i wyszła. W drodze powrotnej zatrzymała się jedynie, by zamknąć Małego Pieska w swoim pokoju, żeby nie obudził Dawida.

Dawid wciąż spał, kiedy wróciła do jego komnaty. Peonia też czuła się bardzo zmęczona. Teraz już się tak bardzo nie obawiała, że Dawid może umrzeć. Wdrapała się na wysokie łóżko, zwinęła w kłębek w jego nogach i zaczęła rozmyślać, jak ukryć przed Dawidem śmierć Lei przynajmniej przez dzień, dwa. Dawid jest taki wrażliwy, że będzie się obwiniał za to, co się wydarzyło. A kogo można było za to winić poza samą Leą i jej żarliwością religijną?

- Jak sprawić, żeby w to uwierzył? - wymamrotała, zmartwiona.

Bo musi w to uwierzyć, inaczej do końca życia Lea będzie miała nad nim władzę. Dawid, jak wszyscy Żydzi, uczepi się własnych cierpień.

- Musimy odwrócić jego uwagę - powiedziała sobie stanowczo Peonia. - Musimy go zabawiać i uczynić go szczęśliwym wbrew niemu samemu.

I powziąwszy takie postanowienie, usnęła.

Jak jednak można było ukryć przed Dawidem śmierć Lei?

Kiedy się obudził rano, nikogo nie pytał, gdzie jest Lea, ale wzrok miał dziwnie zamyślony. Peonia poczuła, jak się poruszył, więc wstała szybko i zaraz się nim zajęła. Ezra przyszedł wkrótce po wschodzie słońca, jeszcze zanim się umył i ubrał, podobnie jak madame Ezra, owinięta w obszerny pikowany szlafrok. Przez drzwi zaglądali i Matka Wang, i Stary Wang, i służący, żeby zobaczyć panicza i móc rozgłosić wieść po mieście. Ale Dawid o nikogo nie pytał. Znów zjawił się stary lekarz, odwinał jedwabne bandaże, którymi opatrzone ranę Dawida, obejrzał ją i orzekł, że wszystko jest w miarę dobrze, po czym polecił, by dawać choremu najlepsze kaszanki.

- Najlepsze są wieprzowe - oświadczył.

- Nie jadamy wieprzowiny, starszy bracie - wyjaśnił łagodnie chińskiemu doktorowi. - Ale jeśli to konieczne, by ratować życie mojego syna...

- Jest młody i silny - odparł Chińczyk. - Można do nich dodawać krew kurcząt. Gdyby był bardzo stary, zaleciłbym kobiecy pokarm zamiast krwi.

Tak, więc przyrządzono kaszanki z drobiowych wątróbek, wzbogacone krwią kurczaków, ugotowano czerwony ryż z korzeniami szpinaku, wbito do tego surowe jajka. I karmiono tym Dawida, by jego organizm mógł uzupełnić straty krwi.

Matka siedziała przy nim przez cały dzień, ojciec co chwila zaglądał do niego, ale Dawid wciąż nie pytał nikogo o Leę.

Lecz następnego dnia, i jeszcze następnego, w miarę jak nabierał sił, do jego uszu zaczęły docierać odgłosy, rozbrzmiewające w domu. Słyszał ukradkowe kroki, a raz nawet urywany szloch rabina. Pod wieczór dobiegł go stukot młotka. Ojciec i matka byli w pokoju Dawida, Peonia grzała wodę na piecyku opalanym węglem drzewnym.

- Matko - przemówił Dawid.

Madame Ezra wstała z krzesła, na którym siedziała, i podeszła do jego łóżka.

- Mój synu... - Jej głos był tak smutny, jej zachowanie tak powściągliwe, że wydawała się obca.

- Gdzie jest Lea? - wyraźnie zapytał Dawid...

Madame Ezra odwróciła się, żeby spojrzeć na Ezrę. Siedział przy stole, wolno kręcąc młynka palcami.

- Lepiej mu powiedzmy, Naomi - wymamrotał.

- Ukaralaś Leę, matko? - wykrzyknął Dawid. - Och, źle zrobiłaś.

- Bóg ją ukarał, mój synu - odparła madame Ezra.

Nagle zaczęła płakać. Ta wysoka, silna, zdrowa kobieta, która przez całe życie kroczyła własną drogą, wybuchnęła rozdzierającym szlochem. Nie mogła nic więcej powiedzieć...

Wybiegła z pokoju, a Ezra podążył za nią. Została tylko Peonia i to ona musiała o wszystkim opowiedzieć Dawidowi. Zbliżyła się do niego i cicho, zwięźle i możliwie jak najdelikatniej zdała mu relację z tragicznych wydarzeń.

- Lea wyszła sama do drugiego pokoju, kiedy ja tu zostałam, tamując ci krew swoim jedwabnym pasem. Wzięła szablę, przeciągnęła nią po gardle... I życie z niej uleciało.

Zamknął oczy. Przypomnił sobie ostrą klingę, zagłębiającą się w szorstką tkaninę, w którą owinięto towary sprowadzone przez karawanę. Wyobraził sobie, jak stał przebija ciałem Lei. Nagle ogarnęły go mdłości. Peonia krzyknęła, podsuwając mu kołdrę pod usta.

- Nawet po śmierci nie zostawiła cię w spokoju! - jęknęła.

Dawid, wyczerpany, opadł na poduszkę.

- Milcz! - wysapał. - Ty... Nigdy tego nie zrozumiesz.

Te słowa spadły jak kamienie na miękkie serce Peonii.

Nic nie powiedziała; właściwie nie mogła. Wzięła kołdrę i wyniosła ją do czyszczenia. Ale zanim ponownie weszła do sypialni Dawida, zatrzymała się pod drzwiami i przez chwilę ocierała oczy rękawem. Nagle się odwróciła i pobiegła do pokoju, gdzie stolarz już ukończył swoje dzieło. Zbił ciężką trumnę z drewna kamforowca, jej wieko stało oparte o ścianę.

Służący już umieścili Leę w trumnie. Zrobili wszystko, co należało. Peonia nie pomagała im, podobnie jak Matka Wang.

Posługaczki pracowały same. Teraz została tylko jedna młoda pokojówka, by wygładzić suknię i wsadzić świecę w złożone ręce Lei, żeby jej płomień wskazywał drogę duszy zmarłej dziewczyny.

- Zasłoniłam jej szyję - szepnęła pokojówka. Narzuciła kawałek jedwabiu na ranę.

Peonia podeszła bliżej i spojrzała na Leę. Szczupła twarz Lei była jakaś nierealna, jakby wykonana z białej substancji.

Oczy miała zapadnięte, długie, ciemne rzęsy rzucały cień na jej policzki. Piękne czarne włosy odgarnięto z bladego czoła, usta miała mocno zaciśnięte.

Ktoś potknął się na progu i Peonia uniosła wzrok. Był to rabin, podpierający się laską. Wyciągnął rękę, by wymacywać drogę w nieznanym miejscu.

- Czy ktoś zaprowadzi mnie do mojego dziecka? - zapytał głębokim, smutnym głosem.

Peonia podeszła do starca, ujęła jego dłoń, doprowadziła do trumny i stanęła obok niego. Wydawało się, że rabin patrzy na twarz Lei.

- Widzę moje dziecko - powiedział w końcu. - Widzę je z jego matką. Matka zeszła do piekła, by je stamtąd zabrać. Zaprowadzi swoją córkę przed oblicze Jehowy i będzie tak długo płakała, aż ją usłyszy. Będzie płakała... - mamrotał pod nosem. - Będzie się biła w piersi i Jehowa usłyszy jej głos. Leo, moje dziecko, Pan odnajduje wszystkie serca i rozumie wszystkie myśli. Jeśli będziesz Go szukała, to Go znajdziesz.

Tyle pasji było w tym starcu, szepczącym coś do martwej dziewczyny, że mała pokojówka przestraszyła się i wybiegła.

Peonia została z rabinem. Też się bała, ale było jej go żal.

- Chodź, odpocznij, stary nauczycielu - powiedziała słodkim głosem, złapała koniec jego rękawa i pociągnęła go.

Na dźwięk głosu Peonii rabin zwrócił się w jej stronę.

Szeroko otworzył swoje niewidzące oczy i jego długa, siwa broda zadrżała.

- Kim jesteś, kobieto? - zapytał głośno.

Peonia zdrętwiała, niezdolna do zrobienia choćby kroku. Ten wysoki starzec, górujący nad nią, przepełnił jej duszę lękiem.

Jego potężny głos rozbrzmiał nagle nad jej głową.

- Mądrości Bóg ją pozbawił! Rozsądku jej nie udzielił! Szuka sobie żeru, bo jej oczy widzą daleko. Ona wszędzie tam, gdzie zabici.

Wyciągnął ramiona, jakby chciał ją złapać. Peonia, widząc te długie, kościste ręce, piękne i straszne w swej sile, odwróciła się i uciekła, jakby naprawdę ktoś ją gonił.

Rabin usłyszał jej kroki. Przez chwilę nasłuchiwał, a po jego twarzy przemknął chytry uśmiech.

- Odstąpcie ode mnie wszyscy, którzy zło czynicie - wymamrotał.

Uniósł wzrok i powiódł nim niemal triumfująco. Potem westchnął i z trudem zaczął iść po omacku przez pokój. Krążył, aż przypadkiem znów podszedł do otwartej trumny, delikatnie przesunął po niej dłońmi, dotknął Lei, jej stóp, kolan i zimnych rąk. Kiedy wymacał świecę, zabrał ją i rzucił na posadzkę.

Potem bardzo wolno, drżąc z przejęcia, wrażliwymi opuszkami palców wymacał rozplątane gardło, a następnie szczupłą twarz, z której odpłynęła cała krew. Powiedziano mu, że Lea zwróciła szablę przeciwko sobie. Ezra go o tym poinformował, ale nie dotarło to do niego. Dopiero teraz wszystko zrozumiał i okazało się to ponad jego siły. Stracił przytomność i upadł na kamienną podłogę. Tak go znaleziono kilka godzin później, kiedy przyszły kobiety, by wypełnić trumnę wapnem, nim stolarz przybije wieko. Podniosły starca z podłogi i położyły go na kanapie, po czym powiadomiły Ezrę i madame Ezra.

- Sprowadźcie Arona - poleciła madame Ezra.

Ale nikomu nie udało się odnaleźć Arona. Rachela oświadczyła, że nie wrócił do domu na noc. Nie można było zrobić nic innego, jak tylko zaopiekować się starcem, co uczyniono zgodnie z poleceniami madame Ezra. Zaniesiono go do jego dawnego pokoju i położono na łóżku.

Madame Ezra pierwsza zrozumiała, jakie nowe nieszczęście na nich spadło. Stary rabin się ocknął. Westchnął, z jego ust wydobył się jęk, a potem zaczął się rzucać, jakby się szamotał z jakimś niewidzialnym duchem. Matka Wang, która go pilnowała, pobiegła, by wezwać swoją panią. Kiedy madame Ezra weszła do pokoju, rabin otworzył oczy. Madame Ezra przemówiła bardzo łagodnie:

- Rabbi, jestem tutaj.

- Och, pani, jego dusza zabłądziła!

Rzeczywiście tak było. Przez wiele dni rabin nic nie mówił.

Leżał w łóżku, jadł, ale milczał. Nawet nie modlił się na głos.

Kiedy pewnego dnia znów przemówił, z jego ust padły słowa pozbawione sensu. Jego dusza uleciała na zawsze. Nikogo nie poznawał i niczego nie pamiętał z wyjątkiem czasów, gdy Lea była dzieckiem, a jej matka żyła i mieszkała razem z nimi.

I tak rabin trafił do nieba jeszcze przed swoją śmiercią, a Ezra w wielkiej dobroci swego serca nakazał sługom:

- Opiekujcie się nim. Pozostanie w tym domu do końca swych dni.

Powiedział to, nie zastanawiając się nad swoją szlachetnością, ale jego decyzja do głębi poruszyła serce madame Ezra.

Kiedy służący wyszli, odwróciła się do swego męża i ukorzyła się jak nigdy dotąd.

- Jesteś taki dobry - powiedziała, szlochając. Jedną ręką ujęła jego dłoń, a drugą zasłoniła oczy. - Żałuję, że nie byłam dla ciebie lepsza, Ezro.

- Jesteś dla mnie bardzo dobra, moja droga - zapewnił ją szczerze. Uścisnął rękę żony.

- Nie, często się na ciebie gniewałam - łkała.

- Wiem, jak często wystawiałem twoją cierpliwość na próbę, Naomi.

- Stanę się lepsza - obiecała madame Ezra.

- Nie bądź zbyt dobra, moja żono - odparł Ezra żartobliwym tonem. - W przeciwnym razie jak będę mógł ci dorównać? Lubię od czasu do czasu trochę się posprzeczać.

- Jesteś taki dobry... Jesteś taki dobry - powtarzała z przejęciem.

Znając jej upór, Ezra przestał oponować. Wsunął sobie jej rękę pod ramię i wyprowadził żonę z pokoju, mówiąc do niej:

- Teraz, moja Naomi, przede wszystkim musimy pamiętać, że nasz syn żyje i że naszym obowiązkiem jest zadbanie o to, by w pełni odzyskał zdrowie, i żeby był szczęśliwy. W tym domu znów powinny się pojawić małe dzieci, a my musimy zapomnieć o przeszłości.

Przemawiając tak, próbował nakierować jej myśli na przyszłość, a Naomi podporządkowała się jego woli i starała się być mu posłuszna.

- Tak, Ezro - mamrotała. - Tak, tak... Masz rację.

Zaniepokoiła go jej uległość i bał się, czy przypadkiem nie jest chora. Potem wytłumaczył sobie, że to nie potrwa długo.

Była silną kobietą, z czasem odzyska dawną porywczosć i energię, więc pozwalał jej mówić to, co chciała. Ale serce madame Ezra przepełniał żal z powodu tego, że wszystkie jej plany spełzły na niczym, wszelkie jej nadzieje się rozwiały. Opadła z sił, przynajmniej chwilowo.

- Ezro... - powiedziała drżącym głosem, kiedy zaprowadził ją do jej komnat i pomógł usiąść na krześle. - Co zrobimy z naszym synem? - To pytanie nie dawało jej spokoju, odkąd zobaczyła martwą Leę.

Ezra stał nad swoją zapłakaną żoną i po raz pierwszy w życiu poczuł się panem tej kobiety, którą kochał na swój sposób. Teraz zrozumiał, że była to prawdziwa miłość. Ujął jej pulchną dłoń i pogładził ją.

- Myślmy tylko o jego szczęściu, moja droga - poprosił.

- Jak najszybciej wyprawmy wesele.

Pokornie spojrzała na niego zapłakanymi oczami.

- Masz na myśli...

Skinął głową.

- Mam na myśli ślicznotkę, którą kocha, córkę Kung Chena. Pójdę do jej ojca, wyznaczmy termin ślubu i w naszym domu znów zagości radość.

- Przecież Lea... - wtrąciła madame Ezra.

Ezra przerwał jej szybko, jakby już o wszystkim zdecydował.

- Zostanie pochowana jutro, potem będzie miesiąc żałoby. Przez ten czas Dawid wydobrzej.

Madame Ezra nic nie mogła na to odpowiedzieć. Miesiąc!

Pochyliła głowę i zabrała rękę.

Ezra czekał jeszcze przez chwilę.

- Zgadzasz się, moja żono? - spytał silnym głosem.

Skinęła głową.

- Tak, mój mężu - odparła znużonym tonem, nie próbując już oponować.

Ezra się pochylił, pocałował ją w policzek i wyszedł bez słowa.

W dniu pogrzebu Lei padał deszcz i Ezra zabronił synowi wstać z łóżka. Dawid był niepokieszony, bo przysiągł sobie, że pójdzie na cmentarz. Śmierć Lei nie dawała mu spokoju, zawładnęła jego myślami tak, jak to się nigdy nie udało Lei za życia. Dręczyły go wyrzuty sumienia, czego nie mógł zrozumieć. Mówił sobie, że gdyby tamtego dnia okazał więcej cierpliwości, Lea nie postradałaby rozumu i mógłby ją uratować. Teraz uważał, że powinien być obecny na jej pogrzebie.

Ale Ezra nawet nie chciał o tym słyszeć i Dawida zaskoczyły upór i zdecydowanie, malujące się na twarzy ojca i dostrzegalne w jego głosie. Co więcej, matka mu się nie sprzeciwiała. Dawid patrzył na nią, oczekując, że stanie po jego stronie, ale to, co powiedziała, zdumiało go jeszcze bardziej.

- Mój synu, usłuchaj swego ojca - poprosiła.

Dawid nie mógł się dalej upierać przy swoim. Bez słowa udał się do pokoju, gdzie stała zamknięta trumna z Leą. Wspierał się na ramieniu służącego, a Peonia stanęła obok na

wypadek, gdyby zasłabł. Potem przyszli karawaniarze, podnieśli ciężką trumnę i grupka żałobników podążyła za nimi. Był wśród nich rabin, zamyślony i uśmiechnięty, ale Arona do tej pory nie odnaleziono i Ezra powiedział, że widocznie uciekł z miasta.

- Kiedy skończą się wszystkie nasze kłopoty, odszukam go i przywiozę z powrotem - obiecał madame Ezra. - Bo czy teraz komuś go brakuje? Rabin zapomniał o wszystkim, a Lea odeszła.

Dawid spoglądał smutno na mały kondukt kroczący przez dziedziniec. Dopiero kiedy zniknął mu z oczu, odwrócił się i poszedł do siebie. Położył się na łóżku i leżał z zamkniętymi oczami, a Peonia wiedziała, że lepiej z nim nie rozmawiać.

Siedziała przy nim, pozwalając, by w tej przejmującej ciszy czuł jej obecność. Dawid się nie odzywał i Peonia nie nakłaniała go do rozmowy. Rozumiała, że musi się skończyć żałoba, nim jej miejsce będzie mogła zająć radość. Bo doskonale wiedziała, że smutek też przemija.

Za miastem, na wzgórzu, gdzie grzebano Żydów, Leę złożono w ziemi obok matki. Rabin, jej ojciec, stał pomiędzy Ezrą i madame Ezra, uśmiechnięty, nic niewidzący. Ale kiedy Ezra przemówił, niespodziewanie go usłyszał.

- Módl się, rabbi - krzyknął mu Ezra prosto do ucha.

Stary rabin wznosił twarz do nieba.

- Jakie ciepłe jest słońce - wymamrotał. A po chwili zaczął się modlić: - Spójrz na nieba i patrz na Twą stolicę, świętą i wspaniałą! Bo Ty naszym Ojcem! Zaiste, nie poznaje nas Abraham, Izrael nas nie uznaje. Tyś, Panie, naszym Ojcem, Twoje imię odwieczne. Staliśmy się od dawna jakby ci... - I wtedy rabin wyobraził sobie, że jest w synagodze i z przyzwyczajenia wyciągnął ręce i zawołał: - Pan jest Bogiem naszym, Pan jest jeden!

Przechodnie gromadzili się w pobliżu, zaciekawieni, a Chińczycy-karawaniarze stali zaintrygowani osobliwym zachowaniem starca.

I tak nieświadomie rabin pomodlił się nad grobem swej zmarłej córki. Ezra zobaczył, że madame Ezra płacze, stanął między nimi i podtrzymał ich oboje, a kiedy trumnę złożono do grobu, który następnie obłożono darnią, zabrał ich do domu.

Datę ślubu Dawida wyznaczono na dziewiąty miesiąc księżycowy, kiedy już nie ma upałów, a jeszcze nie nastają chłody. Od śmierci Lei upłynęły trzydzieści trzy dni i darń na jej mogile była jeszcze zielona.

I Dawid ją zobaczył, kiedy pierwszy raz udał się na jej grób.

Nic nie powiedział, gdy ojciec go poinformował, że zdecydowano o jego małżeństwie, i zachował milczenie, gdy usłyszał, że rodziny wymieniły się podarunkami.

- Czy cieszysz się z tego, mój synu? - zapytał go w końcu Ezra.

- Tak, ojcze, jeśli to cieszy cię i matkę - odparł Dawid.

Rana się zagoiła, ale na czole została szrama, która pozostanie, póki jego kości nie rozsypią się w proch. Chociaż był zdrow na ciele, jego dusza nadal niedomagała. W dzień był osowiały, w nocy źle sypiał, nie wrócił mu dawny apetyt na smaczne potrawy. Peonia wszystko to widziała, ale nic nie mówiła. Opiekowała się nim teraz tak, jak kiedyś, gdy był małym chłopcem, i madame Ezra przestała jej tego zabraniać.

- Powiedz mi, mój synu, co ci sprawi przyjemność? - zapytał z niepokojem Ezra, kładąc dużą, gorącą rękę na szczupłej dłoni syna.

Dawid skulił się, czując jej dotyk. Uważał, że ojciec jest zbyt niecierpliwy, wywiera na niego zbyt dużą presję, zanadto się przejmując i jest przesadnie wesoły. Nie miał jeszcze dość sił, by zmierzyć się z ojcowską miłością.

- Wiem, że muszę się ożenić - odrzekł Dawid.

- Wcale nie... Wcale nie - zaprzeczył Ezra, ale się zasępił.

- Owszem, muszę - powtórzył Dawid.

- Nie, jeśli nie kochasz córki Kunga - powiedział Ezra.

- Może jeszcze nikogo nie pokochałem... - Dawid uśmiechnął się blade.

Ezra poważnie się zaniepokoił. Usiadł i położył ręce na kolanach.

- Myślałem, że pisałeś dla niej wiersze! - wykrzyknął.

- Tak... ale... - wymamrotał Dawid.

- Przestałeś, zanim... - Ezra urwał, bo imię Lei nie chciało mu przejść przez gardło.

- Zanim umarła Lea? - dopowiedział za niego Dawid.

- Nie... Tak, zostawiłem niedokończony wiersz. Dlatego że spotkałem się z Leą... W ogrodzie brzoskwiniowym.

- Oplakujesz ją? - spytał Ezra.

Dawid zastanowił się, nim odpowiedział. Siedzieli w pokoju jego ojca, bo Ezra posłał po syna, żeby mu zakomunikować, że przygotowania do ślubu dobiegły końca.

- Nie - wyznał po chwili. - Nie oplakuję jej. Żałuję, że umarła... w taki sposób. Gdyby żyła...

Ezra czuł, jak jeżą mu się włosy na głowie, a nogi i ręce pokrywa gęsia skórka.

- Poślubiłbyś ją? - zapytał, kiedy milczenie Dawida się przeciągało.

Dawid wolno pokręcił głową. I poczuł, jak go boli szrama na czole.

- Nie - odrzekł, a potem powtórzył z większym przekonaniem: - Nie, ojcze, jestem tego pewien. Ale gdyby żyła Lea, poślubiłbym tę drugą z większą radością. Rozumiesz to?

Ezra otworzył usta, wpatrując się w swego syna, a po czym pokręcił głową. Nie pojmował tego.

- Biedny ojciec - przemówił czule Dawid. - Czemu ci sprawiam tyle trosk? Ożenię się, będę miał dzieci, nie przyniosę ci wstydu. Zaraz po ślubie znów zacznę pracować w kantorze i wszystko będzie tak, jak dawniej, a nawet lepiej...Znacznie lepiej.

Wstał, przywołał uśmiech na twarz, ukłonił się ojcu i wyszedł. Ezra jeszcze długo siedział bez ruchu, targany wątpliwościami, wzdychając, a potem udał się do kantoru. Przez cały dzień chodził z naburmuszoną miną i był w złym humorze.

Dawid natomiast nie mógł sobie znaleźć miejsca. Tak go irytowała Peonia, że dziewczyna w końcu zrezygnowała z prób zabawiania go i w milczeniu zajęła się szyciem. Zazwyczaj coś haftowała, ale dziś nie trzymała w ręku jedwabiu, a kawałek cienkiego białego płócienka w kształcie podeszwy.

Dawid patrzył, jak porusza drobnymi palcami, jak wbija w tkaninę igłę z nitką, i wreszcie zapytał, czym jest zajęta.

- Twoje stopy zrobiły się delikatne po leżeniu w łóżku - odparła spokojnie. - Wiem, że sprawiają ci ból skarpetki szyte przez szwaczki. Te mają płaski szew, żeby nic cię nie uwierało.

Nic na to nie odrzekł, ale dalej siedział beczynnie na swoim krześle i patrzył na nią.

- Mam się ożenić, Peonio - wyznał niespodziewanie.

Uniosła wzrok, by spojrzeć na niego, a potem znów skupiła uwagę na robótce.

- Wiem - szepnęła.

- Jesteś teraz ze mnie zadowolona? - zapytał.

- To nie ja powinnam być z tego zadowolona lub niezadowolona - zauważyła delikatnie.

- Musisz tutaj zostać, Peonio, jak do tej pory - ciągnął.

- Dziękuję - odparła, a po chwili dodała: - Paniczu.

Udał, że tego nie usłyszał.

- Przypuszczam, że pewnego dnia też zechcesz kogoś poślubić - powiedział gwałtownie.

- Kiedy tak będzie, poinformuję cię - oznajmiła.

Przez cały czas bardzo szybko poruszała palcami, wbijała igłę w tkaninę i przeciągała nitkę. Dobrze wiedziała, że nie myślał o niej. Pochłaniały go własne sprawy. Ale nie była przygotowana na to, co teraz usłyszała.

- Chcę zobaczyć, gdzie pochowano Leę - oświadczył.

Opuściła robótkę na kolana i popatrzyła na niego, doprowadzona do rozpacz.

- A dlaczego chcesz iść akurat dziś? - zapytała. - Łączenie śmierci z życiem przynosi pecha.

- Jeśli pójde tam i zobaczę jej grób, będę wiedział, że nie żyje - powiedział dziwnym tonem.

Peonia przyjrzała mu się z niepokojem.

- Przecież wiesz, że Lea nie żyje.

- Wciąż ją widzę - odparł.

Siedzieli w pokoju, w którym zginęła Lea, i Peonia o tym pamiętała, ale nie chciała mu tego przypominać. Uważała, że Dawid powinien zamieszkać w innej części domu, ale najpierw był zbyt chory, by go przenosić, a potem, kiedy mu to zaproponowała, kategorycznie się sprzeciwił, mówiąc, że to jego pokoje od lat dzieciństwa i najbardziej je lubi. Teraz Peonia postanowiła powiedzieć madame Ezra, że po ślubie Dawid musi się przenieść do innych komnat, wychodzących na większy dziedziniec, a te pomieszczenia należy zamknąć albo przeznaczyć dla gości.

Złożyła robótkę i schowała ją w szkatułce, wykładanej kością słoniową, w której trzymała swoje przybory krawieckie.

- Jeśli chcesz obejrzeć jej grób, pójde z tobą - oświadczyła.

- Teraz? - zapytał.

- Teraz - zgodziła się.

Tak więc tego samego dnia, pogodnego i bezwietrznego, Dawid pojechał dwukółką na cmentarz, na którym pochowano Leę. Było to zaciszne miejsce za murami miasta, nieopodal rzeki. Dobrze je znał, bo tutaj - wśród licznych Żydów zmarłych podczas stuleci zamieszkiwania w Kaifengu - spoczywali jego babka i dziadek oraz starsi przodkowie. Mogiły były wysokie, jak mogiły Chińczyków, ale nagrobki małe.

Peonia zaprowadziła go na grób Lei, bo wiedziała, gdzie pochowano dziewczynę. Nie była na pogrzebie, została w domu z Dawidem, ale Matka Wang powiedziała jej, że grób Lei jest we wschodniej części cmentarza, zaraz obok grobu matki.

Dawid usiadł na płaszczu, który Peonia rozpostarła na trawie. Nic nie zakłócało panującej tu ciszy. Wokół nich wznosiły się okazałe grobowce, ale Dawid patrzył tylko na mogiłę Lei. Ziemia jeszcze nie zdążyła osiąść, ale darń, którą ją obłożono, już się mocno zakorzeniła. W trawie kwitło kilka dzikich, jasnofioletowych astrów.

- Nie czuję jej tutaj - powiedział w pewnym momencie Dawid.

- Jest tutaj - odparła z mocą Peonia.

- Wierzysz w duchy? - spytał ją.

- Nie myślę o duchach - odrzekła. Stała obok niego, ale teraz się pochyliła i dotknęła dłonią jego policzka. - Jest ci chłodno?

Pokręcił głową.

- Zostaw mnie na chwilę samego - polecił jej.

- Nie - sprzeciwiła się. - Moim obowiązkiem jest być z tobą, bo inaczej będą mieć do mnie pretensje o każdą chorobę, na jaką zapadniesz.

I niewzruszenie stała obok niego, mała, wyprostowana, z twarzą zwróconą w kierunku grobu. Ale spoglądała dalej.

Nad niskim murkiem widziała pola i wioski, za nimi płaską, jasną powierzchnię rzeki i żagiel, zwisający z masztu łodzi. Nie miała pojęcia, co się dzieje w umyśle Dawida, ale wiedziała, że nie odda go we władanie duszy Lei. Głęboko wierzyła w duchy i w to, że dusze zmarłych zawsze czepiają się żywych. Całą siłą swego jestestwa opierała się teraz duszy Lei.

Zostań w grobie, mówiła bezgłośnie, przeciwstawiając swoją wolę woli Lei. Straciłaś go i już więcej nie będziesz go krzywdziła.

Starła się nie wspominać Lei i niczego, co się łączyło z córką rabina. W końcu Dawid westchnął i wstał z ziemi.

- Nie żyje - oświadczył ze smutkiem.

- Pozwól, że założę ci płaszcz - powiedziała Peonia. - Jesteś przemarznięty.

Przeszedł go dreszcz.

- Zimno mi... Wracajmy do domu.

- Dobrze... Dobrze - zgodziła się. A kiedy zajechali nierówną, brukowaną drogą przed bramę, Peonia szybko zaprowadziła Dawida do jego komnat, gdzie kazała mu się położyć do łóżka. Przyniosła rozgrzany kamień, który wsunęła pod kołdrę, i gorący bulion do picia, i siedziała przy Dawidzie, póki nie usnął. Potem poszła do madame Ezra i opowiedziała jej o wszystkim. Madame Ezra słuchała, utkwivszy swoje ciemne, smutne oczy w twarzy Peonii. Dziewczyna spodziewała się ostrej reprimendy. Ale madame Ezra nie pogniewała się na nią. Wysłuchała jej, westchnęła, po czym rzekła cicho:

- Teraz, kiedy zobaczył grób, zapomni o przeszłości i przygotuje się do tego, co go czeka w przyszłości.

Peonia pierwszy raz w swoim życiu usłyszała takie słowa, padające z ust madame Ezra, dla której przeszłość zawsze była najważniejsza. Zrobiło jej się żal starszej pani i załapała ją falą miłości do niej.

- Pani... - przemówiła łagodnie. - Jestem pewna, że przyszłość przyniesie szczęście również tobie.

Madame Ezra pokręciła głową i dwie łzy potoczyły się po jej policzkach.

- Jeśli Bóg zechce - wymamrotała.

Peonia się ukloniła i nic nie powiedziała, ale kiedy już znalazła się w swoim łóżku, pomyślała, że bogowie mają mało do powiedzenia w kwestii szczęścia śmiertelników.

Dzień ślubu Dawida wstał bezchmurny i chłodny. Wybrano dzień niesąsiadujący z żadnym świętem, niewywołujący żadnych skojarzeń. Datę określił geomanta, zatrudniony przez Kunga. Był to pomyślny dzień, w którym horoskopy mężczyzny i kobiety spotykają się pod szczęśliwą gwiazdą.

A ponieważ Dawid był młody, ponieważ w pełni odzyskał siły i zdrowie, ponieważ jego serce drżało niecierpliwie i pragnęło znów żyć, obudził się wyraźnie przejęty, a nawet radosny.

Pozwolił, by stopniowo zawładnęła nim myśl, że dziś jego żoną zostanie śliczna dziewczyna. To było nieuchronne, mówił sobie.

Nawet gdyby jego matka chciała ujrzeć inną Żydówkę na miejscu Lei, brakowało odpowiedniej kandydatki. Wśród członków ich gminy przeważali biedacy; żadna rodzina nie dorównywała rodowi Ezry. Dawid wiedział, że matka, mimo całej swej zarliwości, jest zbyt rozsądna, by wprowadzić do domu synową, która ma wielu biednych i pazernych krewnych. Skoro nie Lea, to czemu nie śliczna Chinka, którą znał i mógł pokochać?

Takie refleksje sprawiły, że pęta krępujące serce Dawida się rozluźniły, i młodzieniec z zadowoleniem przyjął nadejście dnia swojego ślubu.

Peonia nie pamiętała go takiego rozkapryśzonego i upartego.

Wstał wcześniej, wykąpał się trzykrotnie, ostatni raz w perfumowanej wodzie. Narzekał na to, jak kręciły mu się włosy, więc musiała je wyszczotkować i wyprostować, smarując je wonnymi olejkami. Chciał, żeby cały jego strój był nowy i żeby bieliznę uszyto z żółtego jedwabiu. Teraz oświadczył, że woli kolor bładozielony. Żółty, oznajmił, zbyttnio podkreśla jego smagłą cerę.

W końcu Peonia straciła cierpliwość.

- Przecież sam wybrałeś żółty kolor! - wykrzyknęła.

- Powinnaś była mi to wyperswadować - odparł wielce urażony.

- Opanuj się - poprosiła go. - Nie ma czasu na uszycie nowej bielizny.

A zatem ubrał się na żółto i nawet był z tego rad, bo żółty dobrze pasował do niebieskiej wierzchniej szaty. Na koszulę z niebieskiego, haftowanego atłasu włożył czarny

aksamitny bezrękawnik, zapinany z przodu na nefrytowe guzy. żeby nie narażać swojej małej oblubienicy na dodatkowy stres, Dawid zdecydował się tego dnia wystąpić w kompletnym chińskim stroju - dlatego na głowę włożył okrągłą czapkę z czarnego atłasu, zwieńczoną okrągłym czerwonym guzikiem.

Kiedy był gotów, stanął przed Peonią, by mu się uważnie przyjrzała. Gdy go zobaczyła, wysokiego i uśmiechniętego, z dumnie podniesioną głową, do oczu napłynęły jej łzy.

Szybko do niej podszedł i objął ją ramieniem.

- Peonio! - zawołał cicho. - Dlaczego płaczesz?

Na chwilę przywarła do niego policzkiem. Potem się roześmiała i oswobodziła z jego objęć.

- Jesteś zbyt urodziwy! - oświadczyła. I udała, że jest bardzo zajęta. - Pozwól, że ci poprawię kołnierz. Czy wtarłeś piżmo w dłonie, jak ci kazałam? Dawidzie, będziesz bardzo szczęśliwy... Wiem to... Czuję to moim sercem!

- A czy ty jesteś szczęśliwa? - zapytał z troską.

Wtedy spoważniała, ujęła jego rękę i dotknęła nią swego policzka.

- Jestem szczęśliwa - powiedziała cicho. - Teraz wiem, że będę mieszkała w tym domu zawsze... Do samej śmierci.

Wypowiedziawszy te słowa, umknęła szybko jak jaskółka. Ale Dawid zastanowił się nad tym, co usłyszał. Czy rzeczywiście tak go kochała? Kiedy o niej myślał, ogarniała go czułość. Peonia nigdy niczego nie będzie od niego wymagała. Będzie żyła obok, szczęśliwa, zadowolona z tego, co jej przyniesie los, nie prosząc o nic, do czego nie miała prawa jako niewolnica. Postanowił, że będzie się o nią troszczył i zatrzyma ją przy sobie do końca życia. Niezupełnie jak siostrę, ale jak kogoś więcej niż tylko służącą. Będzie dla niej dobry.

Teraz pojawili się ojciec i matka. Zobaczył ich, odświętnie ubranych, jak razem przechodzą przez bramę. Też sprawili sobie nowe stroje: Ezry był z brązowego atłasu, a jego żony - koloru fioletowych winogron, ze złotym obszyciem.

Ezra nie włożył jarmułki, madame Ezra niczym nie nakryła swoich siwych włosów. Zbliźali się równym krokiem, w milczeniu. Wszedł im naprzeciw i się uklonił. Zauważył, że matka płakała, bo oczy miała podpuchnięte, usta wciąż jej drżały. Nie odezwała się. A Ezra powiedział to, co należało powiedzieć:

- Jesteś zadowolony, mój synu?

- Bardzo - odparł z mocą Dawid.

Uklonił się, oni uklonili się jemu, a następnie podążył z nimi do sali głównej, by tam oczekiwać gości.

Matka Wang i Peonia też czekały na pannę młodą. Służące i posługaczki szeptały, zerkając zza każdego węgła. Wszyscy byli bardzo przejęci. Czy oblubienica jest ładna i będzie dla nich dobra? Chodziły plotki, że to najśliczniejsza dziewczyna w mieście, ale zawsze krążyły takie plotki przed pojawieniem się panny młodej.

Punktualnie w samo południe przed bramą zatrzymał się palankin, którym podróżowała oblubienica, a tuż za nim stanęła mniejsza lektyka z Matką Chu. Dalej ustawiły się liczne pojazdy, zaprzężone w muły, wiozące rodzinę panny młodej i służących. Lektyki wniesiono na dziedziniec, gdzie czekały Matka Wang i Peonia. Pierwsza wysiadła Matka Chu. Ale to Peonia rozsunęła zasłonki z czerwonego atłasu w palankinie panny młodej i podała ramię oblubienicy.

W powietrzu rozległy się westchnienia i okrzyki.

- Ach, jaka jest śliczna!

- Ach, to wszystko prawda!

- Spójrzcie na jej wielkie oczy!

- I jej małe stopki...

Nawet jeśli młoda dziewczyna coś słyszała, nie dała tego po sobie poznać. Wdzięcznie przekroczyła próg, jedną ręką wspierając się na Peonii, a drugą - na Matce Chu.

- Ostrożnie, panienko! - głośno powiedziała Matka Chu.

Uważała, że jest poniżej jej godności dostrzeganie innych służących. Poszła przodem, by wygładzić poduszkę na krześle przeznaczonym dla panny młodej, a także sprawdzić, czy jest wystarczająco miękka, po czym zawołała władczo:

- Gdzie herbata? Czy jest pierwszego gatunku? Panienska pija wyłącznie napar przyrządzony z listków zerwanych, nim opadnie rosa!

Ale Peonia o wszystko zadbała. Mała oblubienica usiadła, a po chwili, zaciekawiona, uniosła welon, bo w pomieszczeniu były same kobiety. Rozejrzała się wokoło swoimi dużymi, czarnymi oczami.

- Czy to będzie mój pokój? - zapytała piskliwym, słodkim głosem.

- Cicho! - skarciła ją Matka Chu i ściągnęła usta. - Pannom młodym nie wolno się odzywać... Tłumaczyłam ci to, ty niedobra dziewczyno!

- Właśnie, że będę mówiła - odrzekła uparta oblubienica.

- Zresztą powiedziałas, że nie wolno mi się odzywać tylko w obecności mężczyzn.

Wszystkie kobiety wybuchnęły śmiechem i ona też się roześmiała. Potem zobaczyła stojącą w pobliżu Peonię.

- Cieszę się, że mieszkasz w tym domu! - wykrzyknęła.

- Jesteś w moim wieku, prawda?

- Mam osiemnaście lat - odparła Peonia.

- Ja też - ucieszyła się panna młoda i klasnęła w dłonie, a wszystkie kobiety znów się roześmiały. Potem nachyliła się do Peonii. - Powiedz mi... Czyjego matka bardzo dziwnie się zachowuje?

Peonia pokręciła głową i uniosła rękę do ust, żeby ukryć uśmiech.

- Ale jest trochę dziwna? - dopytywała się Kueilan.

- Tak... Ale nie tak bardzo, jak kiedyś - uspokoiła ją Peonia.

Madame Ezra rzeczywiście ogromnie się zmieniła. Stała się bardziej milcząca i nie zawsze upierała się przy swoim.

Po śmierci Lei w niej też coś umarło. Wszyscy to widzieli, chociaż nie pojmowali, co to takiego było. Tylko Peonia to rozumiała.

Nagle rozległy się odgłosy kroków na dziedzińcu. Kobiety uniosły wzrok i zobaczyły Dawida. Od razu powstało zamieszanie, bo nie powinien się teraz pojawić.

Matka Chu krzyknęła zaniepokojona:

- Welon, moja mała!

Ale Kueilan nie sięgnęła ręką do welonu. Patrzyła na Dawida, a on przyglądał się jej. Wszystkie kobiety obecne w pokoju osłupiały, widząc, co się dzieje, i uznały to za cudzoziemski zwyczaj.

- Wiem, że robię coś, co może zostać uznane za niewłaściwe - bardzo łagodnie zwrócił się Dawid do Kueilan.

Otwarcie jej się przyglądał i sprawiało mu to ogromną przyjemność. Nie odpowiedziała mu, ale patrzyła na niego, jakby zapomniała, że powinna spuścić wzrok. Spoglądali na siebie, aż w końcu Kueilan rzuciła cicho:

- Nie sądzę, żeby to było niewłaściwe!

- W takim razie zgadzamy się ze sobą - podsumował Dawid i popatrzawszy na nią jeszcze dłuższą chwilę, ukłonił się i wyszedł.

Po jego wyjściu Kueilan uśmiechała się jak mała bogini, nie słysząc ani strofującej ją Matki Chu, ani stłumionego śmiechu, wypełniającego komnatę. Pozwoliła Matce Chu zasłonić sobie twarz welonem i siedziała z jasnym wzrokiem, skromnie uśmiechnięta.

Ale Matka Chu nadal ją strofowała, po czym stwierdziła zaniepokojona:

- Niedobrze, kiedy mąż wcześniej zobaczy swoją żonę. To przynosi pecha.

Nikt nie zwracał na nią uwagi, bo Peonia właśnie postanowiła przyspieszyć ceremonię zaślubin.

- Pozwól, że cię zaprowadzę do sali głównej - powiedziała do panny młodej.

Mała postać w sztywnych, haftowanych szatach ze szkarłatnego atłasu wstała i oparła się na ramieniu Peonii, a Matka Chu stanęła z drugiej strony. Pozostałe kobiety ruszyły za nimi.

W sali głównej Kung Chen czekał z żoną i synami u swego boku. W drugim końcu komnaty stali samotnie Ezra, madame Ezra i Kao Lien. Rozważano, czy zaprosić rabina, ale kiedy dziś rano Ezra poszedł odwiedzić staruszka, mieszkającego w jego domu, stwierdził, że rabin jest taki rozkojarzony i zdezorientowany, że bał się go pokazywać gościom. Polecił Staremu Eliemu, którego sprowadzono w charakterze opiekuna, by miał na niego baczenie. Jeśli chodzi o Arona, nikt nic jeszcze o nim nie słyszał.

Rodzinie Kunga nie brakowało towarzystwa ani rabina, ani jego syna. Przyglądali się, jak wchodzi Kueilan, a każdy czuł co innego na jej widok, co całkiem zrozumiałe. Bracia, szczególnie młodszy, mieli wątpliwości. Najstarszego z nich cechowały rozważa w interesach i poczucie dumy narodowej, tak jak jego ojca. Dzięki Kueilan rodzina Ezry przestanie być w pełni cudzoziemska, a ponieważ Ezrę znano z jego dobroci, a poza tym był bardzo bogaty, to mu wystarczało. Madame Kung była pogodna. Nigdy zbytnio się niczym nie przejmowała ani zbytnio nie zaprzętała sobie głowy takimi sprawami; widząc, że jej córka wygląda, jak należy, uznała, że małżeństwo z tym cudzoziemcem jest wystarczająco dobre dla trzeciej córki, chociaż w duchu się cieszyła, że dwie starsze zostały wydane za bogatych Chińczyków. Powstrzymała ziewnięcie... Spoglądając na madame Ezra, współczuła jej, że jest taka wysoka i ma taki wydatny nos.

Tylko Kung Chen odczuwał miłość, niepokój i troskę ojcowską. Jego trzecia córeczka! Kiedy dorastała w jego domu, nie zwracał na nią większej uwagi niż na pozostałe córki. Ale gdy teraz wolnymi, małymi kroczkami weszła do sali, przypomniał sobie, jakie było z niej różowutkie i roześmiane niemowlę, które rzadko kiedy płakało, albo jakie miała napady złości, gdy zaczęła chodzić; tupała nóżkami i zaciskała rączki w pięści, a on zawsze się z tego śmiał, aż mijał jej gniew.

Przypomniał sobie, jak raz wpadła do stawu z rybkami, jak ją wyciągnął i pozwolił jej płakać, tuląc ją w ramionach, cały mokry od ociekającego wodą ubrania. Dał jej kandyzowane rajskie jabłuszko na patyku, by się rozchmurzyła, gdy przyszła do niego, przebrana w suche ubranko.

- Jak to się stało, że znalazłaś się w moim stawie z rybkami? - zapytał ją, śmiejąc się.

- Ryby mnie wciągnęły - oświadczyła, czym go bardzo rozbawiła.

Mała, droga istotka o umyśle motyla i duszy kotki, ale o pięknej, szczupłej figurze. Miał nadzieję, że jej młody mąż okaże się dobry i cierpliwy. Zerkał na niego ukradkiem. Dawid stał, nie patrząc teraz na pannę młodą, zgodnie z obowiązującym zwyczajem, i Kung Chen uważnie przyjrzał się młodzieńcowi. Przystojny, pełen życia, inteligentny... I być może bardzo dobry, doszedł do wniosku Kung Chen. Po chwili westchnął.

Oby temu młodzieńcowi nie znudziły się motylki i kotki!

Wrócił myślami do dnia swojego ślubu, kiedy był tak szczęśliwy i pełen nadziei. Z upływem lat doznawał kolejnych rozczarowań. Ale miał dzieci i nauczył się rozumieć, że życie składa się nie tylko z miłości. Może wystarczy, kiedy mężczyzna jest dobry, a kobieta ładna.

Teraz Kao Lien wystąpił do przodu. Ponieważ był przyjacielem obu rodzin, jemu przypadła rola mistrza ceremonii ślubnej. Wydawał polecenia młodej parze. Posłusznie pokłonili się rodzicom, a następnie spuścili głowy przed napisem na ścianie, który w tym domu zajmował miejsce należne tablicom przodków. Potem napili się wina z jednego kieliszka i przełamali bochenkiem chleba. Zaślubiny zawierały elementy obu kultur i nie miały podobnych sobie.

Trwały krótko. Później pannę młodą posadzono na miejscu, z którego każdy ją widział i mógł wypowiadać uwagi na jej temat, ale jej nie wolno było unieść wzroku, odezwać się ani okazać choćby cienia zainteresowania. Dawid też nie powinien zwracać na nią uwagi, lecz ukradkiem na nią spoglądał i krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach. Stwierdził, że jego żona jest naprawdę prześliczna. Za welonem z paciorków na sznureczkach dostrzegał jej delikatną twarzyczkę i czerwone usta.

Było mu jej żal, że musi siedzieć tak długo w ciężkim nakryciu głowy ze złotymi i srebrnymi ozdobami. Obiecał sobie, że dziś wieczorem, kiedy go jej zdejmie, spyta, czy boli ją głowa, i ukoji jej ból. Ale gdy inni zauważyli jego spojrzenia i zaczęli sobie stroić żarty, że jest taki niecierpliwy, nie miał odwagi dłużej się jej przyglądać. Pozwolił się wyprowadzić z sali, by pić wino i zająć się wyszukanymi przysmakami.

Bramy otwarto na oścież i każdy, kto chciał, mógł wejść i się posilić przy stołach, które ustawiono na wszystkich dziedzińcach. Przybyły setki gości, wszyscy jedli łączywie i głośno dziękowali. Ezra zobaczył wielkie misy wieprzowiny między rybami, wołowiną i drobiem, ale nic nie powiedział. Przygotowano też baraninę dla mahometan; niech każdy je to, na co mu pozwala jego religia, pomyślał sobie.

I tak przy jedzeniu, muzyce i zabawie mijały godziny uroczystości ślubnych. Kung Chen i Ezra raz po raz wznosili winem toasty za swoich przyszłych wnuków, a madame Ezra zaprosiła do siebie madame Kung. Obie kobiety spotkały się dziś po raz pierwszy, obie uznały jedna drugą za dziwną i trudną partnerkę do rozmowy, jednak obie dokładały starań, by nic nie zakłóciło przebiegu uroczystości. Madame Kung uważała, że madame Ezra jest zbyt stanowcza jak na kobietę, i miała tylko nadzieję, że ta cudzoziemka nie ma zbyt wybuchowej natury. Ale przyznała, że madame Ezra bardzo się stara być dla niej miła. I chociaż dzień był uciążliwy dla obu kobiet, jakoś go przetrwały.

Kiedy nadszedł wieczór i młodą parę odprowadzono do drzwi sypialni, goście się pożegnali i w domu znów zrobiło się cicho. Służący byli zmęczeni i objedzeni, więc szybko usnęli.

Matka Wang raz czy dwa jęknęła na swoim łóżku. Na pytanie Starego Wanga, czy coś jej dokucza, odpowiedziała:

- Tylko ból brzucha. Zjadłam trzy razy więcej, niż powinnam karpia na słodko-kwaśno.

- Jeśli o mnie chodzi, jadłem do woli i niech tylko mój brzuch odważy się mieć coś przeciwko temu - odparł Stary Wang.

- Och, niewątpliwie jesteś cudowny - z goryczą stwierdziła Matka Wang. Ale Stary Wang jej nie usłyszał, bo już zasnął.

W pokoju Peonii było bardzo cicho. Wcześniej opuściła towarzystwo i poszła do komnaty małżonków. Już wszystko przygotowała w najdrobniejszych szczegółach: w wazonach stały kwiaty, w lichtarzach były nowe świece, na stoliku czekały srebrne fajki wodne, półmisek z ciasteczkami, gorąca herbata, talerz późnojesiennych, różowożółtych brzoskwiń.

Skropiła kotary łóżka piżmem i położyła aksamitną matę na taborecie obok wysokiego łóża. Teraz, kiedy już nic więcej nie przychodziło jej do głowy, zapaliła świece i stała, rozglądając się dookoła. Nie odczuwała żalu. Wiedziała, jaki jest jej los, co jej sądzone w życiu, i była wdzięczna, że trafiła do tego domu, że będzie mogła codziennie bywać w tym pokoju, nawet jeśli tylko jako służąca.

Po jej wyjściu ciszę w sypialni na krótko zakłóciła Matka Chu, która sapiąc z niepokoju, wprowadziła do komnaty pannę młodą. Ale nie wypadało jej zostać, bo już nadchodził pan młody.

- Usiądź, moja mała - szepnęła do oblubienicy. - Kiedy wejdzie mąż, nie patrz na niego. Pozwól mu unieść welon, ale nie patrz na niego. Dopiero wtedy wolno ci podnieść

głowę, kiedy poprosi, żebyś na niego spojrziała, albo ujmie cię ręką pod brodę, albo jeśli będzie stał wyczekująco... Zrób to tak, jak cię uczyłam. Wzrok masz unieść na samym końcu, i bardzo wolno, moja mała. Och, bogowie w niebiosach, pomóżcie memu maleństwu!

Matka Chu zaczęła łkać i ocierać oczy rękawem. Ale panna młoda nie życzyła sobie takich scen. Tupnęła nogą i popchnęła starą piastunkę.

- Idź sobie, głupia - rzuciła ostro i Matce Chu natychmiast wyschły łzy, a razem z nimi ulotnił się żal.

- Ty niegrzeczna dziewczyno! - wymamrotała pod nosem. - Mam nadzieję, że twojemu mężowi starczy sił, by ci sprawić lanie. - Wzniosła oczy do góry, zasnurowała usta i szybko wyszła.

W pokoju panowała cisza, kiedy zjawił się w nim Dawid.

Zaczekał, aż przebrzmi ostatnia salwa śmiechu, dobiegająca zza zamkniętych drzwi. Dopiero wtedy zwrócił się w stronę swojej małej oblubienicy. Siedziała na łóżku między rozchylonymi kotarami, nogi oparła na taborecie, ręce złożyła na piersiach, jej twarz wciąż zasłaniał welon. Dawid wolno i w milczeniu przeszedł przez pokój, zdjął jej nakrycie głowy i odłożył je na stół.

Stanął przed nią z wahaniem, serce szybko mu waliło.

- Tak... Trochę - odrzekła cichym, słodkim głosem.

Dawid nie poruszył się, a ona czekała ze wzrokiem wbitym w podłogę. Teraz, kiedy została sama, ogarnął ją strach i zachowywała się tak, jak jej nakazała Matka Chu. Ale jeśli Dawid jej nie dotknie ani jej nie poprosi, by na niego spojrziała, czy będzie miała dość odwagi, by unieść głowę? I w którym momencie powinna spojrzeć na niego, kiedy podniesie głowę?

Zanim zdążyła sobie odpowiedzieć na te pytania, pochylił się i ujął jej twarz w obie ręce.

- Nie rozmawiajmy dziś w nocy - powiedział. - Będziemy mieli czas na rozmowy jutro... I przez wszystkie kolejne dni.

- Tak - wymamrotała.

Poczuł pod swoimi dłońmi jej rozpalone policzki.

- Będziemy szczęśliwi - szepnął.

- Będziemy szczęśliwi - powtórzyła za nim jak echo.

Do północy w domu panowała niczym niezmacona cisza.

Wtedy to Ezrę obudził czyjś płacz. Tyle zjadł i wypił, że jak tylko przyłożył głowę do poduszki, zapadł w głęboki sen.

Teraz wydawało mu się, że ze stanu błogości wyrывa go czyjaś pełna udręki, bolesna skarga. Obudził się i przez chwilę leżał, nie oprzytomniawszy do końca. Po minucie zrozumiał, co mu zakłóciło sen. Naomi płakała! Przez wzgląd na nią postanowił tę noc spędzić blisko niej. Wygramolił się z pościeli i poszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie spała jego żona. W ciemnościach rozlegały się jej ciche łkania.

- Naomi! - wykrzyknął, szukając po omacku łóżka. - Co się stało?

Nie odpowiedziała mu, tylko dalej szlochała. Podeszedł do stołu i zapalił świeczkę. Jej płomień padł na zapłakaną twarz Naomi. Ezra nie mógł uwierzyć, że była to ta sama urodziwa kobieta, która tak dzielnie się spisała na ślubie ich syna.

- Naomi, jesteś chora? - zawołał.

- Nie - jęknęła. - Nie... ale... Myślę o tym... O tym wszystkim, co się skończyło! Och, wolałabym nie żyć! Ty też wolałbyś, żebym nie żyła, Ezra... Wiem! Chcesz o wszystkim zapomnieć.

Usiadł na łóżku obok niej, ujął jej dłoń i zaczął ją delikatnie gładzić. Wiedział, że to dopiero pierwsza noc z wielu, kiedy będzie musiał cierpliwie siedzieć obok żony, czekając, aż jej minie rozżalenie.

- No, Naomi - powiedział sennie. - Wiesz, że będziemy szczęśliwi. Dawid będzie miał dzieci... Pomyśl o tym domu, pełnym naszych wnuków.

Odwróciła twarz, nie dopuszczając do siebie słów pocieszenia.

- Zawsze sobie przysięgałam, że... kiedy umrę... zostanę pochowana w naszej Ziemi Obiecanej.

- A więc to dlatego płaczesz! - wykrzyknął Ezra. Potem przypomniał sobie, że ma być cierpliwy i wyrozumiały. - Droga żono, mogę ci coś przyrzec. Jeśli chcesz, po twojej śmierci zabierzemy twoje ciało do Ziemi Obiecanej. Jakoś to zorganizuję.

Naomi przez chwilę leżała cicho.

- Ale czy zostaniesz tam ze mną? - zapytała.

- Ach, Naomi, chcesz, żeby wszystko było zgodnie z twoim życzeniem, a mnie odmawiasz prawa postępowania zgodnie z moją wolą! Nie, droga duszko, wrócę do domu sam i tutaj umrę, i każę się pochować... Tu, gdzie spoczywają moi ojcowie i gdzie żyje mój syn.

Madame Ezra znów zaczęła płakać.

- Ależ, Ezro, przecież jesteś Żydem!

- Właśnie dlatego - odparł z mocą. - Tutaj nawet-ziemia jest dla nas łaskawa.

I dalej z miłością i cierpliwie gładził jej dłoń.

Najgłębsza cisza panowała w pokoju Peonii. Dziewczyna wiedziała, kładąc się do łóżka, że nie uśnie. W ciągu tej nocy poślubnej nie zmruży oka, jej dusza będzie w tamtej komnacie krążyła nad Dawidem. Ale przygotowała się do snu, jak zwykle: wzięła kąpiel, wyperfumowała ciało, umyła zęby, wyszczotkowała włosy i włożyła świeżą bieliznę nocną. Przez cały dzień nic nie jadła, udając, że jest zbyt zajęta. Teraz, z głową na atlasowej poduszce, roztrząsała po kolei każdy szczegół. Nie przypominała sobie, by cokolwiek poszło nie tak, jak należy, i bez cienia fałszywej skromności uważała to za swoją zasługę.

Każde danie było gorące albo zimne jak należy, wina miały odpowiednią temperaturę, ani o stopień wyższą. Srebrne i cynowe naczynia lśniły, kość słoniowa była wypolerowana, podłoga wyszorowana, nawet za drzwiami nie było kurzu. Gdy tylko spostrzegła, że panna młoda jest zmęczona, potajemnie przyniosła jej miseczkę gorącej zupy z ryżem i postarała się, żeby nikt nie zobaczył, jak Kueilan je. Peonia wiedziała jedno: że jej szczęście zależy od tego, czy uda jej się zjednać serce żony Dawida. Jej nowa pani musi się nauczyć ją kochać i polegać na niej. A co więcej, Peonia musi cały czas czuwać i dbać o to, by małżonkowie nigdy się nie rozstali. Żadnym słowem ani uczynkiem nie wolno jej ich rozdzielić, bo od ich szczęścia zależało jej bezpieczeństwo. Od ich szczęścia i od tego, by uznali ją za kogoś, bez kogo nie potrafią się obejść.

Bo Peonia była zbyt mądra, by nie widzieć wyraźnie, co może przynieść przyszłość. Znała możliwości kobiety, jak wysoko mierzy, i znała Dawida jak swoje pięć palców. Tych dwoje będzie jej często potrzebowało, by naprawiała materię ich małżeństwa, ale ona nigdy nie może się przed nimi zdradzić, że zna ich potrzeby.

I tak leżała, rozmyślając, a godziny mijały. Starła się nie widzieć oczami duszy, jak w innym pokoju konsumowane jest małżeństwo. Obiecała sobie, że nie będzie się przejmowała tą nocą. Tą ani wieloma, które nadejdą. Musi mieć na względzie nie jeden czyn ani też wiele czynów, ale całość, życie ich wszystkich w powiązaniu z życiem tego, który był jej najdroższy.

Mogła sobie to powtarzać przez wiele godzin, kiedy leżała, wpatrzona w ciemności. Potem usłyszała pianie koguta. Noc minęła, wkrótce nastanie świt. Westchnęła. Łzy wzbierały jej pod powiekami i spływały do gardła, ale postanowiła, że się nie rozpłacze.

Już po wszystkim, powiedziała sobie. Teraz mogę zasnąć.

Dom Ezry cicho budził się, by rozpocząć nowe życie.

Na zewnątrz wszystko zostało po staremu. Madame Ezra mogła płakać nocami, ale kiedy przychodził ranek, znów była taka, jak dawniej, tyle że znacznie rzadziej traciła panowanie nad sobą i nie mówiła tak szybko, jak kiedyś. W stosunku do synowej była

uprzedzająco miła i grzeczna, więc młoda kobieta nie narzekała na swoją teściową. Okazało się to dla niej przyjemną niespodzianką, bo Kueilan bała się madame Ezra.

Wszystkie młode żony czują lęk przed starszymi kobietami, które są matkami ich mężów, ale Kueilan bała się bardziej od nich. Była leniwą, kochającą wygody istotką, przyzwyczajoną do tego, że jej usługiwano i ją rozpieszczano, i nie zamierzała poddać się dyscyplinie ani wziąć na siebie żadnych obowiązków. Ale madame Ezra niczego od niej nie wymagała i właściwie zachowywała się tak, jakby Kueilan nie mieszkała w ich domu. Kiedy się spotykały, madame Ezra pytała Kueilan, czy jest zadowolona, czy wszystko jej odpowiada, a Kueilan uśmiechała się i spuszczać wzrok, mówiła, że wszystko jest jak należy. Gdy się przekonała, że madame Ezra nie zdradza ochoty dyrygowania nią, kamień spadł jej z serca i w miarę upływu czasu stała się tak zuchwała i beztroska, jak wcześniej w domu rodzinnym.

Początkowo Peonia nie mogła uwierzyć, że w domu nic się nie zmieniło po ślubie Dawida. Potem z każdym dniem nabierała przekonania, że się myliła, ponieważ starsi zachowywali się tak samo, a Dawid też był taki, jak dawniej. Bo Dawid żył teraz tak, jak niegdyś. Już nie wrócił do rozmowy, którą odłożył w dniu swojego ślubu. Nie potrzebował dużo czasu, żeby się zorientować, że jego śliczna żona nie potrafi rozmawiać o niczym poza swymi codziennymi potrzebami i życzeniami. Ale była zawsze skora do śmiechu i знаła wiele rozrywek. Ich najszcześniejsze, wspólnie spędzane godziny mijały im na grach, których go nauczyła, dużo się przy tym śmiejąc. Kiedy wygrywała, przejęta jak dziecko klaskała w dłonie i biegała po pokoju na swoich małych, krępowanych stopkach. Dawid z przykrością patrzył na te jej nóżki. Nigdy przedtem nie zetknął się z tym chińskim zwyczajem, bo w jego żydowskim domu nie obwiązywano Peonii stóp. Małe stopki Kueilan w jedwabnych bucikach mógł ująć w jedną dłoń i pewnej nocy zrobił to. Był wstrząśnięty.

- Moje małeństwo - przemówił czule, bo tak teraz zwracał się do swojej żony. - Jak mogłaś im pozwolić, żeby cię tak okaleczyli?

Ku jego zdumieniu zaczęła płakać, na poły ze złości, na poły w odpowiedzi na jego litość. Zabrała stopy i ukryła je pod spódnicą.

- Nie podobają ci się! - płakała.

- Jest mi przykro, kiedy je widzę - odparł łagodnie. - Jakże musiały cię boleć!

- Już mnie nie bolą - oświadczyła.

- Czemu nie przestaniesz ich krępować? - zapytał.

- Nie chcę, żeby urosły - rzuciła rozdrażniona. - Dlaczego mam zmarnować wszystkie swoje wysiłki?

- Pozwól mi zobaczyć, co się da zrobić - błagał, domyślając się, że jego żona kieruje się dumą i nieśmiałością.

- Nie... Nie... Nie! - wykrzyknęła. A potem znów zaczęła szlochać i głośno przywoływać Peonię, która szybko nadbiegła.

Na jej widok Kueilan wyciągnęła ręce, a łzy leciały jej po twarzy.

- Chce zobaczyć moje stopy! - szlochała i Peonia musiała usiąść na łóżku obok niej, głaskać ją po rękach i przykryć jej nogi jedwabną kołdrą.

- Ciii... ciii... Nie miał nic złego na myśli - pocieszała Peonia płaczącą dziewczynę.

Dawid stał przy łóżku i patrzył na nie.

- Powiedz, że pragnę jej tylko pomóc - zwrócił się do Peonii. - Ale to prawda, że nie chcę, by dalej krępowano jej stopy.

I wyszedł z pokoju, a Kueilan przytuliła się do Peonii i głośno płakała, na co Peonia jej pozwoliła. Kiedy szloch zaczął cichnąć, powiedziała delikatnie, ale zdecydowanie:

- Wy tłumaczę młodemu panu, dlaczego Chińczycy krępują stopy kobietom. Nie można mieć do niego pretensji, że o tym nie wie. Żydzi pozwalają stopom swobodnie rosnać. Ich kobiety nawet noszą sandały na gołe nogi.

- Jak chłopki! - krzyknęła Kueilan przez łzy.

- Czasami te sandały są zrobione ze złota lub srebra i wysadzone drogimi kamieniami - ciągnęła Peonia. - A teraz przestań płakać, młoda pani. Pan jest dobry i pobłażliwy. Kiedy zrozumie...

- Tylu rzeczy nie rozumie! - jęknęła młoda żona.

. Peonia była wzorem cierpliwości.

- Za każdym razem, gdy czegoś nie rozumie, poślij po mnie, młoda pani. Wyjaśnię mu, co czujesz.

I tak łagodną perswazją starała się wpłynąć na Kueilan, a kiedy ta się uspokoiła, Peonia powiedziała:

- Najważniejszym zadaniem żony jest sprawianie przyjemności mężowi, młoda pani. Czy poza nim będzie cię oglądał jakiś inny mężczyzna? Pozwól, że zajmę się twoimi stopami, młoda pani. Codziennie będę tak nieznacznie luzowała bandażę, że nawet sama nie zauważysz różnicy, a on będzie zadowolony, gdy zobaczy, że jesteś mu posłuszna. A kiedy on będzie zadowolony, ty będziesz bardzo szczęśliwa!

Kueilan nadal miała wątpliwości. Uniosła oczy, wciąż mokre od łez, i spojrzała na Peonię.

- Jestem całkiem szczęśliwa - oświadczyła.

- Przestanieś być szczęśliwa, młoda pani, jeśli nie będziesz sprawiała przyjemności mężowi - upierała się Peonia.

Kueilan opuściła powieki i rzekła cicho:

- Mam pięćdziesiąt par nowych bucików... Są takie śliczne!

Peonia się roześmiała.

- Pani, jeśli tylko o to ci chodzi, skopiuję każdą parę, jaką masz, tylko w większym rozmiarze, żeby pasowała na twoje nowe stopy.

Kueilan milczała.

- Czy mam powiedzieć o tym młodemu panu? - spytała w końcu Peonia, uśmiechając się jak do dziecka.

Po długiej chwili Kueilan wolno skinęła głową i do oczu ponownie napłynęły jej łzy. Ale z jej ust nie padło ani słowo skargi, kiedy Peonia przyniosła miskę gorącej wody, zdjęła jej małe sznurowane buciki, następnie ciasne białe pończoszki, a na koniec odwinęła długie bandaże. Nawet Peonii zrobiło się przykro, gdy zobaczyła obnażone, wąskie stopy Kueilan.

Uważnie obejrzała każdą z osobna, żeby się przekonać, ile szkód im wyrządzono. Matka Chu, pełna jak najlepszych chęci, pragnąc, żeby jej podopieczna dobrze wyszła za mąż, wcześniej zaczęła krępować stopy dziewczynce. Kości były zdeformowane, a mięśnie przykurczone. Na szczęście nie było żadnych złamań. Te stopy już nigdy nie będą normalne, ale przynajmniej mogą być swobodne. Trzeba jednak zachować ostrożność, stopniowo przestać je bandażować, bo inaczej ból stanie się równie dokuczliwy, jak podczas krępowania.

- Cieszę się, że nie ma tutaj Matki Chu - oznajmiła niespodziewanie Kueilan. Matce Chu nie pozwolono zostać ze swoją podopieczną, żeby nie dochodziło do kłótni między nią a resztą służby. Kung Chen polecił jej, by wróciła i zaopiekowała się Liii, jego najmłodszą córką.

- Ja też się cieszę - przyznała Peonia. - Gdyby tutaj mieszkała, naprawdę byłoby jej trudno patrzeć, jak niweczymy to, w co włożyła tyle trudu. Kiedy przyjdzie do ciebie z wizytą, młoda pani, powiedz jej, że takie było polecenie młodego pana.

Peonia - wymoczyła stopy swojej młodej pani i znów je owinęła bandażami, ale nie tak mocno, a potem zagrała z nią w jedną z gier. Kiedy spostrzegła, że Kueilan ziewa, nakłoniła ją do krótkiej drzemki. Dopiero wtedy poszła odszukać Dawida. Ustąpił matce w sprawie, o której Peonia w tajemnicy przed nim rozmawiała z madame Ezra, i jeszcze przed ślubem przeprowadził się do nowych, obszerniejszych komnat. Teraz siedział zamyślony w bibliotece, wielkim pokoju o wysokim sklepieniu. Wzdłuż wszystkich ścian ciągnęły się

wąskie półki, na których stały książki. Był to jego ulubiony pokój, do którego Kueilan nigdy nie zaglądała. Umiała czytać - wiedział o tym - ale uważała, że oddawanie się lekturze książek to strata czasu. Bawić się, trąkotać, drażnić się z Małym Pieskiem, przyglądać się złotym rybkom, robić ogromne zamieszanie, kiedy udawała, że chce zabrać się do wyszywania, próbować różnych łakoci, ugryźć je raz i zostawić - to były jej zwykłe zajęcia. Już o tym wiedział, jednak nadal ulegał fascynacji jej urodą bez względu na to, co robiła.

Rozum mu mówił, że Kueilan ma dziecinny umysł, a jej dusza śpi, ale napawał się gładkością jej skóry, jej krągłościami, filigranową budową, wąską talią i delikatnymi nadgarstkami, uroczym karkiem, alabastrową szyją i piersiami, zapachem jej skóry i oddechu, niezwykłą gracją każdego ruchu. Wszystko to cenił sobie na swój sposób. Wzruszały go jej małe dłonie i krępowane stopki, zachwycał jej śmiech i uległość. Wiedział, że to nie miłość - bardzo szybko się przekonał, że to nie miłość! Ale było to coś słodkiego i sprawiającego mu przyjemność.

Właśnie o tym myślał, kiedy w drzwiach stanęła Peonia.

Zobaczyła, w jakim jest nastroju, i udała, że przyszła, by sprawdzić, czy nie wystygła herbata w imbryku.

- Muszę przynieść świeży napar... Ten jest zimny - powiedziała, jak mówiła każdego wieczoru.

Nic nie odrzekł.

Spojrzała na niego i oznajmiła.

- Moja mała pani prosi mnie, żebym ci wytłumaczyła, jak to się stało, że krępowano jej stopy.

- Wiem, że to chiński zwyczaj - odparł, nie unosząc wzroku.

- Głupi zwyczaj - dodała. - Nie mam pojęcia, skąd się wziął. Czytałam raz, że cesarz był oczarowany małymi stopkami swojej ukochanej. Inne kobiety, dowiedziawszy się o tym, zaczęły krępować sobie stopy. Słyszałam też, że zaczęło się to dawno temu, kiedy mężczyźni chcieli zatrzymać kobiety w domu. Kto wie, jak było naprawdę? Ale jest teraz taki zwyczaj i małe stopki podnoszą wartość dziewczyny. Nie możemy winić młodej pani za to, że uległa starszemu.

- Nie winie jej - odparł.

- Prosi mnie, żebym ci przekazała - mówiła dalej Peonia - że przykro jej, że płakała, i że pozwoli mi codziennie słabiej obwiązywać sobie stopy, aż w końcu będzie można je przestać krępować.

Dopiero teraz uniósł wzrok.

- Peonio, to twoja zasługa, nie jej.

- Ale się zgodziła - powiedziała Peonia i odwróciła wzrok.

- Ach, Peonio! - wyszeptał Dawid. - Ach, Peonio!

Czuł się dziwnie samotny, więc wyciągnął rękę i ujął dłoń Peonii. Pozwoliła, by trzymał ją przez chwilę. Potem odwróciła głowę i dostrzegła jego serdeczne spojrzenie. Delikatnie zabrała rękę, a drugą sięgnęła po imbryk.

- Przyniosę gorącą herbatę - powiedziała słodkim, opanowanym głosem i wyszła.

Oczekując jej powrotu, zastanawiał się, dlaczego nie jest taki szczęśliwy, jakby tego chciał. Peonia mogłaby mu jakoś pomóc, jak zawsze to robiła, jednak sam nie wiedział, czego chce. Jak mógł wyrazić słowami smutek, który odczuwał, a zarazem dać Peonii do zrozumienia, że jego młoda żona też jest dla niego skarbem? Kiedy nad tym rozmyślał, wszedł Stary Wang z imbrykiem.

- Peonia kazała mi przynieść herbatę - oznajmił. Postawił imbryk na stole. - Czy mam napęlnić czarkę? - zapytał.

- Nie - podziękował Dawid. - Sam to zrobię, kiedy zechce mi się pić.

Patrzył, jak starzec wychodzi, a potem się zadumał. Dlaczego Peonia sama nie przyszła? Z pewnością nie dlatego, że wzięła za rękę. Często trzymał jej dłoń. Siedział tak jeszcze jakiś czas, a ponieważ ani nie opuszczał go smutek, ani nie mijało mu uczucie osamotnienia, westchnął, po czym wstał i poszedł do sypialni, gdzie czekał jego mały skarb.

Dom Ezry przystosował się do nowego życia. I choć podobno jedna mała kobietka w domu nie może zmienić praw obowiązujących od pokoleń, to jednak zaszła tu pewna zmiana: madame Ezra, postanowiwszy nie doszukiwać się żadnych wad u synowej, nie widziała żadnych wad u swego syna. Ale Dawid doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jego matka nadal pielęgnuje dawne zwyczaje. Kiedy zbliżały się święta, dom nieznacznie zwracał się ku przeszłości. Odprawiano prastare rytuały, szykowano tradycyjne potrawy. Ale już nie chodzono do synagogi. Już nikt nie stawał teraz za pulpitem, by czytać Torę. Wielki baldachim z czerwonego atlasu nad podwyższeniem, gdzie stał pulpit, złożono i schowano. Na zachodnich ścianach nadal wisiały tablice, na których złotymi literami wypisano Dziesięcioro Przykazań, ale nikt nie przychodził ich czytać. Drzwi do synagogi były zamknięte na klucz i nikt do nich nie pukał. Madame Ezra nie mogła się przełamać, by pójść tam sama, a Ezra był zajęty. Podpisał umowę z Kung Chenem i teraz oba nazwiska widniały na flagach z czerwonego jedwabiu, powiewających przed wejściem do sklepu.

Zorganizowano drugą karawanę oprócz tej, którą Kao Lien każdego roku prowadził na Zachód. Poza tym Ezra kupował towary sprowadzane statkami z Indii - bawełnę i kość

słoniową, srebro i klejnoty - i przywoził je łądem z południa. Sam wysyłał do Indii chiński jedwab ze sklepów Kung Chena, a tam tkano z niego tak lubiane przez Hinduski przejrzyste tkaniny, których nie potrafili wytwarzać Chińczycy.

Nie było już też nikogo, kto by pilnował bramy do synagogi. Odźwierny Eli opiekował się uśmiechniętym, starym rabinem, który stracił rozum i nie słuchał się nikogo poza nim. Eli nie odstępował go ani w dzień, ani w nocy, bo rabinowi nie wolno było samemu chodzić po domu. Obawiano się, żeby przypadkiem nie wystraszył służby.

Żydzi, których w mieście pozostało niespełna dwustu, zajmowali się swoimi sprawami i stopniowo zapominali, kim są.

Ale madame Ezra w swoim własnym domu przestrzegała dni świątecznych. Smutne to były święta, bo tylko ona, Ezra i Dawid jedli wówczas macę.

Podczas pierwszego święta Pesach po ślubie Dawida poleciła, by przygotowano miejsce dla jego żony. Kiedy Dawid przyszedł sam, matka spojrzała na niego groźnie, jak kiedyś.

- Czy moja synowa nie przyjdzie? - spytała.

Dawid w milczeniu zajął swoje miejsce.

- Mówi, że boi się przyjść - odparł.

- Boi się?! - wykrzyknęła madame Ezra. - Cóż to za bzdury?

- Boi się, że nasze uświęcone potrawy rzucą urok na jej duszę - wyjaśnił Dawid. A potem dodał: - Nie będę jej zmuszał, matko. Może ma rację.

Coś w jego poważnej minie zmroziło serce madame Ezra, która już nic więcej nie powiedziała. Spuściła głowę, otarła łzy z oczu, ale nie zapłakała głośno. Jak nisko upadli jej bracia! - pomyślała w duchu. Może jeszcze w kilku domach czczono Jehowę w podobny sposób, jak u Ezry, i zwyczaj ten przetrwa jeszcze parę lat, ale większość Żydów, czego madame Ezra była w pełni świadoma, nawet przestała udawać, że przestrzega zasad dawnej wiary. Dni świąteczne mijały im jak wszystkie inne, na pracy i przyjemnościach.

Póki żyła matka, Dawid nie okazywał niezadowolenia ze swojego losu. Jego pierworodny przyszedł na świat w rok po ślubie. Kueilan przez całą ciążę była bardzo kapryśna, ale poród zniosła nadszpiewanie dobrze, chociaż bardzo krzyczała i płakała. Kiedy zobaczyła, że powiła chłopczyka, przestała krzyczeć i zażądała, by przyniesiono jej wszystkie ulubione potrawy. Odmówiła jednak karmienia niemowlęcia i trzeba było poszukać mamki. W pierwszej chwili madame Ezra nie kryła swego oburzenia.

- Czy mój wnuk musi się odżywiać chińskim mlekiem? - spytała Ezrę.

Ezra uśmiechnął się smętnie.

- Pokarm jego matki też byłby chiński, moja droga - zwrócił jej uwagę.

Madame Ezra umilkła, zawstydzona własnym roztargnieniem, a Ezra nie miał serca, żeby jej przypomnieć, że on też pił mleko swojej matki Chinki. Jakiś czas potem stwierdził, że madame Ezra nie kocha nawet własnego wnuka. Kiedy rok później Kueilan urodziła kolejnego syna, madame Ezra jedynie skinęła głową, gdy Matka Wang ją o tym poinformowała.

Prawdę mówiąc, madame Ezra przestało zależeć na życiu.

Wszyscy to widzieli i każdemu na swój sposób było przykro. Ta energiczna kobieta stanowiła zawsze główny filar tego domu, a teraz ten filar się kruszył. Zaczęła tracić apetyt, narzekała na kłopoty ze snem. Kiedy była sama z Ezrą, często go pytała, jakie błędy popełniła w swoim życiu, że nie zakończy się ono tak, jak tego zawsze pragnęła.

- Nie popełniłaś żadnych błędów, moja droga Naomi - mówił jej Ezra. - Może jedynie snułaś zbyt śmiało marzenia.

- Zawsze słuchałam woli Boga - odpowiadała na to lekko przygnębiona.

Ezra nie miał serca powiedzieć jej, jak często własną wolę brała za wolę Boga, więc spytał tylko:

- Och, któż zna wolę Boga?

W tym czasie, kiedy madame Ezra zaczęła podupadać na zdrowiu, rabin zmarł nagle, i to w głupi sposób. Gdy jego umysł przestał pracować jak należy, z mężczyzny stał się dzieckiem, a potem wręcz kimś mniej niż człowiekiem.

Jeśli Stary Eli cały czas go nie pilnował, podnosił z ziemi wszystko, co zobaczył, i wkładał do ust. Pewnego razu najadł się jakiegoś świństwa, i to wcale nie z głodu, bo Ezra dbał o to, żeby go dobrze karmiono, żeby zimą było mu ciepło, a latem - chłodno, ale na wspomnienie jakichś dawnych okresów niedostatku. Zatrul się, zachorował na cholere i po jednym dniu zmarł, zdziwiony boleściami i błagając o zmiłowanie madame Ezra, której się teraz lękał jak najpotężniejszej istoty, jaką znał.

Chociaż madame Ezra przykro było oglądać go w takim stanie, zostałyby przy nim, by go pocieszać. Ale Ezra bał się, że Naomi jeszcze się zarazi, i zabronił żonie siedzieć przy chorym.

Stary rabin umarł, mając przy sobie tylko Eliego. Pochowano go na cmentarzu obok żony, matki Lei. Żydzi, coraz mniej liczni w mieście, kroczyli za jego trumną, ubrani w białe kitle. Jęczeli i zawodzili, pochylali się, zagarniali pył z drogi, którą szli, i posypywali sobie nim głowy. Wszyscy wiedzieli, że wraz ze śmiercią rabina coś umarło także i w nich. Wspominali jego młode lata, jego dobroć i niespożyta energię, oraz to, jak ich zaklinał, żeby

pamiętali o swoim Bogu, który był jedynym prawdziwym Bogiem. Teraz, gdy go zabrakło, kto im będzie o tym przypominał? Nie było nawet nikogo, kto odczytałby tekst Tory nad jego grobem. Jego syn Aron wciąż się nie odnalazł i kiedy chowano rabina, żaden krewny go nie oplakiwał. Nie było też komu kontynuować jego dzieła. Dawid stał wyniosły i milczący. Serce mu krwawiło, ale nie płakał. Nie pochylił się też, żeby posypać sobie głowę popiołem, ani nie włożył tradycyjnego kitla.

Nazajutrz po pogrzebie madame Ezra poczuła się dziwnie samotna i opuszczona; postanowiła udać się do synagogi, której bram znów zaczął pilnować Eli. Kazała się zanieść w lektyce, a towarzyszyła jej jedynie Matka Wang. Kiedy Eli zobaczył madame Ezra, przeraził się i błagał ją, żeby nie wchodziła do świątyni.

- Proszę zaczekać, aż zamiotę podłogę - nalegał. - Pulpit pokrywa gruba warstwa kurzu i wstyd mi, żeby to pani zobaczyła.

Ale madame Ezra nie dała się odwieść od raz powziętego zamiaru. Skoro już tu jest, nie wróci do domu, nie odwiedziwszy synagogi. Tak więc Eli z ociąganiem wsadził klucz do wielkiego zamka, lecz nie od razu otworzył bramę.

- Proszę mnie o nic nie obwiniać, pani - powiedział.

- Tak wszystko zastałem po powrocie.

Naprawdę niechętnie otworzył wrota i madame Ezra weszła na dziedziniec, a za nią postąpił Eli. W pierwszej chwili nie stwierdziła żadnych zmian, jeśli nie liczyć pyłu, który przywiał tu wiatr, i liści, gnijących pod drzewami. Ale kiedy przeszła przez ostatni dziedziniec, wspięła się po schodach i wkroczyła do synagogi, zauważyła różnice. Dwa kamienne lwy, które strzegły głównego wejścia, zniknęły, nie było też żelaznych waz; w drzwiach nie wisiały kotary, w sali modlitw na wielkim stole nie stały świeczniki, zniknęła gdzieś srebrna umywalnia do obmywania rąk. Nie wiadomo, co się stało ze świętą skrzynią, w której trzymano dwanaście zwojów Tory, a zasłonki z cienkiego jedwabiu były podarte.

Madame Ezra wprost oniemiała na ten widok. Stała pośrodku świątyni, szukając po kolei dobrze znanych przedmiotów.

Potem jej wzrok padł na zachodnią ścianę i aż się zatrzęsa z oburzenia. Jakiś zuchwały złodziej wydłubał złoto z głęboko wyrytych Dziesięciorga Przykazań, które sam Jehowa podarował Mojżeszowi. Zwróciła się do Eliego i wykrzyknęła na cały głos:

- Kto to zrobił?!

Eli zwiesił głowę.

- Boję ci się wyznać wszystko, pani - wymamrotał.

- A więc to jeszcze nie wszystko? - zapytała.

W milczeniu wskazał drzwi, po czym wyprowadził ją na zewnątrz. Zobaczyła, że zniszczono nie tylko ściany w synagodze, ale że złodzieje zabrali również cegły z murów - cegły specjalnego gatunku, wyprodukowane po tym, jak wielka powódź zalała miasto przed dwustu laty. Były lepsze od obecnie wytwarzanych, bo ludzie, którzy wznieśli te mury, znali sekret wypalania cegieł, pochodzący z czasów, kiedy ich przodkowie przebywali w egipskiej niewoli.

- Wkrótce zostanie tylko szkielet - smutno powiedział Eli. - I pewnego dnia, kiedy z południa przyjdzie burza, synagoga się rozsypie.

Madame Ezra przez długi czas nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Chodziła tam i z powrotem, oglądając zniszczenia, aż Matka Wang, czekająca na zewnątrz, przestraszyła się i przybiegła, by ją odszukać.

- Pani, uspokój się! - wykrzyknęła. - Złodzieje grasują we wszystkich świątyniach.

Madame Ezra zwróciła się do Eliego:

- Dlaczego nie przyszedłeś do mnie i mi o tym nie powiedziałeś?

- Sam o tym nie wiedziałem, pani - tłumaczył się starzec. - Ani na chwilę nie mogłem zostawić rabina samego, a nikt z naszych braci nie przyszedł, żeby poinformować, co się stało.

- Nie wyobrażam sobie, żeby odważyli się okraść dom Jehowy. Chyba że ktoś ich do tego nakłonił! - wykrzyknęła.

Dziwna myśl przemknęła madame Ezra przez głowę, ale nie wypowiedziała jej w obecności tych dwojga ludzi, którzy nie byli jej równi stanem.

- Wracam do domu - oznajmiła. - A ty, Eli, pilnuj synagogi. Niech wszyscy się dowiedzą, że będę się domagała od chińskich władz miasta, by wychłostano złodziei i zakuto ich w dyby, a gawiedź niech patrzy, jak giną z głodu.

Wróciła do domu ze złamanym sercem i nie mogła się doczekać powrotu Ezry i Dawida. Posłała po nich Starego Wanga, a Matka Wang poleciła im przekazać od siebie, że muszą natychmiast przyjść, ponieważ boi się, że pani niedomaga. Usłyszawszy to, Ezra zawołał Dawida, urzędującego teraz w osobnym pokoju, i czym prędzej udali się do domu.

Madame Ezra już ich wypatrywała. Na ich widok wybuchnęła szlochem i mieli trudności ze zrozumieniem, co się stało.

Gdyby nie Matka Wang, która stała z czarką gorącej herbaty i co chwila przytykała ją do ust swej pani, nic by nie zrozumieli.

Kiedy wszystko zostało powiedziane, madame Ezra nagle przestała płakać. Przyszła pora na snucie domysłów.

- Dobrze wiem, że motłoch, w jaki się przemienili nasi bracia, nie odważyłby się okraść samego Jehowy - oświadczyła.

Obaj mężczyźni czekali, co jeszcze powie.

- Mówię wam - ciągnęła madame Ezra - jest tylko jeden człowiek, który odważyłby się zrobić coś takiego, a jest nim Aron. Trzeba go odszukać, Ezro. Ukrywa się gdzieś w mieście i kieruje szajką złodziei. Niech spadnie na niego klątwa Naszego Pana!

- Jak mam go odszukać? - jęknął Ezra.

- Chińczycy nam w tym pomogą - stwierdziła madame Ezra.

- W mieście przebywa król złodziei - wtrącił Dawid.- Jego imię znane jest w sądzie magistrackim, bo co roku płaci haracz. Przez niego można dotrzeć do Arona.

- Podjąłbyś się tego zadania, mój synu? - zapytał Ezra.

Dawid spuścił głowę.

- To przykre zadanie - odrzekł krótko. - Ale mogę to zrobić.

Dawid udał się do magistratu i zapłacił za spotkanie z królem złodziei. Umówionego dnia człowiek ten miał przyjść do herbaciarni na skraju miasta; Dawid pozna go po czerwonej wstążce w butonierce. Zajmie miejsce w głębi sali, gdzie niełatwo go będzie wypatrzeć. Poleciał Dawidowi, żeby zjawił się sam.

Kiedy madame Ezra o tym usłyszała, przestraszyła się i nalegała, żeby Eli poszedł z nim i stał w pobliżu drzwi, tak by go nie zauważono. Chińczycy nie mieli pojęcia, co się stało, bo Ezra wstydził się o tym mówić, podobnie jak Dawid i jego matka.

Wyznaczonego dnia Dawid udał się w umówione miejsce, gdzie czekał już na niego mężczyzna o chudej, gładkiej twarzy, ubrany w szatę z czarnego jedwabiu. W dłoni trzymał czarnekę z herbatą. Dawid zwrócił uwagę na tę dłoń, jak tylko usiadł i mężczyźni się przywitali. Była wąska i długa. Na jej widok Dawida ogarnęła niechęć do mężczyzny i od razu przystąpił do rzeczy.

- Działam w imieniu mojego ojca - oświadczył. - Chcemy odszukać złodziei, którzy zabrali cegły z naszej świątyni, a także naczynia liturgiczne i jedwabne zasłony, i całą resztę. Jeśli uda się cokolwiek odzyskać, dobrze zapłacimy. Ale zapłacimy nawet za informację, co się stało z tymi przedmiotami i kto się odważył okradać naszą gminę.

Mężczyzna uśmiechnął się złośliwie.

- Jest jednym z was - stwierdził.

Wtedy Dawid zrozumiał, że jego matka miała rację.

- To Aron - powiedział.

- Nie znam jego imienia - odparł mężczyzna. - Wołamy na niego Li Cudzoziemiec.

- Ale przecież on sam nie dałby rady wynieść ciężkich cegieł ani wielkich waz! - wykrzyknął Dawid.

- Nie, ale zachęcił do tego tych, którzy mu pomagali - odparł kpiąco mężczyzna. - Bali się, że cudzoziemski bóg zemści się na nich, lecz on ich zapewnił, że nie spotka ich żadna kara. Powiedział, że jest synem kapłana i zna wszystkie modlitwy.

- Gdzie on jest? - zapytał Dawid.

Mężczyzna zrobił chytrą minę.

- Jeśli go wydam w wasze ręce, ile mi zapłacicie? Rozumiecie, że to dla mnie strata.

Dawid, pełen obrzydzenia, zmusił się, by ubić interes ze swoim rozmówcą, nie pozwalając mu się wykorzystać.

- Nie zależy nam na nim, bo to zły człowiek - oświadczył.

- Zatrzymajcie go sobie, jeśli chcecie. Ale synagoga jest teraz pilnowana, więc i tak nic z niej nie wyniesiecie.

Po krótkich targach Dawid obiecał trzydzieści sztuk srebra. Za taką kwotę sprzedano mu zdrajcę.

- Mieszka w chacie za bramą domu stojącego sześć posesji stąd - powiedział mu mężczyzna. - Jeśli pójdziesz ze mną, pokażę ci. Ale najpierw muszę zobaczyć srebro.

- Nie noszę przy sobie srebra - odparł Dawid. - Znasz mojego ojca, on i ja mamy podpisany kontrakt z kupcem Kung Chenem. Możesz mi zaufać.

Początkowo mężczyzna oponował, ale w końcu się zgodził.

Obaj wyszli na ulicę i król złodziei wskazał Dawidowi bramę.

- W dzień zawsze tam jest - zapewnił go.

- Srebro trafi do twoich rąk jeszcze dziś wieczorem - obiecał Dawid.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, śmiało wkroczył do bramy i gwałtownie otworzył drzwi chatki. W małej izbie Aron leżał zwinięty w kłębek na łóżku, zbitym z desek.

Dawid podszedł do chłopaka i nim potrząsnął. Kiedy Aron zobaczył Dawida, oprzytomniał.

- Czego chcesz? - zapytał ponuro.

Dawid z pogardą spoglądał na niego, lecz nie mógł się zdobyć na to, żeby go uderzyć lub przekląć.

- Powinieneś stanąć przed sądem, który wymierzyłby ci karę chłosty - mruknął. - Ale przecież jesteś jednym z nas! Aronie, jak mogłeś zrobić to, co zrobiłeś?

- Nie wiem, o co ci chodzi - odparł beczelnie.

- Och, dobrze wiesz. - Dawid westchnął. Usiadł na zydlu i wsparł głowę na rękach. - Cieszę się, że twój ojciec się o tym nie dowiedział - oświadczył. - I cieszę się, że Lea nie dożyła tej chwili.

Aron podrapał się, ziewnął, ale nic nie powiedział.

Dawid wstał.

- Dam ci jeszcze jedną szansę! Dostaniesz pracę w którymś ze sklepów... Taką, żeby zawsze ktoś cię miał na oku. Jeśli się nie zgodzisz, zaprowadzę cię do aresztu miejskiego.

Skończyło się na tym, że po kilku minutach Aron poszedł z Dawidem. Wszyscy nim gardzili. Od tamtego dnia jadł to, co mu dał Ezra, nosił jego stare ubrania i pracował jako goniec, przekazując informacje między Ezrą a Kung Chenem, bo nikt nie ufał Aronowi na tyle, by powierzyć mu towar albo pieniądze.

Wiódł nędzniej szy żywot niż ktokolwiek w domu Ezry.

Jeśli chodzi o madame Ezra, to straciła już nadzieję, że synagogę kiedykolwiek uda się odbudować, i nie cieszyło jej nic, co mówił Ezra, starając się ją podnieść na duchu.

- Moja Naomi - rzekł pewnego razu. - Masz wszystko, co sprawia radość kobiecie. Nasz syn należy do najbardziej szanowanych młodych kupców w mieście. Zaledwie kilka dni temu Kung Chen powiedział mi: „Starszy bracie, twój syn zaoszczędził mi jedną czwartą rocznego przychodu”. „Jakim sposobem?” - zapytałem. „Otóż - odparł - od dziesięciu lat ponosiłem straty. I ja, i moi synowie próbowaliśmy znaleźć ich źródło, ale na próżno. W zeszłym roku nawet posłałem swojego najstarszego syna do Północnej Stolicy, by zrobił kopię spisu wszystkich kupowanych i sprzedawanych towarów. Kiedy ją otrzymałem, nie stwierdziliśmy żadnego błędu, a przecież ponosiliśmy straty. Ale dałem wykaz twojemu synowi...”

W tym miejscu madame Ezra przerwała mu rozdrażniona:

- Powiedz mi wszystko wprost, a nie powtarzaj wciąż „mój syn, twój syn”. Co zrobił Dawid?

Ezra się nie rozgniewał.

- Cóż, krótko mówiąc, Naomi, Dawid na podstawie samych cyfr zorientował się, gdzie pośrednik zmienił ceny towarów!

Madame Ezra tylko się lekko uśmiechnęła, usłyszawszy to, i Ezra naprawdę się zaniepokoił.

- Moja droga, wyznaj mi, co cię trapi - poprosił.

Pokręciła głową. Ale po chwili spojrzała na niego swoimi dużymi, smutnymi oczami i położyła rękę na piersiach.

- Dzień i noc czuję tutaj ciężar.

Ezra przez chwilę milczał, a potem zdobył się na wielkie poświęcenie.

- Czy mam cię zabrać na Zachód, Naomi... Gdzie zawsze pragnęłaś pojechać? - Nie mógł się zmusić do wypowiedzenia słów „do Ziemi Obiecanej”, bo nie chciał z nią jechać.

Dobrze wiedziała, co Ezra czuje w głębi duszy, więc znów pokręciła głową.

- Już za późno - odparła i nie chciała nic dodać, toteż Ezra w końcu się z nią rozstał z bardzo ciężkim sercem.

Znalazł pretekst, by jeszcze tego samego dnia porozmawiać z Dawidem.

- Mój synu, pomóż mi rozradować serce twojej matki - poprosił.

Dawid podniósł głowę znad ksiąg.

- Ojczy, wiesz, że nic jej nie rozweseli - oświadczył.

Znów ujął pędzelek i wrócił do pracy. Po chwili powiedział wolno, nie odrywając wzroku od księgi: - Jeśli chcesz, zabiorę ją do Palestyny i pokażę jej ten kraj. Może wtedy będzie zadowolona... Albo tam zostanie, albo wróci ze mną.

Usłyszawszy to, Ezra osłupiał.

- Zostawisz mnie tutaj?! - wykrzyknął.

- Ojczy, możesz jechać z nami, jeśli chcesz - zaproponował Dawid z lekkim uśmiechem.

- A interesy? - wykrzyknął Ezra.

Dawid wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Ezra patrzył na niego. Dawid zmężniał, odkąd się ożenił. Wydawał się wyższy, silniejszy i jakby twardszy. Nosił krótką, kręconą bródkę i nie był już młodzieńcem. Nie był już nawet młodym mężczyzną.

- A co, jeśli nie wróćcie? - spytał zmienionym tonem Ezra.

Dawid nie uniósł wzroku. Skończył pisać, wytarł pędzelek z włosia wielbłąda i odłożył na mosiężną podstawkę. Potem rozsiadł się wygodnie i spojrzał swemu ojcu prosto w oczy.

- Nie wróciłbym, zostawiwszy tutaj ciebie i moich synów? - zapytał, uśmiechając się.

Nie wspomniął o swojej żonie. Ezra to zauważył, ale nie skomentował.

- Na południu wciąż trwa wojna - przypomniał zrzędliwie. - Anglicy nie są zadowoleni... Wciskają nam swoje opium. Możesz mieć kłopoty, jeśli udasz się przez Indie.

- Wyjaśnię im, że nie jesteście Chińczykami - odparł Dawid.

- Wtedy pytają, kim jesteście - ciągnął Ezra. - A skąd mam wiedzieć, jak zareagują, słysząc, że jesteście Żydami?

Na to Dawid nic nie mógł odpowiedzieć i Ezra wstał z trudem, czując po raz pierwszy w życiu, że skoro jego syn nie jest już młody, sam musi być stary.

- Porozmawiaj o tym ze swoją matką, mój synu - poprosił.

- Niech będzie tak, jak postanowicie. Jesteście jednakowo uparci.

Dawid porozmawiał z matką i przez kilka tygodni wydawało się, że znów jest taka, jak dawniej. Nie oświadczyła, że pojedzie, jednak snuła plany, jakby zamierzała pojechać, i Dawid był w pogotowiu. Tylko Kao Lien sprzeciwił się temu pomysłowi.

- Starsza siostra nie przetrzyma trudów podróży - tłumaczył Ezra. - Nawet, jeśli pojedziemy przez Indie, a dalej popłyniemy morzem... Na oceanie szaleją tajfuny, a między nimi są długie okresy ciszy. Lądem będzie jeszcze gorzej.

Muzułmanie są nieufni i porywczy... Nie mogę odpowiadać za jej bezpieczeństwo.

- Pozwól jej jechać, jeśli chce - nalegał Ezra.

- A jeśli tam umrze? - spytał Kao Lien.

- To mój syn pochowa swoją matkę - odparł Ezra. Ale było mu bardzo ciężko na sercu.

Jednak nigdy nie wybrali się w podróż. Pewnej nocy madame Ezra, leżąc w łóżku, sama zrezygnowała z tego zamiaru.

Wiedziała, że Dawid może ją tam zabrać, ale będzie musiał wrócić. Peonia przyszła do niej właśnie tego dnia, by jej oznajmić, że młoda pani spodziewa się trzeciego dziecka i że bardzo płacze, ponieważ mąż chce ją zostawić, by udać się w tak daleką podróż.

- Młoda pani za szybko urodziła dzieci - stwierdziła Peonia. - Powinna odpocząć. Dlatego jej powiedziałam, że młody pan nie wyjedzie na dłużej niż na rok. A kiedy wróci, ona znów będzie silna i zdrowa. Teraz jest słaba i grymasna. Lecz na nic się zdają wszelkie próby pocieszenia jej. Nie mówię tego, żeby się pani martwiła, tylko mając na względzie pani wnuki.

Madame Ezra bez słowa odprawiła Peonię jednym gestem ręki. Ale w nocy zrozumiała, że nie wolno jej odbierać ojca dzieciom, i wreszcie dotarło do niej, że nie chce umierać z daleka od tego domu. Bo zaczęła przeczuwać, że wkrótce umrze. W prawej piersi miała jakieś zgrubienie, czuła, jak macki guza sięgają do żeber, płuc i pachy. Już dawno temu go wymacała. Teraz guz rósł, a ona z każdym dniem była coraz chudsza. Westchnęła w ciemnościach i zrezygnowała ze swojego marzenia. Jakie to miało teraz znaczenie? Czemu stara kobieta miałaby wybierać się do ojczyzny, by tam umrzeć? I nie mogła zabrać ze sobą swojego syna.

Nie minął rok, jak uległa swojemu wrogowi i po ciężkich cierpieniach zmarła we własnym łóżku.

Ezra miał złamane serce i wyprawił wspaniały pogrzeb, jakiego jeszcze nie widziało miasto. W długim kondukcie szli wszyscy miejscowi Żydzi, ubrani w białe kitle, a Kung Chen nakłonił bogatych Chińczyków, by przyjechali dwukólkami zaprzężonymi w muły i spowitymi w białą tkaninę. Ezra kroczył na czele, od stóp do głów odziany na biało, za nim postępował Dawid, ubrany tak samo, dalej szły żona i dzieci Dawida, potem Peonia trzymająca na ręku trzeciego syna Dawida, który jeszcze nie chodził. Za nimi podążali wszyscy służący, prowadzeni przez Matkę Wang. Mieszkańcy miasta wylegli na ulice, by to oglądać, i zgodnie orzekli, że nikt nie miał wspanialszego pogrzebu, chociaż nie niesiono domu z bambusa i papieru, lektyki i papierowych wizerunków służących, by je spalić dla świata duchów.

Potem niektórzy mówili: „Oni nie wierzą w takie rzeczy. W ich świątyni nie ma ani jednego obrazu”.

Wszyscy mogli się teraz naocznie o tym przekonać. Zachodnia ściana synagogi runęła podczas wichury, która nadciągnęła z południa, i ciekawscy przychodzili, by oglądać wnętrze cudzoziemskiej świątyni, co do tej pory było im zabronione. Rzeczywiście nie ujrzeli tam żadnych obrazów.

Kondukt wolno dotarł do bramy miasta, przekroczył ją i skierował się w stronę cmentarza żydowskiego. Tam się zatrzymał, a Dawid i Ezra stanęli samotnie nad grobem. Za Dawidem stała jego żona, a obok niej Peonia niosąca ich trzeciego synka, który płakał przez cały czas, do samego końca pogrzebu.

I tak pochowano madame Ezra, ale nikt nie odmówił modlitwy nad jej grobem.

Peonia nie wyobrażała sobie życia w domu Ezry, kiedy zabrakło w nim starszej pani. Po powrocie z pogrzebu uspokoiła płaczące niemowlę i oddała je pod opiekę mamce. Potem pomyślała o Dawidzie i jego ojcu. Kueilan była zmęczona, narzekała, że bardzo ją bolą nogi, że jest głodna i słaba, że dwaj starsi synowie płaczą z głodu. Ale Peonia poprosiła posługaczki, by się tym zajęły, bo ona z Matką Wang poświęciły całą uwagę mężczyznom.

Każdy z nich udał się do siebie. Stwierdziwszy to, Peonia dała znak Matce Wang, żeby poszła do pokoju Ezry, a sama pobiegła do Dawida. Nie wiedziała, w jakim nastroju go zastanie, czy będzie płakał, czy nie, ale nie była przygotowana na to, że ujrzy go zupełnie spokojnego. Kiedy chrząknięciem oznajmiła swoją obecność, usłyszała, jak prosi, żeby weszła.

Stał, ściągając biały kitel, który włożył na pogrzeb; pod nim miał swoje codzienne, jedwabne szaty. Dziś były ciemnoniebieskie, dla podkreślenia powagi wydarzenia. Gdy odwrócił głowę, zobaczyła, że twarz ma smutną, ale nie płacze.

- Wejź, Peonio - rzekł cicho. - Właśnie miałem po ciebie posłać.

Usiadł i spojrzał na nią niezwykle życzliwie.

- Nie czekaj, aż poproszę cię, żebyś usiadła - dodał.- Wiesz, jaką ważną osobą stałaś się w tym domu.

Usiadła więc, wciąż milcząc.

- Gdybym wiedział, jak dać sobie radę bez ciebie, nie pozwoliłbym, by mnie trapiły wyrzuty sumienia - ciągnął.

- Powiniennem poszukać ci męża, Peonio. Wszyscy zachowujemy się samolubnie, a najbardziej ja. Ale prawda jest taka, że bez ciebie byłibyśmy jak łódź pozbawiona steru. Teraz, kiedy zabrakło mojej matki... - Urwał i zacisnął usta.

- Nie chcę wyjść za mąż - powiedziała Peonia.

- Zawsze tak mówisz - odparł Dawid. - Ale nie zwalnia mnie to z mojego obowiązku.

Peonia postanowiła zmienić temat.

- Co chciałeś mi powiedzieć? - zapytała.

Dawid wstał niespodziewanie, podszedł do drzwi i zaczął wyglądać na dziedziniec. Zima się skończyła, ustępując miejsca wiosnie. Powietrze było ciepłe tego popołudnia, więc drzwi na dziedziniec zostawiono otwarte.

- Chcę się wybrać w podróż - oświadczył.

- W podróż? - powtórzyła za nim Peonia. - Dokąd?

- Wiesz, że razem z matką planowaliśmy podróż na Zachód, do ziemi naszych przodków. Chcę teraz tam pojechać sam. - Urwał, a potem wyznał gwałtownie: - Coś mi nie daje spokoju.

- Coś ci nie daje spokoju... - Tak ją zaskoczył, że straciła głowę, a wiedziała, że potrzebny jest jej w tym momencie cały spryt, jaki posiada.

- Czuję się winny - ciągnął Dawid. - Od śmierci Lei gryzie mnie sumienie. Teraz nie żyje również moja matka. Ta podróż będzie w pewnym stopniu zadośćuczynieniem ich woli.

- Zostawisz swojego ojca? - wyrzuciła z siebie Peonia jednym tchem. Udało jej się nieco uspokoić.

- Nie jestem mu potrzebny - powiedział Dawid. - Ma przyjaciół... I swoje wnuki. Czasami odnoszę wrażenie, że jest mocniej związany z nimi niż ze mną. Poza tym będziesz tutaj ty, Peonio... I Matka Wang.

- Ale twoje dzieci... I ich matka! - nie dawała za wygraną Peonia. - Jak mogę wziąć na siebie taką odpowiedzialność?

- Spoczywa na tobie, Peonio, czy tu jestem, czy mnie nie ma - zauważył.

Teraz nie mogła już nie ujawnić swoich prawdziwych obaw.

- A co będzie, jeśli umrzesz po drodze?! - wykrzyknęła.

- Co będzie, jeśli... Jeśli cię zabiją? - Przypomniała sobie szablę o cienkim ostrzu, która tyle złego wyrządziła jego braciom w obcych krajach, i tyle złego wyrządziła też tutaj, w tym domu, ale nie mogła o tym mówić. Stary Wang zabrał szablę, poszedł z nią nad rzekę i rzucił tak daleko, jak tylko pozwalały mu siły, do żółtej wody, pełnej wirów.

- Tyle osób zginęło - cicho odparł Dawid. - Nie ma powodu, żeby mnie omijały wszystkie niebezpieczeństwa.

Cóż mogła Peonia na to powiedzieć? Miała ochotę zawołać, żeby został przez wzgląd na nią, bo jest dla niej wszystkim i jeśli nie wróci, ona też nie będzie miała po co dłużej żyć. Ale bała się to wyznać. W tej chwili Dawid błędził myślami gdzieś bardzo daleko. Poczula dziwną zazdrość, której nie zaznała od dnia śmierci Lei. Zapomniała o Lei z upływem miesięcy, lat, a oto teraz Lea wróciła w całej swojej krasie. Czy pamiętał jej urodę? Zastanawiała się, czy to mądre wymówić imię Lei w jego obecności, i doszła do wniosku, że lepiej tego nie robić. Jeśli myślał o Lei, rozmowa o niej sprawi, że dziewczyna pojawi się w tym pokoju obok nich. Niech zatem Lea pozostanie martwa! Cóż takiego miała w sobie, że mu nie dawała spokoju nawet po swej śmierci?

Czy go dręczyły wyrzuty sumienia? Nie potrafiła odpowiedzieć na swoje pytania, więc wstała z wdziękiem, chociaż w głowie czuła zamęt.

- Niech będzie tak, jak chcesz, młody panie - rzekła.

Ku jej zdumieniu Dawid zareagował na to ze złością.

- Nie nazywaj mnie tak, Peonio! - zbeształ ją, wielce poirytowany. - Przynajmniej kiedy jesteśmy sami, zwracaj się do mnie po imieniu. Czyż przez całe życie nie byliśmy jak rodzeństwo?

Czy jakieś słowa mogłyby ją bardziej zranić: Ale nie dała po sobie poznać, jak ją zabolęły, i odparła posłusznie:

- Postaram się zapamiętać. Proszę nie wyjeżdżać, o ile nie zachodzi taka potrzeba. Jeśli jednak okaże się to konieczne, postaram się w tym czasie sumiennie wypełniać wszystkie swoje obowiązki.

Powiedziawszy to, wyszła. Udało jej się tak dobrać słowa, by nie wymieniła jego imienia. Może kiedyś je wymówi, ale nie dziś, gdy jego myślami znów zawładnęła Lea.

Poszła do swojego pokoju i siedziała tam przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad tym, co powinna uczynić. Usłyszała, jak ją wołają, więc przeniosła się do sypialni i skryła za kotarą łóżka. Rozmyślała jeszcze jakiś czas, aż podjęła decyzję. Pójdzie do Kung Chena, on jej pomoże. Z pewnością nie pozwoli, żeby jego zięć udał się na Zachód, skąd nie wróci wcześniej niż za rok, a może nawet nigdy. Jak postanowiła, tak i zrobiła. Znów wyslizgnęła się przez tylną furtkę, z której od dnia ślubu Dawida nie musiała korzystać.

Kung Chen był w domu, bo zmęczyła go długa ceremonia pogrzebowa. Siedział w swojej komnacie, popijając gorące wino i wpatrując się w mały piecyk węglowy. Kazał go przynieść nie tyle po to, żeby się rozgrzać, a raczej by się pocieszyć. Peonię natychmiast zaprowadzono do Kung Chena, bo wiadano, że służy jego córce.

- Wielce szanowany panie - odezwała się Peonia słodkim głosem.

Spojrzał życzliwie na szczupłą, ubraną na szaro dziewczynę, i przypomniał sobie, że widział ją, jak stała obok jego córki i trzymała płaczące niemowlę.

- Nie musisz stać w mojej obecności - przemówił. - Jesteśmy starymi znajomymi. Pamiętasz ranek przy stawie z rybkami?

Nie powiedział jej, że od tamtej pory wyrosła na piękną kobietę. Wtedy była dziewczyną o różowych policzkach, teraz - opanowaną i pełną wdzięku kobietą. W jej oczach nie igrały już wesołe ogniki, jak kiedyś. Nikt by nie pomyślał, że jest niewolnicą. Zajmowała znacznie ważniejszą pozycję w domu Ezry.

- Co masz mi do powiedzenia? - zapytał.

Peonia ostrożnie usiadła i złożyła ręce. Powstrzymała się od komentarza, że Kung Chen bardzo się postarzał od tamtego ich wspólnego poranka nad stawem z rybkami. Później widywała go tylko z daleka. Dziś zobaczyła, że znacznie schudł, że skóra na jego niegdyś pełnej twarzy teraz zwisa, a bródka, którą sobie zapuścił, jest rzadka i posiwiała. Ale nadal był wysoki, jak wtedy, i szeroki w ramionach. Wiedziała, że wszystkie jego dzieci założyły rodziny, chociaż Liii, córkę konkubiny, udało mu się wydać zaledwie za syna kupca żelaznego. Bogate rodziny nie chciały za synową córki konkubiny, która uciekła ze służącym. Smuciło to Kung Chena, bo kochał swoją Liii bardziej niż pozostałe dzieci.

- Panie, przybyłam tu ze względu na swoją młodą panią - oznajmiła Peonia. - Kiedy dziś wróciliśmy z pogrzebu, posłałam zanieść gorący posiłek młodemu panu, co należy do moich obowiązków. Zostałam go pogrążonego w głębokim smutku. Na moje pytanie odpowiedział, że nosi się z zamiarem odbycia podróży do kraju swych przodków, w którą kiedyś planował udać się ze swą matką. Powstrzymałam się od wszelkich uwag, ale od razu przysłałam z tym do pana. Taka podróż potrwa co najmniej rok, ale nie to jest najgorsze.

Muzułmanie są bardzo wrogo nastawieni do obcych, Kao Lien mówił to mojej starej pani, zanim umarła. Młody pan narazi na niebezpieczeństwo własne życie, jeśli pojedzie. A ja myślę o mojej pani, twojej córce, i o dzieciach.

Kung Chen wysłuchał tego, nie ukrywając zdumienia.

- Jak to możliwe, żeby syn odbywał pielgrzymkę, kiedy jego ojciec tego nie robi? - zapytał. - Czy to nie przejaw braku szacunku dla rodzica? Czy jego ojciec nie poczuje się dotknięty?

Peonia zebrła całą swą odwagę. Musiała utkać bardzo delikatną pajęczynę.

- Panie, młody pan jest nieodrodnym synem starej pani. Stary pan jest synem Chinki. A to matka kształtuje charakter syna.

Kung Chen zaczynał rozumieć. Wolno kiwał głową, gładząc się po brodzie.

- Mów dalej - poprosił.

Peonia skromnie spuściła głowę. Dobrze zaczęła prząść sieć, ale to był dopiero początek.

- Panie, jest jeszcze coś. Nie chciałabym nikogo urazić... Czy może pamięta pan młodą damę, z którą nasz młody pan był kiedyś zaręczony... Albo prawie zaręczony.

- Tę, która... - Kung Chen przeciągnął palcem po gardle.

- Właśnie tę - potwierdziła Peonia.

- Czy... ją... hmm... kochał? - zapytał Kung Chen.

Trochę był zazdrosny ze względu na swoją córkę, lecz nie przyznał się do tego.

Ale Peonia dostrzegła jego zazdrość.

- Nie sędzę, by ją kochał - powiedziała z wahaniem. - Przypuszczam, że nic do niej nie czuł, bo akurat wtedy zakochał się w naszej młodej pani... Pańskiej córce. Ale w jakiś osobliwy sposób te dwie młode kobiety konkurowały w jego sercu. Cudzoziemka nie pozwalała mu do końca pokochać mojej młodej pani, teraz matki jego synów, a młoda pani sprawiła, że nie mógł pokochać cudzoziemki, którą jego matka pragnęła mieć za synową. Obie się nawzajem niszczyły.

Kung Chen zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Czy ta druga kobieta była ładniejsza od mojej córki? - zapytał.

Peonia się zamyśliła.

- Nie - odparła, a potem dodała: - Ale miała nad nim jakąś dziwną moc. Taką samą moc, jak jego matka. Kochał ją, a zarazem nienawidził. Gdy żyła jego matka, buntował się przeciwko niej i jakoś się trzymał. Ale teraz, kiedy umarła, przypomniał sobie też tę drugą i czuje, że nie spełnił jakiegoś obowiązku. To mu nie daje spokoju.

- Co ma z tym wszystkim wspólnego podróż? - zapytał Kung Chen.

- Jeszcze zanim umarła stara pani, młody pan chciał wyjechać z nią tam, gdzie kiedyś żyli ich przodkowie - wyjaśniła Peonia.

Kung Chen znowu się zadumał. Przypomniał sobie wszystko, czego się dowiedział o Żydach i o ich wierze, która sprawia, że jak magnes przyciąga ich ten skrawek pustynnego łądu, niegdyś należący do nich. Z całą pewnością jego trzecia córeczka nie może przez to ucieść i zostać wdową z gromadką dzieci, do tego jeszcze w młodym wieku. Postanowił ją przed tym chronić.

- Młodemu mężczyźnie trudno usiedzieć na miejscu - powiedział, gładząc brodę. - To całkiem zrozumiałe. Nigdy nigdzie nie wyjeżdżał. Mężczyźni często stają się niecierpliwi po kilku latach małżeństwa. Znają wszystko, co mają, i spragnieni są nowych wrażeń. Bardzo dobrze... Odbędzie podróż, ale z moją córką i dziećmi, a ty musisz im towarzyszyć. Pożyczę wam własne wozy, zaprzężone w muły, i moich poganiaczy. Razem z moimi kucharzami będą czekali na was na drugim brzegu rzeki. Wszyscy udacie się do Północnej Stolicy. Co więcej, poproszę gubernatora naszej prowincji, by posłał z wami kilku swoich strażników. Sama ich obecność zniechęci rabusiów i piratów rzecznych do wszelkich napaści na was. Wiosna już nadeszła, więc podróż będzie przyjemna. Przekonam Ezrę, że dobro naszych interesów wymaga podjęcia tej podróży, i może rzeczywiście tak jest.

Kung Chen był bardzo z siebie zadowolony i kręcił swoją wielką głową to w jedną, to w drugą stronę. Wybiegł myślami w przód.

- Tak, i przypilnuję, żeby przygotowano prezent, który Dawid wręczy w moim imieniu dwóm nowym cesarzom. Poproszę swoich przyjaciół, żeby godnie przyjęli mojego zięcia. Wydam polecenie, żeby w Teatrze Ogrodu Grusz wystawiono sztukę dla niego i jego rodziny. On z kolei musi ich zaprosić na ucztę. Czy jest ktoś, komu się nie podoba w Północnej Stolicy? To najpiękniejsze miasto na świecie... - Kung Chen się rozmarzył. Zatarł ręce nad piecykiem. - Wszystko znów jest tak, jak powinno być - powiedział. - Dwór cesarski wrócił do kraju z wygnania... Przeniósł się z Chengde do Pekinu... W mieście zapanował radosny nastrój. Osiągnięto porozumienie z białymi w kwestii opium z Indii, we wschodnich prowincjach stłumiono powstanie tajpingów. Ludzie znów mogą się oddawać przyjemnościom, handel ponownie kwitnie.

Uderzył dłońmi w kolana i tak się rozpromienił, że Peonii aż miło było patrzeć. Wstała, również uradowana.

- Same niebiosa to zaplanowały - oświadczyła. - W takim razie będę czekała, panie, na polecenia. - Ukłoniła się i wróciła do domu.

Kung Chen siedział w fotelu, głaszcząc brodę i spoglądając na żarzące się węgle. Czyjego trzecia córeczka... jest szczęśliwa? Uważał za coś oczywistego, że tak, bo co roku rodziła syna. Raz czy dwa spytał jej matkę, co o tym sądzi, ale madame Kung rzadko myślała o córce, która wyprowadziła się z domu i należała teraz do innej rodziny.

- Był wdzięczny Peonii. Tam, gdzie jest ona, niewątpliwie wszystko będzie dobrze.

I tak oto w pewien piękny dzień późną wiosną Dawid, namówiony przez Peonię, wyruszył na północ. On, jego żona i ich dzieci oraz Peonia wsiedli na pokład wielkiej dżonki rzecznej i popłynęli ku Północnej Stolicy. Towarzyszyli im służący, posługaczki i dwóch kucharzy Kung Chena, którzy pochodzili z północy i błagali go, by dał im okazję odwiedzenia rodzinnych stron. Przed dżonką, w mniejszej łodzi, płynęli strażnicy.

Ezra zęgnął najbliższych ze ściśniętym sercem. Bał się, że będzie mu dokuczała samotność podczas ich nieobecności.

Jednak nie odważył się im towarzyszyć, bo Kao Lien wkrótce znów miał wyruszyć z karawaną na Zachód i należało wybrać najlepsze chińskie towary do wypełnienia juków. Co więcej, ponieważ biali kolonizatorzy Indii przynieśli ze sobą pokój,

Ezra zamierzał wysłać tam dwoje zaufanych ludzi z chińskimi wyrobami na sprzedaż. Ostatecznie Ezrę przekonał Kung Chen, mówiąc, że poniesie wielkie straty, jeśli karawana nie wyruszy na tyle wcześnie, by towary z Zachodu dotarły do nich najpóźniej w pierwszych dniach zimy. Tak więc Ezra został w domu, by pilnować interesów. Pocieszał się myślą, że będą z nim Matka Wang i Stary Wang. Poza tym Kao Lien obiecał, że zamieszka z Ezrą do czasu odjazdu karawany, Dawid przyrzekł, że wkrótce wróci, a Kung Chen - że codziennie wspólnie z Ezrą będzie jadł kolację.

Na dżonce początkowo panowało ogromne zamieszanie.

Dzieci płakały przerażone, kiedy marynarze, krzyżąc i przeklinając, odcumowali wielką dżonkę od brzegu i skierowali ją na środek rzeki, odpychając długimi bambusowymi kijami i wiosłując, póki wiatr nie wydał żagli. Piastunki zajęły się dziećmi powierzonymi ich opiece, niemowlę przywarło do piersi mamki i w końcu zrobiło się cicho. Peonia troszczyła się o swoją młodą panią: zadbała, by posadzono ją na kanapie i podano jej herbatę i słodkości, rozpakowała poduszki, wachlarze, pościel, piecyki na węgiel drzewny i wszystko, co mogło uprzyjemnić podróż. Potem wypytała kucharzy, którzy od wczesnego ranka urzędowali na pokładzie, co zamierzają przygotować na posiłek, i dopiero, gdy ich odpowiedź ją usatysfakcjonowała, odprężyła się i rozejrzała wokół, żeby się przekonać, jak będą mieszkać przez najbliższe dni.

Dżonka była potężna, przeznaczona do żeglugi po rzece, dziób i rufa sterczały wysoko nad wodą. Na dziobie wymalowano parę wielkich oczu, a na rufie - ogon ryby. Członkowie załogi z żonami i dziećmi zajmowali dwie małe kabiny na rufie. Tę część pokładu odgrodzono, a oni sami trzymali się z dala od pasażerów. Każde dziecko było w pasie przewiązane liną, więc w razie gdyby wpadło do wody, matka mogła je wyciągnąć. Peonia stwierdziła, że to doskonały pomysł. Wzięła dwa zwoje miękkiej, konopnej liny, którą jej dał właściciel dżonki, ale kiedy chciała nimi przewiązać w pasie synów Dawida, zaczęli krzyczeć wniebogłosy, tak że nie miała innego wyjścia, jak tylko nakazać służącym, by trzymały chłopców za szarfy i ani na chwilę nie spuszczały z nich oka. I tak dwie służące miały zajęcie przez cały dzień, a Peonia dziękowała niebiosom, że najmłodsze dziecko jeszcze nie umie chodzić.

Z pomieszczeniami właściciela łodzi sąsiadowały kuchnie, w których nocą spali kucharze. Były małe, ale znajdowało się w nich wszystko, co potrzebne do przygotowania posiłków, i wkrótce kucharze przystąpili do pracy. Naprzeciwko kuchni mieściły się kajuty dla pasażerów i wielki salon, gdzie spędzano czas w ciągu dnia. W nim będzie musiała spać Peonia, bo jedną kajutę przeznaczono dla dzieci i ich piastunek, drugą dla Dawida i jego żony, więc dla Peonii zabrakło osobnego pomieszczenia. Była to spora niedogodność, ale Peonia pocieszała się, że kiedy będzie bardzo spragniona samotności, może usiąść na zewnątrz, pod oknami salonu, gdzie pokład był tak wąski, że piastunki nie pozwalały tam chodzić dzieciom, a jej pani nie odważy się tam zapuścić. To miejsce Peonia miała tylko dla siebie. Salon wychodził na szeroki pokład z lakierowanych desek, których nie niszczyły ani słońce, ani deszcz.

Lakier pochodził z Ningbo, słynącego z produkcji dżonek i statków morskich.

I tak rozpoczęła się podróż, która miała trwać wiele dni.

Peonia z niecierpliwością wypatrywała każdego nowego dnia.

Miała sporo pracy, doglądając wszystkiego, lecz znalazła też czas, żeby siedzieć, pogrążona w marzeniach, na swoim skrawku pokładu, gdzie spokój zakłócali jej jedynie członkowie załogi przechodzący z rufy na dziób i z powrotem, albo kiedy musieli wiosłować - gdy przestawał wiać wiatr - póki nie spuszczone lin holowniczych. Peonia bardzo się bała, żeby Dawida nie ogarnęło zniecierpliwienie. Był przyzwyczajony do przestrzeni i licznych dziedzińców. Jak wytrzyma wiele dni, zamknięty na tej dżonce z płaczącymi dziećmi, od czasu do czasu kapryszą żoną? Początkowo się denerwowała; potem stwierdziła, że jej obawy są bezpodstawne.

Dawida fascynowały widoki, przesuwające się przed jego oczami. Czasem płynęły tak wolno, że mógł iść brzegiem, toteż wiele kilometrów pokonał pieszo. Znalazł się w okolicach, których nigdy wcześniej nie widział. Wszędzie traktowano go grzecznie, a kiedy ludzie ciągnący liny holownicze zatrzymywali się, żeby odpocząć, coś zjeść i napić się herbaty, on też posilał się na brzegu. Mieszkańcy mijanych miejscowości odnosili się do niego uprzejmie, pytając go jedynie, skąd przybywa. Kiedy im podawał nazwę swego miasta, dziwili się.

- Nie wiedzieliśmy, że mieszkają tam cudzoziemcy - mówili.

- Nie jestem cudzoziemcem - wyjaśniał. - Urodziłem się w tym mieście, podobnie jak mój ojciec.

- A z jakiego kraju pochodzą twoi przodkowie? - pytali więc.

- Zza gór - odpowiadał, a oni kiwali głowami, zaspokoiwszy swoją ciekawość.

Rzadko rozmawiał z Peonią, bo mieli mało po temu okazji.

Poza tym oboje wiedzieli, że Kueilan byłaby niezadowolona, gdyby zobaczyła swego męża rozmawiającego z niewolnicą i częściej, niż zachodziła potrzeba. Jednak czasami, kiedy Peonia już położyła swoją panią do łóżka i szła na pokład, żeby powiedzieć Dawidowi, że wszystko jest przygotowane do snu, Dawid zostawał z nią parę minut, zwłaszcza gdy świecił księżyc.

Podczas jednej z takich nocy powiedział Peonii:

- Mój ojciec zawsze mówił, że Chińczycy są nam życzliwi, ale dopiero teraz sam się przekonałem, jak niezmierna jest ich dobroć. Mieszkańcy nadrzecznych wiosek nie znają mnie, a jednak kłaniają mi się i serdecznie witają w gospodach.

Zadziwia mnie ich łagodność.

- Czyż wszyscy ludzie nie są braćmi na tej ziemi? - odpowiedziała Peonia słowami mędrców.

Dawid pokręcił głową.

- Wszędzie słyhać te słuszne słowa - odparł - ale nie zawsze towarzyszą im równie dobre uczynki.

Udał się do kajuty na nocny spoczynek, a Peonia samotnie stała w blasku księżyca.

Rzeczywiście była to łagodna kraina. Wzdłuż brzegów rzeki zieleniły się poletka ryżowe, prawie w każdej wiosce drzewa brzoskwiń obsypane były różowymi kwiatami, które nocą przybierały perłową barwę. W oddali na tle nieba rysowały się wzgórza, woda w świetle księżyca wyglądała jak płynne złoto. Urodzajna kraina, zamieszkaana przez dobrych ludzi. To prawda, że grasowali tu złodzieje, a na rzece piraci, ale okradali wszystkich, bez względu na kolor skóry. Dzięki temu, że towarzyszyła im łódź ze strażnikami, Dawid i jego rodzina mogli

się czuć bezpiecznie. Dostali od gubernatora flagę do zawieszenia na maszcie; informowała ona, że wiozą dary na cesarski dwór, więc nikt nie śmiał ich zaatakować.

- Kiedy zapadała cisza, Peonia szła do pustego o tej porze salonu i rozwijała kołdry, które na dzień chowała pod kanapami, a następnie przygotowywała się do snu. Spała dobrze dzięki podmuchom świeżej bryzy, które ją orzeźwiały.

Z jednej prowincji wpływali do drugiej, aż w końcu dotarli w pobliże portu, gdzie rzeka łączyła się z Wielkim Kanałem.

Nie chcieli płynąć do morza, nie chcieli się też przesiąść na małe łodzie, żeglujące po kanale. Dlatego w umówionym miejscu zeszli z pokładu dżonki, która przez tyle dni była im domem, i przesiedli się do zaprzężonych w muły wozów, które miały ich zabrać na północ.

Peonia często żałowała, że nie są już na dżonce, bo teraz musieli przez cały dzień jechać wyboistymi drogami, robić krótkie postoje, by w pośpiechu coś zjeść, a nocowali w gospodach. Peonia naprawdę była poirytowana, bo niemal z cudem graniczyło znalezienie czystego, porządnego zajazdu. Każdego wieczoru właściciel gospody, gdziekolwiek się znaleźli, wychodził i przymilał się na widok licznego orszaku, pokrzykiwał na swych ludzi, by przygotowali jedzenie i herbatę, zapewniał, że ma czyste pokoje ze wszelkimi wygodami. Ale kiedy Peonia je oglądała, często okazywało się, że są brudne. Kiedy były w nich pchły i pluskwy, nie pozwalała wnieść pościeli, póki nie zagotowano wody i nie polano wrzątkiem stelaży łóżek. Wszystkie te sprawy spadały na jej głowę, bo jej pani nie potrafiła niczego załatwić, a Dawid był spragniony nowych widoków i jak tylko znaleźli się w jakiejś nowej miejscowości, zostawiał rodzinę i udawał się na zwiedzanie.

W końcu dotarli do Pekinu. Nawet dzieci się uciszyły, kiedy wszyscy spoglądali w zachwycie na długi szary mur, wznoszący się wysoko nad rozległą równiną. Słyszeli o cudach tej stolicy, ale nawet Dawid nie był przygotowany na to, co zobaczyli. Mury miejskie okazały się tak grube, że gdy wjechali w bramę, w środku panował półmrok, chociaż na zewnątrz był dzień.

Potem znaleźli się na wybrukowanej i tak szerokiej ulicy, że samej Peonii zabrakło słów i mogła tylko patrzeć w niemym zachwycie.

Kung Chen wcześniej poprosił o wyszukanie odpowiedniego lokum dla syna Ezry i jego rodziny. Kiedy wreszcie przybyli na miejsce, po drugiej stronie bramy już czekali ludzie Kung Chena, by ich powitać. Dawid został z nimi w sali głównej, a Peonia zaprowadziła Kueilan i dzieci do ich pokoi. Służący od razu wzięli się do pracy i wkrótce przygotowali komnaty dla znamienitych gości.

Chłopcom podobało się wszystko, co nowe, Kueilan zaś przechadzała się po ogrodach i zachwycała skalniakami i miniaturowymi śliwami. Tak zaczęły się ich wakacje. Ale dla Peonii najważniejszy był Dawid. Czy dla niego to też będą wakacje? Uspokoiła się, gdy zobaczyła, że ma rozradowaną minę, a oczy mu błyszczą z przejęcia.

- Zostańmy tu jak najdłużej, dobrze, matko moich synów? - zwrócił się do swojej żony, a ona uśmiechnęła się do niego, ciesząc się, że jest zadowolony. Nagle zalała go fala czułości. - Moje maleństwo! - wykrzyknął. - Wyglądasz jak wtedy, kiedy ujrzałem cię pierwszy raz!

Słyszając to, Peonia wymknęła się z pomieszczenia, żeby jej obecność nie przeszkodziła ich odradzającej się miłości. Jej serce przepelniał smutek; wiedziała o jego istnieniu, ale nie pozwalała, by nią zawładnął. Na powierzchni jeziora unosiły się kwiaty lotosu, wyrastające z mrocznego i pęsnego dna.

Zerwie je.

Tej wiosny Pekin był wyjątkowo piękny. Ludzie, uwolnieni od lęków i niedogodności, jakie pociągała za sobą wojna, cieszyli się z powrotu dworu cesarskiego do miasta. Obie cesarzowe - starsza, Wschodniego Pałacu, i młodsza, Zachodniego Pałacu - rządziły jako regentki małoletniego cesarza. Cesarzowa Zachodniego Pałacu kochała życie i władzę. Już można się było przekonać, że pod jej rządami kraj będzie się rozwijał, nastąpi rozkwit wszelkiego rodzaju sztuk, handel zyska na znaczeniu.

Dawid doskonale czuł się w takiej atmosferze. Opuścił go poprzedni smutek, zmienił mu się wyraz oczu. Zniknął melancholijny nastrój, który zdawał się dlań typowy, rozpieściła go energia i chęć działania, które do tej pory pojawiały się tylko wtedy, gdy się buntował.

- Kocham to miasto - powiedział Peonii pewnego dnia.

- Spójrz na tych ludzi... Wysocy mężczyźni... Urodziwe kobiety. Peonio, wyglądasz tutaj jak dziecko.

Peonia nie była pewna, czy podoba jej się to porównanie.

Rzeczywiście kobiety na ogół były od niej wyższe i postawniejsze, miały bardziej wydatne kości policzkowe. Zrobiła nadąsaną minę i Dawid się roześmiał.

- W takim razie pomówmy o czymś innym! Szerokie ulice... Lubię przestrzeń.

Z tym Peonia się zgadzała. Miasto wzniesiono z rozmachem, szerokimi ulicami mogło jechać obok siebie i dziesięć wozów, a po obu stronach ciągnęły się sklepy, pełne najprzedniejszych towarów. Ludzie byli nie tylko urodziwi, ale również uprzejmi i szlachetni. Nigdzie nie dostrzegało się niczego małego. Wielkość północy widoczna była w tym mieście, w którym do mięsa podawano pszenne pieczywo zamiast ryżu. Wiele osób się tu spotykało i

Dawidowi sprawiały przyjemność uczty w pierwszorzędnym gospodarstwie z przyjaciółmi Kung Chena.

Jadł pieczeń baranią w muzułmańskiej gospodzie, w innej spędzał pół nocy przy pieczonej kaczce i obie potrawy uznał za równie smaczne. Baraninę, kruchą i odpowiednio przyprawioną, podzielono na kawałki i upieczono na rożenkach nad węglem drzewnym, a podano z gotowanymi na parze bułeczkami.

A jednak kaczka po pekińsku była chyba jeszcze lepsza.

Każdego wieczoru Dawid zasiadał w takiej bądź innej gospodzie z ludźmi tak beztroskimi i wesołymi, że mógłby pomyśleć, że nigdy nie pracują, tylko oddają się przyjemnościom życia, a przecież w dzień podziwiał ich jako wytrawnych kupców. Wieczorem siadali wokół dużego okrągłego stołu, najpierw zjadali przekąski, później właściciel gospody pojawiał się z zabitymi i oskubanymi, ale jeszcze nieupieczonymi kaczkami. Kierując się ich wagą, tłustością i wyglądem skóry, wybierali dwie, które nadziewano na rożen i obracano nad węglem, aż ich skórka stawała się brązowa i błyszcząca od tłuszczu. Na początek podawano im paseczki ciemnej skórki, a do nich cieniutkie naleśniki z mąki pszennej i czerwoną, słodką galaretkę z głogu. Zawijali chrupiącą skórę kaczki w naleśniki, do każdego wkładając po łyżce galaretki, i zjadali je, gorące i słodkie, popijając grzanym winem nalewanym do małych czarek. Potem przychodziła kolej na następne dania: doprawione mięso upieczonej kaczki najpierw z kruchą kapustą, później z grzybami, pędami bambusa, kasztanami. Każda potrawa była inna, ale wszystkie równie smaczne. Na koniec zostawiano prawdziwy rarytas: rozcięty na pół łebek kaczki, żeby można było wybierać pałeczkami mózg i rozkoszować się jego delikatnym smakiem.

Komu znudziłyby się takie uczty? A przecież istniały jeszcze gospody wegetariańskie, gdzie mogli się posilać pobożni buddyści, którzy dla zbawienia swych dusz zrezygnowali zjedzenia mięsa. W owych gospodarstwach jarzyny przyrządzano w taki sposób, że goście gotowi byli przysiąc, że to mięso, chociaż dania nie zawierały go ani grama. Buddyści napawali oczy ich widokiem, ulegali złudzeniu, że jedzą zabronione im mięso, nie skazując swych dusz na potępienie.

- Jacy mądrzy są ci ludzie! - wykrzykiwał Dawid, codziennie odkrywając coś nowego.

Rzeczywiście, przyjemności, którym się oddawał za młodu, wydawały się niczym w porównaniu z różnorodnością uciech, jakie teraz poznawał w Pekinie. Tu występowały najlepsze trupy teatralne, popisywali się najzręczniejsi magicy i żonglerzy, koncertowali najslawniejsi śpiewacy i muzycy, zjeżdżali najwybitniejsi uczeni.

Czekając na audiencję u obu cesarzowych, Dawid rozkoszował się każdą formą rozrywki, jaką oferowało miasto.

Nie był jednak samolubnym egoistą. Ranki poświęcał na interesy ojca i Kung Chena - odwiedził każdego bogatego kupca w mieście, zawarł nowe kontrakty na dostawę towarów, przyjął zamówienia na fantastyczne wyroby z Europy i Indii. Bo tutejsi kupcy znali urządzenia mechaniczne, tkaniny, lampy i zabawki wytwarzane za granicą, i pragnęli tych przedmiotów dla siebie i na sprzedaż. Szczególną popularnością cieszyły się zegary. W pałacu obok wielkiego pozłacanego zegara, który wiele lat temu Kao Lien przywiózł jako dar dla cesarza, znajdowało się teraz wiele innych. Dawidowi powiedziano, że w jednej komnacie jest ponad sto zegarów. To, co kiedyś było darem godnym władcy, teraz stało się obiektem pożądania zwykłych ludzi, i Dawid napisał do swego ojca: „Wydaje mi się, że zegary można tu sprzedawać tysiącami, w pierwszym rzędzie nie te najdroższe, a bogato złożone i zdobione figurkami. Ale wszystkie zagraniczne wyroby są wysoce cenione. Ci ludzie mają to, co najlepsze: najdelikatniejsze jedwabie, ałasy i hafty, najdroższą biżuterię i meble, lecz ich umiłowanie nowinek jest tak duże, że kupią każdą importowaną błyskotkę”.

Po rankach, wypełnionych interesami, Dawid spędzał popołudnia z rodziną, chyba że dzień był deszczowy albo, co gorsze od deszczu, w powietrzu unosił się pył, przywiany do miasta z odległych pustyń. Trzymając swoich synków za ręce, Dawid spacerował po zagajnikach otaczających świątynie, chodził do teatrów i na bazyry, podziwiał popisy fakirow. Często towarzyszyła mu żona, z jednej strony onieśmielona, z drugiej powodowana ciekawością. Bez względu na to, czy Kueilan z nimi szła czy nie - bo czasami narzekała, że bolą ją nogi i nie może iść - Peonia zawsze wybierała się z dziećmi. Przeżywała teraz najszczęśliwszy okres w swoim życiu. Z Dawidem i jego synami śmiała się i zwiedzała miasto, oszołomiona tym, co widzi. Nigdy się nie skarżyła na zmęczenie, zawsze była pogodna i w miarę upływu tygodni chodziła na spacerzy częściej niż jej pani.

Kueilan bowiem zaprzyjaźniła się z żonami kilku kupców i coraz chętniej spędzała czas z nimi - panie zbierały się to w jednym domu, to w drugim. Poruszały się po mieście w lektykach z zasłonkami, a całe popołudnia i wieczory grały w madzonga, aż stało się to ich pasją. Służba jeszcze je do tego zachęcała, ponieważ zanim damy się pożegnały, grzeczność nakazywała im wrzucić sztukę srebra do miseczki stojącej na stole. Później służące dzieliły się pieniędzmi. Peonia nie uczestniczyła w tym podziale, bo uważała się za kogoś lepszego, ale by nie urazić niczyich uczuć, usprawiedliwiła się następująco: „Ponieważ muszę towarzyszyć paniczom i ich ojcu, nie mogę wam pomagać w obsłudze naszej pani, więc nie mam prawa do tych pieniędzy”.

Nie mówiło się o szybkim powrocie do domu. Po pierwsze opóźniało się wręczenie cesarzowym darów przywiezionych przez Dawida, bo jeszcze nie wyznaczono daty audiencji; tygodnie urosły do miesięcy, ponieważ wszyscy byli zajęci niezbędnymi remontami w ałacu. Kiedy dwór przebywał na wygnaniu, doszło do poważnych zniszczeń, które teraz należało usunąć. Poza tym Cesarzowa Zachodniego Pałacu miała rozległe plany dotyczące rozbudowy nowej rezydencji, wytyczenia dodatkowych dziedzińców, wykopania stawów, założenia skalniaków i ogrodów. Wojny z białymi i powstanie tajpingów na południu znacznie nadwężyły cesarski skarbiec.

Dlatego Cesarzowa Zachodniego Pałacu zażądała ustanowienia nowych podatków i danin, głównie po to, by zdobyć środki na wzniesienie Pałacu Letniego i upiększenie przylegającego doń jeziora. Marzyła o marmurowej łodzi na jeziorze, na tyle dużej, aby wszystkie jej damy dworu mogły tam zjeść kolację, a potem obejrzeć sztukę w wykonaniu setek aktorów. Ministrowie lamentowali, słysząc o takich wydatkach, i po mieście krążyły plotki o jej wygórowanych ambicjach i uporze. Urzędnicy błagali ją, by pamiętała, że wojny z białymi przegrano z braku dobrej armii i że w dzisiejszych czasach nie wystarczą miecze, kiedy inne kraje dysponują rusznicami. Ale ich władczyni odpowiadała na to arogancko: „Kiedy cesarski dwór jest okazały, wszyscy mieszkańcy kraju mają powód do chluby”, i plotka o tym też krążyła po mieście.

Jednak ludzie, słysząc, jaka dumna i władcza jest owa kobieta, brali to za dobry znak. Najbardziej bano się słabych i leniwych panujących, a Cesarzowa Zachodniego Pałacu z całą pewnością nie zaliczała się do takich. Tematem żartów i piosenek były nawet jej kłótnie z Cesarzową Wschodniego Pałacu. Poddani stali się uparci i zuchwali, bo takie cechy miała ich młoda władczyni.

Na początku lata Dawid otrzymał wreszcie wezwanie na dwór i przygotował się do wizyty w pałacu. Miał się stawić przed obliczem władczyń wkrótce po wschodzie słońca, po ich spotkaniu z ministrami, kiedy cesarzowe miały czas na wysłuchiwanie propozycji dotyczących nowych źródeł dochodów i na przyjmowanie darów.

Peonia wstała wcześniej i pomogła Dawidowi się ubrać, a także przypilnowała, żeby coś zjadł. Odprowadziła go do bramy, gdzie zgromadzili się służący, niezwykle przejęci, że ich pan wybiera się na cesarski dwór. Nie mogli oderwać oczu od Dawida, prezentującego się nadzwyczaj wytwornie w nowym stroju z niebieskiego jedwabiu i czarnego aksamitu, w kapeluszu z frędzlami, z nefrytowymi pierścieniami na palcach.

Peonia zaczęła, aż jego wielka lektyka zniknie za bramą, i z powrotem położyła się do łóżka, ale już nie zasnęła. Za godzinę czy dwie będzie musiała dopilnować, by nakarmiono

dzieci i się nimi zajęto, by przyszykowano potrawy na wieczór, bo dziś damy miały grać w madzonga tutaj. Nie wiedziała, kiedy wróci Dawid, a trzeba było się przygotować również na to. Jej pani musi wstać, ubrać się i czekać na swego małżonka, by wysłuchać jego relacji z audiencji. Bo Peonia zawsze starała się dopilnować, by jej pani zachowywała się jak wzorowa żona.

Nie pozwalała Kueilan pokazywać się mężowi nieuczesaną czy w pomiętej sukni. Kueilan często zrzedziła, mówiąc: „Jestem już starą mężatką, Peonio. Czy nigdy nie będę miała spokoju?”

Najpierw zgodziłam się nie krępować stóp, żeby ci sprawić przyjemność. Teraz muszę dbać o fryzurę, wyskubywać sobie brwi, malować paznokcie. Perfumujesz mnie, jak dziewczynkę sypiącą kwiaty na weselu. Kiedy wreszcie będę miała trochę spokoju?”.

Na to Peonia się uśmiechała i mówiła: „To sprawia przyjemność pani mężowi, prawda?”.

Pewnego razu, kiedy Peonia jej tak odpowiedziała, Kueilan obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem i zauważyła:

- A więc chodzi jedynie o to, by jemu sprawić przyjemność? Ja się nie liczę.

Peonia poczuła, jak serce jej zamarło w piersi. Ale po chwili powiedziała:

- Rozumiem, że to, co sprawia przyjemność panu, sprawia również przyjemność tobie, pani. Ale jeśli się myślę, proszę mnie wyprowadzić z błędu.

Kueilan znalazła się w kłopotliwym położeniu, bo jak mogła oświadczyć, że nie zależy jej na tym, by sprawiać przyjemność swemu mężowi? Zamilkła, więc, a Peonia już się potem pilnowała, by nigdy nie wspominać przy niej o Dawidzie.

Wciąż się czegoś uczyła i zdobywała mądrość życiową.

Kiedy Dawid wrócił przed południem zmęczony, ale z triumfującą miną, wszyscy na niego czekali: żona wystrojona i zadbana, dzieci schludne i zaciekawione, służący pełni szacunku, a zarazem zaintrygowani.

Peonia powitała go w bramie.

- Czy za dużo wymagamy, prosząc, żebyś nam zdał relację z tego, co się wydarzyło? Wystarczy, jak raz nam opowiesz.

Pozostałym powtórzemy wszystko, co usłyszymy od ciebie.

- Najpierw chciałbym coś zjeść i napić się czegoś, bo jest mi słabo - odparł Dawid. - Nie pozwolono nam usiąść, musiałem cały czas klęczeć, i teraz bolą mnie kolana.

Poszła za nim do jego komnaty, pomogła mu zdjąć ciężki kapelusz i wierzchnią szatę, którą odłożył na bok, oraz wysokie aksamitne buty. Następnie podała mu kaftan z cienkiego

jedwabiu i krótkie atłasowe pantofle. Zjadł i wypił to, co kazała dla niego przynieść, potem przespał się godzinę i był gotów do zrelacjonowania wydarzeń poranka.

Peonia zebrała wszystkich w sali głównej. Dawid usiadł na honorowym miejscu i spojrzał na swoją rodzinę i służących.

Dzień był pogodny, promienie słoneczne zalewały dziedziniec i wpadały przez szeroko otwarte drzwi. Pomyślał sobie, że już samo to wystarczy, by odczuwać dumę. Jego żona siedziała przy stole naprzeciwko niego. Miała na sobie suknię z miękkiego zielonego atłasu, w uszach i upiętych w kok włosach nefryty, a na palcach i przegubach rąk - złoto i nefryty. Była tak samo śliczna, jak dziewczyna, którą po raz pierwszy zobaczył w domu Kung Chena. Obok niej stali ich dwaj urodziwi synowie, ubrani jak mężczyźni w długie jedwabne szaty, z włosami splecionymi w warkoczyki i przewiązanymi wstążkami z czerwonego jedwabiu. Trzeci syn dopiero uczył się chodzić; piastunka trzymała go za szeroką jedwabną szarfę i szła za nim wszędzie, dokąd dreptał. Peonia siedziała w pobliżu drzwi.

Jak dobrze znał jej spokojną, śliczną twarz. Służący skupili się razem i czekali na opowieść swego pana. Wziął czarkę z herbatą, upił kilka łyków i odstawił ją, po czym zaczął mówić:

- Musicie wiedzieć, że nie jest łatwo dostać się przed oblicze cesarzowych. Czekałem ponad dwie godziny w przedsionku razem z innymi, którym na dziś wyznaczono audiencję.

Ani na chwilę nie pozwolono nam usiąść, nie poczęstowano nas herbatą. Zaprowadził nas tam jeden z eunuchów i kazał czekać, a potem pojawił się sam główny eunuch. Najpierw nam powiedział, czego się mamy spodziewać i jak się zachować. Poinformował, że Cesarzowa Wschodniego Pałacu jest dziś chora, więc przyjmie nas tylko Cesarzowa Zachodniego Pałacu. Nie wolno nam było patrzeć na cesarski parawan, który oddzielał nas...

W tym momencie najstarszy syn Dawida zawołał:

- Tato, nie widziałeś cesarzowej?

Dawid pokręcił głową.

- Nikomu nie wolno jej oglądać, mój pierworodny synu. Jest cesarzową, ale jest również kobietą... Do tego urodziwą i owdowiałą. Musi się zachowywać tak, by nikomu nie dać najmniejszego powodu do krytyki. A więc weszliśmy wszyscy, mnie przydzielono trzecie miejsce...

- Dlaczego trzecie, tato? - znów zapytał jego syn.

Dawid spojrzał na niego ze zniecierpliwieniem, więc Peonia wstała cicho, wzięła chłopczyka za rączkę, wróciła z nim na swoje miejsce, a potem posadziła go sobie na kolanach. Dopiero wtedy Dawid podjął przerwana opowieść:

- Przydzielono mi trzecie miejsce, ponieważ nie mam stopnia urzędniczego, a przede mną były dwie osoby, które je mają. Byłem pierwszy wśród tych bez stopnia, a to dlatego, że Kung Chen zajmuje wyjątkową pozycję w naszej prowincji i gubernator wspominał o nim na dworze.

W dalszej części swej relacji Dawid powiedział im, jak wszedł i się pokłonił, dotykając czołem podłogi, jak musiał pozostać w tej pozycji, póki nie wywołano jego nazwiska, jak potem stał z pochyloną głową i przedstawiał swoje dary, które musiał oddać, gdy przekraczał próg sali. Wyjaśnił cesarzowej, że prezenty pochodzą z Europy i chociaż nie dorównują temu, co już jest w pałacu, ma nadzieję, że zaciekawia Jej Cesarską Mość swoją oryginalnością. Potem mówił o firmie Ezry i zawartych przez nią umowach z firmą Kunga. Podziękował cesarzowej za to, że żyją tutaj w spokoju, chociaż jego przodkowie przybyli tu z obcego kraju.

Dawid umilkł na moment i spojrzał na nich z pewną dumą.

- Kiedy o tym wspomniałem, Cesarzowa Zachodniego Pałacu przemówiła do mnie.

- Co powiedziała? - Kueilan nie mogła powstrzymać ciekawości.

- Spytała, czy ty też jesteś cudzoziemką, więc odparłem, że nie. Potem chciała wiedzieć, czy mam dzieci. Pochwaliłem się, że mam trzech synów. Posłuchajcie, co nastąpiło wtedy... Cesarzowa poleciła, żebym przyprowadził do niej swoich synów, ponieważ jeszcze nigdy nie widziała dzieci, w których żyłach płynie cudzoziemska krew!

Wywołało to konsternację, dumę i wielkie poruszenie.

- Czy wyznaczyła dzień?! - wykrzyknęła Kueilan.

- Mamy wszyscy stawić się jutro o czwartej po południu. Ja zaczekam w przedsionku, ale ty, dzieci i ich piastunki macie iść do ogrodu, gdzie damy dworu będą zbierały kwiaty. Zaprowadzi was tam główny eunuch i pozostaniecie tak długo, jak wam będzie kazał, a potem wróćcie.

- Peonia musi pójść ze mną - oświadczyła Kueilan.

- Och, nie! - wykrzyknęła Peonia.

- Owszem, musisz iść - powiedział władczo Dawid. - Tylko ty potrafisz powstrzymać dzieci od płaczu.

A więc o wszystkim zdecydowano. Ten jeden raz Kueilan była zbyt rozkojarzona, by dobrze grać w madzonga, i wieczorem, kiedy przyszła Peonia, żeby położyć ją do łóżka, jej pani nie kryła niezadowolenia, ponieważ straciła dużo pieniędzy.

- Ma pani bogatego i hojnego męża - przypomniała jej Peonia. - Nie będzie miał do pani pretensji o przegraną.

Ale nie poprawiło to humoru Kueilan, nadal była rozdrażniona. W końcu Peonia oddaliła się, by odszukać Dawida i go poinformować, że wszystko przygotowane do snu.

Znalazła go w ogrodzie, pogrążonego w zadumie. Siedział na bambusowym krześle pod poskręcaną sosną. Wysłuchał, co mu miała do powiedzenia, i w milczeniu skinął głową. Widząc, że nad czymś rozmyśla, Peonia czekała, na wypadek gdyby zechciał się z nią podzielić swymi refleksjami. Ponieważ się nie odezwał, zadała mu pytanie, by mieć pretekst do pozostania z nim trochę dłużej.

- Jak w twoich uszach brzmiał głos Cesarzowej Zachodniego Pałacu?

- Jest silny i świeży, ale pozbawiony słodczy - odpowiedział. Potem wyznał, nad czym rozmyślał. - Peonio, nigdy wcześniej nie czułem tak wyraźnie cesarskiej łaskawości, okazanej moim rodakom. Cesarzowa wiedziała, że jestem cudzoziemcem, słyszała, jak jej dziękowałem... A jedyne, czego sobie zażyczyła, to zobaczyć moje dzieci.

- Nie ma nic potężniejszego niż kobieca ciekawość - stwierdziła Peonia z uśmiechem.

- Prócz niechęci! - wykrzyknął.

- Dlaczego mielibyśmy okazywać wam niechęć, skoro nigdy nie prowadziliście z nami wojny ani nie zabieraliście ziemi, ani niczego, co nie należało do was? - zapytała Peonia.

- Jesteście dobrymi ludźmi... Ty i twój ojciec jesteście przyzwoitymi ludźmi.

Dawid spojrział na nią dziwnie.

- W innych krajach nie uchroniło nas to przed pogromami - przypomniał jej.

- Tamte narody cechuje brak rozsądku - odparła Peonia. - My zaś rozsądek wysysamy z mlekiem matki.

I pożegnawszy go, odeszła, ale im dłużej się zastanawiała nad tym, co powiedział Dawid, tym mniejszą miała pewność, czy to dobrze, że jest taki wdzięczny cesarzowej, i czy należy się cieszyć z tego, że słowa cesarzowej sprawiły, iż znów poczuł się jak cudzoziemiec. Peonia westchnęła i po raz pierwszy zaczęła żałować, że nie wyznaczono jeszcze dnia powrotu do rodzinnego miasta.

Nazajutrz nie było czasu na rozmyślanie ani pobożne życzenia. Prawie cały dzień upłynął na przygotowaniach do wizyty na cesarskim dworze. Kueilan wiele godzin poświęciła na kąpiel, pudrowanie ciała i wkładanie szat. Trzeba jej było wyrwać każdy sterczący włoszek nad czołem, a tylko Peonia potrafiła to zrobić tak, żeby nie sprawić bólu. Potem Kueilan złamał się paznokieć u trzeciego palca prawej ręki, więc się popłakała ze złości.

- Jak mam to ukryć? - zapytała Peonię, wyciągając małą rączkę, która wciąż przypominała pąk lotosu.

- I tak nałożymy na palce srebrne osłonki - odrzekła Peonia. - Kto się dowie, że pod spodem jest złamany paznokieć? Pani, proszę, siedź spokojnie i niech inni cię obsługują, bo jeszcze sobie złamiesz kolejny paznokieć.

Następnie Kueilan zaczęła rozpaczać z powodu swych stóp. Z ogromnym niezadowoleniem patrzyła na swoje pantofelki, teraz znacznie większe od tych, które nosiła dawniej.

- Wstydzę się pokazać ze stopami wielkimi jak u wieśniaczki - oświadczyła Peonii. - Żałuję, że cię posłuchałam.

- Twój mąż był bardzo z ciebie zadowolony, pani - zauważyła Peonia, choć wcześniej obiecała sobie, że nie będzie o nim wspominać w rozmowie z Kueilan.

- Tylko przez dzień lub dwa - odparła nadąsana Kueilan.

- Teraz nie zwraca na nie uwagi. Zapomniał o wszystkich moich cierpieniach. Ale ja muszę codziennie oglądać swoje stopy. A dziś przyniosą mi wstyd przed cesarzowymi. Z pewnością one mają bardzo malutkie stopki!

Na szczęście Peonia przypomniała sobie, co wyczytała w swoich książkach.

- Mylisz się, pani. Cesarzowe nie są Chinkami, tylko Mandżurkami. Nigdy im nie krępowano stóp, więc muszą być one znacznie większe od twoich!

Kueilan aż wykrzyknęła, słysząc o tym, ale wielce ją to uspokoiło. Później, już gotowa do wyjścia, usiadła na krześle i przyglądała się, jak pod okiem Peonii służące ubierają dzieci.

To też wymagało sporej cierpliwości, bo najpierw Kueilan nie spodobał się strój najstarszego syna, a kiedy wreszcie wszyscy byli gotowi, trzeci synek tak się przejął panującym zamieszaniem i nerwową atmosferą, że zwymiotował, brudząc sobie ubranko, i należało go przebrać.

- Chciałabym, żeby już było po wszystkim - jęknęła Kueilan, gdy w końcu wstała i ruszyła ku bramie, gdzie już czekały lektyki.

- Pani, będziesz opowiadała swoim wnukom o zaszczycie, który cię spotkał - powiedziała z uśmiechem Peonia, żeby ją uspokoić.

Kulisi podnieśli lektyki - palankin Dawida otwierał pochód. Wkrótce dotarli do wysokiego czworokątnego muru wokół pałacu. W bramie ich zatrzymano. Musieli zapłacić strażnikom, żeby ich przepuścili. Po chwili brama znów się za nimi zamknęła i lektyki postawiono na ziemi. Dawid wysiadł pierwszy i zaczął czekać, aż wysiądą pozostali. Przyjrzał się im uważnie i poczuł, jak rozpira go duma na widok pięknej żony i zdrowych dzieci. Potem zaniepokojony zwrócił się do Peonii:

- Peonio, nie odstępuj ich ani na krok! Nie pozwól biegać chłopcom... Pomóż ich matce udzielać odpowiedzi na pytania, kiedy ją o coś zapytają.

- Nie denerwuj się, panie - powiedziała Peonia, chociaż sama była bardzo zdenerwowana.

Dawid został na pierwszym dziedzińcu, a kobiety i dzieci eunuch przeprowadził przez kolejną bramę. Za nią spotkał je główny eunuch, wysoki, postawny mężczyzna, do którego Peonia z miejsca poczuła antypatię. Był przystojny, twarz miał pełną i bardzo gładką, głos piskliwy i cichy, ale nieprzyjemny.

Lecz nie miał oczu eunucha. Gapił się na nią bezczelnie, nie ukrywając podziwu, aż Peonia odwróciła wzrok. I wbrew sobie zaczerwieniła się, a potem zrobiło jej się zimno. A jeśli główny eunuch weźmie ten rumieniec za znak, że zauważyła jego zainteresowanie jej osobą? Trzymając się blisko swej pani, wzięła chłopców za ręce i wszyscy razem udali się za głównym eunuchem do ogrodów. W bramie przystanął i znów utkwiał bezczelny wzrok w Peonii, wydając polecenia piskliwym, nieprzyjemnym głosem.

- Ich Cesarskie Wysokości oglądają teraz lilie wodne - poinformował. - Macie stanąć obok wielkiej sosny tuż za bramą. Kiedy cesarzowe będą was mijały, musicie im się uklonić, dzieci też. Nie wolno wam się odezwać, póki cesarzowe nie przemówią do was. Jeśli przejdą bez słowa, wyprowadzę was. Jeśli zadadzą jakieś pytanie, powtórzę je. Macie udzielić odpowiedzi mnie, a ja przekażę ją Ich Wysokościom.

Gdy je wprowadził, Kueilan i Peonia wraz z piastunkami i dziećmi zatrzymały się pod wielką sosną. Główny eunuch stanął za nimi. W oddali, wśród kwiatów, przechadzały się cesarzowe, za którymi podążał orszak dam w pięknych, różnokolorowych kimonach. Był to śliczny widok i Peonia chętnie by się nim zachwyciła, gdyby nie główny eunuch. Dlaczego stanął bezpośrednio za nią? Przysunął się do niej tak blisko, że czuła na karku jego gorący oddech; wiedziała, że to oznacza, iż patrzy na jej włosy, szyję i ramiona. Postąpiła krok do przodu, główny eunuch też. Nagle zrobiło jej się słabo. Skąpany w słońcu obrazek, jaki miała przed oczami, przesłoniła mgielka: wszystkie żywe kolory zlały się i przypominały tęczę.

Peonia nie mogła już przesunąć się do przodu z uwagi na swoją panią, ale nie mogła też znieść za sobą obecności mężczyzny, który napawał ją obrzydzeniem. Kiedy się zachwiała, poczuła, że jeszcze bardziej się do niej zbliżył, i usłyszała jego cichy głos:

- Ta wyższa to Cesarzowa Zachodniego Pałacu. Jeśli któraś z nich przemówi, to ona, bo Cesarzowa Wschodniego Pałacu nigdy nie odzywa się przed nią.

Peonia poczuła, jak ten budzący odrazę mężczyzna napiera na nią swym wielkim ciałem. Nie mogła tego dłużej znieść.

Odsunęła się na bok, a na swoim miejscu kazała stanąć piastunce trzeciego syna. Peonia ani na chwilę nie uniosła wzroku, ale główny eunuch i tak ją zganił:

- Kobieto, nie rób zamieszania. Ich Cesarskie Wysokości są w pobliżu!

- Stój spokojnie, Peonio! - głośno szepnęła Kueilan.

Cóż mogła Peonia zrobić, jak tylko posłuchać? Jej twarz ponownie oblał rumieniec. Wszystko to zepsuło jej całą przyjemność spotkania z cesarzowymi. Ledwo zdawała sobie sprawę z tego, co nastąpiło później, i z trudem powstrzymała się od płaczu.

Najpierw przystanąła Cesarzowa Zachodniego Pałacu, a potem - Cesarzowa Wschodniego Pałacu w otoczeniu dam dworu.

- Kto to jest? - zwróciła się Cesarzowa Zachodniego Pałacu do głównego eunucha.

Wyjaśnił jej. Kobiety z dziećmi stały, a Cesarzowa Zachodniego Pałacu im się przyglądała. Peonia nie uniosła wzroku, wiedząc, że to zabronione, ale zobaczyła ręce cesarzowej; w jednej trzymała nefrytowy wachlarz, drugą miała opuszczoną wzdłuż ciała. Były to silne dłonie, jak na kobietę, dość duże, lecz bardzo kształtne. Na każdym palcu miała osłonkę ze złota, wytłaczaną i inkrustowaną drogimi kamieniami. Spod długiej szaty wystawały haftowane pantofelki na obciążniętych atłasem koturnach wysokości piętnastu centymetrów, żeby uczynić cesarzową wyższą.

Cesarzowa Wschodniego Pałacu nie odezwała się. Cesarzowa Zachodniego Pałacu długo przyglądała się dzieciom.

- Wyglądają na cudzoziemców - oznajmiła swoim damom dworu. - Wprawdzie ich włosy są czarne, ale kręcone. Mają okrągłe oczy, wydatne nosy. Lecz są urodziwe i wyglądają na zdrowe. Chciałabym, żeby nasz syn wyglądał tak zdrowo.

Westchnęła, po czym poleciła, żeby je poczęstowano słodyczami, a Peonia dziękowała niebiosom, że najmłodsze dziecko się nie rozplakało. Potem usłyszała, jak Cesarzowa Zachodniego Pałacu zadaje jeszcze jedno pytanie:

- Kim jest ta śliczna dziewczyna?

Wiedziała, że chodzi o nią, i jeszcze niżej spuściła głowę.

- To nasza niewolnica - wyjaśniła Kueilan głównemu eunuchowi, a on powtórzył:

- To niewolnica, Wasza Cesarska Wysokość!

- Za ładna na niewolnicę - odparła chłodno Cesarzowa Zachodniego Pałacu.

I ruszyła dalej, a za nią Cesarzowa Wschodniego Pałacu w asyście wszystkich dam dworu. Główny eunuch wyprowadził kobiety wraz z dziećmi z ogrodu. Był teraz uprzedzająco grzeczny, obdarował dzieci słodyczami, sięgnął ręką pod kaftan i wyjął pieniądze.

- To dla ciebie - zwrócił się do Peonii. - Jej Cesarska Wysokość nigdy nie zauważa innych kobiet. To niezwykle, że zapytała o ciebie. Wystarczy jedno moje słowo, byś trafiła na dwór. Będziesz tu miała wszystko, czego dusza zapagnie.

Mówiąc to, trzymał pieniądze w wysuniętej dłoni, ale Peonia ich nie wzięła. Pospieszyła za dziećmi, kręcąc głową, bo nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Jeszcze nigdy tak bardzo nie ucieszył jej widok Dawida. Wyszedł im na spotkanie. Zwięźle odpowiedziała na jego pytania.

- Tak, dzieci były grzeczne. Nasza pani wyglądała ślicznie. Jej Wysokość mówiła o zdrowiu dzieci.

Pragnęła jak najszybciej ukryć się w swej lektyce, bo główny eunuch wciąż się w nią wpatrywał. Kiedy zaciągnięto zasłonki i poczuła, jak kulisi podnoszą lektykę i kładą ją sobie na ramiona, wyjęła chusteczkę i się rozplakała. Bardzo się bała, ale teraz była bezpieczna. Ani na krok nie wyjdzie poza bramę, póki nie wrócą do Kaifengu. Człowiek tak wpływowy, jak główny eunuch pałacu cesarskiego, miał długie ręce i mógł ją dopaść na każdej ulicy. Postanowiła, że nakłoni Dawida, by jak najszybciej wracali do domu. Ale jak ma mu o tym powiedzieć?

Plakała przez całą drogę powrotną. Wytarła oczy dopiero, gdy skręcili w ich ulicę. A później znów miała dużo pracy.

Starła się nikomu nie pokazywać twarzy, co nie okazało się trudne w tym zamieszaniu. Pani nie można było dogodzić, chłopcy płakali, Dawid wycofał się do swoich komnat, jak to robił zawsze, kiedy dzieci stawały się marudne. I tak dzień dobiegł końca. Kiedy wszyscy udali się na spoczynek, Peonia też położyła się do łóżka. Nie zdołała pomówić z Dawidem.

Znów się rozplakała, pytając sama siebie, czy powinna o tym powiedzieć Dawidowi. Też odczuwała zmęczenie dniem, obfitującym w niezwykle wydarzenia, i usnęła, zanim zdążyła sobie odpowiedzieć na to pytanie.

Następnego ranka Dawid dowiedział się, co ją spotkało, nim Peonia miała okazję z nim porozmawiać. Właśnie zjadł śniadanie i szykował się do wyjścia, by obejrzeć nowy warsztat w południowej części miasta, gdzie tkano dywany o nowych wzorach, kiedy przed bramą pojawił się posłaniec w żółtym stroju, co świadczyło, że przybywa z Pałacu Cesarskiego. Zachowywał się bardzo wyniośle, przestraszył odźwiernego i służących swym donośnym głosem i dumną postawą. Poinformował, że przyniósł list, zaadresowany do „cudzoziemca nazwiskiem Chao z miasta Kaifeng, obecnie mieszkającego w hutungu Srebrny Koń”.

Chińskie nazwisko Ezry brzmiało Chao, list był przeznaczony dla Dawida. Odźwierny poprosił cesarskiego posłańca, by zechciał usiąść, pobiegł z listem do szefa służby, a ten zaniósł go Dawidowi, który akurat wychodził ze swojego pokoju.

- Panie... Z pałacu! - wykrzyknął służący jednym tchem.

Zaskoczony Dawid wziął list i go otworzył. W miarę jego lektury zmieniał się na twarzy. Najpierw był zdumiony, potem się zasepił.

- Czy posłaniec wciąż czeka? - zapytał.

- Tak, panie - odparł służący.

- Zapłać mu sowicie i powiedz, że dam odpowiedź, kiedy rozważę propozycję.

Służący wyszedł, zapłacił posłańcowi, a potem rozgłosił po całym domu, że panu zaproponowano wysokie stanowisko na cesarskim dworze. Plotka ta dotarła też do Peonii, która wpadła w popłoch. Jeśli Dawid rzeczywiście się skusi, żeby zostać w Północnej Stolicy, to jak będzie mogła nadal z nim mieszkać? Nigdy nie będzie bezpieczna w pobliżu tego odrażającego eunucha. Zobaczyła, jak całe jej życie rozsypuje się w gruzy, i zrobiło jej się tak słabo, że ledwo mogła kontynuować układanie lilii w wazonie, czym była akurat zajęta. Teraz naprawdę musi porozmawiać z Dawidem i wyznać mu, co ją spotkało.

Ale Dawid wezwał ją, zanim miała okazję go odszukać.

Zdziwiła się, że po nią posłał, bo jeśli chciał jej coś powiedzieć, zwykle krążył po domu, aż ją znalazł. Peonia domyśliła się więc, że Dawid chce z nią pomówić na osobności. Skinęła głową, kiedy służący ją poinformował, że ma się udać do pana, włożyła kwiaty do wody i natychmiast poszła do Dawida.

Dawid stał pośrodku komnaty. Na widok Peonii wyciągnął w jej stronę dużą, żółtą kopertę, którą trzymał w ręku.

- Co to ma znaczyć? - zapytał.

Podał jej list, a ona go przeczytała. Zawierał propozycję głównego eunucha, który chciał kupić Peonię, by została pokojówką jednej z dam dworu. Napisany arogancko, właściwie był poleceniem. Złożyła list, wsadziła go do koperty i spojrzała bez słowa na Dawida. Znowu do oczu napłynęły jej łzy. !.?.<

Dawid usiadł.

- Usiądź, Peonio - powiedział.

Uczyniła to, spuściła głowę i otarła oczy skrajem rękawa.

- Czy wiesz, jaki jest tego powód? - spytał życzliwie.

Ku swemu przerażeniu stwierdziła, że Dawid uznał, iż się spodziewała, że dwór cesarski wystąpi z taką propozycją. Pokręciła głową, ale nic nie odrzekła, bo się rozpłakała.

- No, Peonio! - zdenerwował się w końcu. - Jeśli chcesz opuścić mój dom, miej odwagę mi to powiedzieć!

Jego gniew sprawił, że natychmiast wyschły jej łzy.

- Jak śmiesz mnie posądzać o brak odwagi! - oburzyła się.

- No, to już bardziej do ciebie podobne - zauważył. - Teraz wyjaśnij mi wszystko.

I tak Peonia opowiedziała mu, co się wydarzyło poprzedniego dnia, a im dłużej Dawid słuchał, tym bardziej był zakłopotany.

- Jestem w rozterce! - wykrzyknął. - Nie możemy tu zostać ani chwili dłużej, bo inaczej główny eunuch zatruje nam życie. Wystarczy jedno jego słowo, a żaden kupiec nie odważy się z nami handlować!

- Wszystko przeze mnie! - jęknęła zrozpaczona Peonia. - Pozwól mi odejść.

- Mam cię sprzedać?! - wykrzyknął Dawid z niedowierzaniem.

W Peonii obudziła się nadzieja.

- Mogę uciec - zaproponowała.

- Uciec! - powtórzył. - A co się stanie ze mną, Peonio? Myślisz, że wybaczyłbym to sobie?

- Jeśli ucieknę, może kiedyś uda mi się do ciebie wrócić - wyszeptwała Peonia.

Spojrzeni na siebie i dziwnie długo nie odwracali wzroku.

Peonia była wystraszona, ale Dawida zaskoczyło nie tylko to, co dostrzegł w jej twarzy, ale również to, co poczuł w swym sercu. Nie mógł pozwolić, żeby go opuściła. Był zły, że główny eunuch ją w ogóle widział, i winił za wszystko siebie.

- Jak mogłem ci pozwolić wyjść poza bramy domu? - mruknął.

Peonia spuściła wzrok i nic nie powiedziała. Zobaczył jej długie, proste rzęsy, rzucające cień na policzki, i wstał gwałtownie.

- Przygotuj wszystko - polecił. - Dziś wieczorem wyruszamy w drogę powrotną do domu.

Powoli wstała i spojrzała na niego.

- Dawidzie - szepnęła, nie zdając sobie sprawy, że zwróciła się do niego po imieniu. - Nie przejmuj się mną!

- Przejmuję się tobą - rzekł krótko. - Usłuchaj mnie, Peonio! To rozkaz.

- Dobrze, Dawidzie... - Jej głos był cichy jak tchnienie.

Wkrótce po północy Dawid z całą rodziną opuścił stolicę w wynajętych wozach zaprzężonych w muły. Przyjacielowi, który prowadził tu sklep Kung Chena, podał prawdziwy powód nagłego wyjazdu z miasta.

- Ta młoda kobieta jest dla mojej żony bardziej jak siostra niż służąca. Nie mogę jej sprzedać - powiedział.

- Główny eunuch to istny diabeł - oświadczył kupiec.

- Ile rodzin w tym mieście cierpiało, straciwszy przez niego swoje córki! Dobrze robisz, wyjeżdżając.

Swojej żonie Dawid też w kilku prostych słowach wyjaśnił, dlaczego muszą natychmiast wyjechać z Północnej Stolicy.

Kueilan trochę się przestraszyła, chociaż próbowała dopatrzeć się dobrych stron zainteresowania głównego eunucha Peonią.

- Może dla Peonii byłoby lepiej zamieszkać w pałacu - tłumaczyła. - Mielibyśmy na dworze przyjaciółkę... Jest taka mądra... Kto wie, może nawet zostałaby służącą samej cesarzowej!

Dawid nie mógł tego słuchać.

- Peonia zawsze mieszkała z nami i nie wypada, żebym ją sprzedawał jak niewolnicę. - A gdy Kueilan spojrzała na niego podejrzliwie, udał, że tego nie widzi. - Pospiesz się, moja kruszynko! Wyjeżdżamy dziś w nocy, czy będziesz gotowa, czy nie.

Opuszczali Pekin niemal cichaczem. Dawid musiał przekupić strażników, żeby zgodzili się ich wypuścić, bo brama miejska była zamknięta. A kiedy wreszcie ją otwarto, wozy szybko przez nią przejechały. Rano byli już w połowie drogi do kanału.

W drodze powrotnej Dawid prawie do nikogo się nie odzywał. Przestały go cieszyć urzekające krajobrazy, których widokiem tak się zachwycił, gdy jechali na północ. A droga wiodła przez piękne okolice, może nawet piękniejsze niż zwykle, bo każde drzewo i każda roślinka pyszniły się teraz pełnią swej urody. Pszenicę zebrano, ale na polach nadal chwiały się na wietrze wiechy gaolianu. O tej porze często zdarzały się rozboje, bo łąny były tak wysokie, że zbójnicy z łatwością mogli się w nich ukryć. Dawid się denerwował, póki nie dotarli do kanału. Ale szczęście im sprzyjało, bo chociaż słyszeli o grasujących bandach, zdołali uniknąć spotkania z nimi.

A stało się tak dlatego, że jakiś czas temu rabusie, nie wiedząc, że gubernator prowincji jest w drodze do stolicy, napadli na niego, wzięwszy go za zwykłego bogacza. Kiedy natrafili na opór oddziału żołnierzy, byli tacy dezorientowani, że po krótkiej walce czmychnęli w popłochu i przez kilka dni ukrywali się w jaskiniach i wśród wzgórz. Napadanie na gubernatora czy innego wysokiego urzędnika uważano za przestępstwo. Król rzezimieszków pospiesznie wysłał do gubernatora daninę i szczerze się pokajał za napaść na tak dostojną osobę.

Obiecał, że zetnie głowy tym, którzy dowodzili atakiem, i dostarczy je gubernatorowi. Ale gubernator poprosił, żeby darowano owym ludziom życie. Niemniej jednak wyznaczył karę: zabronił jakichkolwiek rozbojów - przez miesiąc - na drogach prowadzących ze stolicy nad rzekę. Tak się szczęśliwie złożyło, że właśnie w tym czasie Dawid wraz z rodziną jechał na południe, by następnie przesiać się na dżonkę i dopłynąć nią do samego domu. Na rzece grasowali piraci, ale Dawid kazał właścicielowi łodzi wywiesić gubernatorską flagę, którą posłużył się poprzednio, co uchroniło ich przed atakami rozbójników.

Płynęli wolno, bo w środku lata wiały słabe wiatry, a na dodatek musieli jeszcze pokonać nurt rzeki. Dawid dużo czasu spędzał sam na sam ze swymi myślami. Godzinami przesiadywał na pokładzie, patrząc na z wolna przesuwaną się krajobraz za burtą. Słońce prażyło i członkowie załogi rozpięli szeroki daszek, by osłonić Dawida przed jego promieniami. Siedział sobie wygodnie w cieniu, wsparty na poduszkach, pogrążony w niewesołych myślach. Niepokój sprawił, że niezwykle łagodnie odnosił się do dzieci i żony, poświęcał im więcej uwagi niż zazwyczaj, słuchając ich paplaniny i cierpliwie znosząc wszystkie kaprysy Kueilan. Z upływem lat coraz bardziej go irytowała, ale teraz nie okazywał rozdrażnienia i odpowiadał jej spokojnie, nawet gdy mówiła głupstwa. Synom udzielał szczegółowych odpowiedzi na ich liczne pytania, niekiedy nawet trzymał koniec szarfy, którą był przewiązany w pasie ich najmłodszy syn, żeby nie wpadł do wody. Dawid w ogóle zachowywał się inaczej niż dotychczas.

Peonia to wszystko widziała, a potem z bólem serca stwierdziła, że w stosunku do niej Dawid nie jest taki miły. Wyraźnie jej unikał, co stawało się coraz bardziej oczywiste w miarę trwania podróży i wymuszonej bliskości, spowodowanej szczupłością miejsca na dżonce. Pilnował się, żeby nie przebywać z nią sam na sam, a jeśli wieczorem wyszła na pokład, kiedy jej podopieczni byli już gotowi do snu, Dawid nigdy tam nie przychodził, chociaż w wodzie cudownie się odbijało światło księżyca. Mijały dni, a Dawid wciąż nie rozmawiał z nią na osobności, właściwie w ogóle rzadko się do niej odzywał - wydawał jedynie polecenia, dotyczące synów albo ich matki. Początkowo Peonia czuła się do głębi zraniona. Myślała, że tę zmianę w nim spowodował fakt, że to przez nią musiał opuścić stolicę, w której wolałby zabawić dłużej. Trudno jej było uwierzyć, że pod tym względem okazał się taki jak wszyscy mężczyźni: to znaczy kochał najmniej tę, dla której musiał się poświęcać.

Zaczęła sobie czynić wyrzuty, że pozwoliła, by przez nią ze wszystkiego zrezygnował. Lecz stopniowo budziła się w niej duma i Peonia postanowiła, że jeśli nic się nie zmieni, będzie się trzymała na uboczu, a może nawet opuści jego dom. Ale dokąd się uda? Nie miała

odpowiedzi na to pytanie. Muszę się ukryć w jego domu, jak to robią myszy i świerszcze, powiedziała sobie.

Jeśli Dawid zauważył jej milczenie i urażoną dumę, nie dawał tego po sobie poznać. Słoneczne dni mijały jeden za drugim, a oni byli coraz bliżej rodzinnych stron. Wysłał przodem gońców, by poinformowali jego ojca, że jeśli wiatry będą im sprzyjały, pojawi się w Kaifengu w ciągu siedmiu dni, a jeśli będzie bezwietrznie albo spotka ich letnia nawałnica, opóźnienie wyniesie nie więcej niż tydzień. Chciał wrócić do domu, nim zaczną się letnie burze, kiedy wszystkie łodzie musiały chronić się w przystaniach.

Przez kilka dni pogoda im sprzyjała, potem dżonkę wzięto na hol i pod koniec dziesiątego dnia żeglugi zobaczyli mury miasta. Niezwykle ich ucieszył ten znajomy widok. Ezra wyszedł im na spotkanie, podobnie jak Kung Chen z synami, a na brzegu czekały wozy i lektyki.

- Mój synu! - wykrzyknął rozradowany Ezra. Wziął Dawida w ramiona i przycisnął twarz do ramienia swego wysokiego syna. - Nie spodziewałem się ciebie jeszcze przez pół roku, ale witam cię bardzo serdecznie!

Kung Chen potrząsał złożonymi dłońmi i kiwał głową, powitał córkę i swoje wnuki, pozdrowił Peonię. Potem wszyscy wsiedli do wozów bądź lektyk i skierowali się do domu. Na polecenie urzędników przy bramie miejskiej i przed rezydencją Ezry strzelano z petard. Stary Wang i Matka Wang trzymali długi ich sznur i po kolei je podpalali. I tak powitały ich ogniste wybuchy i okrzyki radości.

Jak bardzo zadowolona była Peonia, znów bezpieczna w murach tego domu!

- Widzę, że nic się nie zmieniło - zwróciła się do Matki Wang, kiedy weszła na dziedziniec.

- Śmierć zabrała jednego, niepozornego mieszkańca - odrzekła Matka Wang. - Poza tym wszystko jest po staremu.

Peonia zauważyła, że nie powitało jej szczekanie Małego Pieska, i w pierwszej chwili pomyślała, że pekińczyk gdzieś śpi, bo był już stary i leniwy.

- Chyba nie Małego Pieska! - wykrzyknęła nagle.

Matka Wang skinęła głową.

- Biedactwo usychało z tęsknoty za tobą i nic nie chciało jeść. Próbowалаm go karmić drobno siekanym mięsem i świeżą wątróbką wieprzową, ale na próżno.

- Żałuję, że nie zabrałam go ze sobą... - Peonia westchnęła ze smutkiem.

- Tęskniłby za domem - odparła Matka Wang. - Tak czy inaczej, skazany był na śmierć.

Peonia nic więcej nie powiedziała, lecz bardzo jej było brak Małego Pieska. Kiedy zaprowadziła swoją panią i jej dzieci do ich pokojów, poszła na swój własny, nieduży dziedziniec, ale panująca tam cisza okazała się nie do zniesienia.

Peonia poczuła się bardzo osamotniona; usiadła i przez jakiś czas płakała cicho, często wzdychając. Poduszka pekińczyka wciąż leżała pod stołem. Patrzyła na nią z żalem i zastanawiała się, czy powinna przygarnąć drugiego pieska. Psów było dużo, nikt specjalnie się nimi nie zajmował, z łatwością jakiegoś by znalazła. Ale nie chciała mieć innego psa poza tym, którego znała i straciła. Nie mogła sobie darować, że okazała się taka samolubna.

- Jestem głupia - mruknęła na głos. - Zbyt się przywiązuję do tych, których kocham.

Miała na myśli Małego Pieska, ale potem zaczęła wyrzucać sobie, że to samo ślepe przywiązanie sprawiło, że trwała przy Dawidzie. Inna kobieta zrezygnowałaby z niego, wybrałaby sobie dobrego męża, urodziła mu dzieci i byłaby szczęśliwa, chociaż nie u boku mężczyzny, którego kochała. Ale jej uparte serce było głuche na wszelkie argumenty. Muszę znosić siebie taką, jaka jestem, pomyślała smutno. Kiedy sobie trochę popłakała, umyła twarz, przyczesła włosy i przebrała się, po czym wróciła do swych obowiązków.

Tego wieczoru Dawid siedział do późna ze swoim ojcem.

Kolację zjedli tylko we dwóch, a Kung Chenowi obiecali, że zaproszą go na ucztę następnego dnia. Mieli sobie dużo do powiedzenia. Ezra utrzymywał, że dobrze się czuje, ale był chudy i Dawid, zobaczywszy go po długiej nieobecności w domu, zrozumiał, że jego ojciec się starzeje. Na policzkach Ezry pogłębiły się zmarszczki, lewa powieka mu opadała. Narzekał na odrętwienie w lewym boku, a ponadto pociągał lewą nogą, kiedy chodził. Ale jego spojrzenie pozostało jasne i przenikliwe, a głos donośny jak zawsze.

- Czy te dolegliwości pojawiały się stopniowo, czy nagle? - zapytał Dawid.

- Nagle, dwa miesiące temu, kiedy obudziłem się rano - odpowiedział Ezra. - Przez kilka dni miałem skołowaciały język i nie mogłem wyraźnie mówić. Matka Wang wezwała lekarza. Dał mi jakieś ziółka, po których poczułem się lepiej.

- Ojczy, musisz pozwolić, żebyśmy więcej ci pomagał - powiedział Dawid, na co Ezra odparł:

- Już o tym pomyślałem, mój synu. Podczas twojej nieobecności przepisałem firmę na ciebie, od tej pory ty będziesz o wszystkim decydował. Kung Chen też powierzył prowadzenie interesów swemu najstarszemu synowi. Jesteście wspólnikami, a my, dwaj dziadkowie, będziemy siedzieli w domu, chyba że przyjdzie nam ochota udzielić wam jakiejś rady.

Dawid był wzruszony i dumny, a jednak ogarnął go jakiś dziwny smutek. Zrozumiał, że jego ojciec jest już stary. Skoro on osiągnął wiek dojrzały, jego ojciec musi się usunąć w cień.

Taka była nieuchronna kolej rzeczy i nikt nie mógł tego zmienić. Ale Dawid obiecał sobie, że od tej pory aż do dnia śmierci swego ojca zawsze będzie dla niego dobry i będzie spełniał każde jego życzenie.

- Tęsknię za twoją matką, synu - wyznał niespodziewanie Ezra.

Spojrzał na Dawida i do oczu napłynęły mu łzy, które otarł ręką. Godzina zrobiła się późna, dom pogrążony był w ciszy, płomienie wielkich świec chwiały się w podmuchach letniego wiatru, wpadających przez drzwi otwarte na ciemny dziedziniec.

- Wszystkim nam jej brak - odezwał się cicho Dawid.

- Dom już nie jest taki, jak dawniej, odkąd jej zabrakło... Dla nikogo z nas.

Ezra jakby ledwo go słyszał. Odchylił się na oparcie krzesła, grubymi dłońmi wczepił się w poręcz.

- Myślę o naszym wspólnym życiu, jej i moim - ciągnął.

- Niełatwo mi było być jej mężem, mój synu, póki jej dobrze nie poznałem. Była uparta... Nigdy nie mogłem dwa razy tak samo z nią postąpić. Czasami na jej gniew odpowiadałem gniewem, czasami - miłością, a kiedy indziej - śmiechem... Musiałem dobierać oręż w zależności od sytuacji. Ale pod tą całą jej bezkompromisowością kryła się niedościgną prawość. Miała dobre serce. Mogłem jej ufać. Nigdy nie zdradziła Boga i nie potrafiłaby zdradzić mnie. Była wyjątkową żoną.

Dawid milczał. Dla niego rodzice byli zawsze tylko rodzicami, ale teraz zaczął powoli dostrzegać w nich mężczyznę i kobietę. Zmieszał się, myśląc o nich w ten sposób, wyobrażając ich sobie jako namiętnych kochanków i siebie jako owoc ich fizycznej zażyłości.

- Nigdy nie uważałem jej za głupią - ponownie odezwał się Ezra. - Cóż, czasami była nawet za mądra, bo wiele razy okazywała się lepsza ode mnie! Na początku czasami mnie to złościło, ale w miarę upływu lat zrozumiałem, jakim jestem szczęściarzem. Spójrz na Kung Chena! Jaki jest samotny, prawda, mój synu? Nigdy ze mną nie rozmawia o matce swoich dzieci, ale widziałem ją kilka razy... Nie grzeszy rozumem, co, Dawidzie? A on jest człowiekiem wymagającym... Nie będzie zrywał dzikich kwiatów przy drodze. Podobnie jak ja. Kiedy mężczyzna pozna taką kobietę, jak twoja matka... - Ezra urwał, westchnął, a po czym znów zaczął mówić: - Podczas twojej nieobecności, mój synu, kiedy Kao Lien udał się na Zachód z karawaną, miałem dużo czasu i wspominałem swoje życie z twoją matką. Zabrała ze sobą wiele radości, gdy mnie opuściła... Odkryłem też jeszcze coś: nigdy nie

byłem pobożny, o czym dobrze wiesz, Dawidzie, ale kiedy mieszkała w tym domu, czułem, że wszystko jest tak, jak należy. Była moim sumieniem... Które czasami mnie uwierało i przeciw któremu się buntowałem, ale które cenilem. Teraz czuję się zagubiony. Bóg jest daleko ode mnie... Jeśli w ogóle istnieje?

Nadał temu formę pytania, lecz Dawid nie wiedział, co na to odrzec, więc milczał.

Ezra, nie doczekawszy się reakcji syna, kontynuował:

- Ani ty, ani ja nie potrafimy odpowiedzieć na to pytanie. Z tego względu nie jesteśmy już Żydami, mój synu. Dokonałem wyboru, ty również. Gdyby można było cofnąć czas, czy postąpiłbym tak samo? Ale przecież jestem taki, jaki jestem, i nawet gdyby można było cofnąć czas, dokonałbym takiego samego wyboru, podobnie, jak i ty.

- Nie jestem tego taki pewien, jak ty, ojcze - przemówił w końcu Dawid. - Mogłem być taki... albo inny. Gdyby żyła Lea...

- Gdyby żyła Lea - powtórzył Ezra. Zamyślił się, a potem oświadczył: - Gdyby żyła Lea, może żyłaby i twoja matka. Wszystko wyglądałoby inaczej. Ale najpierw my musielibyśmy być inni.

- Nie byłoby nas tutaj - powiedział Dawid.

Ezra spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Masz na myśli...

- Nie możemy żyć tutaj, pośród tych ludzi, i zachować swoją odrębność, ojcze - wyjaśnił Dawid. - W krajach europejskich tak, bo tam ludzie zmuszają nas, Żydów, byśmy żyli osobno, prześladując nas. Trzymamy się tam razem, ponieważ inni nie chcą nas zaakceptować; zostajemy męczennikami i szcycimy się naszym męczeństwem. Nie mamy innej ojczyzny poza naszym cierpieniem. Ale tutaj, gdzie wszyscy są naszymi przyjaciółmi i chętnie mieszają swoją krew z naszą, jaka może być nagroda za trzymanie się na uboczu?

- Rzeczywiście... Rzeczywiście tak jest - przyznał mu rację Ezra. - Wszystko, co nas spotkało, było nieuchronne.

- Nieuchronne - zgodził się z nim Dawid.

- A twoi synowie, moje wnuki, będą kontynuowali ten proces asymilowania się - ciągnął Ezra.

- Tak będzie - potwierdził Dawid. - i Ezra się zadumał.

- Czy w takim razie wymrzemy?

Dawid mu nie odpowiedział. Sam przed chwilą tłumaczył, że gdy ludzie są dla siebie dobrzy, mury między nimi upadają i wszyscy stają się jedną wielką rodziną. Trudno mu było jednak snuć rozważania nad odległą przyszłością, kiedy jego potomkowie nie będą go znali,

kiedy być może zapomną o imieniu Ezra i kiedy rzeczywiście utracą swoją tożsamość niby garść piasku rzucona na pustyni albo czarka wody wlana do morza. Spoglądał na długi szereg tych, którzy zrodzą się z jego lędźwi, i lędźwi jego synów, i lędźwi synów jego synów.

Widział twarze, zwrócone w swoją stronę, i były to twarze Chińczyków.

- Dość tych ponurych rozważań - rzekł niespodziewanie Ezra. - Jest, jak jest, i nie można tego zmienić. Opowiedz mi o swojej podróży, mój synu.

Dawid się ożywił i zdał ojcu szczegółową relację z pobytu w Pekinie: o wspaniałości wielkiej Północnej Stolicy, o tym, jak wyglądają jej mieszkańcy, jaką mają szlachetną naturę, co jadł i pił, jakich rozrywek używał, jak udzielono mu audiencji u Cesarzowej Zachodniego Pałacu, powtórzył plotki, które o niej krążyły, a opowiedziawszy to wszystko, doszedł w końcu do przyczyny ich nagłego wyjazdu z miasta.

Ezra słuchał uważnie, czasami się śmiał, czasami oczy mu się świeciły, a kiedy Dawid mówił o interesach - stawał się przebiegły i czujny. Gdy usłyszał o Peonii, bardzo się zafrasował.

- Cóż za pech! - wykrzyknął. - Główny eunuch ma długie ręce. Musimy jutro poinformować o wszystkim Kung Chena.

- Nie mogłem postąpić inaczej, ojczu - oświadczył Dawid.

- Nie... Nie... - Ezra się zawahał, a potem dodał zdecydowanie: - Nie, mój synu, nie! Z pewnością. Gdyby Peonia była taka, jak inne kobiety, i zechciała skorzystać z okazji zamieszkania w pałacu... Cóż... Hmm... Wtedy byłoby to wielkie szczęście dla naszego domu. Mielibyśmy zaufaną osobę w najwyższych kręgach władzy. Ale ponieważ jest, jaka jest...

Tak, z całą pewnością nie mogłeś postąpić inaczej. Musimy jednak postarać się zapobiec złym następstwom. Byłoby zbyt wielkim poświęceniem, uczynionym wyłącznie ze względu na kobietę, gdybyśmy pozwolili, by nasze interesy ucierpiały dlatego, że naraziliśmy się na niezadowolenie cesarskiego dworu. Twoja matka zawsze mówiła, że za dobrze traktowaliśmy Peonię.

Słyszając to, Dawid poczuł, jak narasta w nim jakieś podniecenie, pomieszane z gniewem. I żeby się bronić, powiedział chłodno:

- Cóż, mój ojczu, jeśli postąpiłem niemądrze, muszę to naprawić w jakiś inny sposób, bo Peonia jest dla mnie jak siostra i za żadne pieniądze nie mogłem jej zostawić w rękach tego obrzydliwego eunucha. Tyle wiem.

- Póki nie stanie się dla ciebie kimś więcej niż siostrą, nie będę miał do ciebie pretensji - odparł Ezra.

Wyraził się tak jasno, że Dawid się zmieszał. Słowa ojca skłaniały do głębszej refleksji, do postawienia sprawy jaśniej, niż miał na to ochotę, toteż nic nie powiedział. Spojrzał na świece, zobaczył, że migoczą, więc skorzystał z okazji i wstał, żeby im przyciąć knoty.

- Już późno! - wykrzyknął. - Jutro muszę być wcześniej w sklepie, ojcze, zatem pozwól, że się z tobą pożegnam.

Matka Wang czekała pod drzwiami i kiedy to usłyszała, weszła ze świeżo zaparzoną herbata i kleikiem ryżowym, który Ezra wypijał przed snem. I tak zakończył się ten dzień.

Dawid nie poszedł do sypialni żony. Został w swoim pokoju, gdzie wszędzie dostrzegał dowody troski Peonii: odwinietą kołdrę, zaciągnięte zasłonki, imbryk z gorącą herbata, nabitą fajkę, przycięte knoty świec. Lecz sama Peonia się nie pojawiła.

Przygotował się do snu, zgasił świece, rozchylił zasłonki i się położył. Nie mógł jednak usnąć. Słowa ojca na nowo przypomniały mu o tym, co przez tyle tygodni podróży nie dawało mu spokoju. Jego matka, Lea, Peonia, Kueilan - cztery kobiety, które w jakiś sposób ukształtowały jego życie - nadal wpływały na jego kształt. Pragnął się uwolnić od nich wszystkich, ale wiedział, że żaden mężczyzna nigdy nie uwolni się od kobiet, które go uformowały. Wzdychał, rzucał się na łóżku i nie mógł się doczekać nowego dnia, by znów iść do sklepu i zatrudnionych tam ludzi, którzy nie mieli nic wspólnego z jego rozterkami duchowymi.

Peonia też była niespokojna tej nocy. Wiedziała, że Dawid długo siedział ze swym ojcem, bo Matka Wang powiedziała jej, że obaj od wielu godzin prowadzą poważną rozmowę i nie śmie im przerwać, chociaż już dawno minęła północ. Usiadła z Matką Wang, by dotrzymać jej towarzystwa, i w głębi duszy miała nadzieję, że zobaczy Dawida choć przez chwilę, kiedy będzie je mijał. Ale nie zauważył jej, a ona nie odważyła się go zawołać. Była na ciemnym dziedzińcu, gdzie nie docierało delikatne światło świec, padające przez otwarte drzwi, lecz słyszała głosy mężczyzn. Dawid przeszedł tak blisko niej, że mogła go dotknąć, ale nie wyciągnęła ręki.

Niewątpliwie wyjaśnił ojcu, dlaczego opuścili Pekin, i może Ezra go zbeształ. Dobrze wiedziała, że główny eunuch zagrażał im nawet tutaj. Na myśl, że jest powodem tego zamieszania, aż się skuliła.

Kiedy Dawid wyszedł od ojca, ona też udała się na spoczynek. Samotna w tę bezksiężycową letnią noc, rozmyślała nad swoim losem. Bogaci ludzie bywają dobrzy, jak rodzina Ezry zawsze była dobra dla niej, ale gdy ktoś mniej ważny od nich, komu okazywali dobroć, stawał się źródłem kłopotów, ich serca szybko twardniały. Wspominała, jak się

łudziła, że może Dawid ją kocha, i jaki czasami miał wyraz oczu. Ale zaraz sobie przypomniała, jaki oschły był przez ostatnie tygodnie.

Doszła do wniosku, że Dawid niewątpliwie już żałuje tego, co musiał uczynić z jej powodu.

Znów uniosła się dumą i postanowiła, że przy pierwszej nadarzającej się okazji pójdzie do Dawida i oznajmi mu, że chce wstąpić do buddyjskiego klasztoru, który znajdował się obok bramy miejskiej. Tam nie będzie jej zagrażał żaden mężczyzna, a Dawid może w jakiś sposób poinformować głównego eunucha, że od dawna pragnęła wstąpić do klasztoru i czekała jedynie na koniec ich podróży na północ, by zostać mniszką.

W owym cichym azylu, zamieszkanym wyłącznie przez kobiety, będzie bezpieczna. Wydało jej się to czymś wspaniałym.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że to najlepsze rozwiązanie. Wstrzymywała się z powiadomieniem Dawida przez kilka dni, póki ten nie załatwi najpilniejszych spraw. Ale wiedziała, że nie wolno jej zbyt długo zwlekać, żeby główny eunuch nie ściągnął na nich kłopotów.

Piątego dnia zobaczyła, że Dawid opóźnia wyjście z domu po południowym posiłku, jakby niespieszno mu było do powrotu do sklepu. Ezra położył się spać na długiej kanapie, którą w ładną pogodę stawiano pod bambusami, a Matka Wang siedziała obok niego, by odganiać muchy. Dzieci spały, służba spała, jej pani też spała. Peonia postarała się dziś nadzorować podawanie południowego posiłku i kiedy posługacze zabrali naczynia, wręczyła Dawidowi bambusowe wykałaczki i zapytała:

- Czy też się trochę nie zdrzemniesz? Powietrze jest ciężkie, na południu gromadzą się burzowe chmury.

- Prześpię się godzinkę na swoim dziedzińcu - odparł.

Peonia poszła więc postawić bambusową kanapę pod starą sosną, która tam rosła. Kiedy rozkładała na niej miękką matę, pojawił się Dawid. Zdjął już wierzchnią odzież i miał teraz na sobie bieliznę z jasnozielonego jedwabiu.

- Wszystko gotowe - powiedziała Peonia, szykując się do odejścia. Dzień był tak skwarny, że po twarzy płynęły jej strużki potu. Otarła je ze śmiechem. - Rozpuszczam się! - wykrzyknęła.

Przypadkiem ich spojrzenia się spotkały i natychmiast śmiech zamarł jej na ustach. Nigdy nie widziała, żeby tak na nią patrzył: żarliwie, poważnie i czule. Policzki oblał jej rumieniec, kolana się pod nią ugięły. Zaczęła coś mówić nie składnie, bez zastanowienia, a zarazem wypowiadając na głos to, o czym ostatnio myślała.

- Czekałam... Czekałam... Czekałam na odpowiednią chwilę... żeby... żeby coś powiedzieć...

- Nadeszła taka chwila - rzekł Dawid.

Złożyła dłonie jak do modlitwy.

- Ostatnio dużo... dużo płakałam...

- Dlaczego? - zapytał.

- Z powodu tego, co się wydarzyło w stolicy. - Szybko wyrzucała z siebie słowa, pragnąc już mieć to za sobą.

- Chciałam cię prosić... Błagam cię... Umarłabym, gdybym w jakiś sposób ci zaszkodziła, czy choćby stała się przyczyną drobnych kłopotów. Mogę... chcę... wstąpić do klasztoru buddyjskiego. Jest tam bezpiecznie, a ty możesz poinformować... głównego eunucha... że zostanę mniszką.

- Ty... mniszką! - wykrzyknął Dawid zduszonym głosem i roześmiał się cicho, jakby nie chciał, by ktokolwiek go usłyszał.

Ale któż mógłby go usłyszeć? Wszyscy spali, zmęczeni upałem. Zza murów również nie dobiegał żaden odgłos. Całe miasto pogrążyło się w letargu, nawet cykady umilkły. Peonia stała przed Dawidem, jakby zaplątała się w pajęczynę. Nie próbowała przemówić ponownie. Właściwie nie mogła.

Nie miała pojęcia, co go do tego skłoniło. Była zdumiona i zalękniona... Miłość sprawiła, że serce jej waliło, a krew wrzała. Od tego, który wydawał jej się tak zimny przez te wszystkie tygodnie, teraz bił żar.

- Peonio, chodź ze mną - polecił.

Odwrócił się, a ona poszła za nim do jego pokoju. Oparł się o stół i spojrzał na nią.

- Nie powtórzę tego, co ci teraz powiem. Musi nam to wystarczyć na całe życie. Zrozumiałaś?

- Tak - szepnęła, ani na chwilę nie odrywając od niego wzroku.

- Oszukiwałem sam siebie przez te wszystkie lata, mówiąc, że jesteś mi jak siostra - oznajmił. - Byłem głupi. Nigdy nie byłaś dla mnie jak siostra. Nigdy nie mógłbym kochać siostry tak, jak kochałem ciebie, kiedy byliśmy dziećmi... I jak kocham cię teraz.

Wpatrywał się w nią, a ona nie spuściła wzroku. Chwila, w której wypowiedział te słowa, to był dla niej dar od losu.

Byłoby tak łatwo wyciągnąć obie ręce i wziąć dar, zapominając o całej reszcie. Ale Peonia nie potrafiła się na to zdobyć. Zbyt długo dbała o niego, chroniła go, dodawała mu sił, planowała za niego i go kochała. Teraz nie mogła myśleć wyłącznie o sobie.

Spróbowała się roześmiać.

- To chyba dodatkowy powód, dlaczego powinnam zostać mniszką!

Nie dał się zwieść jej udawaną beztroską.

- Nie próbuj obracać tego w żart - rzekł poważnie. - Wiem równie dobrze, jak ty, co dla mnie znaczy wyznanie... Wyznanie tego, co wyznałem. Ale musiałem to zrobić, żebyś wiedziała, dlaczego nie mogłem cię zostawić w pałacu. Póki żyję, musisz mieszkać w moim domu, Peonio, bo nie potrafię się obejść bez ciebie. W końcu to zrozumiałem.

- Czy dlatego byłeś wobec mnie taki obojętny przez te ostatnie tygodnie? - zapytała.

- Nie byłem obojętny. Myślałem o tobie dniem i nocą - odparł.

Nie mogła jego słów zbyć śmiechem. Był przygnębiony, ale pewny tego, co czuł. Ciężła jej myśl, że jego miłość do niej oznacza dla niego tyle kłopotów.

- Dziękuję, że mi powiedziałeś, co naprawdę do mnie czujesz - oświadczyła wyraźnie poważnym tonem. - Na zawsze zachowam twoje słowa w swoim sercu. Są moim pocieszeniem i dzięki nim wiem, że mam dom.

Złożyła dłonie, ukłoniła się i odwróciła, żeby wyjść.

W drzwiach dobiegł ją jego głos:

- Nie zastanawiałem się nad przyszłością. Ale co z nami będzie?

Zatrzymała się w progu, z ręką na framudze drzwi.

- Czas pokaże - powiedziała łagodnie i bojąc się, że Dawid podejdzie do niej, by złapać ją za rękę lub dotknąć jej ramienia, a ona nie będzie miała siły, by mu się oprzeć, szybko wyszła.

Tej nocy nie mogła spać. Cieszyła się, że księżyc nie świeci jasno, jak podczas ich podróży. Po omacku poszła do ogrodu brzoskwiniowego i siedziała tam samotnie. Chmury zasłoniły gwiazdy, powietrze było wilgotne, zanosilo się na deszcz.

Wkrótce otoczyła ją chmara komarów. Machała szerokimi rękawami jak skrzydłami, po czym wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem. Lea miała w zwyczaju tak krążyć całymi godzinami. Jak tylko Peonia o tym pomyślała, Lea znów się pojawiła obok niej. Niemal czuła jej obecność. Ale czemu miałyby się bać Lei? Ma teraz broń, którą będzie mogła na zawsze odpędzić jej ducha. Jeśli zechce, może zaraz pójść do Dawida, by przypieczętować ich miłość własnym ciałem. I cóż Lea jej zrobi... Lea, której ciało obróciło się w proch? Skierowała twarz ku ciemnemu niebu i poczuła, jak ogarnia ją dziwne uniesienie. Co, jeśli cichutko przejdzie przez uspiiony dom i skorzysta z prawa, jakie jej dawała miłość Dawida? Zwycięstwo będzie należało do niej.

Zatrzymała się w ciemnościach, z palcem na ustach, uśmiechając się do siebie. Dawid pojawi się w jej życiu i... już nie będzie samotna. Pokręciła głową, opuściła rękę i uśmiech zniknął z jej ust. Serce mocniej jej zabiło. Dlaczego ma to pozostać ich tajemnicą? Prawo nie zabrania mężczyźnie wiązać się z kobietą, którą kocha. Wszyscy mężczyźni w mieście to robili, nawet Kung Chen sprowadził sobie do domu tę urodziwą śpiewaczkę, która później go zdradziła. Nikt nie powie Dawidowi złego słowa.

Właściwie dla niego byłoby nawet lepiej, gdyby nie ukrywał swojego związku, bo zbliżyłoby go to do jego chińskich przyjaciół. Niepotrzebne są jakiegokolwiek formalności. Posłucha głosu swego serca i pójdzie do Dawida, rano powie o tym Matce Wang i wkrótce wszyscy się dowiedzą. Młoda pani albo się z tym pogodzi i pozwoli, by Peonia zajęła drugie miejsce w domu, albo nie przyjmie tego do wiadomości i wszystko zostanie po staremu.

Takie rozważania snuła Peonia, ale po chwili się opamiętała. Czy Dawid jest taki, jak inni mężczyźni? Rozsądek wziął górę nad emocjami.

Właśnie wtedy, zanim zdołała sobie odpowiedzieć na nurtujące ją pytanie, nagle dobiegł ją jakiś dziwny, zduszony okrzyk.

Uniosła głowę, wyteżając uwagę, i porzuciła swoje rozważania.

Nie usłyszała kolejnego okrzyku, ale nieustannie poczuwając się do odpowiedzialności za tę rodzinę, natychmiast przeszła przez ciemny ogród do słabo oświetlonej sali głównej i nastawiła uszu.

Od wschodu przylegały do sali pokoje Ezry, ich okna wychodziły na ogród. Przytknęła ucho do zamkniętych drzwi. Usłyszała, że Ezra oddycha głośno i z trudem. Delikatnie otworzyła drzwi.

- To ja, Peonia! - zawołała cicho. - Czy źle się pan czuje?

Nie odpowiedział. Wydawało się, że każdy oddech kosztuje go masę wysiłku. Peonia pobiegła do jego sypialni, podmuchała na zwitki brązowego papieru, zawsze tłące się w pojemniku z popiołem, zapaliła lampkę oliwną i uniosła ją wysoko w prawej ręce, podczas gdy drugą rozsunęła draperie łóżka. Ezra leżał na wznak, z głową odrzuconą do tyłu, z brodą sterczącą do góry.

Oczy miał otwarte i szklane, twarz fioletową, całą uwagę skupił na oddychaniu.

- Och, wielkie nieba! - wykrzyknęła Peonia.

Puściła kotarę, pobiegła do pokoju Dawida i zaczęła walić w drzwi. Próbowwała je otworzyć, ale okazało się, że są zamknięte na klucz! To ją zastanowiło. Dlaczego zamknął drzwi na klucz... Chyba tylko przed nią? A może przed samym sobą!

Usłyszał ją i zapytał:

- Co się dzieje?

- To ja, Peonia! - zawołała. - Coś się stało twemu ojcu!

Dawid niemal natychmiast wyszedł z pokoju. Wydawał się niezwykle wysoki w jasnej nocnej bieliźnie. Minał Peonię, przewiązując się w talii jedwabnym pasem.

- Usłyszałam, jak twój ojciec coś krzyknął... Zajrzałam do niego... Byłam w ogrodzie brzoskwiowym... - mówiła, idąc za nim. Razem weszli do pokoju Ezry.

Nie słychać było oddechu starca. Kiedy Dawid rozsunął draperie i Peonia zerknęła mu przez ramię, zobaczyła Ezrę leżącego z szeroko rozrzuconymi rękoma i nogami, jakby bronił się przed śmiercią. Ale przegrał. Nie żył. Broda opadła mu na piersi, spoglądał poważnie i zimno. Odepchnęła Dawida, kiedy dostrzegła te oczy, zamknęła Ezrze powieki, zanim zeszywnieją, ułożyła mu ręce wzdłuż ciała, złączyła nogi i przykryła go kołdrą.

- Teraz wygląda, jakby spał - wyszeptwała.

Przez cały ten czas Dawid stał obok łóżka. Nagle padł na kolana i ujął dłoń ojca. Nie ulegało wątpliwości, że Ezra nie żyje. Dawid domyślił się tego w chwili, gdy ujrzał swego ojca.

Musi wszystkich obudzić, poinformować Kung Chena, powiadomić o śmierci Ezry całe miasto. Tyle było do zrobienia, ale Dawid ociągał się, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co się stało.

- Rozmawialiśmy zaledwie kilka godzin temu...

- Dobrze umrzeć w taki sposób - powiedziała Peonia łagodnie. Ale nagle przestraszyła się. Czy wraz z odejściem Ezry z tego domu zniknie również dobroć? Dlaczego... Dlaczego Dawid zamknął przed nią drzwi na klucz? Uklęknęła, położyła głowę na łóżku i zaczęła płakać. - Był taki dobry! - szlochała. - Był taki dobry... Dla mnie!

Czekała z na poły złamanym sercem, czy Dawid obejmie ją ramieniem, by ją pocieszyć. Ale nie zrobił tego. W zamyśleniu zaczął delikatnie głaskać dłoń ojca, jakby Ezra wciąż żył.

I tak Ezra ben Izrael umarł i pochowano go obok jego ojca, nieco powyżej miejsca, gdzie prochy madame Ezra mieszały się z chińską ziemią.

Taka refleksja nasunęła się Dawidowi, kiedy stał nad mogiłą ojca. Myślał o swojej matce i o jej niespożytej energii. Już się skończyła toczona przez nią nieustanna walka o zachowanie odrębności rodziny. Śmierć pokonała madame Ezra. Powietrze wczesnego wieczoru było niczym balsam. Dawid nie zwracał uwagi na wielki tłum, który się zebrał na wzgórzu, by patrzeć, jak będą chować jego ojca. Niemał się cieszył, że jego matka nie żyje i nie widzi, jak liczni przyjaciele Ezry w swej poczciwości dołożyli wszelkich starań, by jego

pogrzeb tak przypominał pogrzeb chińskiego urzędnika, że naprawdę trudno byłoby dostrzec w nim jakiegokolwiek elementy żydowskiej tradycji. Tylko w sercu Dawid zachował świadomość swego pochodzenia. Zrozumiał teraz, po raz pierwszy w swoim życiu, dlaczego jego matka tak bardzo pragnęła wrócić do ojczyzny swych przodków i tam zostać pochowana. Niewątpliwie wiedziała, tak jak wiedziała znacznie więcej, niż się do tego przyznawała, że jeśli tu umrze, jej prochy przepadną w tej obcej ziemi. W miejscu, gdzie Dawid stał, grzebano zmarłych w pięciu warstwach; Żydzi od pokoleń żyli w tej prastarej krainie i zawsze, kiedy kopano nową mogiłę, natrafiano na szczątki zmarłych z odległej przeszłości. Jego ojciec i matka zostali powierzeni tej ziemi i już nigdy nie będą należeli do odrębnego narodu.

Monotonny śpiew buddyjskich mnichów w pierwszej chwili go zaskoczył. Dawid nosił się z zamiarem wyjaśnienia staremu kapłanowi ze Świątyni Złotego Buddy, że nie uważa za stosowne złożenia przez nich uszanowania zmarłemu, ponieważ jego ojciec nie był buddystą. Najgrzeczniej, jak umiał, próbował wytłumaczyć kapłanowi, że nie wypada, by nad grobem jego ojca rozlegały się buddyjskie śpiewy. Ale sędziwy mnich odparł poważnym tonem:

- Twój ojciec, chociaż był cudzoziemcem, miał wielkie serce i nigdy się nie odgradzał od innych ludzi. Chcemy mu podziękować tym, co mamy, a nie mamy niczego poza swoją religią.

Monotonny śpiew rozbrzmiewał nad wzgórzem i wznosił się ku niebu. Dawid się zamyślił, słuchając go z pochyloną głową i złożonymi rękami. Po obu jego bokach stali synowie, ubrani tak jak i on w szorstkie białe kitle. Ubrano tak nawet najmłodszego syna. Za nim głośno płakała Kueilan. Wiedział, że jego żona wspiera się na ramieniu Peonii.

Peonia! Ze wszystkiego, co było mu drogie w dzieciństwie, została tylko ona. Przypomniał sobie, jak trzy dni temu wyznał jej miłość. Nie odważył się jednak powiedzieć, jak bardzo pragnie ją posiadać. Czuł się nieswojo nawet teraz, kiedy pomyślał o swoim pragnieniu, i o tym, jak złościła się jego matka, kiedy ojciec jej przypominał, że jej teściowa była konkubina.

A przecież żaden z przyjaciół Dawida, nikt spośród tych, którzy tak serdecznie go dziś wspierali, nie oburzyłby się, gdyby uczynił z Peonii swoją konkubinę. Gratulowaliby mu jej urody i uznali go za jednego ze swoich. Nawet jego żona nie mogłaby się uskarżać - nie zrobiłaby tego, bo Peonia była zbyt delikatna i taktowna, by ją zranić, i jej zachowanie wobec Kueilan by się nie zmieniło.

A jednak tamtej nocy, kiedy całą duszą i ciałem pragnął mieć Peonię przy sobie, zamknął na klucz drzwi swojej sypialni. Zmusił się do wzięcia książki... Jak to się stało, że

jego wybór padł na Torę? Ten zbieg okoliczności dał mu dużo do myślenia; spędził wiele godzin nad lekturą Pięcioksięgu, aż usłyszał krzyk Peonii.

Wrócił myślami do dni, kiedy żyła Lea, i poczuł w sercu miłość, pomieszaną z trwogą. Gdyby poznali się później, kiedy mu minęła fala młodzieńczego buntu przeciwko matce, może pokochałby Leę. Nawet teraz myślał o niej z dziwnym żalem, wspominając jej urodę, jej prostotę, jej dumę. Przez niego targnęła się na swe życie i dlatego nie potrafił o niej zapomnieć. Nadal żyło w nim coś z Lei, chociaż był to jedynie sen o tym, co się nigdy nie wydarzyło naprawdę.

Jednakże trudno mu było wyobrazić sobie własne życie bez Kueilan, a tylko z Leą... i Peonia. Ach, ale Lea nigdy nie pozwoliłaby, żeby Peonia mieszkała w ich domu! Kueilan była bardziej wielkoduszna i lubił tę jej cechę. Wiedział, że gdyby jego matka teraz żyła, nie wyznałby jej, jak bardzo rozczarował się swym małżeństwem. Poślubił Kueilan dla jej ładnej buzi i zgrabnej figury, dla jej ciemnych oczu i małych dłoni, dla jej serca tak wolnego od lęku przed Bogiem, jak serce dziecka. Jeśli pod innymi względami czegoś jej brakowało... Nagle podniósł głowę i wyprostował ramiona. Musi mieć odwagę, by to przyznać! Dzięki Peonii, zawsze obecnej przy nim, nie odczuwał żadnych braków. W pełni go rozumiała. Z nią rozmawiał o swoich synach, interesach, kłopotach, ona dbała o jego przyjemności i o sprawy domowe, ona chroniła go przed codziennymi troskami. Nie miał powodów do narzekań.

Śpiew umilkł i Dawid usłyszał, jak na trumnę ojca spadają pierwsze grudki ziemi. Trumnę, podarowaną przez władze miejskie, zrobiono z potężnego pnia cyprysu; była rzeźbiona i pozłacana. Kung Chen, stojący po drugiej stronie mogiły w fioletowych szatach żałobnika spokrewnionego ze zmarłym otarł oczy. Nie płakał na głos, jak inni, nawet teraz nie wydobył się z jego ust żaden jęk, chociaż po policzkach płynęły mu łzy. Kochał Ezrę i jego miłości nie umniejszało to, że nigdy do końca mu nie ufał. Nie ma ludzi idealnych... Ze zdumieniem odkrył, że nawet małżeństwo Dawida i Kueilan nie wpłynęło na miłość Ezry do pieniędzy. Ale w gruncie rzeczy Ezra miał dobre serce. Czasami mogło go korcić, by mnie oszukać, ale przynajmniej nigdy nie pozwolił, by oszukiwali mnie inni, pomyślał Kung Chen i zrobiło mu się bardzo smutno, bo uświadomił sobie, że już nigdy więcej nie zobaczy rumianej, brodatej twarzy swego przyjaciela. Poczul na sobie czyjś wzrok, uniósł oczy i zobaczył, że Dawid wpatruje się w niego.

Dawid spuścił głowę i pomyślał, że Kung Chen będzie mu teraz bliższy niż rodzony ojciec. Kochał tego powszechnie szanowanego chińskiego kupca, a jednak świadomość tej nowej bliskości przestraszyła go. Uległa zerwaniu ostatnia więź, łącząca go z rodakami jego matki. Zostanie tu już na zawsze, nieodwołalnie. Przypomniawszy sobie dawne rozterki.

Kiedy długie uroczystości pogrzebowe wreszcie się skończyły, Dawid wrócił do domu, na nowo ogarnięty dawnymi wyrzutami sumienia. Tylko od niego teraz zależało, czy zachowa resztki tradycji swego narodu, czy też pozwoli im umrzeć.

Peonii udało się wcześniej wrócić do domu i to właśnie ją zobaczył Dawid, kiedy przeszedł przez bramę. Dostrzegła ulgę na jego twarzy.

- Och, Peonio, zajmij się wszystkim - powiedział cicho. - Muszę trochę pobyć sam.

- Proszę się o nic nie martwić - odparła spokojnie.

Podziękował jej, a na jego ustach i w oczach pojawił się lekki uśmiech. Minął Peonię i poszedł do swoich komnat.

Peonia musiała natychmiast zająć się dziećmi: najmłodsze głośno płakało i trzeba je było uspokoić. Wzięła chłopczyka z rąk zmęczonej piastunki i przytuliła go.

- Idź się przebrać - zwróciła się do kobiety. - Kiedy cię zobaczy w codziennym stroju, przestanie się tak bać.

Nosiła go i przemawiała do niego łagodnie, tak jak nosiła i uspokajała wszystkich synów Dawida. Chłopcy doskonale wiedzieli, że nie jest ich matką, wyczuwali jednak, że jest silniejsza od ich matki, ma decydujący głos w ich życiu i u niej można znaleźć pocieszenie, kiedy ich matka jest zirytowana albo śpi. Peonia zawsze zachowywała się tak samo. Kueilan mogła bardzo kochać swoje dzieci - obsypywała je słodyczami, głaskała, ścisnęła im rączki, dotykała nosem ich policzków - ale potrafiła też dać klapsa i głośno nakrzyczeć. Peonia zawsze była łagodna, nigdy zbyt serdeczna, ale nigdy też zanadto chłodna.

Była skałą, na której wznosiły się fundamenty ich życia. Kiedy dziecko przestało płakać, zdjęła mu wierzchnią odzież, przebrała je i dała mu do picia trochę gorącej herbaty, żeby się rozgrzało. Gdy piastunka wróciła, malec znów był zadowolony.

A Peonia zainteresowała się pozostałą dwójką. Dołożyła starań, żeby chłopcy się odprężyli, poświęcając im trochę uwagi i bawiąc się z nimi przez dłuższą chwilę. Trzymała w swoim pokoju kilka zabawek, kupowanych przy różnych okazjach drobiazgów, które były dla dzieci czymś nowym. Teraz też przyniosła coś dla każdego z nich, by przestały myśleć o pogrzebie.

- Czy już nigdy nie zobaczymy dziadka? - zapytał najstarszy.

- Jego dusza na zawsze tu pozostanie - odparła Peonia.

- Czy mogę zobaczyć jego duszę? - znów spytało dziecko.

- Nie oczami - wyjaśniła Peonia. - Ale kiedy w nocy o nim pomyślisz i przypomnisz sobie, jak wyglądał, zaraz poczujesz jego obecność. Mam tutaj dla ciebie książeczkę... Zobaczmy, czy potrafisz ją przeczytać.

Peonia była nauczycielką chłopców. Kiedy usiadła, oparli łokcie na jej kolanach, a gdy otworzyła książkę - próbowali czytać. Dumna z tego, że są tacy zdolni, pochwaliła ich szczerze, a oni zapomnieli o żalobie panującej w domu. Książkę znalazła na półce madame Ezra. Dawno temu Peonia zrobiła remanent w książkach - część zaniósła do biblioteki, a część włożyła do skrzyni z osobistymi rzeczami madame Ezra: szalami, świecidełkami i symbolami wiary, które teraz nikomu nie były potrzebne. Ale Peonia zatrzymała dla siebie małą książeczkę, napisaną prostymi słowami, opowiadającą dzieje rodaków madame Ezra: o tym, jak kiedyś przebywali w egipskiej niewoli, jak odzyskali wolność dzięki faworytowi królowej, w którego żyłach płynęło trochę obcej krwi. Tę historię synowie Dawida czytali teraz z zaciekawieniem.

- Gdzie jest Egipt? - zapytał jeden z nich.

- Dlaczego ci ludzie byli niewolnikami? - zapytał starszy, a potem: - Kim był ten Mojżesz, który ich uwolnił?

Miał bardzo poważną minkę, kiedy skończył czytać.

- Ich bóg nie mógł być dobry, skoro zabił wszystkich pierworodnych synów. Ja też jestem pierworodnym synem. Cieszę się, że nie ma tutaj tego boga.

Na żadne z ich pytań Peonia nie potrafiła odpowiedzieć, więc uspokoiła chłopców, mówiąc:

- To tylko taka historyjka o tym, co się wydarzyło dawno, dawno temu.

Odłożyła książeczkę i dopilnowała, by dzieciom dano kolację. Potem, kiedy poszły się bawić, zastanowiła się nad ich pytaniami. Z pewnością ktoś w tym domu powinien im na nie odpowiedzieć, w przeciwnym razie później, kiedy podrosną, nie będą wiedziały nic o swoich przodkach, a to niedobrze.

Przodkowie są korzeniami każdej rodziny, a dzieci - jej kwiatami. Nie wolno rozdzielać jednych i drugich. Postanowiła, że kiedy będzie miała trochę czasu, poczyta stare książki madame Ezra i dowie się tyle, by móc odpowiadać na pytania dzieci.

Ale teraz musi iść do swojej pani i sprawdzić, czy niczego jej nie brak, czy jest w dobrym nastroju. Zapadał zmierzch, powietrze było łagodne i nieruchome, kiedy szła przez dziedzińce. Dom spowijała cisza. Peonia z dziwnym bólem serca stwierdziła, że brakuje jej starszych państwa. Ale należeli do poprzedniego pokolenia, które już wymarło, teraz Dawid był najstarszy z pokolenia żyjących. Nagle przypomniało jej się, jak zamknął drzwi na klucz. Prawdę mówiąc, ani na chwilę o tym nie zapomniła. Pierwszy raz w życiu zamknął się przed nią na klucz. A może zamknął się przed sobą? Nie, z pewnością przed nią. Już nigdy do niego nie pójdzie. Drzwi zostały zatrzasknięte na zawsze - chyba że Dawid sam je otworzy.

Ale ona się nie zmieni. Musi się o niego troszczyć jeszcze bardziej niż do tej pory. Już nie wystarczy dbać o jego wygody i rozrywki. Musi się dowiedzieć, co zrobić, żeby się dalej rozwijał i cieszył coraz większym szacunkiem. Jego życie musi być jak najpełniejsze, żeby mógł znaleźć dość sił i spokoju w sobie. Skierowała twarz ku niebu. Nigdy w życiu się nie modliła i nie znała żadnego boga, ale jej serce uczepliło się boga cudzoziemców, który nazywał się, jak pamiętała, Jehowa.

Racz łaskawie wysłuchać głosu osoby ci nieznanej, modliła się w duchu. Oświeć moją duszę, żebym mogła mądrze służyć mężczyźnie, którego kocham.

Stała przez chwilę, czekając na jakiś znak, ale się nie doczekała. Bambusy cicho szeleściły w niemal nieruchomym powietrzu, gdzieś z oddali dobiegał żalostny głos kobiety, przywołujący wędrującą duszę jej umierającego dziecka.

Kueilan siedziała z zadowoloną miną. Była teraz panią domu, najstarszą kobietą w rodzinie. Doszła do siebie po trudach wyprawy na cmentarz na wzgórzu, z lubością zajadała teraz słodycze i piła gorącą herbatę. Już nie miała oczu zaczerwienionych od płaczu.

Kiedy jednak zobaczyła, że wchodzi Peonia, żałośnie wykrzywiła usta i odłożyła ciasteczko, które właśnie miała ugryźć.

- Będzie mi brakowało naszego drogiego, starszego pana - powiedziała.

- Wszystkim nam będzie go brakowało, pani - cicho odezwała się Peonia. Widząc, że jej pani ma ochotę porozmawiać, usiadła obok niej i złożyła ręce.

- Zawsze dobrze mnie traktował - rozczuliła się Kueilan. - Nie było w nim ani odrobiny bezwzględności i uporu.

- To prawda - zgodziła się z nią Peonia.

Do oczu Kueilan napłynęły łzy.

- Był lepszy od mojego męża - oświadczyła.

- Pani mąż jest bardzo dobry - łagodnie przypomniała jej Peonia.

Nagle łzy Kueilan wyschły.

- Jest coś twardego na dnie jego serca - powiedziała z ożywieniem. - Czuję to i ty też byś poczuła, Peonio, gdybyś go nie uważała za taki ideał. Ale ty, w przeciwieństwie do mnie, nie jesteś jego żoną. Mówię ci, że w jego sercu jest coś bardzo twardego... Czasami widzę to w jego oczach, kiedy na mnie patrzy.

Peonia westchnęła.

- Mówiłam pani, że jej mąż lubi, jak pani jest zawsze zadbana i ładna, a czasami nie pozwala mi pani, żebym ją ubrała na jego przyjęcie, a nawet uczesała jej włosy. I są wieczory, kiedy jest pani zmęczona i nie pozwala mi, bym ją wykapała, zanim uda się pani spać. I te

słodczyce, pani... Wiesz, że pan nigdy nie lubił zapachu tłuszczu wieprzowego, a te ciasteczka są na smalcu. Czy musi je pani jeść?

Przez te wszystkie lata Peonia nauczyła się mówić otwarcie z tą piękną istotką, która teraz popatrywała na nią spod oka.

Tak, Kueilan wciąż była śliczna, chociaż pod jej gładką skórą pojawiła się warstewka tłuszczu. Kueilan narzekała też, że bolą ją stopy, odkąd Peonia przestała je owijać bandażami. Chodziła tylko wtedy, kiedy musiała, a kochała słodczyce i różne frykasy. Peonia się roześmiała, widząc jej zmarszczone brwi.

- Nie patrz tak na mnie, pani, bo za bardzo cię Kocham.

Kueilan starała się jak najdłużej zachować marsową minę, ale w końcu wybuchnęła śmiechem.

- Za często mnie strofujesz - oświadczyła. - Musisz z tym skończyć, Peonio. Jestem teraz panią domu i powinnaś się mnie słuchać. Nie pozwolę, byś mi nadal mówiła, co mam robić.

Mała kobietka wyprostowała się i w jej dużych czarnych oczach błysnęło coś więcej niż wesołość, kiedy spojrzała na swoją służącą.

Peonię to zaskoczyło. Kueilan zawsze była uparta, ale jakoś udawało jej się nakłaniać ją do robienia tego, co należy, i ją rozśmieszać. Jeśli teraz Kueilan stanie się dumna i wyniosła, Dawid rzeczywiście może stracić do niej cierpliwość. Więż, która ich łączyła, była wyłącznie fizycznej natury i łatwo mogła ulec zerwaniu. Dawid nie należał do lubieżników. Wiedział, co to namiętność, ale u niego łączyła się ona z przymiotami ducha i umysłu, nie potrafił tego rozdzielać, traktował jako całość. Póki jego żona była w jego obecności wystarczająco ładna, miła i potulna, by go nie irytować i nie budzić w nim niechęci, miała nad nim pewną władzę, która ujmowała go za serce. Ale jej władza nad nim może się okazać zbyt słaba, by przetrwać, jeśli Kueilan czymś się mu narazi. Nie zawładnęła nim całkowicie.

Peonia o tym wiedziała. Miała dużo czasu na rozmyślanie, a ponieważ prawie całe swoje życie spędziła w tym domu, rozmyślała o wszystkich, którzy mieszkali pod jego dachem, a najwięcej o Dawidzie. Powiedziała sobie, że już straciła nadzieję i przestała być o niego zazdrosna; teraz jedynie troszczyła się, by otrzymywał to, co mu zapewniało szczęście i zdrowie.

Ukryła swoje zaskoczenie, widząc dumę bijącą od Kueilan.

- Bardzo dobrze wiesz, pani, że robisz wszystko przez wzgląd na swego męża, i to chętnie - powiedziała cicho.

Potem przeszła do sypialni, żeby sprawdzić, czy wszystko przygotowano do nocnego spoczynku. Był to pokój jej pani, urządzone z myślą o niej, ale Peonia wiedziała, kiedy Dawid tu przychodził. Rano zawsze dostrzegała ślady jego obecności: fajkę, ranne pantofle, białą jedwabną chustkę, książkę, którą wziął ze sobą. Często przeglądała te książki. Początkowo były to zbiorki wierszy, ale później zastąpiły je dzieła historyczne albo filozoficzne, zawile teksty, których z pewnością nie czytał na głos swojej żonie. Po powrocie z Pekinu pojawiły się książki z biblioteki jego matki, którymi po raz pierwszy się zainteresował, a Peonia nie wiedziała dlaczego i dużo rozmyślała nad tym, co sprawiło, że Dawid od kilku dni wspomina swoich przodków.

Kiedy przygotowała lampę, starła kurz ze stołu i odwinęła kołdrę, spuściła ciężkie atlasowe draperie, zaczepione o srebrne kółka, zamknęła ażurowe okna, by nie wpadały ćmy i komary, i zapaliła kadzidelko, by powietrze stało się wonne, cicho wyszła z pokoju. Kueilan wciąż siedziała beczynnie przy stole.

- Czy mam pani pomóc się rozebrać? - zapytała ją Peonia.

Kueilan pokręciła głową.

- Jeszcze za wcześnie, żeby się położyć spać - oświadczyła władczo. - Chcę zostać sama.

Peonia posłusznie wyszła. Rzeczywiście, ten dom się zmieni, jeśli zacznie w nim rządzić Kueilan. Przystanęła na trzecim dziedzińcu i zamyśliła się. Czy powinna pójść do Dawida?

Jeśli tego nie zrobi, on uzna to za coś dziwnego. A może jej nie potrzebuje? Nie, nie mogła pójść do niego. Nie mogła zapomnieć o zamkniętych na klucz drzwiach. Skierowała się więc na boczny dziedziniec w poszukiwaniu Matki Wang. Zastała ją w jej pokoju, siedzącą na łóżku. Stary Wang siedział obok niej na bambusowym zydłu. Oboje płakali.

Zapomniała o nich, pochłonięta swoimi obowiązkami, bo w miarę upływu lat oni coraz więcej usługiwali Ezrze, a ona dbała o młodsze pokolenie. Teraz ich pan odszedł. Nie próbowała ich pocieszać, tylko otarła oczy rękawem i czekała, aż Matka Wang przemówi.

- Siostrze, chciałam cię o coś prosić - zwróciła się do niej Matka Wang, szlochając.

- Słucham, starsza siostrze - powiedziała Peonia.

- Nie mamy już serca, ja i mój mąż, by dłużej zostać w tym domu. Pojedziemy na wieś i zamieszkamy z naszym najstarszym synem i naszymi wnukami. Wstaw się za nami u młodego pana, by pozwolił nam odejść.

Byli tak zrozpaczeni, że Peonia nie miała odwagi im powiedzieć tego, o co chciała ich poprosić: żeby zamiast niej służyli Dawidowi.

- Pomówię z nim, jak tylko otrząśnie się z własnych smutków - obiecała. - Możecie być spokojni, bo niczego wam nie odmówi. Ale jak ja poradzę sobie sama, starsza siostrze? Zawsze zdawałam się na ciebie.

- Nie mam już serca do tego domu - odparła Matka Wang i znów zaczęła płakać.

Peonia opuściła ich, zasmucona. Potem znalazła służącego i poprosiła, żeby poszedł do komnaty pana i zapytał go, czy życzy sobie coś do jedzenia, a sama udała się do swojego pokoju. Zapadła noc. Peonia była bardzo zmęczona, a na dodatek nie widziała wyraźnie, co ją czeka w przyszłości.

Ezra nie zdążył poinformować Kung Chena, dlaczego Dawid razem z rodziną tak nagle wyjechał z Północnej Stolicy, a Dawid, pogrążony w żałobie, zupełnie o tym zapomniał.

Jakby tego jeszcze było mało, przyszła wiadomość, że statki, które wypłynęły z Indii, zawinęły do portu, a towary wysłano drogą lądową, wynajawszy tragarzy. Ponieważ jednak wojna skończyła się tak niedawno, ludzie wszędzie klepali biedę i szerzyły się rozboje. Dlatego Dawid musiał zorganizować strażników i żołnierzy w każdej prowincji, przez którą będą przewożone towary. Nie miał czasu nawet na to, by opłakiwać ojca. Natychmiast musiał się zająć interesami. Mając tyle spraw na głowie, wciąż zapominał powiedzieć Kung Chenowi, co spotkało Peonię na dworze cesarskim. Martwił się, bo ostatnio zauważył, że Peonia odsunęła się od niego, co go irytowało, chociaż wiedział, że jej zachowanie jest bez zarzutu.

Obiecał sobie, że kiedy się upora ze wszystkim, kiedy towar bezpiecznie dotrze do sklepów, kiedy minie mu ból, wywołany świadomością, że już nigdy więcej nie zobaczy ojca, wtedy znów zajrzy w głąb swego serca, żeby rozstrzygnąć, jak powinien się zachować wobec Peonii.

Dlatego wcale nie był przygotowany na to, co usłyszał, kiedy pewnego ranka odwiedził go Kung Chen z wielce zafrasowaną miną. Dawid był w swojej części sklepu, przeliczając towar, który zaczął napływać do magazynu, i oceniając jakość wyrobów z wyprodukowanych w Indiach tkanin bawełnianych. Towarzyszył mu jego wspólnik, najstarszy syn Kung Chena. Obaj byli pochłonięci pracą. I obaj się zdziwili na widok Kung Chena.

- Dawidzie, chodź ze mną na stronę. Ty też, mój synu - rzekł poważnym tonem.

Obaj mężczyźni podążyli za nim do małego pokoiku i Kung Chen zamknął drzwi. Jego pełna twarz była szara z niepokoju, usta mu poblewały.

- Przybył posłaniec z naszych sklepów w Północnej Stolicy - oznajmił prawie szeptem. - Mówi, że na dworze gniewają się na nas, Dawidzie. Główny eunuch rozpuścił plotkę, że jedna z naszych służących zachowała się niewłaściwie w obecności Cesarzowej Zachodniego Pałacu. Co to ma znaczyć?

Dawidowi zamarło serce. W jednej chwili wszystko stało się dla niego jasne. Opowiedział całą historię obu mężczyznom, którzy wysłuchali jej w milczeniu.

- Główny eunuch z pewnością zażąda, by odesłać Peonię, żeby można ją było ukarać - zauważył Kung Chen, kiedy Dawid skończył mówić. - Jeśli mu jej nie wydamy, możemy się pożegnać z nadzieją robienia dobrych interesów. Faworyt cesarzowej ma długie ręce.

- Sam udam się do stolicy - zaproponował Dawid. - Poproszę cesarzową o audiencję i wyznam jej prawdę.

Obaj Chińczycy, usłyszawszy to, aż zakrzyknęli.

- Głupota... Głupota! - oświadczył Kung Chen. - Myślisz, że uda ci się pokonać głównego eunucha? Cieszy się zaufaniem cesarzowych, a ty jedynie narazisz na niebezpieczeństwo własne życie. Nie, nie ma innego wyjścia, jak tylko nakłonić ją do wyjazdu.

- Tego nie mogę zrobić - stwierdził Dawid.

Jego rozmówcy dziwnie na niego spojrzeli, ale Dawid nie spuścił wzroku, chociaż nie przyszło mu to łatwo. Potem ojciec i syn popatrzyli na siebie. Przypomnieli sobie, jaka śliczna jest Peonia. Prawdę mówiąc, Kung Chen powiedział raz czy dwa swemu synowi, że nie ma mężczyzny, który pozostałby obojętny na tak śliczną niewolnicę, do tego mądrą i bystrą.

Dawid nie mógł tego dłużej znieść.

- Możecie się dziwić - wykrztusił z trudem - ale zapewniam was, że to, o czym myślicie, jest wykluczone. Nasz Bóg... To znaczy Bóg moich rodaków... pozwala mężczyźnie mieć tylko jedną żonę. Czuję... wdzięczność dla niewolnicy... którą traktowaliśmy w naszym domu jak córkę. Nie mogę jej oddać... eunuchowi.

Kung Chen uchwycił się ostatniej nadziei.

- A jeśli zechce wyjechać z własnej woli?

Dawid nie mógł powiedzieć prawdy, chociaż właściwie nie wiedział dlaczego. Ci ludzie nie mieliby mu za złe, gdyby otwarcie im wyznał, że kocha Peonię i chce ją zatrzymać dla siebie. Roześmialiby się i zaczęli zastanawiać, co zrobić, żeby wolno mu było się nią cieszyć. Nie mógł tego powiedzieć.

Pochylił głowę.

- Jeśli zechce pojechać... mając na względzie swoje dobro... - wyjąkał. - To trudno.

Wrócili do swoich zajęć i Dawid próbował się skupić na pracy. Ale jak mógł myśleć o liczbach i towarach, a nawet o zyskach? Jeśli Kung Chen wezwie Peonię, przedstawi jej, jakie szkody poniosą obie rodziny, Peonia - uległa i bezinteresowna - może się ugiąć. Umysł spowiła mu mgła i nie mógł dłużej pracować.

- Źle się czuję - oznajmił Kungowi Pierwszemu. - Pójdę do domu i prześpię się trochę. Przyjdę jutro.

Jego współnik popatrzył na niego, ale nic nie odrzekł.

Dawid dostrzegł jednak przebiegłość w jego małych, dobrych oczkach, nim wyszedł. Wiedział, że liczy się każda minuta.

Jak tylko znalazł się w domu, posłał po Peonię i czekał niecierpliwie, póki nie przybiegła do jego komnat, po drodze wycierając do sucha ręce.

- Byłam w kuchni - tłumaczyła się. - Powiedziano mi, że sos sojowy nie gęstnieje, jak należy. Poszłam to sprawdzić.

Nie słuchał tego, co mówiła, tylko widział jej urodę i siłę, i to, że jest filarem tego domu. Nie mógłby bez niej żyć.

- Peonio, usiądź - polecił jej gwałtownie.

Przysiadła na brzeжку krzesła, zaniepokojona jego miną i tonem jego głosu.

- Co się znów stało? - zapytała.

Powiedział jej krótko i bez ogródek, chcąc jak najszybciej zrzucić ciężar z serca i wiedząc, że Peonia zniesie wszystko. Ale przestraszył się, kiedy zobaczył, jak krew odpłynęła jej z twarzy i opuściły ją siły.

- Mówiłam, że muszę zostać mniszką - szepnęła. - W przeciwnym razie nie będę mogła ci służyć. - Wstała i zaczęła odwiązywać niebieski fartuch, którego zapomniała zdjąć.

- Zaczekaj... Jest jeszcze inny sposób, żebyś mogła zostać ze mną.

Peonia doskonale wiedziała, co Dawid ma na myśli, ale postanowiła, że nie ułatwi mu zadania.

- Jaki? - spytała.

- Dobrze wiesz - odrzekł cicho Dawid, nie patrząc na nią.

Była zła, że odwrócił wzrok, i przemówiła do niego zdecydowanym tonem:

- Myślisz o tym, żeby uczynić ze mnie swoją konkubinę?

- Tak - przyznał, wciąż na nią nie patrząc.

Zobaczyła, że Dawid ma ściągniętą twarz. Nie było radości w jego oczach. Fartuch wysunął jej się z rąk.

- Zamknąłeś się przede mną na klucz - przypomniała mu. - Dlaczego?

- Skąd mam wiedzieć? - zapytał.

- Dobrze wiesz - odparła. - Bałeś się tego, o co mnie teraz poprosiłeś. Bałeś się siebie... Tego, co nadal w tobie jest i pozostanie w tobie do końca życia!

- Nieprawda! - zaprzeczył z pasją.

- Nie możesz się tego wyprzeć. Taki już się urodziłeś.

Wsparł głowę na rękę i nic nie powiedział. Tak wyraźnie, jakby Lea żyła, zobaczył ją i usłyszał jej głos. Ale jej głos był głosem jego matki i głosami tych wszystkich mężczyzn i kobiet, którzy żyli przed nim. Był to głos samego Jehowy.

- Gdybym się zgodziła - tłumaczyła mu Peonia łagodnie - sumienie nie dawałoby ci spokoju i coraz mniej byś mnie kochał. Nie, Dawidzie, nie zrobię tego. Pozwól mi odejść. Tak, odejdę z własnej woli... Ale nie do pałacu!

Wybiegła z pokoju. Dawid nie pobiegł za nią. Powiedziała prawdę. To, co jego matka wpajała w jego krnąbrną duszę, zapuściło w niej korzenie. Wypierał się tego i walczył z tym, ale to nie umarło. Nadal w nim żył duch wiary jego przodków.

Wstał z martwych i zawładnął nim. Nie mógł się od tego uwolnić.

Padł na kolana, złożył ręce na stole i oparł na nich głowę.

- Och, Jehowo, jedyny prawdziwy Panie, wysłuchaj mnie... I wybacz mi!

Peonia biegła przez miasto ze spuszczoną głową. Niczego ze sobą nie zabrała. Brama do klasztoru była otwarta. Nie zobaczyła nikogo na dziedzińcu, więc zawołała:

- Matko przełożona!

Pojawiła się łagodna, starsza kobieta, ubrana na szaro, i wyciągnęła ręce, żeby objąć Peonię.

- Chodź, moje biedactwo - powiedziała.

- Grozi mi niebezpieczeństwo - wyrzuciła z siebie Peonia jednym tchem.

- Tutaj bogowie chronią nas przed wszystkim - zapewniła ją matka przełożona.

- Każcie zamknąć bramę! - błagała Peonia. Teraz, kiedy się tutaj znalazła, była przerażona tym, co zrobiła. Uczepiła się ręki staruszki. - Jeśli poproszę... Jeśli będę chciała uciec...

Nie pozwól mi odejść! - nalegała.

- Nie pozwolę - obiecała matka przełożona i opuściła żelazną sztabę w bramie.

Dawid nie uwierzył, że Peonia nie wróci do domu. Czekał kilka godzin, mając mętlik w głowie. Potem, zbyt zaniepokojony, by dłużej czekać, posłał po Matkę Wang i poprosił ją, żeby udała się do klasztoru i sprawdziła, czy jest tam Peonia.

Miał taką ponurą minę, że Matka Wang nie śmiała go o nic zapytać i wyszła bez słowa.

W głębi serca Dawid bał się, czy Peonia przypadkiem nie rzuciła się do rzeki, i trochę się uspokoił, kiedy godzinę później Matka Wang wróciła i powiedziała, że Peonia rzeczywiście jest w klasztorze. Wysłuchał tego w milczeniu, a potem, wiedząc, że wiadomość ta wkrótce rozejdzie się po całym domu, doszedł do wniosku, że musi natychmiast poinformować Kueilan o tym, co się wydarzyło. Postanowił jej powiedzieć o obawach Peonii, przerażonej, że główny eunuch i tak ją dostanie w swoje ręce. Nie zwierzył się Kueilan z zamętu, jaki miał w sercu, ani z tego, jaki dziwny spokój go ogarnął, odkąd się upewnił, że oddziela go od Peonii brama, zamknięta na klucz. Czyż jednak go nie porzuciła? Czuł się na swój sposób zraniony, że mogła go zostawić, wybiec z jego domu jak bita niewolnica, chociaż od najmłodszych lat tak bardzo ją kochał, że nie zauważył, kiedy dziecinna miłość przemieniła się w coś więcej. Bał się stawić czoło temu uczuciu, czymkolwiek było, i bojąc się go teraz, odwrócił się od niego i w głębi serca winił o wszystko Peonię. Nie miała prawa odejść od niego tak nagle, mówił sobie, i czując się wykorzystany, był zły na Peonię.

W takim stanie ducha udał się na poszukiwania swej żony.

Tak się akurat złożyło, że tego dnia Kueilan była w radosnym nastroju. Rozkoszowała się tym, że została panią domu, a jej mąż jego panem, i że teraz są w nim najważniejsi. Nagle zniknęło wszystko, co było tu obce... Kueilan uśmiechała się i była wyrozumiała wobec służby i dzieci. Kiedy Dawid podszedł do okrągłej bramy, prowadzącej na jej dziedziniec, ujrzał obrazek, który ująłby za serce każdego mężczyznę. Jego prześliczna żona siedziała na ławeczce, a obok bawiły się ich dzieci.

Chłopcy nie mieli lekcji, bo nie wiedzieć czemu nie pojawiła się Peonia. Najstarszy bawił się lotkami, średni - świerszczem na sznurku, a najmłodszego Kueilan trzymała na kolanach. Chryzantemy kwitły na tarasach wzdłuż murów, popołudniowe słońce padało na kwiaty i dzieci. Dawid znów dostrzegł to, o czym czasami zapominał - jak urodziwa jest Kueilan. Jej kremowa cera była gładka, jak u niemowlęcia, miała czerwone usta, a włosy, dzięki licznym zabiegom Peonii, błyszczące i jedwabiste.

Akurat tego ranka Peonia wpięła swej pani w kok nefrytowe szpilki, które idealnie pasowały do nefrytowych kolczyków i jasnozielonej sukni.

Dlaczego miałbym być nieszczęśliwy? - zapytał Dawid swoje serce.

Zatrzymał się w bramie i teraz wszyscy go zobaczyli. Kueilan wstała, a chłopcy podbiegli do ojca. Służące były zajęte gdzie indziej i Kueilan skierowała się w stronę męża. W tej samej chwili, kiedy Dawid na nowo uświadomił sobie jej urodę, Kueilan stwierdziła,

jaki wysoki i przystojny jest jej mąż. Nigdy nie pozwalał, żeby broda zanadto mu urosła, jak to się zdarzało niektórym cudzoziemcom. Serce szybciej jej zabiło na widok jego gładkiej twarzy, dużych ciemnych oczu, kształtnych ust, a przede wszystkim emanującej od niego siły. Kochała swojego męża, ale czasami zapominała, jak bardzo. Usiadła obok niego i czule na siebie spojrzeli. Dawid wziął na ręce najmłodszego syna.

- Niech zobaczę, jaki jest duży - powiedział.

Kueilan szybko podłożyła pod pupę dziecka pikowaną podkładkę.

- Jeszcze nie na tyle duży, żeby cię nie zmoczył, niegrzeczny chłopczyk! - wykrzyknęła.

Dawid się roześmiał. Dwaj starsi chłopcy, słysząc to, podeszli do ojca i oparli się łokciami o jego kolana. Spojrzenia rodziców spotkały się nad trójką wspaniałych dzieci. Znów się uśmiechnęli.

- Co się stało, że jesteś w domu o tej porze? - spytała Kueilan.

- Wydarzyło się coś bardzo dziwnego - rzekł Dawid. - Pamiętasz głównego eunucha, który chciał, żeby Peonia została na cesarskim dworze? - Z jaką łatwością przyszło mu powiedzenie tego własnej żonie! Był zaskoczony swoim opanowaniem.

- Nie mów, że wciąż tego pragnie! - wykrzyknęła Kueilan z żywym zainteresowaniem.

Dawid skinął głową.

- Ponieważ Peonia nie chciała się zgodzić na zamieszkanie w pałacu, miała tylko jedno wyjście, by nie narazić nas na szykany dworu...

Kueilan uważnie wpatrywała się w jego twarz. Dawid stwierdził - ach, przecież o tym wiedział! - że nigdy nie będzie mógł jej wyznać, co się kryje na dnie jego serca. Czy sam to wiedział? Skąd człowiek ma wiedzieć, co jest dla niego najdroższe, kiedy wszystko, co ma, jest zważone i zmierzone?

- Uciekła do klasztoru - dokończył cicho.

- Żeby tam zostać na zawsze? - spytała Kueilan, szeroko otwierając oczy.

- Tylko tam będzie bezpieczna - odparł.

Teraz dzieci zaczęły zadawać pytania.

- Czy Peonia już nigdy nie będzie z nami mieszkała? zapytał najstarszy.

- Jeśli postanowi być mniszka, musi mieszkać w świątyni - wyjaśniła Kueilan.

Młodszy syn zaczął płakać.

- Chcę jeszcze zobaczyć Peonię - szlochał.

- Uspokój się! - powiedziała Kueilan. - Będzie mogła nas odwiedzić, kiedy zostanie prawdziwą mniszką.

Dawid siedział w milczeniu, bawiąc się rączką swego małego synka. Na wyprostowanej dłoni położył rączkę dziecka i poczuł bijące od niej ciepło.

Kueilan zebrała myśli. Ona też rozważała plusy i minusy nowej sytuacji. Bardzo jej będzie brak Peonii - ale przecież Peonia po odbyciu nowicjatu będzie mogła tu przychodzić tak często jak zechce. Wprawdzie na noc zawsze będzie musiała wracać do klasztoru, ale może to i lepiej. Peonia nie była już tak potrzebna Kueilan, jak przed śmiercią teściów. Teraz przestało mieć znaczenie, czy wszystko będzie zrobione zgodnie z regułami i tradycją. Tak, może lepiej, jak Peonii tu nie będzie. Czasami wyglądało to niemal tak, jakby Peonia była panią domu. W Kueilan obudziła się zazdrość, która do tej pory tliła się, uśpiona, ponieważ Peonia była niezbędna Kueilan. Ale Peonia jest zbyt ładna. Peonia czyta książki i Dawid lubi z nią rozmawiać.

- Dla Peonii to najlepsze rozwiązanie - oświadczyła zniechęcona Kueilan. - Nigdy nie wyszłaby za męża. Cóż więc pozostaje takiej kobiecie, jak nie klasztor? Wiele razy mówiłam Peonii, że powinniśmy wybrać dla niej męża, ale nawet nie chciała o tym słyszeć. A przecież nie jest coraz młodsza. Pewnego dnia i tak musiałyby zostać mniszką... To znaczy, jeśli nie zgodziłaby się zamieszkać w Pałacu Cesarskim. Bo gdyby się na to zdecydowała, to wtedy naturalnie...

- Nie mogłaby tego zrobić - przerwał jej Dawid, nie patrząc na nią.

Kueilan poczuła ukłucie zazdrości.

- Zamieszkałaby tam, gdyby kochała nas tak bardzo, jak zawsze utrzymywała! - wykrzyknęła. - Czy byłoby dla nas coś lepszego, niż mieć ją na dworze cesarskim? Mogłaby tam być twoją rzeczniką, a kiedy nasi synowie by dorośli, mogłaby ich zaprosić do siebie. Ja też mogłabym ją odwiedzać i dostąpilibyśmy dzięki temu najróżniejszych zaszczytów.

Dawid nic na to nie odrzekł. Dziecko zgięło paluszki, a on zamknął dłoń na jego malutkiej piąstce. Nagle wstał i pochyliwszy się, posadził synka na kolanach matki.

- Będzie tutaj inaczej bez Peonii - powiedział cicho.

- Ale mądrze zdecydowała. Muszę wrócić na godzinę do sklepu.

Musnął dłonią krągły policzek żony i oddalił się. Ogarnęło go dziwne odrętwienie. Jakaś część jego życia skończyła się.

Dokonał wyboru, nie przyznając się nawet przed samym sobą, jaki był ten wybór, ale wiedział, że walka się skończyła. Był panem swego serca, jak również tego domu.

Kiedy Matka Wang udała się na poszukiwania Peonii, mniszka, stojąca przy bramie, nie wpuściła jej do środka, nim nie zapytała o zgodę matki przełożonej. Pojawienie się ślicznej, młodej kobiety z domu Ezry wywołało poruszenie wśród mniszek i nowicjuszek, w krążgankach słycać było ich podniecone szepty. Wiedziały, że dopiero co umarł stary pan, bo któż w mieście nie słyszał o jego wspaniałym pogrzebie? Matka przełożona widziała szepczące kobiety, ale jeszcze nie rozmawiała z Peonią. Trzeba czasu, żeby minął żal. Poleciała, by zaprowadzić Peonię do dużego, cichego pokoju, wychodzącego na mały bambusowy zagajnik. Nowicjuszki zaniósły jej gorącą wodę, żeby mogła się wykapać, na krzesła położono czyste, miękkie suknie z gładkiego szarego płócienka. Kiedy nowicjuszki poinformowały matkę przełożoną, że Peonia się wykapała i włożyła szare szaty, kobieta kazała im zabrać dotychczasowe ubranie Peonii i schować je w skrzyni, a następnie zanieść jej wegetariańskie potrawy i imbryk słabej herbaty. Wykonano wszystkie polecenia.

Kiedy matka przełożona się dowiedziała, że przed bramą stoi jakaś starsza kobieta, osobiście udała się do Peonii. Peonia siedziała pod oknem. W szarej sukni wyglądała tak ślicznie, że matka przełożona aż poczuła ukłucie w sercu. Sama pojawiła się tutaj dawno temu, kiedy niespełna miesiąc po ślubie umarł jej młody mąż. Najpierw odczekała, by się upewnić, czy nie nosi w swym łonie dziecka, a potem poświęciła życie niebiosom. Wiedziała, jak wygląda kobieta, która jest świadoma, że czeka ją samotność.

- Przy bramie stoi stara służąca imieniem Wang. Chce się z tobą zobaczyć, moje dziecko - powiedziała łagodnie. - Czy mam poprosić, żeby przyszła?

Peonia wstała i zwróciła wielkie, smutne oczy na dobrotliwą twarz matki przełożonej. Już miała pokręcić głową, ale nie mogła. Wszystko działo się tak szybko. Niewątpliwie Dawid kazał Matce Wang odszukać ją.

- Niech wejdzie - odrzekła Peonia.

Tak więc wpuszczono Matkę Wang. Kiedy zobaczyła Peonię w szarej sukni, zaniemówiła i łzy zaczęły płynąć po jej pomarszczonych policzkach. Wyciągnęła ręce i Peonia nie mogła się powstrzymać, żeby do niej nie podbiec. Obie kobiety razem głośno płakały, a matka przełożona spuściła głowę.

Matka Wang pierwsza wytarła oczy i usiadła.

- Stare nogi odmawiają mi posłuszeństwa - wymamrotała.

Peonia stała nieruchomo z twarzą mokrą od łez.

- Co on ci zrobił? - zapytała Matka Wang.

Peonia pokręciła głową i otarła oczy rękawem.

- Nic - powiedziała cichutko.

- A więc nic nie zrobił - powtórzyła Matka Wang. Nie przestała wpatrywać się w Peonię.

Peonia wbiła wzrok w podłogę.

- Tamten eunuch znów po mnie przysłał - wyznała równie cicho.

- A ponieważ ty nie jesteś ani żoną, ani konkubina... - zaczęła Matka Wang.

- Nie mam nikogo, kto by stanął w mojej obronie - dokończyła za nią Peonia.

Matka Wang westchnęła głośno.

- Czy za późno, żebyś mogła wrócić? - spytała.

- Cóż mnie tam czeka poza smutkiem? - odparła Peonia.

- Mogłabyś postąpić tak jak ja - oświadczyła Matka Wang. - Zgodziłam się poślubić mężczyznę, którego mi wybrali, i dalej mieszkałam z rodziną, i służyłam swemu panu, póki się nie udał do Żółtych Źródeł. Teraz nawet mój stary mąż jest dla mnie pocieszeniem.

Jak Peonia miała jej wytłumaczyć, że Dawid jest inny niż jego ojciec, a ona to nie Matka Wang? Uśmiechnęła się, a do oczu znów napłynęły jej łzy.

- Pamiętasz, jak kiedyś mi powiedziałaś, że życie jest smutne?

Wymówiła to tak cicho, że Matka Wang chyba jej nie usłyszała. Westchnęła kilka razy, trzymając ręce na kolanach, i patrzyła na Peonię. Potem przeniosła wzrok na matkę przełożoną.

- Czy zgolicie jej włosy? - zapytała.

- Nie sprzeciwię się żadnym obowiązującym nakazom - oznajmiła Peonia, zanim matka przełożona zdążyła otworzyć usta.

Matka Wang znów westchnęła i wstała z krzesła.

- Jeśli postanowiłaś służyć niebiosom, nie ma sensu, żebym ci zabierała czas - przemówiła ostrym tonem. - Czy chcesz przekazać jakąś wiadomość naszemu panu?

Matka przełożona, obserwująca Peonię, widziała, jak szyję i twarz młodej kobiety zalewa rumieniec. Jej czerwone usta drgnęły, łzy zawisły na jej rzęsach.

- Może już nigdy go nie zobaczę - wyszeptwała.

Matce przełożonej zrobiło się żal Peonii. Dawno temu przepłakała niejedną noc, myśląc, że nigdy jej się nie uda uwolnić od miłości i tęsknoty, którą nosiła w sercu. Ale jej serce jakoś się pogodziło ze stratą ukochanego, a ból minął.

Teraz pamiętała jedynie, jakie słodkie były dni, kiedy żył jej mąż, a ból, wywołany jego śmiercią, przestał być taki dotkliwy.

- Nie trzeba teraz tak mówić - zwróciła się do Peonii.

- Zobaczymy, jak będzie się goiło serce.

Matka Wang pożegnała je skinieniem głowy i wyszła.

Kiedy zostały same, matka przełożona nadal siedziała, a Peonia stała. Chociaż stara mniszka bardzo cicho wypowiedziała te słowa, zabrzmiały one w sercu Peonii jak dzwon.

Uniosła wzrok.

- Matko, chcesz powiedzieć, że przestanę go kochać?

Starsza kobieta się uśmiechnęła.

- Miłość ulega metamorfozie - wyjaśniła. - Kiedy płomień gaśnie, pozostaje poświata, ale nie skupia się ona na jednym człowieku, tylko grzeje całą duszę. Wtedy dusza spogląda na wszystkich ludzi z miłością.

Peonia wysłuchiwała tego w milczeniu. Matka przełożona poczuła, jak wzbiera w niej współczucie dla tej młodej kobiety w luźnej, szarej sukni.

- Matko przełożona, czy mam ci wyjaśnić, dlaczego tu przyszedłam? - spytała po chwili Peonia.

- Tylko, jeśli przyniesie ci to ulgę - odparła.

- Nie mam obowiązku wyznać, dlaczego się tutaj schroniłam? - zdziwiła się Peonia.

- Nie - odrzekła matka przełożona. - Wszystkie tutaj trafiłyśmy z takiego czy innego smutnego powodu. Nasze życie stało się nieznośne i tutaj znalazłyśmy azyl. Muszę jedynie wiedzieć, czy masz męża, żebym mogła wytargować się z nim o twoją wolność.

- Nie mam męża - wyszeptała Peonia.

- W takim razie żyj tu w pokoju - odparła matka przełożona. - Niebo jest nad głowami wszystkich, a ziemia pod stopami.

Powiedziawszy to, podniosła się i wyszła. Peonia jeszcze długo stała, nie odczuwając ani zmęczenia, ani bólu. Zawładnął ją głęboki spokój.

Przez trzy lata Peonia żyła w obrębie murów klasztoru. Tyle bowiem było potrzeba, by płomień w jej sercu przemienił się w tę poświatę, o której mówiła matka przełożona. Przez cały ten czas nie widywała się z Dawidem. Żadnemu mężczyźnie nie wolno było przekroczyć progów klasztoru, a ona nie opuszczała jego murów. Jeszcze tego samego dnia, kiedy odwiedziła ją Matka Wang, włączyła się do klasztornej życia. Studiowała święte księgi, uczyła się modlitw, opiekowała się bogami, uprawiała ogród i pracowała w kuchni. Potem starsze mniszki obcięły Peonii długie czarne włosy i ogoliły jej głowę. Zakończyła nowicjat, złożyła śluby i została mniszka. Wypaliło się uczucie, które nosiła w sercu. Matka przełożona nadała jej nowe imię - Ching An. Niezmałony Spokój.

Ale w ciągu tych trzech lat Kueilan często odwiedzała Peonię.

Pierwszego roku przyszła tylko dwa razy. Peonia niemal cały czas siedziała w milczeniu, a Kueilan swoim zwyczajem trajkotała, ożywiona i ciekawa wszystkiego, co widziała, i zapoznawała Peonię z ploteczkami z własnego domu. I tak Peonia się dowiedziała, że Matka Wang i Stary Wang wrócili do swojej wioski i mieszkali teraz z synami. Dowiedziała się też, że Aron po śmierci Ezry znów zaczął wieść próżniacze życie, aż kiedyś w złości Dawid poprosił synów Kao Liena, by go zabrali ze sobą, kiedy wyruszą w drogę. Sam Kao Lien był już za stary na takie wyprawy. Zostawili Arona w jakimś kraju za górami, gdzie mieszkali Żydzi, którzy mogli go nauczyć, jak się zmienić na lepsze. Nigdy więcej nikt o nim nie słyszał.

Ale później Kueilan zaczęła częściej odwiedzać Peonię.

Urodziła kolejne dziecko, czwartego syna. Kiedy ukończył miesiąc, przyniosła niemowlę, żeby Peonia mogła je zobaczyć.

Kueilan była dumna, że ma tylu synów, lecz gdy towarzyszące im mniszki odeszły i została sama z Peonią, ujawniła swoją niechęć do najmłodszego dziecka.

- Spójrz na niego! - wykrzyknęła, kiedy piastunka kołysała go w ramionach. - Czy to moje dziecko, Peonio?

Kueilan nie mogła przywyknąć, by zwracać się do niej inaczej niż dawnym imieniem.

- Ty go urodziłaś - powiedziała Peonia z uśmiechem.

Dzięki temu, że była mniszką, zajmowała teraz równą pozycję z Kueilan i nie musiała już do niej mówić „pani”.

Kueilan wydeła usta.

- Wygląda jak jego cudzoziemska babka.

Peonia nie mogła nie wybuchnąć śmiechem. Rzeczywiście malutki chłopczyk był dziwnie podobny do madame Ezra.

Wyraziste rysy nie pasowały do drobniutkiej buzi. Dała znak piastunce, by pozwoliła jej potrzymać dziecko. Kiedy znalazło się na jej kolanach, spojrzała na jego rączki i nóżki. Też były duże.

- Będzie rosnąć mężczyzną - oświadczyła. - Spójrz, jakie ma długie płatki uszu... To oznacza śmiałość i mądrość.

Temu dziecku poszczęści się w życiu.

Peonia tak pocieszała Kueilan, a Kueilan, w przypiływie wspaniałomyślności, zaczęła ją namawiać:

- Odwiedź nas, dobrze? Służące mnie nie słuchają tak, jak słuchały ciebie, Peonio. Mój najstarszy syn nie przykłada się do nauki, ojciec sprawił mu wczoraj lanie, ja głośno

protestowałam i potem był na mnie zły. Gdy się pojawisz, będą się ciebie słuchali, jak zawsze.

Ale Peonia, wciąż się uśmiechając, pokręciła głową i oddała niemowlę piastunce.

- Jesteś tą samą Peonią, nawet jeśli ogoliłaś głowę - przekonywała ją Kueilan.

Peonia się przeraziła. Czy w tych słowach nie tkwiło ziarenko prawdy? Czy dlatego nie chciała, żeby Dawid ją zobaczył, bo miała ogoloną głowę? Sposepniała, a Kueilan opacznie zrozumiała jej milczenie, myśląc, że udało jej się namówić Peonię do wizyty u nich. I kiedy wróciła do domu, oznajmiła Dawidowi, że przekonała Peonię, by ich odwiedziła. Wtedy on też spoważniał i stał się milczący.

Peonia w swojej celi z całym okrucieństwem dokonała wiwiseksi swego serca. To prawda, pomyślała. Boję się wzroku Dawida.

W żadnym z klasztornych pomieszczeń nie było lustro, więc Peonia napełniła miednicę czystą wodą, pochyliła się nad nią i w słabych promieniach wieczornego słońca dostrzegła swoje niewyraźne odbicie. Po raz pierwszy ujrzała się bez włosów i uznała, że jest brzydka. Nie widziała niczego poza tym: ani ciemnych, spokojnych oczu, ani czerwonych ust, ani gładkich rysów młodej twarzy. Wydawało jej się teraz, że cała jej uroda tkwiła we włosach, w warkoczu, który miała zwyczaj zwijać nad uchem, i w kwiatach, które lubiła w nie wpinać. Przyglądała się sobie przez długą chwilę. Potem wzięła miednicę i wylała wodę przez otwarte okno na rabatę lilii, rosnących pod murem.

Ukarzę samą siebie, pozwalając mu, by mnie zobaczył, powiedziała sobie.

Ale jeszcze przez całe dwa lata nie odważyła się pójść do domu Dawida. Kueilan urodziła piąte dziecko, tym razem córeczkę, i była w ciąży z szóstym. Pewnego dnia do klasztoru przybiegła służąca, błagając Peonię, żeby do nich przyszła, ponieważ najstarszy syn jej państwa jest umierający. Dała Peonii złożoną kartkę. Kiedy Peonia ją rozpostarła, zobaczyła kilka słów, nakreślonych ręką Dawida.

„Przyjdź przez wzgląd na mojego syna”.

- Przyjdę - oznajmiła Peonia służącej i pospieszyła do matki przełożonej, by uzyskać jej zgodę.

Matka przełożona bardzo się zestarzała, była słaba i od kilku lat nie opuszczała swojej celi. Wszystkie mniszki traktowała dobrze, ale Peonię pokochała całym sercem, jak córkę, której nigdy nie miała. Teraz ujęła rękę Peonii i trzymała ją przez chwilę.

- Czy ogień w tobie zgasł? - zapytała.

- Tak, matko - potwierdziła Peonia.

- W takim razie idź, moje dziecko - odparła matka przełożona. - A ja będę się modliła o życie chłopca.

Tak więc Peonia opuściła tego dnia swoją kryjówkę, która stała się jej domem, i idąc ulicą, uspokajała swe serce modlitwami, przesuając w palcach drewniane paciorki różańca.

Kiedy zbliżyła się do znajomej bramy, Dawid już tam na nią czekał. Serce mocniej jej zabiło, póki nie nakazała mu, by się uspokoiło. Spojrzała na niego bez lęku, postanowiwszy sobie, że ich spojrzenia mogą wyrażać jedynie chłodną przyjaźń.

- Peonio! - wykrzyknął Dawid.

! Spostrzegła, że wypatruje zmian, jakie w niej zaszły.

- Mam teraz na imię Niezmacony Spokój - powiedziała mu z uśmiechem. Nie, nie będzie się bała uśmiechać.

- W moich myślach zawsze pozostaniesz Peonią - odparł Dawid.

Nic na to nie odrzekła.

- Gdzie jest twój syn? - zapytała po chwili.

Szli obok siebie, a ona uspokajała swoje serce, przebierając palcami po paciorkach różańca. Zapomniała, jaki jest wysoki, jaki silny. Stracił dawną młodzieńczość, przeobrażając się w człowieka statecznego i pewnego siebie. Była z niego dumna, nie uważając, by dopuszczała się grzechu. Ich spojrzenia znów się spotkały.

- Nie zmieniłaś się tak bardzo - powiedział niespodziewanie. - Z wyjątkiem... włosów.

- Bardzo się zmieniłam - odparła pogodnie. - A teraz zaprowadź mnie do dziecka.

- Ach, mój syn... - westchnął.

Przyspieszyli kroku i weszli do komnat, w których teraz mieszkał Dawid wraz z dwójką starszych synów. Chłopcy po ukończeniu siedmiu lat wyprowadzali się z części domu, zajmowanej przez matkę, by zamieszkać z ojcem. Dawid zaprowadził Peonię do swojego pokoju, gdzie na jego łóżku leżał chory chłopiec. Już nie był dzieckiem - Peonia od razu to zauważyła.

Był wysoki i szczupły. Oddychał, ale przy każdym oddechu się krztusił, na twarzy miał wypieki, leżał z zamkniętymi oczami.

Peonia ujęła jego rękę, ale stwierdziła, że tętno jest zbyt szybkie, by móc je zmierzyć.

- Nie mamy chwili do stracenia! - wykrzyknęła. - W jego gardle zalega trująca flegma.

Peonia, jak wszystkie mniszki, dużo czasu spędzała przy łóżkach chorych i wiedziała, że w tym roku mieszkańców miasta gnębiła choroba, którą przyniosły złe wiatry z północy.

Rozkazała służącemu, żeby pobiegł po lampę z silnym knotem, a drugiemu, by uciął młody, miękki pęd bambusa. Czekając zmoczyła szmatki w gorącej wodzie i obłożyła nimi

szyję chłopca, by rozgrzać mięśnie. Jak tylko w jej dłoniach znalazła się cienka bambusowa rurka, poprosiła Dawida, by mocno przytrzymał syna, a służącemu kazała złapać chłopca za nogi. Potem delikatnie naciskając kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki brodę chorego, otworzyła mu usta, wsunęła bambusową rurkę, po czym zaczęła wolno wysysać z niej powietrze. Chłopiec dławił się i rzucał, ale ona nie zwracała na to uwagi. W końcu flegma wypełniła rurkę i chłopiec opadł na poduszkę.

- Spalcie to - poleciła służącemu. - Pełno w tym zarazków. I przynieście wina dla chorego.

Stała bez ruchu, czekając, aż przyniesiono wino. Wlała jego odrobinę do gardła chłopca, a potem sama opłukała usta winem i wypluła je do srebrnej spluwaczki, stojącej obok łóżka.

- Lepiej mu! - wykrzyknął uradowany Dawid.

- Będzie żył - powiedziała Peonia.

Niemniej jednak nie ruszyła się od jego łóżka aż do zmierzchu, kiedy to zgodnie z regułą, obowiązującą mniszki, musiała wrócić do swej celi. Nazajutrz znów przyszła i pojawiała się codziennie, póki chłopiec całkiem nie wyzdrowiał.

Wtedy to zdążyła się zorientować, że musi być tu częstym gościem. Dawid bardzo jej potrzebował, bo zupełnie nie mógł sobie poradzić z dorastającymi dziećmi, porywczymi synami, zbyt liczną, leniwą i nieposłuszną służbą. Do tego był przemęczony, bo interesy, które przedstawiały się kwitnąco, wymagały sporo uwagi. Peonia wyraźnie ujrzała, co go czeka w nadchodzących latach, kiedy synów i córkę trzeba będzie zaręczyć, zaplanować wesela i zorganizować życie w dużym i gwarnym domu, by dobrze służył kolejnym pokoleniom. Mogła przychodzić tu bez obaw, bo Dawid kochał swoją żonę. Widząc to, Peonia poczuła ukłucie bólu. Ale zadała sobie pytanie: właściwie dlaczego? Czyż sama nie sprowadziła Kueilan do tego domu? To nie Kueilan ją z niego odesłała. Małżeństwo, do którego się przyczyniła, okazało się dobre i przynosiło owoce. Między Dawidem i Kueilan istniała teraz bliska więź, którą umacniało posiadanie domu, dzieci, majątku. Ich losy były ze sobą splecione. Czyż nie tego właśnie chciała?

Gdzieś przeminął niepokój Dawida. Zapomniał, albo tak się jej przynajmniej wydawało, że w tym domu kiedyś mieszkał ktoś poza nim. Usunięto nawet to, co pozostało po jego matce. Z sali głównej zniknął zwój nad stołem, na jego miejscu wisiał teraz obraz przedstawiający skały, chmury i sosny. Peonia nie zapytała, na czyje polecenie to zrobiono, ale dobitnie świadczyło to o zmianie, jaka zaszła w tym domu - i w Dawidzie. Był zadowolony z życia.

Tak więc Peonia przychodziła do ich domu przez wiele lat, traktując Dawida i Kueilan jak równych sobie, a z czasem jej pozycja jeszcze wzrosła. Przyzwyczaili się liczyć na nią, polegałi na jej radach, a ona cieszyła się autorytetem w ich domu.

Dziesięć lat po tym, jak Peonia została mniszką i nadano jej imię Niezmacony Spokój, zmarła matka przełożona. Przez ten czas Peonia zdobyła sobie taki szacunek, że kiedy pochowano starą matkę przełożoną, mniszki wybrały ją na jej następczynię. Musiała nieco ograniczyć wizyty w domu Dawida, bo miała teraz na głowie własny dom, pełen kobiet. Rządziła w nim mądrze, nie gnębiąc niczyjej duszy ani nie raniąc serca nikomu, nawet najzwyczajniejszym mniszkom, pracującym w kuchni.

Peonia i Dawid idealnie się teraz rozumieli. Będąc matką przełożoną, mogła wychodzić, kiedy tylko miała ochotę, i nikt nie mógł o niej powiedzieć złego słowa. Zresztą nie była już młoda. Dwaj starsi synowie Dawida się ożenili, ich żony i dzieci zamieszkały w jego domu, kolejny syn właśnie się zaręczył.

Najstarsza córka młodo wyszła za mąż za Chińczyka, żony jego synów były Chinkami.

I można by zapomnieć, że ten dom nie jest w pełni chiński, gdyby nie to, że czwarty syn Dawida tak się różnił od reszty jego dzieci, że od czasu do czasu przypominał swemu ojcu, kim byli jego przodkowie. Porywczy, gwałtowny, pobudliwy, silny, ten czwarty syn wprowadzał stale zamęt w domu. Peonia śmiała się z niego i kochała go najbardziej ze wszystkich, traktując go niemal jak swojego syna.

- Zostaw go mnie - powiedziała Dawidowi pewnego razu, kiedy ojciec i syn się pokłócili, co często im się zdarzało.

- Rozumiem go lepiej niż ty... Bo jest do ciebie podobny bardziej, niż zdajesz sobie z tego sprawę.

- Nigdy nie byłem taki, jak ten młody głupiec! - zachnął się Dawid.

Peonia tylko się uśmiechnęła.

I tak mijały lata, wszyscy troje - Peonia, Dawid i Kueilan - się starzeli, a każdy kolejny rok był lepszy od poprzedniego.

Peonia i Dawid traktowali Kueilan jak kochane, duże dziecko, poświęcali jej sporo uwagi i trochę sobie z niej żartowali za jej plecami. Pozwalała, by ją rozpieszczali, niekiedy ich łajała po swojemu i wydymała usta, gdy się z niej podśmiewali, ale wiedziała, że jest kochana.

W domu niczego nie brakowało, Dawid był jednym z najbardziej szanowanych mieszkańców miasta, a Peonia - jego dobrym duchem. Czas łagodnie się z nimi obchodził.

Synagoga przemieniła się w stos gruzu. Biedni mieszkańcy miasta zabierali cegłę po cegle, aż nic nie zostało z dawnej świątyni. Zniknęły też rzeźby, i w końcu zachowały się jedynie trzy wielkie kamienne tablice, a potem tylko dwie z nich. Te dwie ostatnie stały pod gołym niebem, aż kupił je jakiś chrześcijanin, cudzoziemiec.

To wywołało oburzenie w mieście. Tablice sprzedał syn czwartego syna Dawida, noszący nazwisko Chao. Na jego głowę spadł gniew burmistrza miasta.

- Jak mogłeś właśnie ty, niegodny synu, sprzedać jakiemuś cudzoziemcowi chrześcijaninowi pamiątki po swoich przodkach? - spytał burmistrz. - Musi je zwrócić, bo jeszcze wywiezie je z naszego kraju i twoi pradziadowie powstaną z grobu, by nas ukarać. - Po czym rozkazał swoim strażnikom, żeby wtrącili Chao do więzienia.

Ale w żyłach Chao wciąż płynęło sporo krwi madame Ezra, toteż krzyknął przez kraty:

- Żebyście nie wiem ile mi zapłacili, nie poproszę tego chrześcijanina, żeby oddał kamienie! Należały do wyznawców naszej religii, których już nie ma w tym kraju. Jego religia wyrosła z naszej, niech więc zatrzyma tablice.

Chao poparła cała jego rodzina, zrodzona z lędźwi Dawida ben Ezry. Zwrócili uwagę burmistrzowi, że przez wiele lat tablice stały pod gołym niebem, padał na nie śnieg i deszcz, paliły je promienie słońca, aż popękały, a nikt się o nie nie zatroszczył. Skąd więc teraz to oburzenie, kiedy je sprzedano?

W całym mieście nie było nikogo, kto potrafiłby doprowadzić do kompromisu, aż sobie przypomniano, że matka przełożona dobrze znała tę rodzinę. Burmistrz posłał do niej swoich urzędników, których przyjęła w bramie klasztoru, albowiem żaden mężczyzna nie mógł przekroczyć jego progów.

Peonia była już bardzo stara, ale jej umysł pozostał jasny i chłodny. Wysłuchiwała posłańców, a potem wypowiedziała takie oto mądre słowa:

- Ten, który nosi nazwisko Chao, był żywym chłopcem i wyrósł na człowieka, jakiego znacie. Jego przeznaczeniem jest spędzić życie w więzieniu, chyba że znajdzie się sposób, by mógł je opuścić tak, żeby nie ucierpiało jego duma. Znałam jego ojca, a wcześniej jego dziada. Powiem wam, jaki to sposób: niech cudzoziemiec zatrzyma święte tablice, które kupił, ale niech mu nie wolno będzie ich wywieźć z miasta. Niech przed swoją świątynią wzniesie pawilon i umieści w nim tablice, by się zachowały dla przyszłych pokoleń.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, podrapali się po brodach i przyznali, że matka przełożona rzeczywiście jest mądra. Podziękowali jej i odeszli.

Zrobiono tak, jak poradziła Peonia. W nowej świątyni kamienne tablice stoją po dziś dzień pod zadaszeniem. Na nich widnieją słowa „Świątynia Czystości i Prawdy”, a poniżej wyryto dzieje Żydów i ich Drogi. Można tam przeczytać: „Droga nie ma formy ani postaci, ale istnieje na podobieństwo Drogi Niebios, która jest nad nami”.

Kiedy Peonia wróciła do swojej celi, długo rozmyślała.

W jej wspomnieniach odżyły dzieje domu Ezry, z którym przypadkiem splotły się jej losy. Nie rozumiała, dlaczego tak się stało, wiedziała jedynie, że wszystko się dzieje zgodnie z wolą niebios. Czy pewnego dnia zniknie ta silna i wpływowa rodzina, potomkowie Izraela, Ezry i Dawida, tak jak zniknęła synagoga, którą wzniesli ich przodkowie, świątynia ich Boga?

Czy źle zrobiła, kiedy odciągnęła Dawida od Lei, by poślubił Kueilan?

Długo rozmyślała i, jak jej się to często zdarzało w podeszłym wieku, znalazła odpowiedź. Nie zrobiła źle, bo nic nie przepadło.

- Nic nie przepadło - powtórzyła. - Żyje wciąż wśród nas. - Zadumała się. - Tam, gdzie grubsze brwi, bardziej błyszczące oczy, tam jest ktoś taki, jak on; gdzie głos brzmi czyściej, tam jest on; gdzie linia poprowadzona bardziej zmyślnie, by obraz był wyraźniejszy, tam jest on; gdzie mąż stanu najbardziej prawy, sędzia najbardziej sprawiedliwy, tam jest on; gdzie uczonej najbardziej świątły, tam jest on; gdzie kobieta zarazem urodziwa i mądra, tam jest on. Ich krew płynie w żyłach tych, którzy żyją, a kiedy ich ciała przemienia się w proch, ten proch użyźni spokojną, dobrą ziemię. Ich duch odradza się w każdym pokoleniu. Nie ma ich już, a jednak żyją wiecznie....